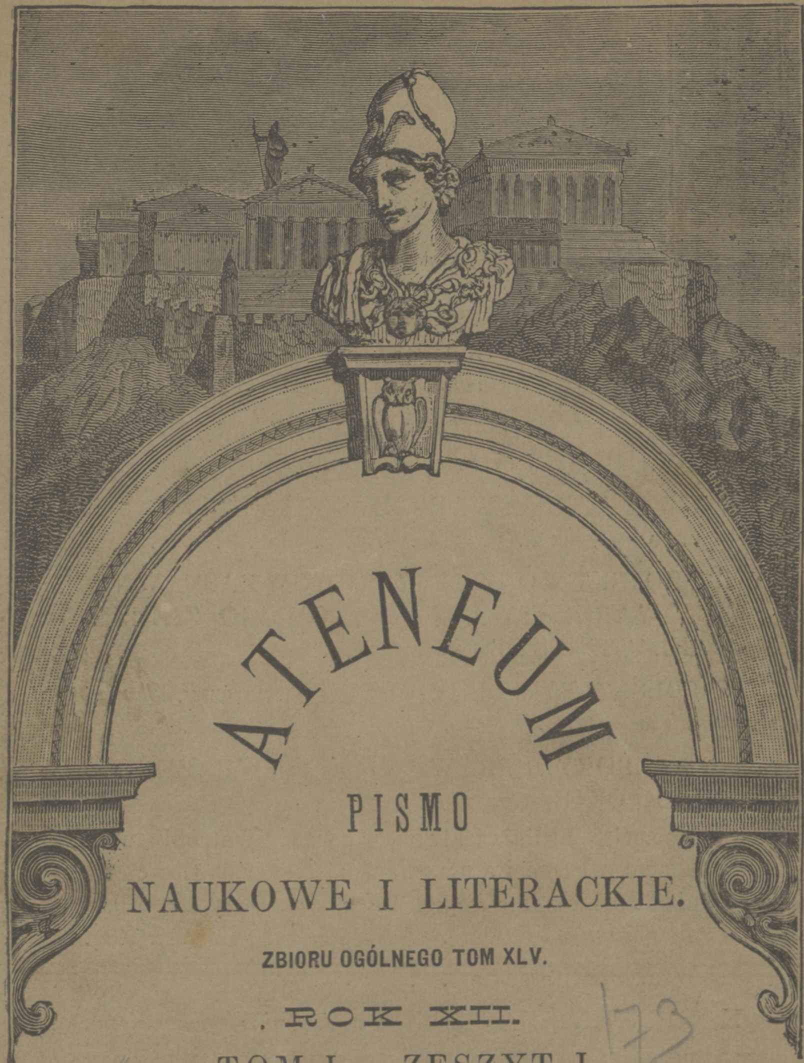


ATENEUM

PISMO
NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XLV.

ROK XII.

TOM I. — ZESZYT I.

Styczeń.

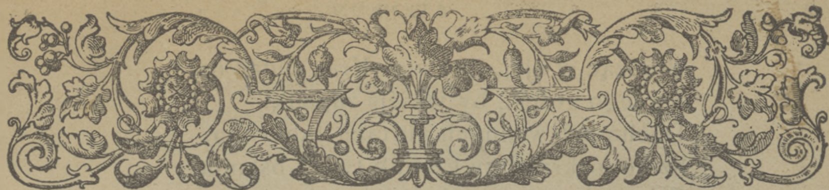
WARSZAWA.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1887.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 5 Stycznia 1887 r.



Z POEMATU
„KNIAZIOWIE ROŻYŃSCY.“ (1)

VI.

Chrystophoros.

W dali sinieją ogromnym taborem
Gór Jahorlickich rozciągnięte pasma;
A z nich Jahorlik, wyżyn dzieckiem skorem,
Jako stalowa wywija się taśma
W step, gdzie się długą nie umęczy drogą —
Wnet u stóp mistrza, Dniestru, spocznie błogo.

Nad stepem niebo cięży dziś ołowiem;
Zieleń zsiniała, barwy kwiatów bledsze,
Tonie wód zdają się mętne, a nowiem
Wschodzący księżyc, co trochę się przetrze
Przez brudnych płachcisk rozwłóczone strzępy,
To go czémprędzéj ich rąbek znów chłonie.
Wiatr świszcze w trzcinie, a z rozległéj kępy,
Nad Jahorliku wznoszącéj się tonie,
Z wrzaskiem wciąż rybitw podlatują stada,
Popłoch po całém nadbrzeżu roznoszą.
Czy jaka na nie czyha dzisiaj zdrada,
Czy też je w zwykłym tu spokoju płoszą
Ciągłe pluskania owe w pośród rzeki,
Które dziś człowiek, gość tu nader rzadki,

(1) Poemat ten w XVIII pieśniach jest już w całości do druku przygotowany. Podajemy z niego dwa ustępy odmienne nastrojem; jeden, humorystyczny, znajduje się w zeszycie niniejszym; drugi, rzewny, wydrukujemy w następnym.

Brodząc w niéj, sprawia? Kraj widać daleki
Śle tego gościa, by jakiéjś zagadki
Dochodził w sinych nurtach Jahorlika.
Szerokoskrzydlny kłobuk twarz osłania
Człowieka tego, a chałat pątnika
Postać okrywa. Dolną część ubrania
Zakasał wyżéj kolan i jak czapla
Wielkiemi kroki po mieliznach brodzi;
A jak na stopach woda, tak się skrapla
Pot znów na skroni jego, którą chłodzi
Przewiew na rzece. Nieledwie co chwila
Dziwny ów człowiek przystaje, jak gdyby
Stopą próbował dna, lub się nachyla,
Rękę zakasze i lustr wodnéj szyby
Pruje nią, dłonią sięgając aż do dna....
Kiedy zaś znowu wyprostuje postać,
Twarz jego smutna wprawdzie, lecz łagodna,
Zdradza doznany zawód. — Czy wydostać
Nie może z nurtów czego, lub odszukać
Na dnie strumienia? czy téż tak starannie
Strudzone stopy chciałby w nich opłukać?
Lecz czemuż rzewnie wzdycha nieustannie
Pacierze szepcąc?

W okół cisza głucha
Zalega całe to miejsce odludne;
Smętnie szeleści tylko trzcina sucha
I ptak zawrzeszczy, albo echa złudne
Głosów, szczebiotów i szmerów tajemnych
Podmuch od stepu zaniesie niekiedy.
Resztki dnia blasków wsiąkły w chmurach ciemnych,
Wsród których księżyc jak tabliczka kredy
Majaczy, całkiem obrany ze złota....
Nad okolicą całą i wieczorem
Zawisła jakaś żałość i tęsknota
Straszna, — a człowiek ów raczéj upiorem
Zda się zesłanym tutaj na pokutę,
Niźli istotą, cieszącą się życiem.
Spojrzał on właśnie na niebo, wyzute
Ze wszelkich blasków, jakoby odbiciem
Będące tego szarego pustkowia,
Na którém bawił — i szepnął z westchnieniem :

„Tę łachę jeszcze z ostępem sitowia
„Przeszukać muszę, i daléj strumieniem
„Kroków ze trzysta; lecz nadzieja mała,
„Jeżelim dotąd i ułamka jeszcze
„Nie znalazł zbroi. — Czy woda zabrała
„Nawet żelazo? — Zimno! czuję dreszcze —
„I ciemno. Trzeba znów przerwać do świtu
„Pilną robotę. Wspomagaj, o Boże,
„Zamiar i siły! Wszakci to los bytu
„Sług Twoich wiernych, pogańską obrożę
„Noszących, zawisł od skutku mych starań;
„Rękę przezemnie podaj im pomocną!
„Dwudziesty dzień już od najpierwszych zarań
„Do najpóźniejszych wieczorów, a nocną
„Niekiedy porą, o bladym miesiącu,
„Mącę te nurty i szukam i brodzę,
„Na chłodzie po dniu, a w dzień na gorącu —
„I dotąd śladu nawet nie znachodzę
„Téj drogiéj zguby. Miejsce jest to samo —
„Dobrze pamiętam. Tu, wśród czystéj strugi
„Stanął nam Tatar nieprzepartą tamą,
„Z kępy wypadłszy. Koń jeden i drugi
„Padł pod Eustachym; najzawziętsze harce
„Tutaj staczano, nie widząc się prawie
„Przy mdłéj, jak dzisiaj, księżyca latarce...
„Tam nas wiązali na piaszczystéj ławie —
„Miejsce to samo! — O precz! precz zwątpienie!
„Na tom jest tylko, bym wytrwał do końca....
„Lecz co to? głosy? Jakby ludzkie cienie
„Na brzegu kręcą się, choć ani słońca
„Ani gwiazd nie ma teraz, cień znaczących..."
A w tém od brzegu po fali, po rosie,
Głos go już doszedł: „Jeżeliś z żyjących
„Jest, ty na rzece tam Chrystoforosie,
„A duszę w sobie masz téż chrześciańską,
„To przyjdź-no bliżéj i zacnym wędrowcom,
„Co aż krainę rzucili dardańską
„By się ojczystym znów przyjrzeć manowcom,
„Bród wskaż téj rzeki, wskaż, jeślić Bóg miły!"

Człowiek na rzece błagalne zaklęcie
Słysząc to, zaczął przez oczeret zgniły,

Siecie wikliny, przez szuwar i pręcie
Krzaczastéj łozy przedzierać się żwawo
Do brzegu rzeki, co nad wód zwierciadłem
Piaszczystą wznosił się w tém miejscu ławą.
I znów go doszedł głos: „Dobrze ja zgadłem
„Żeś człek godziwy jest i chrześcijanin,
„Choć pokazujesz tu z siebie szczupaka.
„Co, przez Bóg żywy, wśród tych niecnych tkanin
„Pokrzyw, wikliny. w téj stolicy raka
„I gadów wodnych, a krabów, pijawek,
„Na których samą myśl czub mój się jeży,
„Robisz tą porą? Czy milszych zabawek
„Nie znacie tutaj? Chyba-że więcierzy
„Dopatrzeć chciałeś, lub zażyć niewodu?
„Bodajże ciebie! samiutki jak palec
„I w noc, na rzece! Gdyś więc tego brodu
„Świadom, to wiedź nas tak, aby padalec
„Jaki złośliwy do naszych się łydek
„W tych wodach stęchłych nie przypytał czasem.
„Królowo! — dodał ów głos — na bok wstydek;
„Rąbek sukienki zadzierżgnij za pasem,
„Ot tak! — buciki zzuj teraz, do czysta
„I stopek swoich skórki aksamitnéj
„Dziś nie pożałuj, boć rzecz oczywista
„Że przy attencyi całéj, czołobitnéj
„Dla cię, królowo, strumień ten sromotny
„Wód nie osuszy swoich na wyścigi,
„I że grząść trzeba nam w téj toni błotnéj...“
Mówił, lecz więcéj znać dawał na migi
Swéj towarzyszce, okrytéj po oczy
Płaszczem i obok stojącéj w milczeniu,
Że w téj przeprawie swe nogi zamoczy,
Jeżeli ujmy nie zrobi odzieniu.
Ona też, niema ciągle, słucha bacznie
Wezwania tego; a gdy człowiek z rzeki
Na brzegu wreszcie stanął, znowu zacznie
Ów nieznajomy: „Chrystus Pan po wieki
„Bądź pochwalony i płać ci człeczyno
„Za tę przysługę! Rychło przyjdzie, tuszę,
„Czas ten, gdy z inną ujrzysz mnie tu miną,
„To wtedy inną też wdzięcznością ruszę
„Za twój ochotny trud i pomoc ludzką;

„A jakoś widzę pątnik, mój szczupaku,
„Szczerą ci kiedyś perłą kałakucką
„Konchę zastąpię ową na pakłaku,
„Bom jest i hojny i możny dość także,
„Choć mnie chudziną dziś widzisz golutką
„Jak owa klinga bez pochwy, a jakże?
„Jeśliś też ciekaw: com zacz? — powiem krótko:
„Król na Kipczaku teraz — a zaś dawne
„Miano me: rycerz rozgłośny Sieniuta,
„Którego czyny pewno ci są jawne...“

W słowach i w głosie mówiącego buta
Z prostodusznością w mierze szła jednakiéj.
Rosły a chudy chłop był ten Kipczaku
Władca; a ręce mu jak nocne ptaki,
Albo jak skrzydła latały wiatraku,
Kiedy, bywało, mówiąc na kieł bierze.
Zaś człowiek z rzeki tę mowę wyniosłą
Przerwał w te słowa: „Służę waści szczerze,
„Choć to po prawdzie nie moje rzemiosło —
„Nie dla wdzięczności służę lub zapłaty,
„Lecz żem katolik jest i rycerz prawy,
„Lubo mnie żadne w życiu majestaty
„Nie wywyższały... A nie dla zabawy,
„Ani dla marnych ryb w téj rzece brodzę,
„Ale zacniejszy cel mam w owych trudach...“
        Tamten podchwyci: „To bodaj osłodzę
„Waści te trudy! O krajach, o ludach
„Wiem ja przeróżnych, a te strony właśnie
„Znam jak zły szeląg, boć ztąd to mnie wzięto
„Na króla ordy — piorun niech zatrzaśnie
„To ich królestwo i ordę przeklętą
„Z końskiémi zrazy! — Swemi to mnie ścierwy
„Wygnali oni precz od siebie w końcu,
„Źreć je surowe każąc i bez przerwy
„To miesiącowi, to gwiazdom, to słońcu
„Czołem bić, siedząc na ziemi rozkrakiem —
„Sobacze syny, smoka im, nie króla!
„Otóż znów wracam do Polski Polakiem,
„Jak owa pszczoła zbłąkana do ula,
„Miodów pragnąca po leciech dziesięciu
„Końskich frykasów. Ich Allah jegomość

„Niech drży, jeżeli memu przedsięwzięciu
„Pan Bóg poszczęści. Ot, mógłbyś wiadomość
„Dać mi waść zaraz, czy prawda w istocie,
„Że ów zamorski pan i król tutejszy,
„Henryk, po nocy zemknął, a że w błocie
„Łapcie pogubił, słyszę?—w czém już mniejszy
„Mój własny despekt, gdy plunąwwszy także
„Na tron ordziński, stawam ot, obuty
„Po ludzku zgoła i pięknie, a jakże?“

Pątnik zdziwiony, słów pana Sieniuty
Słucha i w duszy znać bawi się setnie,
Bo uśmiech lice rozjaśnił mu smutne
Gdy rzekł: „Bóg z waścią! toż dziewięcioletnie
„Już po Henryku mamy rezolutne
„Rządy i sławną moc miłościwego
„Króla Stefana—niebo niech go chroni
„I Cherubini boscy niech go strzegą,
„Bo jest pan strasznéj wszelkim wrogom dłoni,
„A wielkiéj duszy i serca słodyczy
„Dla wszystkich swoich.“

„Jako żywo!“—krzyknie
Tamten, za głowę wziąwszy się i krzyczy
Daléj: „Waść nie łżesz?—jak owo nawyknie
„Człek i do tego!—nie łudzisz mnie jeno?
„Dziewięć lat, mówisz? Patrzcie, a ja śpieszę,
„Najlepszą w sercu ożywiony weną
„Że tu elekcya! że powiększę rzeszę
„Braci na Woli! że ten-tego... panie...
„Że stanę na czas w okazyi tak zacnéj—
„Że miejsce jeszcze i dla mnie zostanie—
„Że poczekają, bo wybór niełacny...
„Niechże to piorun znów zimny zatrzaśnie!
„Po com ja rzucał tron? prawda, bydlęcy,
„Ale tron zawsze! Nie, waść mi tu baśnie,
„Fąfry w nos puszczasz, do krocset tysięcy!
„Jakiż to Stefan, u licha, już włada
„W Polsce? Stefana jednego poznałem
„W Pińszczyznie, drugi u mego sąsiada,
„Sławki, marszałkiem był... A słowo-ciałem!
„Któryż z nich marzył o koronie kiedy?“

W boki się weźmie nasz z rzeki znajomy:
„To waść tu szedłeś Henrykowéj schedy
„Pilnować?“—spyta, śmiech tłumiąc kryjomy —
„Szedłeś z własnego tronu wysokości
„Tu, gdzie i szpilka do ziemi nie spadnie?
„Prawda, że z tronu na tron jest najprościéj.
„Ale téż za toś się waszmość szkaradnie
„Przepóźnił, bracie. Jeźliś ciekaw rodu
„Miłościwego nam dziś w Polsce pana:
„Z wielkich on idzie książąt Siedmiogrodu,
„Batorych, których wielkoduszność znana
„Całemu światu. Sam jéj doświadczyłem
„Świeżo, nieszczęsny; boć dwa razy prawie
„Po dziesięć latek pod lubém nie żyłem
„Ojczystém niebem; a gdy Bóg łaskawie
„Wrócić dozwolił tu, swe pierwsze kroki
„Do pana tego skierowałem tronu,
„Poznałem jego majestat wysoki
„I jeszcze wyższą duszę, że do zgonu
„Dobroci jego będę wdzięcznie światom!“
A król Kipczaku znowu puści wodze
Swojéj wymowie: „Takowym przykładom
„Jużci, dać trzeba wiarę; choć po drodze
„Grosz znaleziony nie zawsze jest szczery...
„Nie, żebym waści nie wierzył, to mówię,
„Lecz żem już nieraz ze dzbanka kostery
„Octem pić musiał, zamiast winem, zdrowie;
„Jako się często trafia ta niecnota
„W naszéj ojczyznie. Więc Stefan, powiadasz?
„Hem, hem! to ładna tu była robota!—
„Ot, prawda święta, że nigdy nie zbadasz
„Umysłów polskich do ostatniéj chwili,
„A już najbardziéj w elekcyjnéj szopie!
„Cóż, u kaduka, oni upatrzyli
„W Stefanie owym? Ni len, ni konopie,
„Książątko znowuż jakoweś zamorskie,
„Co to zapewne słuch boży szwargotem
„Kaleczy niecnym, a urzędy dworskie
„Małpom powierza. Nicpotem! nicpotem
„Elekcya taka; lepiéj było zwlekać,
„Badać, a męże upatrywać godne.
„Ano, gdy oto nie chcieli poczekać,

„Niech sobie króle te chowają modne,
„Wszak według stawu grobla, a to także
„Dobra jest prawda, że jak tam nawarzysz
„Tak i wypijesz!—Nicpotem, a jakże?“

A na to tamten: „Waść się nie poważysz
„Tak bezbożnego używać języka,
„Skoro sam poznasz, jaka cześć głęboka
„I miłość naród dziś cały przenika
„Dla pana tego. W złego waść proroka
„Wdałeś się, widzę, a toż rada szczera
„Bardzoć się przyda: daj rozwadze pole!
„Bo ów król wielki, w gniewie nie przebiera;
„Niedawno jeszcze kazał za swawolę
„Ściąć Zborowskiego—nie uszło na sucho—
„I nic nie pomógł rumor ani fochy
„Panów warchołów, dał dzbanek swe ucho!
„Prośby i groźby, jak od ściany grochy
„Od majestatu odbiły się marnie!“

Skoczy Kipczaku król: „Gwałt i sromota!
„A niechże jego noc jasna ogarnie!
„Ściąć Zborowskiego kazał? jak huncfota?
„Być-że to może? Jezu miłosierny,
„Co waćpan mówisz przejmuje mnie dreszczem!
„Widzę, że lepszy był mój tron mizerny
„Niż ta zabawa; żem chcąc ujść przed deszczem
„Zabiegł pod rynnę. Owóż pan Sieniuta
„Kłania się panu temu uniżenie...
„A jakże?“—

„Jeśli waćpana pokuta
„Nie poprawiła, nieczyste sumienie,
„Lub grzechy niesiesz jakowe do kraju—
Pielgrzym znów na to odpowie poważnie—
„To dziś w ojczyznie nie zaznasz waść raju;
„A jużby zgoła było nierozważnie
„Od waści, iść tam, jak umiesz, przebojem,
„Z języka swego czyniąc szerpentynę.
„Oby Bóg waści obdarzył pokojem
„I pod miecz nie dał pójść za jaką winę
„Przeciwko prawu! ile żeś, jak widzę,
„Nie sam, a słabą niewiastę masz z sobą.“

A pan Sieniuta: „Téj się nie powstydzę
„Choćby przed królem! Mogłaby ozdobą
„Pierwszą być dworu, bo z krwi jest carzyków
„Dardańskich, jeśli waszmość o tém nie wiesz—
„Jątrewka (1) ona chanów możnych, Błyków.
„A sam w Stambule sułtan jest jéj dziewierz,
„Przez co ja znowu z nim *per* „panie szwagrze."
„Bo była ona królową u boku
„Mego w Kipczaku, rozumiész? a jakże?—
„No, i jest na co spojrzéć—nie żal wzroku!—
„Powiadam waści: anielska uroda.
„Na każdym tronie błyszczałaby godnie.
„Wszak znasz tatarski szwargot?—nie?—to szkoda!
„Mógłbyś się sam tu przekonać dowodnie,
„Że szczerą jeno prawdą darzę waści!.."

Przerwie mu pielgrzym: „Owszem, mówię gładko
„Językiem owym..."

A on: „Mówisz? Naż-ci!
„Chciałbyś z nią może rajać, jak z gamratką (2)
„Pierwszą w bazarze, lub się poufalić
„Zbytnio? A wara!—Zresztą, tęskni ona
„Za domem, mogłaby się znów rozżalić
„Swoim szwargotem, ile że strudzona—
„Najlepiéj, daj waść pokój tatarczyznie!
„Mór czarny na nią! Hem, hem, anim sądził,
„Że tak jest ciężko dziś w naszéj ojczyznie,
„Co zaś do grzechów mych—tom i pobłądził
„Może potrosze w tych stronach ojczystych,
„A to przez zbytek cnoty, Bóg mi świadkiem!
„Dowodów na to takich oczywistych
„Nie znajdą, tuszę; chybaby przypadkiem
„Moja babina dawna, jejmość pani
„Z Gzów Sieniucina... Et! plotę—bo, plotę!
„Już tam się pewno dobrze spasły na niéj
„Glisty cmentarne.—Aleś mi ochotę
„Dyablo okroił waść, mego zapędu
„W rodzinne strony. Król Stefan! no proszę!—

(1) Jątrew, jątrewka, bratowa.
(2) Gamratka, zalotnica.

„Mają w Kipczaku dosyć jeszcze względu
„Na swego króla, lecz jakież rozkosze
„Żreć ścierwo końskie, mlekiem końskiéj krowy
„Je zapijając? sam to waszmość uważ!
„A tak, jam przecie spróbować gotowy
„Miłéj ojczyzny. Waści, że uczuwasz
„Troskę o los mój, Pan Bóg niech zapłaci!
„A niech téż stanie się, co On chce, potém,
„Muszę po latach ujrzéć miłych braci,
„Choćbym miał gardło dać, bom ci brzeszczotem
„Przejechał kilku tam zacnych kumpanów...
„Et! dawne dzieje, i wzmianki nie warte!
„A toż i nad tém czlecze się zastanów,
„Że lat już dziesięć, jak myszy, rozżarte
„Srodze na wszystko, co trąci bibułą,
„Grodzkiemi akty tuczą się, aż miło.—
„Coś waść téż wspomniał, że duszę ma czułą
„Nasz miłościwy król?—bodaj mu było
„Na dobre zdrowie, cnotliwemu panu,
„Gdy słodycz łączyć umie z majestatem!
„Ach, czyż kondycyi mojéj, mego stanu
„Robaczek, mógłby lwa, co trzęsie światem,
„Do gniewu, zemsty, srogości pobudzić?
„Tak mocno jeszcze ludzkość nie upadła
„W Rzeczpospolitéj! Nie zechce zabrudzić
„Król najjaśniejszy cudnego zwierciadła
„Sprawiedliwości swojéj, memi skazy—
„Co? jak waść myślisz?--Czuję ja to—wszakże
„Skóra coś świędzi. Ha! nikt mi dwa razy
„Szyi nie utnie, choćby zdechł, a jakże?—
„Mości Sieniuto tedy, daléj steruj
„W rodzinne strony, niech cię nieba strzegą –
„A waść téż zaraz wyroków nie feruj
„Na gardło! O! o! chyba nic lepszego
„Już by nie mieli? Ja waćpanu dzięki
„Ponownie składam za bratnią przestrogę,
„I jeśli przyjmiesz, nie poskąpię ręki,
„A w trudzie owym waszmości pomogę,
„Co cię tu trzyma, jakoś rzekł, na wodzie;
„Bom znów już nie jest jak taki ostatni,
„Abym się lenił w bliźniego przygodzie,
„Doznawszy troski i przysługi bratniéj.“

Pielgrzym nie umiał utaić frasunku
Tak zagadniony, i odrzekł po chwili:
„Całą chorągwią i w pełnym rynsztunku
„W tym brodzie my się z Tatary czubili,
„Lat temu będzie już siedmnaście z górą.
„A teraz szukam ja w wodzie daremnie
„Brzeszczota, który się z tatarską skórą
„Dobrze tu poznał. Przezeń i przezemnie
„Pewny w jasyrze rycerz mógłby snadnie
„Wolność odzyskać; więc trudu nie szczędzę—
„Choć Bóg nie łaskaw dotąd...“

Tu nań spadnie
Sułtański szwagier: „W méj bracie potędze,
„Jest waści brzeszczot! Bóg mnie widzę zsyła.
„Abym waćpana w tem dobrze pouczył
„Jak go masz szukać. Człek bo się już siła
„Nażył w tych stronach, a w stepie nawłóczył,
„Że wie, gdzie jaka trawa tutaj rośnie...
„Gdybyś więc w rzece nie znalazł swéj zguby,
„To o człowieka pytaj, co ukośnie
„Nogi jak kraczoch stawia (1), tołub gruby
„Jak owa locha ma, kark zasię byka,
„A czarnéj owcy łeb—i jak step duży
„Pod nazwą znany jest kowala Gdyka,
„Bo swém rzemiosłem każdemu usłuży,
„Sobaka ludzka zgoła i uczynna.
„Jaka mu była mać? mniejsza; osoba
„Jest niepoczesna, lecz czy mu rodzinna
„Ziemia cygańska, judzka, czy choroba,
„Człowiek jest zawsze i podróżnym chętny,
„Owóż ten tedy Gdyk, na stal łakomy
„Jak każdy kowal, pilny jest i skrzętny
„W poszukiwaniach za nią, gdzie pogromy
„Po sobie jakie pozostawią ślady,
„Co często trafi się w stepie odludnym;
„Toż on umyślnie wyrusza na zwiady
„W tym właśnie celu, mozolnym a żmudnym
„Jeśli więc tylko zasłyszał o owéj
„Okazyi waściów, albo się przypadkiem

(1) Kraczoch, brukowiec, włóczęga.

„Na ten bród natknął, ów gmerek stepowy,
„To już on dobrze przebrodził ukradkiem
„Wody te wszystkie i gdy były szczątki
„Żelastwa jakie, wyniósł, do podkowy,
„Do ćwieka nawet. Lecz ów Gdyk pamiątki
„Rozróżnić umie zbroi, od surowéj
„Stali, jak waść sam, i pewno brzeszczota,
„Co, jak ów zacny, nie przekuł na rożen;
„A jeśli tylko klinga uszła młota,
„Prędko dopytasz jéj, bo kto już korzeń
„Wymacał, łacno dojdzie i korony.
„Tę waści radę daję, miły bracie;
„A dodam jeszcze, że jeślibyś onéj
„Kuźnicy Gdyka, po wszelkiéj już stracie
„Nadziei tutaj, nie mógł wymyszkować,
„To prosto wtedy wal ztąd do Kamieńca,
„Gdzie żyje człowiek, co radby ratować
„Każdego w łyka ztąd wziętego jeńca,
„Ormianin zacny, Dermos mu na imię.
„Człek to, jak szukać drugiego w tym kraju;
„Kupczy on różnym japrałem (1) aż w Krymie,
„I do każdego tam ma wstęp seraju.
„Ten waści pewno da lepsze wskazówki,
„Ile że czas to już uszedł sromotny
„Jakem od mojéj drapnął lubéj wdówki —
„Chciałem powiedziéć, jakem ztąd markotny
„Na nierząd w kraju, krzywd doznawszy licznych,
„Królować poszedł Ordyńcom — mór na nich!
„A jakże? — Teraz w drogę nam! Swych ślicznych
„Trzewiczków bosych, a nad inne tanich,
„Nie szczędź królowo, abyśmy przed zorzą
„Wytchnąć już w Polsce mogli raz godziwie.
„Waćpana zdaję na opiekę bożą,
„A jeśli celu byś dopiął szczęśliwie
„Za moją radą, to westchnij tam, proszę,
„Miłościwemu nam by Jezus panu
„Dał łagodności ojcowskiéj potrosze!
„A ot, gotowiśmy już, jak do tanu
„Kuso podpięci; wiedźże nas w bród, z łaski.
„Brr! woda widzę dzisiaj jadowita —

(1) Japrał — towar.

„Jakaż to szkoda, żem chociaż kolaski
„Nie wziął swéj dworskiéj, ile że kobiéta...
„A to jest wszystko z przyczyny téj niecnéj
„Elekcyi; dyabeł mózg mi zamroczył,
„Żem szedł, dystynkcyi próżen, nieobecny
„W duszy, tak prawie jakem z tronu skoczył.
„Brr! — jak tam kąpiel smakuje, królowo?
„Te wody zgoła są dziś nieuczciwe!
„No, Bogu dzięki i waści, że zdrowo
„Kończym przeprawę; poznaję tę iwę
„Spróchniałą, która na bliskim już brzegu
„Drugim, bród znaczy. Łasce się oddaję
„Waści i życzę dobrego noclegu,
„Co jest niełatwą rzeczą, jak na kraje
„Tak niegościnne. — Król Stefan, hem, ii — bo
„Nie taki dyabeł!.. a jakże?.. — No, bywaj
„Z Bogiem waść, schroń się pod jaką kolibą,
„Lub się rogożą bodaj ponakrywaj,
„Bo chłód się wzmaga.“

„Ostańcie wy z Bogiem“ —
Rzekł pielgrzym, gdy mu wędrowców tych dwoje
Znikało w mroku; poczem szedł, pod stogiem
Skoszonéj trawy i trzciny, swe znoje
Zakończyć dzienne na twardem posłaniu....
Ale nim spoczął tu, westchnieniem rzewném
Slał dzięki Stwórcy na tém z dniem rozstaniu,
Jakkolwiek bowiem nie zdało się pewném
Wszystko, co słyszał od pana Sieniuty,
To jednak wierzył, że człek ten spaczony,
Nie jest tak całkiem już z prawdy wyzuty,
By go tam także swojemi androny
Zbył, gdzie rycerski miał i chrześciański
Parol, na który baczy sam Bóg w niebie;
Wierzył, że Gdyk ów, lub kupiec ormiański
W Kamieńcu, dadzą mu pomoc w potrzebie....

„W Kamieńcu?“ — echem myśli jęknął cicho
I w modłach dłonie załamał kurczowo.
„Panie! — rzekł — widzisz, żem jest jeno krychą, (1)

(1) Kra, krycha.

„Ślepo tam pchany falą wypadkową,
„A nie ochotą, ani żądzą własną!“

Niebawem usnął spokojnie i słodko —
A teraz miesiąc na twarz jego jasną
Patrzył ciekawie i jakby z niej złotko
Czerpiąc dla siebie, świecił coraz jaśniéj;
Wiatr w chmury odszedł, tylko szeptem baśni
Gwarzy noc w stepie i fali szelestem
Anioł śpiącemu mówi: „Z tobą jestem!“

Bronisław Komorowski.





WOLA I HYPNOTYZM

SZKIC PSYCHOLOGICZNY.

> L'inconnu restera toujours plus considerable que le connu. L'homme est un infiniment petit perdu au sein de l'infiniment grand. Le connu restera la goutte d'eau, l'inconnu restera l'ocean.
>
> *Camille Flammarion.*

I.

Życie psychiczne jest wynikiem wpływów świata zewnętrznego na nasze zmysły i wpływów naszych wyobrażeń, uczuć i popędów na nasze odczuwania i wrażenia odbierane od tegoż świata. Zasadniczym pierwiastkiem naszego poznania jest obraz; organizowanie obrazów, uwarunkowane ich własnościami, stanowi akt rozumowania. Rozumowanie jest czynnością odruchową, wywołaną przez podnietę zewnętrzną lub wewnętrzną.

Rozwój ewolucyjny jest wynikiem odczuwania wrażeń. Gdyby atom nie odczuwał zmian zewnętrznych, nie mógłby oddziaływać. Odczuwanie wrażeń w człowieku jest zróżniczkowaném odczuwaniem zwierzęcém, to zaś, podobnie jak i odczuwanie roślinne jest wynikiem wrażliwości protoplazmy.

Percepcya jest stanem świadomego odbierania wrażeń z zewnątrz pochodzących, połączonego z pewną reakcyą mózgu; jest ona jakoby rodzajem odruchu, w którym prąd odśrodkowy nie przejawia się na zewnątrz, lecz zużywa się wewnątrz, budząc skojarzone z sobą wyobrażenia.

Iluzye zmysłowe mają swe źródło w umyśle; umysł wytwarza i uzewnętrznia złudne obrazy, mające pozór wrażeń rzeczywistych. Złudne te obrazy towarzyszą każdemu wrażeniu zmysłowemu, umysł bowiem uzupełnia przez nie niedokładności swego wrażenia.

Wrażenia i *obrazy* (inaczéj *wyobrażenia*) stanowią materyał dla wszelkich naszych czynności umysłowych, polegających na grupowaniu i podporządkowywaniu tychże, oraz na uświadamianiu stosunków już istniejących i na kojarzeniu stosunków nowych.

Każdy obraz wogóle jest właściwie słabém tylko i niezupełnie wyraźném odtworzeniem wrażenia rzeczywistego, czyli stanu świadomości wytworzonego przez działanie podniety zewnętrznéj na nasze zmysły. Obraz jest zatém zjawiskiem, wywołaném przez pobudzenie ośrodków zmysłowych w naszym mózgu.

Wszelkie zjawiska psycho-fizyologiczne, dokonywające się w mózgu, pozostawiają po sobie pewne ślady; komórki nerwowe mózgu, które raz już znajdowały się w stanie pewnego falowania pod wpływem zewnętrznéj podniety, mogą uledz ponownie temu samemu rodzajowi falowania pod wpływem podniety wewnętrznéj. Im częściéj komórka nerwowa znajduje się w stanie jednakowego falowania, tém łatwiéj w tenże stan może być wprowadzoną. Im częściéj doznajemy jakiegoś wrażenia, tém łatwiéj je sobie przypominamy. Często powtarzające się wrażenia utrwalają się w pamięci, ślady bowiem, jakie pozostawiają po sobie w komórkach mózgowych, czyli obrazy, zlewają się razem i stają się skutkiem tego wyraźniejszemi. Wszelkie obrazy zlewają się również z wytwarzającemi je wrażeniami. Percepcya jest zatém kombinacyą wrażenia otrzymywanego, wrażenia teraźniejszego z podobnemi wrażeniami otrzymywanemi poprzednio, z wrażeniami przeszłemi, czyli z pozostałemi po owych wrażeniach obrazami. Wrażenia są jakoby jądrem percepcyi, około którego grupują się najprzód obrazy najpierw wywoływane, przedstawiające zasadnicze własności danego przedmiotu, a następnie obrazy późniéj wywoływane, przedstawiające indywidualne cechy przedmiotu (1).

Z punktu widzenia logiki percepcya jest *sądem*, mającym na celu stwierdzenie stosunku podobieństwa i styczności przestrzennéj i czasowéj pomiędzy dwoma przedmiotami.

Obrazy podobne wspólne mają siedlisko w mózgu; gdy jeden z nich zostaje odtworzony, wówczas wywołuje odtworzenie się obrazu pokrewnego. Takie odtwarzanie się obrazów podobnych dokonywać się może bez żadnego udziału świadomości. Obrazy mogą się organizować w obrazy ogólne, w wyobrażenia bez pośrednictwa naszéj jaźni, jedynie dzięki podobieństwu warunków ich odtwarzania się, dzięki jedności pierwiastku, będącego podstawą tego podobieństwa. Czy tak jest w rzeczywistości, czy inaczéj—nie wiemy i nigdy

(1) Alfred Binet. La psychologie du Raisonnement. Paris. 1886 p. 73.

się nie dowiemy. Przypuszczamy tylko, że tak jest, gdyż innego przypuszczenia przy dzisiejszym stanie pozytywnéj wiedzy psychologicznéj utworzyć sobie nie umiemy.

Przedmioty, stykające się z sobą w czasie lub przestrzeni, łączą się również w swych odbiciach obrazowych w mózgu—i odwrotnie: obrazy i wyobrażenia skojarzone z sobą w mózgu każą nam sądzić o istnieniu podobnego skojarzenia pomiędzy odnośnemi przedmiotami. Ponieważ praca umysłu polega na wytwarzaniu nowych kombinacyi i skojarzeń pomiędzy stanami świadomemi przy współudziale świadomości pośredniczącéj, na wytwarzaniu kombinacyi i skojarzeń obrazowych i wyobrażeniowych, mogących nie odpowiadać rzeczywistości, pojęcia zatém nasze o świecie zewnętrznym nie mogą być dokładnemi. Rozumowania nasze mogą być zupełnie logicznemi, nie dają nam jednak dokładnych pojęć o rzeczywistości, zmysły bowiem nasze nie przedstawiają nam realnéj natury przedmiotów, lecz tylko symbole rzeczywistości. Wrażenia, jakie odbieramy od świata zewnętrznego, są zupełnie subiektywnemi. Żaden psycholog nie może dziś temu zaprzeczyć. Znamy tylko stany własnego naszego umysłu i w miarę rozwoju naszego umysłu wzrasta wiedza nasza umysłowa. Pomiędzy istotą rzeczywistego świata a wiedzą naszą niezgłębiona istnieje przepaść, któréj nigdy przekroczyć nie zdołamy. Umysł ludzki łudzi się jak zbłąkany na falach niepewności.

Świat, jakim go sobie wyobrażamy, istnieje tylko w naszym umyśle. Świat rzeczywisty, którego cząstką jesteśmy, innym jest niewątpliwie, nie możemy go jednak przedstawić sobie inaczéj, jak tylko jako połączenie faktycznych świadomości i nieświadomych popędów.

Poznawanie zasadza się na odróżnianiu i upodobnianiu przedmiotu i podmiotu; wszelkie zaś odróżnianie i upodobnianie jest ograniczaniem, skończoność zatém i ograniczoność może być jedynie przedmiotem naszego poznawania. Poznawanie nasze ogranicza się na poznawaniu stosunku przedmiotu do podmiotu, bezwzględność zatém nie może być przez nas poznaną. Czy jednak bezwzględność istnieje, czy jest tylko łudzącym produktem naszego umysłu? Istnienie względności każe przypuszczać istnienie absolutu, inaczéj bowiem względność pozostaje niezrozumiałą.

Świadomość jest ostatecznym i najwyższym rezultatem życia ludzkiego, najwspanialszym płodem łańcucha procesów stanowiących historyą rozwoju jednostki. Ponieważ głównym warunkiem świadomości jest antyteza przedmiotu i podmiotu, czém będzie w takim razie podmiot spostrzegający, jeżeli przedmiotem spostrzeganym będzie *ja*? Podmiot i przedmiot będą identycznemi, antyteza—

warunek świadomości — zniknie wówczas i *ja* przestanie zupełnie istnieć. W miarę zatem coraz zupełniejszego poznawania, a więc w miarę coraz większego znikania antytezy pomiędzy przedmiotem a podmiotem, świadomość nasza powinna znikać stopniowo, przy dojściu zaś do zupełnego poznania—zniknąć powinna zupełnie. Dążąc do zupełnego poznania, dążymy do unieświadomienia się.

II.

Uczucia, podobnie jak wyobrażenia, wytwarzają się pierwotnie z wrażeń. Są one reakcyą — oddziaływaniem komórek mózgowych na otrzymywane wrażenia. Do kategoryi uczuć zaliczyć należy: potrzeby, pożądania, namiętności i wzruszenia.

Potrzeby są to odczuwane dążności organiczne, pochodzące z bezczynności lub nadmiernéj czynności naszych organów. Jeżeli bezczynność organów je wywołuje, połączone są one wówczas z przykrościami ujemnemi; wynikające zaś z nadmiernéj czynności organów powodują cierpienia dodatnie.

Pożądania tém się tylko różnią od potrzeb, iż przejawiają się więcéj świadomie.

Namiętności i właściwe uczucia, jak miłość, nienawiść, czułość, litość i t. d. są również potrzebami, lecz potrzebami przeważnie mózgowemi. Gwałtowne namiętności i łagodne uczucia, tak samo jak potrzeby, sprawiać mogą przyjemności i przykrości. Odnośnie do wywołującego je przedmiotu uczucia mogą być podzielone na: *antyaltruistyczne* (chęci szkodzenia innym dla własnéj przyjemności), *egoistyczne* (z miłości własnéj pochodzące), *altruistyczne* (mające za przedmiot mniéj lub więcéj podobne nam istoty) i *bezinteresowne* (mające na celu urzeczywistnienie pewnéj idei abstrakcyjnéj) (1).

Uczucie zaspokojone znika wogóle dość prędko; natomiast zaś inne uczucia się wzmagają. Jeżeli uczucie społeczne zagłuszoném zostaje przez uczucie egoistyczne, to po zaspokojeniu tego ostatniego uczucie społeczne przejawi się znowu, spowodowana zaś w ten sposób reakcya wytwarza w naszym mózgu stan, nazywany przez nas wyrzutami sumienia. Częste zagłuszanie uczuć moralnych przez czyny egoistyczne osłabia siłę reakcyi i sprowadza zanik wyrzutów sumienia.

Zaspokojenie lub niezaspokojenie potrzeb, pożądań, uczuć i namiętności wywołuje stan wzruszenia. Przestrach, bojaźń, nadzieja,

---

(1) F. Paulhan. La Physiologie de l'Esprit. Paris, p. 88.

radość są wzruszeniami. Widok nieprzyjaciela, lub widok ukochanéj osoby wywołuje w nas wzruszenie. Wzruszenia łączą się zwykle z pewnym stanem umysłu, z pewném wrażeniem, lub wyobrażeniem.

Wpływ obrazów i wyobrażeń na uczucia jest dość znacznym. Niekiedy wyobrażenie może dać początek uczuciu lub może je uwydatnić. Nieświadome pożądanie połączone z pewném wyobrażeniem stać się może określoném zupełnie uczuciem. Wyobrażenia mogą do pewnego stopnia tłumić uczucie, stłumić go jednak zupełnie nie są w stanie. Uczucie można stłumić prędzéj inném, przeciwném uczuciem niż drogą rozumowania.

Wpływ uczuć na wyobrażenia daleko jest silniejszy. Wpływ ten o tyle bywa silnym, iż może przeszkodzić odczuwaniu rzeczywistych wrażeń, i wywołać natomiast halucynacye. Potrzeba jakaś lub uczucie zwraca nasz umysł bezustannie na ten sam przedmiot i nie pozwala nam myśléć o niczém inném. Uczucia wpływają także w znacznym stopniu na kojarzenie się wyobrażeń; zaciemniają nasze sądy, modyfikują je, fałszują, lub téż nie pozwalają im się wytworzyć. Pod wpływem uczucia pewne tylko obrazy biorą udział w akcie rozumuwania, mianowicie obrazy, mające pewną styczność z témże uczuciem. Kochając kogoś, trudno najczęściéj wydać o nim sąd bezstronny, sprawiedliwy. Miłość lub przyjaźń nie pozwala nam widziéć wielu wad w danéj osobie, uwaga bowiem nasza zwróconą bywa naówczas na jéj dodatnie przymioty; wyobrażenie zgodne z uczuciem bierze zawsze górę nad wyobrażeniem, nie podtrzymywaném przez uczucie, a więc słabszém. Uczucie przeszkadza zawsze należytemu badaniu i trzeźwemu poglądowi na rzeczy. Tak w działaniu praktyczném jak i w nauce uczuciowość bywa niekiedy przeszkodą do wydania bezstronnego sądu.

Uczucia oddziaływają także wzajemnie na siebie, kojarzą się i wykluczają. Miłość gwałtowna połączona z obawą stracenia wzajemności rodzi zazdrość, a niekiedy nawet nienawiść ku innéj osobie.

III.

Wszelka czynność staje się łatwiejszą, im częściéj jest powtarzaną, im więcéj się do niéj przyzwyczajamy. Czynność, do któréj się przyzwyczailiśmy, którą umiemy już na pamięć, nie wymaga współudziału świadomości. Można grać na fortepianie i myśléć o czém inném, jeżeli się ma wprawę do téj gry. Przyzwyczajenie osłabia zatém świadomość, a wskutek tego osłabia także uczucia i wzruszenia, przyjemności i cierpienia, stany te bowiem są żywemi przejawami świadomości.

Przyzwyczajenia przekazywane bywają dziedzicznie. Nasze popędy, dążności nieświadome są dziedzicznemi przyzwyczajeniami naszych przodków. Nosimy w sobie przyzwyczajenia ludów pierwotnych, przyzwyczajenia ludów dzikich i barbarzyńskich, nawet przyzwyczajenia zupełnie zwierzęce, które zawsze przechodzą w stan czynny, zawsze się przejawiają, gdy nie są powstrzymywane przez popędy szlachetniejsze i przez świadomość. W chorobach umysłowych i w pewnych okresach hypnotyzmu, gdy ostatnie zdobycze umysłowego naszego rozwoju zostaną zniszczone lub zatarte, budzą się wówczas bezwiednie dzikie przyzwyczajenia naszych przodków, przejawia się wtedy natura nasza pierwotna. Jeżeli owe dzikie popędy zostaną zbudzone w człowieku, znajdą sprzyjającą chwilę do przejawienia się i wezmą górę nad popędami szlachetnemi, wówczas staje się on niemoralnym w właściwém znaczeniu tego wyrazu. Umoralnianie się wtedy tylko może mieć miejsce, gdy obecnemi są warunki sprzyjające rozwojowi szlachetnych popędów.

Przyzwyczajenia dziedziczne i nabyte, stanowiące naszą pamięć, modyfikują kojarzenia się naszych wyobrażeń i uczuć i wytwarzają nowe dążności umysłowe i moralne. Dążności te utrwalają się i stają się dziedzicznemi, stają się popędami. Natura popędów nieustannym ulega zmianom, zależnym od dziedziczności, od warunków egzystencyi i od naturalnego doboru. Popędy uważać zatém należy jako rezultat doświadczenia wielu generacyi, odziedziczony po przodkach drogą embryogenicznego odtwarzania, a więc jako rezultat świadomości, jako trwałą, dziedziczną, unieświadomioną świadomość.

W miarę rozwoju umysł przechodzi ze stanu poznania świadomego, rozciągłego, do stanu poznania nieświadomego, trwałego. Świadomość przestrzenna przetwarza się w świadomość czasową, w popęd, czyli inaczéj w nieświadomość. Przychodzimy więc powtórnie, choć inną drogą, do sformułowanego już powyżéj wniosku, mianowicie: dążąc do zupełnego poznania, dążymy do unieświadomienia się.

Wpływ obrazu lub wrażenia na czynności nasze jest znaczny, a znaczniejszy jeszcze, jeżeli przyłączy się doń uczucie. Obraz czynu wywołać może w nas dążność do wykonania tego czynu, jeżeli czyn ten zmierza do zadowolenia pewnego uczucia. Pojęcia mogą być kierownikami działań, lecz zawsze prawie prowadzą do oznaczonych przez uczucia celów. Najrzeczywistszemi jednak motorami woli są popędy. Wola jest wypadkową rozmaitych czynników, lecz najsilniejszemi z nich są popędy, w danéj chwili *jaźń* stanowiące.

Popęd jest podnietą wewnętrzną do wykonania czynności potrzebnych do osiągnięcia pewnego celu ostatecznego, niezrozumia-

łego wogóle dla wykonawcy, i tém się różni od inteligencyi, będącéj zdolnością korzystania z środków właściwych dla doścignięcia pewnego celu zrozumiałego, a który tém łatwiéj bywa osiągnięty, im jaśniéj jest pojmowany. Znajomość ostatecznego celu nie jest nawet potrzebną, ani użyteczną dla zaspokojenia popędu. Zaspokojenie popędu jest samo przez się celem. Popęd nie troszczy się o cel rzeczywisty. Ptak wędrowny odlatuje w pewnéj porze roku, ponieważ ciągnie go do tego wewnętrzny popęd, który musi zadowolnić.

Postanowienie jest ostatnim wyrazem walki wewnętrznéj, pomiędzy rozmaitemi prowadzonéj popędami i życzeniami, walki, kończącéj się zwycięstwem jednego z nich. Przyczyną wszelkich czynności jest wola danéj jaźni, danego podmiotu.

Wola i uczucie są nierozłącznym wyrazem osobowości. Ztąd ograniczanie i krępowanie woli wpływa podrażniająco na uczucie i staje się sprawcą cierpienia.

Według teoryi determinizmu, wszystko jest nieuniknionym wynikiem poprzedzającego. Znając przeszłość i teraźniejszość, można przewidziéć do pewnego stopnia przyszłość.

Teorya wolnéj woli uznaje możliwość *wielu* wyników wypływających z danéj ilości zjawisk poprzednich Pomimo wszelkiéj wiedzy, pomimo największego rozwoju naszéj umysłowości, nie będziemy mogli przewidywać przyszłości, gdyż rozmaite przyszłości są możliwe.

W miarę umysłowego rozwoju człowieka mechaniczny determinizm, warunkujący do pewnego stopnia umysłowe jego życie, przekształca się i znika stopniowo.

Człowiek jest istotą skomplikowaną, poznać go zatém całkowicie jest rzeczą niemożliwą. Jeżli więc człowiek jakiś działa wbrew wszelkiemu oczekiwaniu, możemy śmiało przypuścić, iż nieoczekiwane to działanie jest wynikiem dążności i popędów nam nieznanych.

Idealiści uprościli człowieka i jego otoczenie, naturaliści zaś przedstawiają naturę człowieka w całości wraz z otoczeniem zupełném. Idealiści wyzwalają człowieka z mnóstwa drobnych szczegółów okolicznościowych życia, drobnych dążności, nałogów, nawyknień i manii. Człowiek idealistów więcéj jest harmonijnym, więcéj wolnym niż człowiek naturalistów.

Wola jest dla Spinozy świadomą dążnością, gdyż wola i rozum są identycznemi. Hegel, Schopenhauer, Bain uznają istnienie woli absolutnéj, przedmiotowéj (*idei*), przejawiającéj się indywidualnie z konieczności w postaci woli podmiotowéj. Według Spencera, wola jest agregatem przeciwstawiających się sobie dążności. Takie okre-

ślenie woli wyklucza pojęcie czynnościowego stanu naszego ducha, lecz jest może lepszém, niż metafizyczne określenia idealistów i bardzo niedokładne i niezrozumiałe określenia innych sensualistów.

„Człowiek jest wolnym jak ptak w klatce“ — powiedział Lavater. Zdanie to jest zupełnie słuszném, jeżeli przez „klatkę wolności“ rozumieć będziemy możliwość, warunkującą czyny człowieka, możliwość składającą się z przypadku otoczenia i z wyniku przeszłości.

Czy akt wytwarzania się naszych pobudek i poznawania ich jest aktem wolnym i indywidualnym? Zobaczmy, jaką odpowiedź na to pytanie dać nam dzisiaj może badanie zjawisk hipnotycznych.

IV.

Mesmer przyjął za podstawę swego systemu istnienie pewnego płynu powszechnego, ulegającego nieznanym prawom mechanicznym, ożywionego ruchami mniéj więcéj ogólnemi i złożonemi, podobnemi do przypływu i odpływu; płyn ten jest przyczyną wzajemnego oddziaływania na siebie ciał niebieskich, ziemi i ciał żyjących. Płyn ten nieprzenikliwy rozlany jest wszędzie, posiada zdolność otrzymywania, rozprzestrzeniania i przekazywania wszelkich postaci ruchu, odczuwanych przez istoty żyjące. W ciele ludzkiém płyn ten posiada własności magnesu; wyróżniać w niém można téż same bieguny przeciwległe, ztąd ową magnetyczną własność ciał żyjących nazwał Mesmer *magnetyzmem zwierzęcym*. Działanie magnesu na organizm jest tylko przejawem tego powszechnego płynu.

Zasada teoryi Mesmera nie była nową; wpływ ciał niebieskich na istoty ludzkie posłużył za podstawę astrologii Chaldejczyków. W XV w. Paracelsus utrzymywał, iż siła życiowa pochodzi z gwiazd i że pomiędzy niemi a istotami ludzkiemi istnieje pewien płyn sympatyczny; wykładał również teoryą biegunów, jaką spotykamy u Mesmera. Ficyniusz i Pompanacyusz wcześniéj jeszcze przypuszczali, iż niektórzy ludzie posiadają siłę oddziaływania na innych. W XVI w. Goclenius i van Helmont pisali o leczeniu magnetyczném. W XVII wieku sławny Robert Fludd rozwijał doktrynę magnetyzmu zwierzęcego. Fizyk Kircher, jezuita, uważał wszechświat jako pewną całość, części któréj powiązane są z sobą i rządzone przez pewną siłę przyciągającą i odpychającą, podobną do siły magnesu; on pierwszy użył nazwy „magnetyzmu zwierzęcego.“

Wirdig, profesor medycyny w Rostocku, uogólnił doktrynę swych poprzedników: wszystko ulega potędze magnetyzmu, nawet zjawiska życia i śmierci od niego zależą.

Zasługa odkrycia właściwego somnambulizmu magnetycznego należy się markizowi de Puységur; siłę magnetyzującą przypisywał on woli.

Hipnotyzm czyli somnambulizm przez poddawanie odkryty został przez księdza Faria. Teorye jego mało się różnią od teoryi dzisiejszych hipnotystów. Siła magnetyczna, według niego, nie pochodzi z zewnątrz, lecz wewnątrz ma swe siedlisko; zjawiska magnetyczne są zjawiskami podmiotowemi. Braid utrzymywał, iż powstawanie zjawisk hipnotycznych (pierwszy użył téj nazwy) zależy od stanu fizycznego i psychicznego jednostki, nie zaś od woli hipnotyzera, ani od płynu magnetycznego.

Braid nie wyróżniał hipnotyzmu od mesmeryzmu, czyli magnetyzmu zwierzęcego. Chcąc zwalczyć teoryą magnetyzmu, odkrył hipnotyzm i tylko ten ostatni stan uważał jako faktyczny.

Dla prof. Charcot stan hipnotyzmu jest stanem nerwowym, sztucznym; liczne objawy tego stanu zjawiają się i giną stosownie do chęci badacza.

Heidenhain podziela w zupełności zdanie Braida co do istoty hipnotyzmu.

D-r Baréty przedstawił w 1881 r. w paryskiém Towarzystwie biologiczném następującą teoryą. Istnieje w człowieku pewna siła specyalna, różna od ciepła i elektryczności, tak zwana siła newryczna. Siła ta podobnie innym siłom jest pewnym kształtem ruchu i znajduje się w człowieku w stanie statycznym i dynamicznym i może promieniować tak samo jak światło, ciepło i elektryczność.

Czém jest właściwie hipnotyzm? czy chorobą, czy tylko przejściową modyfikacyą organizmu, podobną do pewnych modyfikacyi fizyologicznych, jak np. sen? Zdania dzielą się w téj kwestyi. Prof. Charcot uważa hipnotyzm jako newrozę doświadczalną; w ostatnich czasach zmienił wprawdzie swe zdanie i tylko wielki hipnotyzm, czyli hipnotyzm histeryczny zalicza do kategoryi newroz. Według Pawła Richer, hipnotyzm jest zaburzeniem regularnego funkcyonowania organizmu, zlewającém się z usposobieniem histeryczném. Dumontpallier zapatruje się na hipnotyzm jako na newrozę doświadczalną o kilku stopniach. Magnin, Ball i Chambard zaliczają hipnotyzm (*hypnoza*) do chorób nerwowych. Bernheim zupełnie przeciwnego jest zdania; większa część hipnotyków nie przedstawia, podług niego, żadnego nawet śladu usposobienia do chorób nerwowych. Obecność pewnych zjawisk, wychodzących po za obręb zwykłych faktów fizyologicznych, nie wystarcza, ażeby można je było słusznie nazywać patologicznemi. Do histeryi hipnotyzmu zaliczać nie można, gdyż przejawia się także w osobach zdrowych. Histerya jest

tylko przyjaznem bardzo polem dla badania hipnotyzmu. Trzy okresy hipnotyzmu: letarg, katalepsya i somnambulizm, określone przez prof. Charcot, obserwować można tylko u osób histerycznych.

Z ostatnich badań nad hipnotyzmem wynika, że osoba zahipnotyzowana jest automatem nieświadomym i działa według poddawanych jéj rozkazów. Wykonanie rozkazu może być naznaczone za kilka dni, tygodni, miesięcy nawet i zostanie najzupełniéj spełnioném przez osobę zdrową cieleśnie i umysłowo, któréj poddano ów rozkaz. Osoba ta może być pewną faktów, które nigdy nie miały miejsca. Szklanka czystéj wody może być dla osoby zahipnotyzowanéj winem, lub środkiem przeczyszczającym i wywoływać odpowiednie skutki stosownie do woli hipnotyzującego. Skazany na śmierć, w którego wmówiono, że mu przecięto cztery żyły, umarł rzeczywiście, przeszedłszy okresy agonii opisanéj przez lekarza. Osoba zahipnotyzowana może zapomniéć swe nazwisko i swą osobowość i może się uważać za jakąś inną istotę, stosownie do poddanego jéj wyobrażenia.

Wiele osób, które już były kilka razy hipnotyzowane, może ulegać wpływom poddawania i oddziaływać częściowo przynajmniéj tak, jak w okresie somnambulizmu. Niektóre nawet osoby zupełnie niewrażliwe na hipnotyzm ulegają wpływom poddawania. U osób takich wywoływać można paraliże, ruchy automatyczne, amnezyą pewnych słów, liter, cyfr i t. d., jedném słowem te same zjawiska, z któremi się spotykamy w somnambulizmie. U pewnego somnambulisty Bernheim tak silne wywołał znieczulenie w stanie czuwania, iż bez żadnego bólu mógł wykonywać rozmaite obroty, potrzebne do wyrwania pięciu korzeni zębowych. Tak samo można wywołać znadczulenie, uczucie zimna lub ciepła, zwiększenie lub zmniejszenie wrażliwości zmysłów. Bernheim i Charpentier wywoływali przez poddawanie w stanie czuwania wzmocnienie osłabionego wzroku, przewyższające siłę wzroku normalnego. Halucynacye wywołane w stanie czuwania trwać mogą nawet kilka godzin.

W stanie takim wola jest sparaliżowaną, funkcye umysłowe bywają podniecone, a zamiast zawieszonéj czynności woli występuje popęd naśladowania i uwydatnia się niekiedy bardzo silnie w odtwarzaniu dokładném i niewolniczém postawy, ruchów, słów, wyrazu twarzy osoby poddającéj. Jestto stan podobny do stanu, w jakim się znajduje ptak wobec węża, d-r Brémaud nazwał stan ten z tego powodu *stanem uroku*, *oczarowania* (*état de fascination*). Stan ten ustępuje pod wpływem dmuchnięcia w twarz i oczy danéj osoby. Osoby *czarowane* już w taki sposób, bardzo łatwo wpadają w stan ten następnie, niekiedy pod wpływem jednego tylko spojrzenia. Niektóre

jednostki odczuwają nawet pewną bojażń i niemoc wobec tego, przez kogo były czarowane.

Osoby wrażliwe na hipnotyzm nie mogą być czarowane, stan oczarowania bowiem poprzedza stan właściwego hypnotyzmu, a przy częstém powtarzaniu stan ten przechodzi nawet w hipnotyzm. Mężczyźni, jako mniéj wrażliwi na hipnotyzm, częściej znajdować się mogą w stanie owego oczarowania. Stan ten uważać można za coś pośredniego pomiędzy czuwaniem a właściwym hipnotyzmem. Oczarowanie wskutek częstego powtarzania może przejść w katalepsyą.

V.

Objawy psychiczne, spostrzegane w hipnotyzmie, polegają na mniéj lub więcéj zupełném i postępującém zawieszeniu zdolności umysłowych, poczynając od najwyższych i najpóźniéj zdobytych w rozwoju jednostki i w rozwoju gatunków, a kończąc na najniższych i najpierwéj wytworzonych. Najprzód zawieszoną zostaje wola, następnie świadomość, daléj uczucie osobowości, a w końcu nieświadoma czynność psychiczna. Ponieważ zdolności umysłowe mają owe siedlisko w szaréj czyli zewnętrznéj substancyi mózgowéj, można zatém powiedzieć, iż zjawiska hipnotyczne są przejawami słabego. częściowego lub zupełnego zawieszenia czynności szaréj substancyi mózgu.

Wiadomo, iż drażnienie pewnych nerwów wywołuje zatrzymanie się pewnych ruchów. Drażnienie nerwu błędnego powstrzymuje bicie serca, drażnienie nerwu górnego krtaniowego powstrzymuje oddychanie, drażnienie struny bębenkowéj niszczy zdolność ściągania się nerwów naczynio-ruchowych gruczołu ślinowego; drażnienie nerwu czucia ogólnego zmniejsza wrażliwość odruchową rdzenia kręgowego; ukłucie mózgu podłużnego powstrzymuje wszystkie funkcye głównego mózgu. Na zasadzie tych i tym podobnych faktów Brown-Séquard, profesor w Collège de France, następującą zbudował teoryą.

Początkowym czynnikiem, wywołującym stan hipnotyzmu, jest nic innego jak tylko pewne podrażnienie peryferyczne (zmysłu lub skóry), lub ośrodkowe (wpływ pewnego wyobrażenia lub uczucia), powodujące zmniejszenie lub zwiększenie potęgi pewnych punktów mózgu, rdzenia kręgowego lub téż innych części; hipnotyzm zaś jest stanem bardzo złożonym utraty lub podniesienia energii, w którym system nerwowy i inne organy poddane są wpływowi owego pierwszego podrażnienia peryferycznego lub ośrodkowego. Podra-

źnienie peryferyczne, spowodowane przez rozmaite sposoby hipnotyzowania, lub podraźnienie ośrodkowe, dokonane przez poddawanie, wywołują zatrzymanie się, ustanie, zawieszenie, czyli inaczéj zniknienie chwilowe pewnéj funkcyi, pewnéj własności, lub czynności szaréj substancyi mózgu, bez żadnych widocznych zmian organicznych. To zawieszenie czasowe lub téż unicestwienie zupełne pewnéj funkcyi, pewnéj czynności Brown-Séquard nazywa stanem *inhibicyi*. Jeżeli inhibicya jest częściową tylko, jak to ma miejsce w somnambulizmie, ogranicza się tylko na pewnych częściach szaréj warstwy mózgu, wówczas w innych częściach tejże warstwy występują inne zjawiska, zjawiska *dynamogenii*, t. j. egzaltacyi funkcyonalnéj. To nam tłómaczy ostrą wrażliwość zmysłów, głębokość i dokładność oddziaływań ruchowych, pobudzenie wyobraźni i pewnych sfer pamięci, czyli jedném słowem, tłómaczy nam egzaltacyą odruchów mózgowych i szaro-mózgowych.

Psychiczno-ruchowe części szaréj substancyi mózgu działają jednak same inhibitorycznie na odruchy ganglionarne, podłóżno-mózgowe i rdzeniowe. W stanie hipnotycznym działania tego niema, odruchy więc mózgo-rdzeniowe znacznie się wzmagają i to tém więcéj, im większa część szaréj substancyi mózgu znajduje się w stanie inhibicyi. Widzimy to w letargu (ubezwładnienie mózgu i zwiększone odruchy) a więcéj jeszcze w katalepsyi, gdzie odruchy dochodzą do maksymum i przejawiają się w silnych skurczach mięśni. Kataleptyczne skurcze w somnambulizmie wywołać można przez nadzwyczaj silne podraźnienie rdzenia. Spotęgowanie odruchów przejawia się nietylko w dolnych ośrodkach mózgo-rdzeniowych, lecz także i w górnych; na tém polega automatyzm psychiczny, tém zupełniejszy, im znaczniejszą jest inhibicya. Inhibicya powstrzymująca wyższe funkcye psychiczne: wolę, świadomość i sprzyjająca automacznemu odbywaniu się innych zdolności, tłómaczy skuteczność i potęgę poddawania.

Odruchy tém łatwiéj się przejawiają, im częściéj się powtarzają. Ztąd téż osoby często hipnotyzowane mogą nawet w stanie czuwania ujawniać te same zjawiska, wykonywać te same czyny pod wpływem jedynie poddawania.

Osoba, znajdująca się w stanie lekkiego hipnotyzmu, posiadająca jeszcze świadomość świata zewnętrznego, albo w stanie oczarowania, chciałaby oprzéć się narzuconemu jéj przez obcą wolę rozkazowi, chciałaby właściwie miéć wolę stawienia oporu woli obcéj, lecz nie może. Organizm jéj jest automatem, wola nie może ze stanu statycznego przejść w dynamiczny, gdyż jest sparaliżowaną przez osobę obcą. Jest-to stan *abulii*, spostrzegany u osób dotkniętych po-

czynającém się rozstrojeniem umysłowém. U takich osób podnieta rozkazująca zrodzić się może wewnątrz i również paraliżować ich wolę. „Wola znika i jednostka wpada pod panowanie popędów — mówi Ribot. Wola, w znaczeniu dokładném, jest początkiem, ostatnim wyrazem ewolucyi, rezultatem znacznéj liczby wyćwiczonych dążności w porządku hierarchicznym po sobie następujących."

W pewnych razach podnieta zjawia się nagle, nieświadomie, a wywołany przez nią czyn posiada cechy odruchu. U niektórych jednostek np. zjawia się w pewnych chwilach silna chęć pozbawienia się życia; podnieta ta istnieje lecz nieświadomie i budzi się na widok rewolweru, noża, rzeki i t. d.

Automatyzm świadomy lub nieświadomy, hipnotyczny lub patologiczny ztąd pochodzi, iż myśl pewna zjawiająca się nagle w umyśle danéj osoby, albo téż poddana, jest o tyle przeważającą, że zagłusza wszelkie inne myśli. Jest-to stan monoideizmu, w którym czynności warunkują się wrażeniami i wyobrażeniami chwili.

Chcenie ściśle jest połączoném ze zdolnością uważania; osoby wielkiéj uwagi posiadają wogóle silną wolę. Osoby niezdolne do skupiania uwagi, osoby bardzo ruchliwe, jak histeryczki, posiadają wolę słabą, zmienną, zależną od podniet chwilowych. Siedliskiem uwagi są przednie części półkul mózgowych; automatyzm więc powstaje prawdopodobnie wskutek zawieszenia czynności ośrodków kierujących ruchami, które mają się znajdować w przedniéj części mózgu.

Osobowość w stanie hipnotyzmu zredukowaną jest do stanu świadomości, który „nie jest obrany lub odrzucony, lecz poddany, narzucony" — jak się wyraża Ribot. Dla osoby zahipnotyzowanéj istnieje tylko teraźniejszość, a tą jest myśl poddana.

Osoba, któréj w stanie hipnotyzmu poddano wykonanie jakiegoś czynu po upływie pewnego czasu, lubo nic nie pamięta po przebudzeniu, a jednak po upływie oznaczonego czasu myśl poddanego czynu zjawia się w umyśle i staje się podnietą do wykonania tego czynu. W jaki sposób myśl ta zachowała się w pamięci i w jaki sposób ujawniła się w chwili, w któréj rozkazano jéj się ujawnić? Nieświadoma czynność psychiczna, nieznana nam dotąd, dokonała tego. Amnezya, czyli utrata pamięci, jest tylko względną w hipnotyzmie; wspomnienie może się odtworzyć po nowém zahipnotyzowaniu, a niekiedy zależy zupełnie od woli hipnotyzującego, który przez proste poddanie może sprawić, że osoba zbudzona przypomni sobie lub nieprzypomni, czego będąc uśpioną doświadczała. Świadomość więc istnieje, lecz jest nadzwyczaj słabą, ażeby mogła zdać sobie sprawę z tego, czego biernym była świadkiem; potrzeba zatém interwencyi siły obcéj dla uświadomienia tego, co pozostawiło po sobie ślad w pamięci.

Poddanie jakiegoś czynu w stanie hipnotycznym lub w stanie oczarowania może się zbudzić po długim nawet czasie i stać się podnietą niezwalczoną do wykonania owego czynu. Automat hipnotyczny może zostać w ten sposób zbrodniarzem i niewinnie może być skazanym. Sprawiedliwość publiczna powinna baczną zwrócić na to uwagę. Człowiek zahipnotyzowany jest igraszką w ręku hipnotyzera, a wpływ ten przejawiać się może nawet w pewnym stopniu i po przebudzeniu, może spowodować stan mniéj lub więcéj trwałego oczarowania. Osoba zahipnotyzowana może jednak zachować pamięć życia swego normalnego i pamięć poprzednich stanów hipnotycznych. Niekiedy pamięć bywa nadzwyczaj pobudzoną: wrażenia, obrazy, wyobrażenia, zatarte oddawna w pamięci, gromadzą się i cisną chaotycznie w umyśle, podobnie jak we śnie. Długie ustępy z książki odczytane wobec osoby zahipnotyzowanéj, zupełnie dokładnie bywają przez nią powtórzone; po przebudzeniu osoba ta niezdolną jest do powtórzenia kilku słów nawet.

Osoby zahipnotyzowane mogą ujawniać swe skłonności, popędy, dążenia, ukryte w stanie normalnym, mogą uzewnętrzniać pewne usposobienia do kradzieży i zabójstwa, jak również i do samobójstwa, a nawet, szczególniéj histeryczki, do erotyzmu cynicznego, odosobnione bowiem w pewnym stopniu od świata zewnętrznego tracą poczucie zachowywania się, poddawane im nieświadomie przez zwykłe ich otoczenie. Zależne są one wtedy od woli hipnotyzera, niekiedy do tego stopnia, iż ten tylko, a nikt inny, zdolnym jest wywoływać w nich dowolne halucynacye i automatyczne czynności. Jestto dowodem działania siły woli, albo inaczéj siły myśli. Zjawiska hipnotyczne zatém nie zależą wyłącznie tylko od siły poddawania, którą Bernheim uważa za klucz do wyjaśnienia wszystkich tych zjawisk.

Fakirzy indyjscy (*yogi*) zdolni są powstrzymać w sobie na pewien czas wszystkie czynności życiowe, tj. zdolni są przez nieustanne zwracanie całéj swéj uwagi w jednym stałym kierunku i przez stopniowe pokonywanie w sobie wszystkich innych popędów i potrzeb organizmu dojść do stanu tak zwanéj *anabiozy* (bezżyciowości), do zupełnego zahipnotyzowania się Utrzymują oni nawet, iż mogą porozumiewać się z sobą na znacznéj odległości jedynie siłą woli, siłą prądu magnetycznego przez nią wywołanego; mogą ukazywać się sobie, jak mniemają, pomimo znacznéj dzielącéj ich przestrzeni w zwykłéj postaci. Wysiłek ich woli, jak sądzą, uzewnętrznia rzut ich ducha, czyli powietrzny okrąg ich ciała (?) i przenosi go do oznaczonego miejsca z szybkością myśli. Wysiłkiem woli tłómaczą, również zdolność unoszenia się na kilka stóp nad ziemią bez żadnego punktu oparcia.

Yogi pragnący nirwany rozumuje i sądzi, po pewnym jednak czasie przestaje sądzić i rozumować i odczuwa tylko przyjemność wewnętrznego zadowolenia. Następnie zadowolenie znika, *yogi* staje się obojętnym na wszystko, posiada jednak jeszcze świadomość słabą i czuje pewną błogość fizyczną. W ostatnim okresie kontemplacyi wszelkie poczucie znika zupełnie, nawet poczucie obojętności. Czy wola znika także? Nie, wola, przejawiona w postaci dążności do kontemplacyi nie ginie, gdyż opiera się czynnikom, mogącym wyprowadzić *yogi* z tego stanu.

Być może, iż organizm nasz lub pewne jego części składają się z aparatów elektrycznych, wytworzona zaś przez nie elektryczność jest czynnikiem zjawisk magnetycznych.

Zjawiska oddziaływania myślą z odległości, hipnotyzowania myślą, nie należące do bardzo rzadkich wypadków, objaśnione być mogą wytwarzaniem się prądu nerwowego (magnetycznego) w danéj osobie i oddziaływaniem tegoż prądu na mózg osoby, w stronę któréj został skierowany (1).

Takie oddziaływanie myślą, oddziaływanie magnetyczne jednych osób na drugie bywa w wielu nawet zapewne wypadkach źródłem pobudek nieświadomych, stających się w danéj chwili wyrazem woli w magnetyzowanych jednostkach.

Ch. Richet siłą swéj woli jedynie budził ze snu hipnotycznego pewną kobietę w paryskim szpitalu Baujon; zjawienie się jego w sali szpitalnéj, w któréj leżała, wystarczało dla wprowadzenia jéj w stan hipnotyzmu.

Héricourt zahipnotyzował myślą pewną kobietę, którą już poprzednio hipnotyzował, w własném jéj mieszkaniu, znajdującém się o kilka minut drogi od jego mieszkania, w chwili, gdy wybierała się na przechadzkę. Uczuła ona wówczas gwałtowną chęć do snu, z którego po upływie dwóch godzin siłą tejże oddziaływającéj na nią myśli została zbudzoną.

Mnie samemu udało się kilkakrotnie oddziaływać myślą na pewną osobę na blizkiéj lub nawet dość znacznéj odległości, jak również odgadywać jéj myśli. Wypadki podobne komunikowane bywają często w londyńskiém i paryskiém Towarzystwach psychologicznych.

Ilość czynników składających się na wytworzenie naszéj woli, a właściwie wpływających na jéj kierunek, znaczniejszą jest więc niż jak to sądzono dotychczas. Wola zależną jest od naszéj jaźni, wszy-

(1) Zob. artykuł mój: Hipnotyzm w obec ostatnich badań naukowych. Ateneum. 1885 II.

stkie zaś czynniki, wpływające na zmianę jaźni, zmieniają charakter i kierunek naszéj woli. Czynniki, wpływające na zmianę naszéj jaźni do pewnego tylko stopnia ulegać mogą kontroli naszéj świadomości, znaczna ich część nie dochodzi do naszego poznania.

VI.

Stan hipnotyczny ograniczać się może tylko na jednéj połowie ciała; stan taki nazwać można *hemihipnotyzmem*. Dowodzi to, że człowiek świadomy swego *ja*, swéj inteligencyi, swéj woli czynnéj nie jest jednym tylko automatem, w chwili zawieszenia świadomości, ulegającym obcéj woli, lecz jest dwoistym. Człowiek jest istotą składającą się z dwóch osób, posiada dwie świadomości, dwa *ja*. Hipnotyzm pokazuje nam, iż jedno *ja* może płakać jednocześnie, gdy drugie *ja* się śmieje. Człowiek w stanie hemihipnotyzmu czuje się jednostką całkowitą pomimo, iż jest tylko połową siebie. Ztąd wynika, iż każda połowa mózgu stanowi zupełną i niezależną od drugiéj połowy całość, czyli inaczéj, że człowiek ma dwa mózgi, z których każdy zachowuje świadomość osobowości. Czynność psychiczna jednego mózgu może być zawieszoną bez żadnego uszczerbku dla całkowitéj świadomości swego *ja* i dla zdolności umysłowych. Oba mózgi pogrążone w stan hipnotyzmu mogą się znajdować jednocześnie w różnych stopniach działalności.

Oba mózgi różnią się pomiędzy sobą pod względem wagi i rozwoju. Jestto zjawisko ogólne i uzewnętrznia się niekiedy w asymetryi czaszki, szczególniéj u obłąkanych. Nawet układ zwojów obu mózgów nie jest jednakowy; dowodzi to podziału pracy. Mózg prawy rozwija się wcześniéj niż lewy, który dłuższego wymaga czasu dla zupełnego rozwinięcia się i dla udoskonalenia swych funkcyi. Ręka prawa, wprowadzona w ruch przez mózg lewy, wykonywa wogóle czynności delikatniejsze i więcéj skomplikowane. Zdolność mowy ma także swe siedlisko w lewym mózgu. Wskutek podziału pracy każdy mózg oddzielnie wyrabia w sobie pewną potęgę dla niektórych tylko funkcyi.

Już Esquirol przypisywał paraliż woli niejednakowości w czynnościach obu półkul mózgowych. Zdwojenie osobowości, spostrzegane u niektórych obłąkanych, było już dla sir H. Hollard'a wynikiem braku harmonii pomiędzy obu półkulami mózgu. Zdanie to podzielają dziś Luys, Ball i inni specyaliści. Człowiek obłąkany może posiadać świadomość swego stanu, jeżeli jedna tylko półkula mózgowa została porażoną. Jansen utrzymuje, że jak dwa obrazy wzrokowe zlewają się w jeden, tak samo dwa wrażenia półkul mózgo-

wych łączą się razem; w pewnych jednak warunkach patologicznych wrażenia te mogą istnieć obok siebie i wytworzyć w ten sposób iluzyą dwóch różnych osobowości, podobnie jak przy zezowatości podwójnemi przedstawiają się widziane przedmioty.

Dualizm mózgowy wystarcza do wyjaśnienia wszelkiéj niezgody w umyśle ludzkim, niezgody pomiędzy chceniem uczynienia czegoś dobrego a chceniem dokonania zła jakiegoś, chceniem pewnéj przyjemności a chceniem wyrzeczenia się jéj, do wyjaśnienia, jedném słowem, walk wewnętrznych, wahania się i niezdecydowania.

Opozycye funkcyonalne półkul mózgowych, wytwarzające stan niezgody umysłowéj „nie są opozycyami w przestrzeni, jak mówi Ribot, lecz w czasie, są to kolejne postawy *ja*, według ulubionego wyrażenia Lewes'a." Stan świadomości przeważający w każdéj chwili, mówi daléj, jest dla jednostki i dla innych jéj osobowością.

Dr. Antoni Złotnicki.





LUDY ZNIKŁE I GINĄCE.

Dwa wielkie fakty, poznanie pod koniec zeszłego stulecia piątéj części świata i odkrycie w środku bieżącego śladów człowieka kopalnego, rozszerzają zakres historyi. Pierwszy pozwala jéj objąć wszystkie ludy, zamieszkałe na całéj kuli ziemskiéj. Drugi cofa ją do rzeczywistych jéj początków, do człowieka pierwotnego. Dopiero tak rozszerzona historya na nazwę powszechnéj zasługuje.

Te dwa fakty, aczkolwiek na pozór nic z sobą nie mają wspólnego, wzajemnie się w nauce uzupełniają. Jeden dostarcza klucza do należytego zrozumienia i ocenienia drugiego.

Istnienie ziem na wodach Oceanu Spokojnego stało się wiadomém w Europie od czasu pierwszéj podróży, odbytéj na około ziemi przez portugalczyka Magalhaensa na początku XVI stulecia (1519—1521). W ciągu XVII Holendrzy kilkakrotnie docierali do brzegów Australii i wysp sąsiednich. Lecz właściwie piąta część świata pozostawała po dawnemu nieznaną. Dopiero otwarli Oceanią dla Europy i prąd kolonizacyjny na ową piątą część skierowali podróżnicy z końca XVIII stulecia, francuzi: Bouguinville, La Pérouse, Bruni d'Entrecasteaux, anglik Cook.

Oceania była zaludnioną, chociaż nie w stosunku właściwym do swych rozmiarów. Złożona z wysp rozmaitéj wielkości, rozrzuconych po przestrzeni wód, odpowiadającéj rozległością lądowi Ameryki południowéj, przedstawia szczęśliwe warunki klimatyczne, które pozwoliły zamieszkującemu ją człowiekowi przetrwać dłużéj niż gdzieindziéj w stanie pierwotnym. Odosobnienie pomiędzy cząstkami lądu bardziéj niż gdzieindziéj niepokonane, zabezpieczało ludność od wpływu na siebie wzajemnego.

Po odkryciu Oceanii, po spotkaniu się w niéj przedstawicieli społeczeństwa europejskiego z ludami, stojącymi na najniższym stop-

niu cywilizacyi, rozmaite powstały teorye, tłómaczące stan owych ludów. Jedni ludy dzikie poczytywali za zdziczałe, za odpadłe od pierwotnego pnia ucywilizowanego w osobie pierwszego człowieka; drudzy, przepełnieni idylizmem, cechującym wiek XVIII, wielbili w poznawanych wyspiarzach Oceanu Spokojnego twór przyrody doskonalszéj od siebie, gdyż nieskalany dotknięciem cywilizacyi i sztuki; nakoniec jeszcze inni, nic wspólnego pomiędzy sobą a niemi nie dopatrzywszy, na równi ze zwierzętami ich w stosunku do siebie postawili.

Z drugiéj atoli strony, pomiędzy ludźmi, których istnienia na ziemi w czwartorzędowym okresie geologicznym dowodzą narzędzia kamienne, pierwotnie łupane a następnie gładzone, przedewszystkiém zaś kilka czaszek i resztek szkieletów, a tymi, którzy na początku naszéj doby dziejowéj w dolinie Nilu lub Mezopotamii wznosili gmachy różne i na nich swe czyny pismem upamiętniali, tak wielka zachodzi różnica, że ci i tamci, rzec można, stanowią niby dwa skrajne w jednym łańcuchu ogniwa. Wielką, niczém niezatartą różnicę ową podnosi jeszcze bardziéj ta okoliczność, że przeszłość nie przechowała żadnych takiego rodzaju zabytków, żeby na ich podstawie dziejopis mógł odtworzyć ogniwa pośrednie. Człowiek przeto pierwotny pozostałby wieczną zagadką, byt i rozwój umysłowy tysiąca pokoleń, poprzedzających w dziejach Egipcyan i Akkadów, wieczną by były pokryte zasłoną, gdyby rozwój człowieka wszędzie, gdzie tylko on zamieszkał, odbywał się równomiernie, gdyby ludzie w swym pochodzie cywilizacyjnym nie zależeli od bardzo wielu warunków, które bądź wstrzymać, bądź téż przyśpieszyć ów pochód mogą.

Że rozwój nie odbywa się równomiernie, dowiodła tego kultura ludów amerykańskich, po odkryciu czwartéj części świata. Że warunki miejscowe mogą wstrzymać rozwój zupełnie, wykazało poznanie bliższe Oceanii.

Odkrycie człowieka kopalnego rozwiązało zagadkę, co stanowi właściwie dzikość ludów oceanijskich. I odwrotnie. Stan kultury owych ludów pozwolił odtworzyć stopnie rozmaite w rozwoju człowieka pierwotnego. Czém bowiem są w XIX stuleciu ludy dzikie w piątéj części świata, tém były wszystkie świata starego. Czém był człowiek w pierwotnéj dobie swojego istnienia, tém jest jeszcze obecnie w Oceanii. Oni są teraz, jacyśmy byli dawniéj.

Tak więc, gdy jedni uczeni w człowieku współczesnym z Oceanii ujrzawszy pierwowzór człowieka pierwotnego, zwrócili się do badania bytu ludów dzikich, by zapełnić treścią dzieje rozwoju ludzkiego w czwartorzędowym okresie; drudzy znowu w odkryciu czło-

wieka kopalnego znaleźli klucz do stanu umysłu i kultury ludów poznawanych w piątej części świata a następnie i na krańcach dawniej znanych. Prace Tylora, Lubbocka oraz wielu innych ten mianowicie kierunek w nauce zaznaczają.

Lecz nim nauka wypowiedziała swoje spostrzeżenia i wnioski, rzeczy poszły utartą koleją. Rozpoczęła się kolonizacya Oceanii. Europejczyk wystąpił w dwojakiej roli cywilizatora i zdobywcy.

Wiedząc ile pracy, trudu, mozołów kosztował każdy wynalazek, ile wymagały ofiar w ludziach i czasie, nim zwyciężyły, każdy pomysł rozsądniejszy, myśl światlejsza, sądzić należało, że los szczęśliwy spotkał oceańczyków. Otrzymują oni wszystko bez pracy i ofiar, otrzymują gotowe i w czasie tak krótkim, co zdobywały narody świata starego przez dziesiątki wieków, do czego dochodziły znacząc krwią i potem każdy krok stawiony naprzód. Europejczyk stawał wśród ludów dzikich w roli Prometeusza, przynoszącego w darze porwany z przybytku bogów ogień; stawał niby owi mytyczni bogowie, którzy wcielają się w człowieka, by odkryć ludziom te prawdy, do których oni nigdyby dojść sami nie mogli. Piękną więc była misya jego wśród dzikich oceańczyków. Lecz stając wśród nich, zapomniał, że wyobraźnia ludzka działanie długiego czasu i tylko czasu upostaciowała w mycie o Prometeuszu i bogach wcielonych; nie znając ani się domyślając swego rzeczywistego początku, nie widział w nich siebie, jakim był przed kilku dziesiątkami lub setkami tysięcy lat, nie przypuszczał nigdy istotnego związku pomiędzy sobą a owymi na pozór tak różnemi od siebie istotami. Był więc dla nich bardziej obcym niż Prometeusz dla obdarzonych przez siebie dobrodziejstwem. Europejczyk przynosząc ogień, ciskał nim zarazem. Był więc niby ów bóg indyjski, którego zobaczenie ofiarą życia okupić należało, którego głos obalał tych, czyich uszu dochodził.

Rola zdobywcy była łatwą i wielce korzystną. Nie wojna to była, narażająca na wszelkie niebezpieczeństwa, nie walka z równym sobie przeciwnikiem, lecz wielkie polowanie. Trofeami nie skóra, rogi lub kły padłych zwierząt, lecz nie objęte nawet żądzą przestrzenie, rozkoszniejszych niż wyobraźnia przedstawić sobie zdoła krain.

Nie zważając na role różne, w których europejczyk wystąpił, na środki działania odmienne, wypływające z roli, skutki ich działalności okazują się takie same. Ludy giną—opierając się kulturze; giną — przyjmując ją. Jednakowo w tym razie odziaływają kule z ręki żołdaka jak i wzniosłe słowa o wspólnym w niebiosach ojcu a miłości braterskiej na ziemi, wychodzące z ust misyonarza chrześciańskiego.

XIX stulecie, będące widownią zetknięcia się z sobą ludzi z dwóch możebnie krańcowych okresów kultury, staje się dla przedstawicieli przeszłości ostatnim aktem istnienia, dla przedstawiciela współczesności zwycięskim przekroczeniem zapory, niedozwalającéj mu dotychczas zwać się w rzeczywistości obywatelem świata całego. A nadto walka taka, jaka w tém stuleciu się odbywa, już powtórzyć się nie może nigdy, chociaż by przeszłość w stosunku do przyszłości stała się sekundą w wieku. Warunki nadające walce téj całe jéj znaczenie znikają bezpowrotnie.

I przybywa dziejom XIX stulecia, i to im wyłącznie, kilka kart nowych. Z całéj przeszłości niema podobnież co do treści ważnych, oraz podobnież z dniem każdym nabierających coraz większego znaczenia. Proces przeobrażania się ludów dzikich zbliża się ku końcowi. Pierwowzór więc człowieka pierwotnego z życia na karty te się przenosi. Do nich zwróci się etnograf, gdy zechce poznać człowieka dzikiego w XIX stuleciu; do nich paleoetnolog, gdy zechce odtworzyć człowieka przedhistorycznego. Przytém żadna nie przedstawia wyników bardziéj pouczających. Któraż bowiem z poprzednich tak do głębi odkrywa naturę ludzką psychologowi, któraż moraliście dodatnie i ujemne strony naszéj cywilizacyi również dosadnie wykaże?

Lecz jeszcze nie koniec. Warunki, które utrzymywały te ludy na pierwotnym stopniu kultury, wpłynęły także na czystość ich krwi. Niejeden lud stanowi sam w sobie całą rasę, szczep lub plemię; sam jest jedynym przedstawicielem odmiany, stanowiącéj podstawy podziału naukowego rodzaju ludzkiego. Wygaśnięcie więc ludu takiego bywa wygaśnięciem zarazem całéj odmiany. Całość tracąc swe składowe części, objąć się już nigdy w zupełności nie daje. Rodzaj ludzki zbliża się do typu jednego. Lecz czy pozbawianie się członków rodziny nie naraża istnienia całéj rodziny? Czy pożeranie się zabezpiecza trwałość, tępienie oznacza rozwój? Są to pytania, które zastanawiają antropologa, a w zadumę pogrążyć mogą filozofa.

Poznawszy ważność tych kart, parę przerzućmy, i to dla ułatwienia sobie zadania, w porządku zupełnie dowolnym.

I.

Tasmańczycy.

Rzuciwszy okiem na kartę Oceanii, pomiędzy 41 a 43 stopniami szerokości geograficznéj południowéj, poniżéj Australii, ujrzymy wyspę. Rozległość jéj zajmuje środek pomiędzy rozległością Sycylii

lub Sardynii i Irlandyi. Stanowi ona z zamieszkałych przez ludzi krajów najbardziéj odległy od Europy zakątek. Przytém jest zupełnie samotną. Tylko bowiem z jednéj strony, od północy, przymyka do niéj kilka wysepek, tworzących niby dwa rozerwane łańcuchy, rzucone równolegle pomiędzy nią i lądem stałym piątéj części świata; parę zaś innych od wschodu przylega tuż do jéj wybrzeży. Najbliższy ląd od strony północnéj, Australia, oddalony jest o ćwierć tysiąca kilometrów. Najbliższy od strony wschodniéj, Nowa Zelandya, o półtora tysiąca.

Wyspa ta stanowiła w czasach odleglejszych jedną całość z Australią. Dowodzi tego konfiguracya brzegów, po obu stronach cieśniny, i owe dwa szeregi wysepek, pomiędzy dwoma wyspami, powstałych z wyniosłości zatopionego obecnie a łączącego je z sobą kiedyś lądu. Jest więc ona maleńką cząstką Australii, oderwanym od niéj cyplem południowym, odpowiadającym w Ameryce południowéj Patagonii, w Afryce Caplandowi. Te same również co i Australią Oceany i jéj omywają brzegi.

Od chwili, kiedy się pokazał pierwszy okręt europejski na wodach tych oceanów, losy mieszkańców nawet kawałka tego małego, oderwanego od większéj całości lądu, od siebie samych zależeć już przestały. Ku nim wypadki dziejowe prąd kultury skierowały. Nad nimi zawisł już był wyrok przeciw spóźniającym się w pochodzie cywilizacyjnym. Niby fale wezbranéj rzeki nowe życie ogarnąć ich siedzibę miało, a oni, prądem jego unoszeni, płynąć z nim tylko mogli, lub nim objęci utonąć. Nawet wypadki zachodzące w Europie zmienić nie mogły przeznaczenia: odraczały tylko wykonanie wyroku; stanowiły tylko, czyje ręce wykonać go miały.

1.

W XVI stuleciu nad przestrzeniami wód i lądów, pokrywających drugą półkulę naszéj ziemi, panowały dwa sąsiednie i bratnie z sobą narody, Hiszpanie i Portugalczycy. Pierwszym za śmiałość i przedsiębierczość w udziale dostała się Ameryka; drugim—przypadała Oceania. Z dwóch stron, od zachodu i wschodu, dwiema przez Vasco de Gama i Magalhaensa odkrytemi drogami, do niéj Portugalczycy mogli podążać. Już w ręku ich były nawet wyspy Zondskie i Moluckie, stanowiące wyborny punkt oparcia w wyprawach na oceany Spokojny i Indyjski, gdy powstrzymani zostali u wrot samych piątéj części świata.

Przyczyną tego było przyłączenie ich ojczyzny pod koniec stulecia do krajów zostających pod berłem Filipa II. Ubezwładnionych

rządami Filipa Portugalczyków z wrót Oceanii wyparli Holendrzy, którym się właśnie wtedy udało oswobodzić od panowania Hiszpańskiego. Osiedliwszy się na wyspach Zondskich zwiedzać poczęli zarównikową część Oceanu Spokojnego i odkryli w 1606 r. największy ląd w Oceanii, któremu nadali nazwę oddalonéj swojéj ojczyzny. Następnie, badali północny i wschodni brzeg owego lądu. Gdy nadeszła kolej na zachodni, dowódca wyprawy, Abel Tasman, wypłynąwszy na Ocean Indyjski. wziął się bardzo na zachód i opłynął Nową Holandyą, wcale jéj brzegów nie widząc. Dopiero ujrzał ląd (24 listopada, 1642), gdy się zwrócił we wschodnim kierunku. Był to południowo-zachodni cypel naszéj wyspy. Płynąc następnie wzdłuż niéj, okrążył od południa i wypłynął na wody Oceanu Spokojnego. Tu dopiero zatrzymał się w małéj zatoce (Fryderyka Henryka); lecz na brzeg nie wysiadał. Opuściwszy odkrytą wyspę, popłynął daléj w kierunku wschodnim i odkrył Nową-Zelandyą (1).

Tasman wnioskując z sąsiedztwa odkrytego lądu z Australią, a również z wielkiego podobieństwa w ustroju powierzchni, że z nią stanowi jedną całość, nazwał ów ląd nie wyspą, lecz ziemią Van Diemen, od nazwiska owoczesnego rządcy Batawii (2).

Holendrów w rozpoczętych odkryciach powstrzymała konieczność bronienia swych swobód politycznych i religijnych w wojnach prowadzonych w drugiéj połowie XVII stulecia. Dali się więc wyprzedzić Anglikom i Francuzom. Jednakże upłynęło sporo czasu nim na odkrytym już lądzie stanął pierwszy europejczyk. Miało to bowiem miejsce dopiero w 1772 roku, a owym europejczykiem był Francuz, Marion du Fresne, wsławiony wkrótce tragicznym swym na Nowéj Zelandyi skonem, dokąd się udał, płynąc śladami Tasmana.

Wylądowawszy na brzegach zatoki Fryderyka Karola Marion du Fresne zobaczył krajowców. Krótki jego z Tasmańczykami stosunek wprowadza ich po raz pierwszy do historyi.

Dziennik podróży Mariona du Fresne prowadził uczestniczący w niéj Crozet. Na nim oparte zostało urzędowe z niéj następnie sprawozdanie. Ponieważ obecnie nikt już nie może sprawdzić tego,

---

(1) Szczegóły tyczące się wypraw holenderskich oraz odkrycia Tasmanii biorę z dzieła G. L. Domeny de Rienzi, *Océanie*, Paris, I—III, 1830—56.

Autor sam znany podróżnik w dziele tém zgromadził, co tylko do jego czasów o téj części świata pod jakimkolwiek bądź względem wiadomém było. Obszerne wyjątki z opisów i ze sprawozdań innych podróżników zwiększają jeszcze wartość téj pracy.

(2) W lat dwieście dwanaście nazwa ta ustąpiła innéj, związanéj bardziéj bezpośrednio z tym wypadkiem. W roku 1854 mieszkańcy obecni ziemi Van-Diemen uchwalili nazywać wyspę Tasmanią, ku uczczeniu jéj odkrywcy.

co kto o Tasmańczykach napisał, ani też uzupełnić, wszystko przeto co poprzednio o nich napisano, otrzymuje znaczenie wyjątkowe dokumentu historycznego.

Oto jak wyglądali Tasmańczycy według Crozeta: „Są oni czarni, wzrostu miernego, wszyscy nadzy, mężczyzni i kobiety. Mężczyzni są uzbrojeni we włócznie i siekiery kamienne. Oczy mają wogóle małe, usta duże, zęby białe, nosy płaskie. Włosy u nich jak u Kafrów rosną kosmykami; a obsypują je ochrą czerwoną. Zresztą są oni wysmukli, dobrze dość zbudowani, barczyści; piersi pokrywają sobie tatuowaniem rytem. Język ich jest twardy. Przeważają w nim dźwięki gardłowe.“

Gdy Francuzi podpływali do brzegu na łodziach, Tasmańczycy wchodzili w wodę na przeciw nich, nie okazując żadnéj bojaźni lub nieufności. Po wyjściu na brzeg kapitana, jeden z krajowców zbliżył się ku niemu i podał zapaloną głownię. Na brzegu leżały nagromadzone stosy suchego drzewa. Podanie ognia było obrazowém zapytaniem o cel podróży i zamiary przybyszów. Skoro bowiem Marion du Fresne wziął w rękę głownią i zbliżywszy do jednego ze stosów, podpalił go, wszyscy na brzegu zgromadzeni krajowcy rzucili się na sąsiednie wzgórze, stąd poczęli ciskać kamieniami na Francuzów. Widocznie rozpalenie ogniska przyjęli za oznaczenie zamiarów nieprzyjaznych. Marion i kapitan z okrętu De Castries zostali ranieni. Wówczas odpowiedziano im kilku wystrzałami. Jeden padł zabity; kilku ranionych. Pozostali, wydając okrzyki trwogi, uciekli do lasu.

W czasie swéj trzeciéj wyprawy Cook, wypłynąwszy z Plimouth 12 czerwca 1776 r. w siedm miesięcy (26 stycznia, 1777) stanął w Tasmanii, w zatoce Adventure. W opowiadaniach jego o krajowcach przedewszystkiém uderza brak zupełnie w nich bojaźni, względem przybyszów, obojętność na wszystkie dary, a dawano im przedmioty ogólnego użytku, np. wyroby żelazne rozmaite, narzędzia, itd. oraz przyzwoite zachowanie się kobiet z obcymi. Opis powierzchowności, zgodny z podanym przez Crozeta, uzupełnia on kilku szczegółami. Brodę i włosy, a nawet całe ciało, mężczyzni namaszczają tłustością, wydającą woń przenikliwą. Te kobiety, które są matkami, mają zarzuconą na plecy skórę kangura i w niéj niby w koszu mieszczą małe dzieci. Wszystkie zaś golą sobie głowy, bądź całkowicie, bądź tylko po środku lub połowę. Stan Tasmańczyków porównywa Cook ze stanem dzikich zwierząt. Tak samo ciągle jak zwierzęta, według niego, przebiegają oni z miejsca na miejsce, bez żadnego widocznego celu i zajęcia, w zupełnéj obojętności na wszystko, co ich otacza. Stałych miejsc schronienia, odpowiadających domom naszym, nie znają. Na noc zgromadzają się w jedno miejsce a sypiają

pod drzewami lub w szałasach. Szałasy te budują wbiwszy kilka kołków w ziemię w kwadrat lub półkole, od strony wiatru; następnie kołki te oplatają gałęziami i na nie je narzucają dla pokrycia.

W 1792 i 93 roku podwakroć przybijał do Tasmanii admirał francuski Bruni d'Eutrecasteaux, wysłany na wody Oceanu Spokojnego przez rząd w celu odszukania zaginionego na nich La Pérouse'a. W wyprawie d'Eutrecasteaux brał udział znany naturalista Labillardiére. Częste stosunki z krajowcami pozwoliły mu zebrać więcéj niż innym szczegółów o krajowcach.

Przypatrzmy się wraz z nim ich uczcie.

„Tylko słabe mieliśmy dotychczas pojęcie o pracy, jaką podejmują kobiety, by dostarczyć pożywienia całéj rodzinie. Matki wraz z dorosłemi córkami zabrały kosze i zanurzyły się w morze, poszukując na dnie jego raków i muszli. Gdy długi czas nie wypływały na powierzchnią, byliśmy już w obawie o nie. Zanurzyły się bowiem w miejscu, gdzieśmy zauważyli wielką ilość porostów wodnych. Przeważał *fucus pyrifer*. Mogły więc z łatwością zaplątać się wśród porostów i nie módz już wypłynąć na powierzchnią. Nakoniec pokazały się. Przekonało nas to, że są zdolne dwa razy dłużéj, co najmniéj, pozostawać pod wodą, niżli nasi najwprawniejsi zaledwo zdołają nurkowie. Dla zaczerpnięcia powietrza dość im było chwili czasu. Zanurzyły się ponownie. Powtarzało się to tak długo aż kosz został całkowicie napełnionym. Niektóre z nich zabrały z sobą kawałki drzewa ostruganego w formie noża. Domyśliliśmy się, że używały do odrywania od skał podwodnych przylegających do nich skorupiaków. Prawdopodobnie nawet wybierały z nich lepszych. Niektóre okazy bowiem były wspaniałe.

„Widząc w ich koszach wielkie raki baliśmy się, by te zwierzęta kleszczami swemi nie pokaleczyły biednych. Lecz przezorniejszemi były Tasmanki niż się nam zdawało. Łowiąc raki, rozbijały je odrazu. Zawartość koszów składały mężom i wnet wracały na dno morskie, by je jeszcze raz napełnić, w razie gdy połów jednorazowy nie wystarczał do obdzielenia wszystkich zgromadzonych. Grzały się stojąc twarzą do ogniska, na którém piekła się ich zdobycz, lub téż rozniecały kilka pomniejszych na około siebie, by jednoczasowo ogrzewać się ze wszystkich stron.

„Wcale nie odpoczywały. Grzejąc się, z wielką starannością układały na rozżarzonych węglach muszle. Tylko raki rzucały wprost w ogień. Wyjąwszy spieczone, mężczyznom i dzieciom oddawały łapy i szyje, same zaś zadawalniały się środkowemi częściami."

Podczas gdy kobiety zanurzając się w wodzie, zdobywały ślimaki i raki, mężczyzni siedzieli przy ogniskach, podsycali ogień, ga-

łęźmi, łamiąc je na głowie, i żuli rośliny morskie pieczone lub korzenie paproci. Po zaspokojeniu głodu kobiety szły po wodę. Czerpały ją w naczynia z liści porobione w miejscach najbliższych, wcale nie bacząc na jéj czystość lub smak. Nakoniec następował odpoczynek. Ojca rodziny okrążały żona i dzieci. Niektórzy silniejsi obok siebie mieli po dwie kobiety. O stosunku rzeczywistym każdego do obu a jednakim—samo zachowanie się ich w obec wszystkich wątpić nie pozwalało.

Jednakże dla wszystkich podróżnych pozostawało do tychczas jeszcze tajemnicą, gdzie się właściwie znajdują, czy na Nowéj Hollandyi, czy téż na wyspie oddzielnéj. Dopiero dwaj marynarze angielscy Flinders i Bass w r. 1798 opłynąwszy całą wyspę dowiedli, że stanowi ona odrębną od Australii całość.

Powodzenie Anglików w Oceanii zwróciło na siebie uwagę Napoleona. Przedsięwziętą została nowa wyprawa, na czele której stanął admirał Baudin, a uczestnikami byli dwaj naturaliści: Peron i Freycinet. Podróż trwała lat cztery. W 1802 zawadzili o Tasmanią. Kilkakrotne spotkanie się podróżników z krajowcami, opisane szczegółowo i umiejętnie w sprawozdaniu z podróży, pozwala dorzucić do obrazu znanego kilka szczegółów charakterystycznych. Zatrzymali się w kanale d'Entrecasteaux.

„Zaledwośmy parę kroków postawili na brzegu, mówi Peron, pokazali się dwaj krajowcy na sąsiednim wzgórzu. Na dany znak by się zbliżyli, jeden z nich rzucił się bardziéj niż zbiegł z góry i w mgnieniu oka stanął przy nas. Był to młodzian dwudziesto kilko letni. Budowy ciała w ogóle silnéj. Raziły tylko wielka cienkość łydek i ramion—co zresztą jest właściwe téj rasie. Twarz jego nic nie miała w sobie srogiego lub téż dzikiego. Oczy—żywe i rozumne. Cała postawa wyrażała jakąś dobrotliwość i zadziwienie. P. Freycinet uściskał go; ja téż zrobiłem to samo. Lecz z zachowania się jego łatwośmy zauważali, że to cośmy zrobili, nie miało dla niego żadnego znaczenia. Uderzyła go przedewszystkiém cera twarzy. Chcąc się przekonać, czy całe ciało jest takiego koloru, odchylał kamizelkę, odgarniał koszulę. Podziw jego uwydatnił się w gwałtownym krzyku i żwawym tupaniu nogami. Następnie spostrzegł szalupę, co go zajęło bardziéj niż my, rzucił się więc ku niéj... Podczas oglądania jeden z marynarzy podał mu butelkę z arakiem, wziął w rękę, lecz wnet rzucił w morze, daléj przypatrując się statkowi. Na krzyk marynarza żałującego napoju, na ruch jego towarzysza, rzucającego się w wodę, by wydostać butelkę, pozostał obojętny...“

Budzącego się zmysłu spostrzegawczego w kierunku własnego ciała i przedmiotów już sobie znanych z własnego doświadczenia

i użytku (kolor ciała i łódź zwróciły uwagę, butelka żadnéj) dowodzi i ten fakt. Czytamy daléj. „Jeden z naszych majtków miał na ręku rękawiczki podbite futrem. Zbliżając się do ognia, zdjął je i schował do kieszeni. Na ten widok młoda kobieta (zeszła się bowiem cała rodzina, jak się zdawało, młodzieńca owego, złożona z dwojga staruszków i kobiet z małém dziecięciem) wydała okrzyk tak gwałtowny, żeśmy się przerazili... Przyczyną okrzyku były owe rękawiczki, które wzięła za rzeczywiste ręce odejmowane, lub téż skórę z rąk „dowolnie dającą się ściągać."

Peron uzupełnia opis legowiska krajowców następnym szczegółem: „Obok szałasu znajdowały się szczątki ogniska niedawno zgasłego i wielki stos uformowany ze skorup ostryg, wydający, wskutek gnicia resztek zwierzęcych, woń wstrętną i szkodliwą." Mamy więc przedhistoryczne śmietniska kuchenne (*Kioekkenmoeddingi*). Sprzęty i narzędzia tak opisuje: „Są one o tyle proste o ile nie liczne. Liść rośliny *fucus palmatus*, którego końce są połączone kółeczkiem drewnianém, służył im za naczynie na wodę. Ostry odłamek granitu zastępował im nóż przy obłupywaniu kory z drzewa lub struganiu dzid. Kopystka z drzewa pomagała im odrywać od skał skorupiaki. Kosz czy téż wór pleciony z sitowia był składem pożywienia." Łodzie ich „były złożone z trzech zwojów kory, połączonych z sobą skręconém łykiem."

Mamy i idyllę, niby wyjętą z Pawła i Wirginii. Gdy nasi podróżnicy spotkali się po raz drugi z rodziną wzmiankowaną, powracającą z połowu, o czém świadczyły zapasy ostryg i raków, a która obecnie była powiększoną osobą szesnastoletniéj dzieweczki, „starzec wziąwszy p. Freycinet za rękę, skinął na nas byśmy szli za nim i zaprowadził do nędznego swego schroniska. Ogień wnet został rozpalony. Wtedy powtórzył kilkakrotnie *medi*, *medi* (siadajcie), co gdyśmy zrobili, dzicy przykucnęli na pięty i każdy zajął się pożywaniem połowu. Przyprawianie nie było długiém ani téż mozolném... Wówczas przyszło nam na myśl sprobować na nich wpływu śpiewu naszego. Usłyszawszy, dzicy bardziéj zostali zmięszani niż zadziwieni. Po kilku minutach niepewności, zaczęli uważnie słuchać. Uczta została zawieszona. Dowodzili swego zadowolenia zapomocą tak dziwacznych grymasów i ruchów, że zaledwo wstrzymać się od śmiechu zdołaliśmy... W czasie téj sceny młoda dziewczyna zwracała na siebie uwagę łagodnym wyrazem oblicza i spojrzeniem to tkliwém to figlarném. Ur-ur (takie było imię owéj dzieweczki) jak jéj rodzice, była całkiem nagą. Lecz zdawało się, że zupełnie tego nie wie, że w takiéj postawie jest coś nieskromnego lub nieprzyzwoitego. Delikatniejszego składu ciała niż jéj rodzeństwo, była żywszą i na-

mniejszą. P. Freycinet obok niej siedzący, był przedmiotem bardziej niż inni jéj zalotów.

Ur-ur pokazała nam następnie jakich środków upiększania się używają kobiety w tym kraju. Porwała parę kawałków węgla z ogniska i miażdżąc dłońmi, na proch je starła. Wtedy trzymając w lewéj ręce ów kosmetyk, prawą nacierała nim czoło sobie i oba policzki. Stała się w jednéj chwili czarniejszą. Uderzyła nas przedewszystkiém uprzejmość, z jaką się ku nam po téj operacyi zwróciła, oraz zadowolenie, odbijające się na jéj twarzy, że potrafiła jeszcze piękniejszą się stać...."

Przytoczone urywki jeszcze całkowicie charakteru Tasmańczyków nie odkryły. Uzupełni to scena następna, dokładnie malująca zmienność usposobień.

Podróżni ruszyli ku północy i zatrzymali się w zatoce Ostryg. Po kilkodniowym pobycie wyszli, jak to miewało zawsze miejsce, na brzeg: Peron, rysownik ekspedycyi Petit i oficer okrętowy Rouget. Otoczyli ich krajowcy, najprzyjaźniéj usposobieni. Każdy z podróżników zajął się swoją robotą. Przedmiot zajęcia dowodzi wzajemnéj ufności. Petit zdejmował portrety z kilku bliżéj stojących, Peron zapisywał nazwy rozmaitych przez innych wskazywanych przedmiotów. Naraz wydają wszyscy okrzyk trwogi i chwytają za broń. Popłoch ten wywołało ukazanie się łodzi okrętowéj. Uspokoili się wszakże, gdy łódź się oddaliła, a zdziwieni podróżnicy znakami ich przekonywali, że na łodzi są tacy ludzie jak oni, więc się lękać nie mają powodu. Wzbudzona nieufność już ich jednakże nie opuściła. Zdawali się rozdrażnieni i czujniejsi jak zwykle. Wtém jeden zbliża się do Perona, chwyta go za kamizelkę, jak gdyby chciał ją zedrzéć, i grozi przebiciem dzidą. Drugi pochwycił za kolczyk, w kształcie koła wiszący mu u ucha, i tak silnie pociągnął, że byłby przerwał ucho, gdyby się kolczyk sam nie otworzył. Rouget skierował w obronie towarzysza lufę strzelby ku napastnikom, a napastowany wymawiając kilkakrotnie wyraz *mata* (śmierć), ostrzegł ich przed niebezpieczeństwem. Wówczas dopiero odstąpili spokojnie, jak gdyby nic wcale nie zaszło. Podróżnicy wszelako dłużéj pozostawać na brzegu już nie mieli ochoty.

Ekspedycya francuska zamyka prolog dramatu, który dla Tasmańczyków spowodowało odkrycie ich wyspy przez europejczyków.

2.

Lecz nie dłużéj, niż prolog, miał się ciągnąć sam dramat.

W roku 1803 Anglicy założyli na Tasmanii dwie osady. Jedną w nieznanéj dotychczas części północnéj wyspy, nad brzegami rzeki

Tamar, o kilka mil w głąb kraju od jéj ujścia, stanowiącego wyborny port Dalrymple. Drugą w miejscowości zwiedzonéj przez d'Entrecasteaux i Baudina, na brzegu odkrytéj przez pierwszego rzeki Północnéj, przezwanéj przez Anglików Derwent. Z osady założonéj na północy powstał następnie Launceston, drugie co do znaczenia miasto na wyspie; z założonéj na wschodzie—stolica wyspy Hobart-Town. Gdy Anglicy osiedlili się na Tasmanii, ludność miejscowa dochodziła do 8000. W trzydzieści dwa lata późniéj (1835 r.) napływowa podniosła się do trzydziestu kilku tysięcy, Tasmańczyków nie stało na Tasmanii.

Obie osady tasmańskie były filiami australskich. Dał im obu początek dbały o dobro kolonii australskiéj centralny jéj zarząd, chcąc w ten sposób zmniejszyć ilość przybywających z Anglii nowych gości narzuconych. Nowe więc warstwy były niepotrzebne, albo dla wzrostu kolonii szkodliwe. Że nie mogły być niepotrzebne, dowodzą tego obszary Nowéj Walii Południowéj i fakt, że samo Sidney przed laty piętnastu dopiero założoném zostało, trudno przeto było obawiać się przeludnienia w mieście a tém bardziéj w okolicy. A więc dla wzrostu kolonii szkodliwe.

Nawet założenie Sidney i początkowa kolonizacya Australii nie była wynikiem przeludnienia w Anglii. Brak pracy nie dawał się jeszcze uczuwać w Europie. Ze starego świata wyganiała nie nędza, lecz wyrok sądowy. Do nowego nie nęciło szersze pole do pracy, lecz wygórowana chęć zysków nadzwyczajnych i przygód awanturniczych. Jak pierwsza osada angielska w Australii, tak téż i dwie jéj filie w Tasmanii były karnemi.

Lecz dla utrzymania w porządku i posłuszeństwie zbrodniarzy potrzebną jest siła wojskowa. Zbrodniarze i dozorujące ich wojsko wymagają oprócz czujnego oka władzy zaspokojenia jeszcze wielu innych potrzeb. Osada karna zwabia przeto kupców i rzemieślników. A nadto, jeśli miejscowość takiéj osady wynagradza uprawę roli i przedstawia przestrzenie odpowiednie dla hodowli bydła, jeśli przytém w łonie ziemi kryją się bogactwa mineralne, dla wyzyskania skarbów przyrody napływać zaczynają rolnicy i przemysłowcy, wyrobnicy i wykształceni kierownicy robót. Zakres pracy już dobrowolnych kolonistów coraz się bardziéj rozszerza. Wyżywienie i odzianie zbrodniarzy i wojska przestaje być wyłącznym ich celem. Wytwarzać zaczynają przedmioty handlu wywozowego. A gdy nakoniec, co się zwykle zdarza w uprzywilejowanych od przyrody krajach, produkta kolonii zyskają popyt stały na rynkach odległych świata starego i przez to dobrobyt wychodźców własnowolnych staje się zapewnionym, wówczas ludność wolna, wzrastając ciągle i boga-

cąc się, zaczyna brać przewagę nad skazańcami; wówczas nietylko peryodycznych wysyłek świeżych zbrodniarzy z ojczystego kraju przyjmować nie chce, lecz nawet dawniejszych stara się wydalać. Kolonia wtedy z osady karnéj staje się wolną i, jak wszystkie angielskie, wywalcza od metropolii prawa początkowo autonomiczne, a następnie dąży do politycznych.

W takim właśnie stanie przejściowym znalazło się już Sidney w piętnaście lat po założeniu, kiedy wysyłając do Tasmanii partye zbrodniarzy, dawało początek dwom pierwszym osadom karnym na Tasmanii; w takim samym również stanie znalazły się i owe osady karne tasmańskie, gdy w trzydzieści parę lat po powstaniu na trzydzieści kilka tysięcy ludności zaczęły liczyć większość emigrantów wolnych.

Tak szybki wzrost ludności wogóle a w szczególności wolnéj wskazuje, że warunki kolonizacyi na Tasmanii są świetne. Rienzi, znany podróżnik i autor dzieła *Océanie*, tak się o téj wyspie wyraża: „jeżeli weźmiemy klimat Prowancyi, krajobrazy Szwajcaryi, urodzajność Turenii i złożymy w jedną całość, wówczas dopiero powziąć będziemy mogli przybliżone pojęcie o tym pięknym kraju.“

Będąc oderwaną cząstką Australii, posiada Tasmania te wszystkie bogactwa naturalne wewnątrz ziemi i na jéj powierzchni, co i ona, oraz w ogólnych zarysach przedstawia jéj właściwości. Lecz wskutek tego, że jest bardziéj oddaloną od równika i tak dalece mniejszą, uwydatniają się w Tasmanii raczéj tylko dodatnie właściwości Australii, nikną zaś ujemne, pochodzące przedewszystkiém z klimatu gorącego i rozmiarów. W Australii nadbrzeżne kraje, dające się jedynie zamieszkiwać i uprawiać, odłączone są od siebie przez płaskowzgórza wewnętrzne, na których człowiek jest skazany wskutek braku wody na śmierć z pragnienia w jednéj porze roku, w drugiéj na zatopienie przez wodę. W Tasmanii kraje nadbrzeżne australskie niby stykają się z sobą. Cała wyspa przedstawia się jak rozkoszny ogród, wiecznie pokryty zielenią, obficie wodami zroszony. Znój lata ochładzają w niéj powiewy wiatru morskiego, przelatujące całą wyspę w każdym kierunku. W zimie nie dopuszcza nawet do przymrozków wysokość nad nią słońca (1). Warunki przeto miejscowe pozwalają wyzyskiwać w Tasmanii bogactwa przyrody równe australskim z większą wszakże niż w Australii łatwością (2).

---

(1) Średnia temperatura lata w Hobart-Town jest 17 stopni; średnia temperatura całego roku 13° C.

(2) W lat 30 po założeniu dwóch pierwszych osad, a więc w 1833 ludność napływowa Tasmanii wynosiła 33,000. W lat 50 następnych, a więc w 1883 — 126,000.

Tak więc te same przyczyny, które utrzymywały ludność miejscową na pierwszym stopniu rozwoju, przynęciły inną, z drugiego krańca ziemi, stojącą na najwyższym. W chwili zetknięcia się dwóch ras, przedstawiających w taki sposób dwa krańcowe ogniwa kultury ludzkiéj, już nie przelotnego, jak poprzednio razy kilka, lecz stałego, jako wspólmieszkańców jednego kraju, kulturę europejską w pierwszéj chwili starcia przedstawiali zbrodniarze, z Europy dla spokoju i bezpieczeństwa publicznego wydaleni, i dozorujące ich wojsko.

Tacy przedstawiciele nie w cywilizatorów lecz w zdobywców roli stanąć jedynie mogli. Ze wszystkich zaś sposobów zdobywania jeden, najprostszy, niszczenie, był dla nich tylko dostępnym. Do czego wyłącznie usposabiały ich charakter moralny oraz uzdolnienie specyalne.

Lecz jakie posiadamy źródła do poznania wypadków zaszłych w najodleglejszym zakątku świata, pomiędzy garstką zbrodniarzy i kolonistów a ludźmi, o których tyle tylko było wiadomem w Europie, że istnieją? Czy pokrył je, jak tyle innych świetnych i haniebnych czynów ludzkich, mrok tajemnicy, a tylko ze skutków wnosić możemy o ich przebiegu? Wszak zainteresować one współczesnych nie mogły ani doniosłością w chwili bieżącéj, ani téż spodziewanymi skutkami. Korespondenci pism londyńskich nie towarzyszyli wysyłkom skazańców. Wszelkie przesyłki pomiędzy Europą i Tasmanią w pół roku dopiero dochodziły miejsca swego przeznaczenia. Przytém jedna ze stron już nie istnieje. To co o Anglikach utrzymywali Tasmańczycy, jak o wypadkach sądzili, skargi ich i opowiadania wraz z dźwiękami ich mowy rozwiały się w przestrzeni i jak echo tych dźwięków przebrzmiały w czasie. Więc przedewszystkiém źródła mogą być jednostronne. Zasada *audiatur et altera pars* pozostać musi bez zastosowania.

Wszelako źródła są i są obfite, autentyczne, prawdziwe. Charakter dokumentów, pomimo ich wyłącznie angielskiego pochodzenia, pozwala rozpatrywać sprawę zupełnie przedmiotowo; rozmaitość ich z wielu różnych stron rzuca na wypadki światło rzeczywiste. Dopiero dotknąwszy się źródeł spostrzegamy, że mamy do czy-

---

Przewyżka nad ludnością z roku 1882 stanowiła osób 3,741. Co dowodzi coraz szybszego wzrastania. W tymże roku było owiec 1,800,000, bydła rogatego 130,500, świń 50,000 i koni 30,000 sztuk. Głównemi produktami wywozu są: wełna, cyna, ołów, tran rybi, skóry. W 1883 r. wywieziono wszystkich produktów w sumie 35,600,000 rubli według kursu dzisiejszego; o 2,800,000 więcéj niż w roku poprzednim. — Wydobywaniu złota poświęca się 2,200 ludzi. Wydobywają oni na sumę od 2 do 3 mil. rubli. Cyny wywożą na sumę od 3 do 4 mil. Przytém wydobywają żelazo i węgiel kamienny,

nienia z narodem, który długi żywot polityczny i wysokie wykształcenie społeczne przyzwyczaiły do zupełnéj, bezwzględnéj jawności, w którym poszanowanie dla prawdy przewyższa drażliwość zwykłą, prawość odnosi w końcu zwycięstwo nad interesem. Fakty, które gdzieindziej pod grozą zakazu mówienia o nich, utonęłyby w tajemnicy, tu wydobyte z archiwum, ocalone z zapomnienia świadczą o rzeczywistości, jakkolwiek ona jest straszną.

Zródła historyczne do wypadków tasmańskich są trojakie. Wskutek rozwoju pomyślnego kolonii ustanowiony został na Tasmanii saméj zarząd centralny. Z charakteru swego regulował on stosunki pomiędzy obu ludnościami, oraz brał pod opiekę tę, któréj interesa były zagrożone. Ślad działalności rządu przechował się w ogłaszanych rozkazach, instrukcyach, odezwach, proklamacyach, dochodzeniach sądowych. W chwili założenia kolonii na Tasmanii w Australii wychodziła już *Sydney Gazette*. Kolonia australska była zainteresowana losami swéj młodszéj siostry. Częste i długie pojawiają się w owéj gazecie korespondencye z Tasmanii. W lat kilka w saméj Tasmanii wychodzą już czasopisma. W 1810 istnieje *Derwert Star*, następnie pokazują się *Hobart-Town Gazette*. — *Review*,— *Times*, *Launceston Advertiser*. Wszystkie one mieszczą szczegółowe opisy wypadków współczesnych. Nakoniec, gdy walka już się skończyła, a rezultaty jéj niespodziewane przeraziły ogół, biorący bezpośredni udział w wypadkach, lub tylko ich bliżsi świadkowie poczęli ogłaszać swoje wspomnienia, pamiętniki, opowiadania (1).

W 1803, pod koniec roku były założone dwie kolonie w Tasmanii. W 1804 dnia 3-go maja pod jedną z nich, wschodnią, nad rzeką Derwent, zdarzył się fakt następujący: gromada krajowców, złożona z kilkuset osób płci obojéj, wraz z dziećmi, zbliżyła się do brzegu. Gnali oni kangurów. Obecność kobiet a zwłaszcza dzieci mogła zaświadczyć o zupełnie pokojowych względem kolonistów zamiarach. Wojsko na brzegu odbywało zwykłe ćwiczenia. Dowodzący oficer, Moore, „mając wzrok przyćmiony od użycia znacznéj dozy rumu“, kazał dać ognia do téj gromady. Kilkudziesięciu krajowców padło. Pozostali rozpierzchli się. Obawa oddalała już ich następnie od tego wybrzeża.

---

(1) Dzieło G. Bonwicka p. t. *The last of the Tasmanians, or the Black War of Van Diemen's Land*, można by było nazwać *Zbiorem dokumentów do czarnéj wojny*. Autor, inspektor szkół w prowincyi Wiktorya, sam kilkakrotnie zwiedzając Tasmanią, zebrał w niéj wszystko, co tylko tyczyło się téj wojny. Jest-to jedyna praca, która znajomi zarazem z biegiem wypadków i ze źródłami. Służy mi ona za główną podstawę do opowiadania.

W 1806 roku dał się czuć wielki głód w osadzie. Zarząd, by uchronić od śmierci, uwolnił z pod straży skazańców. Wojsko również zostało zwolnione od rygoru koszarowego. Poformowały się więc pojedyncze oddziały. Szukając pożywienia zwróciły się w głąb kraju. Oręż tam nie praca rolna miał im je zapewnić. Tasmańczycy nietylko w nich współzawodników w pogoni za zwierzętami znaleźli, lecz sami dla wielu przyczyn stali się przedmiotem pogoni.

Wyzwani do walki z wrogiem uzdolnionym do niéj wszystkiemi zasobami cywilizacyi, występowali nadzy, uzbrojeni w dzidy drewniane i maczugi. Nie mieli nawet domów, w którychby mogli od kul chronić się sami, lub zabezpieczać życie kobiet i dzieci. Pozostawały im tylko gęstwiny lasów i góry. Lecz i te stanowić przeszkód dla ludzi należycie uzbrojonych i czerpiących śmiałość w przewadze swojéj i przeświadczeniu o niższości wroga, nie zdołały. Zdobyta przez rozpuszczonych zbrodniarzy nazwa *Bushrangers* (włóczęga leśny) świadczy, że i lasy przenikli. Nazwa ta wkrótce nabyła wielkiego rozgłosu.

Nie tylko atoli pod względem materyalnym, uzbrojenia nie byli Tasmańczycy przygotowani do walki. Nie ulegając sama żadnym wskutek pór roku zmianom, przyroda téj krainy nie zaszczepiła w ich umysłach troski o jutro, gdyż jako matka dobra codziennie im dostarczała tego samego pożywienia. Troska o jutro nie doprowadziła ich do przewidywania tego w przyszłości, czego z dnia wczorajszego nie zapamiętali, nie nauczyła ich podejrzliwości, nie wyrobiła bojaźni w stosunkach z ludźmi. Zresztą innych oprócz swoich rodaków nie znali. Rozmiary zaś wyspy, mogącéj pomieścić miliony ludzi, kilku tysiącom ich zabezpieczały byt spokojny, bez narażania na tępienie się wzajemne.

Nie będąc więc do walki przygotowani pod żadnym względem, nawet konieczności podjęcia jéj, konieczności bronienia się nie pojęli odrazu. Wypadki przeto musiały ich przedtem doprowadzić do zrozumienia pozycyi własnéj, musiały w ich duszach rozwinąć po kolei te uczucia, które w długim szeregu wieków uzdolniły ludy kulturowe do walki eksterminacyjnéj, do udoskonalenia jéj sposobów wszelkich przywiodły.

Wskutek tego w wojnie, która się rozpoczęła na Tasmanii po przybyciu Anglików, dwa odrębne zaznaczyć możemy okresy.

Wojna owa nosi osobną nazwę: *czarnéj* (The black war), zapewne nietylko dla koloru cery jednéj ze stron walczących. W pierwszéj Tasmańczycy pozostają bierni zupełnie. Wypadki odwetu wyjątkowo się tylko zdarzały. A tymczasem każde spotkanie się z Anglikami przynosiło im śmierć, hańbę, cierpienia. Nie spotykać się zaś

nie mogli. Odpierani od wybrzeży morskich w sąsiedztwie zakładanych osad, w głębi kraju mieli zawsze za sobą *Bushrangerów*, za którymi znowu zdążali koloniści, wznoszący na znak stałego pobytu domy i zabudowania gospodarskie.

Anglicy mając zawsze w broni palnéj przewagę nad krajowcami uzbrojonymi tylko sagają (rodzaj dzidy czy téż oszczepu ręką rzucanego) i maczugą, — strzelali do nich, gdy ci polowali, by ich uprzedzić w łowieniu zwierzyny; strzelali, gdy ci znosili łupy myśliwskie, by je od nich odebrać; strzelali, ilekroć ich psy były zgłodniałe, by zaoszczędzając sobie pożywienia, nakarmić je nieużywanem na jadło przez siebie mięsem ludzkeim; strzelali w zbite masy, gdy ci skupieni przy ogniskach odpoczywali, a to dla tém pewniejszego rozgromienia. By posiąść ich kobiety zabijali mężczyzn, a na szyi porwanych zawieszali czaszki zabitych mężów; nieudatne łub ciężarne, gdy się wśród drzew chroniły, zwykle za cel służyły dla wprawiających się w strzelaniu. Dostawszy w ręce mężczyzn, pozbawiali ich cech płciowych. Rodzicom porywali dzieci; tęższe brali do posługi; słabsze mordowali. Nawet zbliżenie się pod pozorami przyjaźni nie było bezpiecznėm. Wtedy pozwalali sobie rozmaitych figlów. Naprzykład. Pokazywali Tasmańczykowi dwa pistolety. Jeden z nich bywał nabity. Nienabity przykładali sobie do głowy i spuszczali kurek. Gdy namówiony do naśladowania uczynił to samo z drugim, nabitym, kula rozsadzała mu czaszkę (1).

Zarządzający kolonią Collins, Davey, Sorel, czuli się bezsilnymi wobec wypadków. Bronili krajowców odezwami, w których wykazywali, że wszelki z ich strony odwet był zasłużonym, w których grozili karą za gwałty i rozboje. Lecz słowa, nieraz nawet wymowne, nie przekonywały nikogo, ani téż groźby zastraszały.

Postępki Anglików (dla czegóż muszę tych ludzi nazywać Anglikami!) budzą dopiero w Tasmańczykach nieznaną im dotąd nieufność; doznane krzywdy szczepią nienawiść; codzienne przeświadczenie, że życie i byt są zagrożone, doprowadza do rozpaczy; rozpacz zmusza szukać środków obrony; najskuteczniejsza obrona przedstawia się im nakoniec w postaci napadu uprzedzającego strzały. Lecz by dojść do tak prostych wniosków, potrzebowali długiego czasu. Okres pierwszy, przygotowawczy (1804 — 1819), jest znacznie dłuższy od następnego.

I rzecz dziwna. Uzdolniwszy się psychicznie do oporu, pojąwszy konieczność walki, zorganizować sił swoich nie zdołali sami. Zaczepne kroki rozpoczynają się z chwilą, gdy na ich czele stanęli lu-

(1) Bonwick. The last of the Tasmanians, passim.

dzie, choć w części obeznani z kulturą europejską (1819). Byli to: Mosquito, australczyk, z kolonii australskiéj za karę przewieziony na Tasmanią, oraz dwaj porwani w latach dziecięcych, wychowani wśród Anglików ich rodacy, Tomasz Brzozą i Jakób Czarnym przezwani. Lecz raz wystąpiwszy do walki, już się nie cofali. Owszem, im bardziéj, wskutek ciągłego napływu kolonistów, niebezpieczeństwo wzrastało i na każdym punkcie stawało się groźniejszém, tém opór stawał się systematyczniejszym, walka powszechniejszą. *Śmierć białym* było hasłem ludności całéj.

Jak poprzednio gromady krajowców nie były nigdy wolne od napadu *Bushrangerów*, tak obecnie koloniści. Na nich, jako przywiązanych poniekąd do miejsca, a więc łatwiéj dających się wyszukać, nienawiść przez tamtych wzniecona zwróciła się w całéj swéj grozie. Każdy dworek stać się musiał fortecą. Z każdego ukrycia, z za drzew i z ich wierzchołków, dniem i nocą rozsypani wokrąg czyhali z dzidą w ręku na pokazanie się białego w otwartych drzwiach lub oknie. Kule ich odpędzały. Lecz gdy się zapasy wyczerpały, liczba zwyciężała.

Wtedy składali dowody, że z danéj im nauki skorzystali. Domy palili, mieszkańców mordowali, broń i zapasy żywności zabierali. Sprostać jednakże europejczykom w dwóch rzeczach nie zdołali. Oszczędzali kobiety. Z zabranéj broni palnéj, powodowani przesadną obawą, nigdy użytku żadnego nie robili. Wrodzona zwinność oraz szybkie przy znajomości dokładnéj okolicy przenoszenie się z miejsca na miejsce stokrotnie w oczach wystraszonych kolonistów powiększały ilość ich oddziałów. Trwoga zapanowała na całéj przestrzeni zajętéj przez przybyszów.

W roku piątym (1824) w ten sposób prowadzonéj wojny udało się Anglikom porwać zdradą Mosquito, a następńie i dwóch jego pomocników. Stracono ich. Lecz z ich śmiercią stan rzeczy na wyspie się nie zmienił. Przez lat kilkanaście budzone uczucia i namiętności powstrzymać się już nie dały. Gdy poprzednio mężczyźni występowali, obecnie kobiety formowały oddziały i na ich czele walczyły. Jedna z nich, Walloa, wsławiła swe imię wielu czynami odważnymi.

Nowy, a czwarty z kolei *Lieutenant-Governor* kolonii, Jerzy Arthur, początkowo trzymał się polityki swoich poprzedników i środki obrony prywatnéj pozostawiał inicyatywie. Widząc atoli wzmagające się okropności wojny, probował koniec im położyć przez wyznaczenie krajowcom pewnego w zajętéj części wyspy terytoryum, w którego granicach mieli już być bezpieczni od najścia białych. Pomijamy, że to terytoryum okazało się najgorszą częścią wyspy i w żaden sposób wyżywić osiadłéj na nim ludności, trudniącéj się

rybołówstwem i łowiectwem, nie mogło; lecz krajowcy konieczności skupienia się na pewnym jednym kawałku ziemi i nieprzekraczania pewnéj linii również obecnie nie rozumieli, jak poprzednio pojąć konieczności obrony nie zdołali. Pomysł ten nie dał się wcale wprowadzić w życie.

Wówczas rząd rozpoczął działania stanowczo eksterminacyjne. Tworzył *oddziały łowieckie* (*capture parties*), których celem było łowienie żywych Tasmańczyków. Za każdego dorosłego płacił po pięć, po dwa funty za dzieci. Oddziały rozbiegały się po kraju (1828 r.), polując na krajowców, misyą dawniejszych włóczęgów leśnych spełniały. By porwać jednego — zabijano dziesięciu. Gdy się starsi bronili, porywano dzieci. I ten środek wszelako nie uspokoił obu stron walczących. W 1830 r. rząd urządził *wielką obławę* (linet).

Całe wojsko, koloniści wszyscy, przestępcy trzymani pod strażą i na wolę puszczeni, zebrani zostali w jedną masę. Wyniosło to 3000 ludzi. Podzielono ich na oddziały drobne (było ich 119) pod dowództwem doświadczonych i walecznych. Oddziały rozmieszczono tak, że sformowały łańcuch. Łańcuch przechodził od jeziora Echo, leżącego po środku wyspy, do wschodniego jéj brzegu. W oznaczonym dniu wszystkie oddziały ruszyły ku południowi i wschodowi, zakreślając wielkie półkole. Celem owego ruchu jednoczasowego było spędzanie wszystkich krajowców na mały półwysep Tasmana, przylegający do południowo-wschodniego wybrzeża wyspy. Oddziały stanęły na półwyspie. Lecz krajowców na nim nie znaleziono. Nie dowodziło to, że w południowo-wschodniéj części wyspy, w promieniu Hobart-Town, już byli wyplenieni. Owszem, tajemniczy szelest po lasach, utkwiona sagaja w ciele niejednego z uczestników obławy, zresztą świeżo opuszczone ogniska o ich istnieniu i bliskości nieraz świadczyli. Udawało się im tylko pomyślnie przemykać pomiędzy oddziałami w północnym kierunku. Równocześnie bowiem napady na kolonistów w północnéj części wyspy stały się częstsze, co być mogło tylko skutkiem wzmocnienia się tam żywiołu nieprzyjaznego. Niejedni z członków wyprawy powróciwszy do siebie zastali zgliszcza tylko domu i trupy swoich.

Wielka ta obława kosztowała rząd 70,000 funtów. — Trofeami jéj były: pojmany żywcem z zaskoczonéj przedniéj straży jednéj gromady dorosły tasmańczyk i dwa trupy poległych, oraz dziecię, widocznie w popłochu ucieczki zostawione.

Rok 1830 zamyka okres drugi czarnéj wojny.

(*d. c. n.*) *Ign. Radliński.*



O KRYTYCE LITERACKIÉJ W NIEMCZECH.

I.

Krytyka z katedry. Krytyka książkowa.

Krytyka literacka pełniła oddawna pomocniczą rolę w rozwoju cywilizacyjnym: objaśniała, oddzielała ziarno plenne od pustego, a miała przytém stały probierz, od starożytnych pożyczony, miała ideał, do którego stosowała płody ludzkiego umysłu, oznaczając w ten sposób ich wartość wedle wypróbowanego już miernika. Nie było krytyków z zawodu: trudnili się nią poeci i rozmaici uczeni, artyści i mężowie stanu. Było to skromne, bezpretensyonalne zajęcie. Jedni, wzruszeni jakimś utworem sztuki, spisywali zgoła subjektywnie własne wrażenia; inni—doświadczeni i uczeńsi, mierzyli produkcye talentu ludzkiego podług szablonu, jaki się w ciągu wieków wytworzył i starali się czynić to obiektywnie, co się właśnie nazywało krytyką naukową. Dopiero w bieżącém stuleciu stan rzeczy przybrał inną postać, a mianowicie najpierw we Francyi. „Krytyka—mówi Emil de Montégut—jest dziesiątą Muzą. Z nią był Goethe potajemnym ślubem związany. Cóż jest podstawą literatury niemieckiéj, jeśli nie krytyka? Czémże są spółcześni poeci angielscy? Ruchliwi krytycy. Czém szlachetny Leopardi? Krytykiem—pełnym zapału.“

Przez romantyków wzniesiona do godności najmłodszego geniusza ludzkości, zmężniała i urosła ona pod opieką realistów. To, co przeczuwał Gautier lub Montégut, to urzeczywistnił niebawem Sainte-Beuve, Taine, Brandes i Hillebrand.

Chodziło o to, aby krytykę wyzwolić z niewoli okoliczności, których była służebnicą, aby ją następnie ustrzedz od indywidualnych sympatyi i antypatyi, a zarazem uchronić od wady—jednego

wspólnego miernika sądu krytycznego. Uwolniona od powyższych niedostatków—stałaby się umiejętnością niezależną. Sainte-Beuve wypełnił połowę reformy przez to, iż w swych niezmiernie licznych artykułach (liczba ich dosięga 800) nie traktował dzieł luźnie, jeno wiązał je z rozwojem umysłowym ludzi, dawał krytyce podkład psychologiczny i historyczny.

Hipolit Taine usunął subiektywizm, rozszerzył zakres psychologicznéj analizy, nadał jéj w krytyce może nawet za obszerną rolę, ale téż utwierdził słupy, na których się wznosi budowa krytyki nowożytnéj. Metoda jego da się ująć najzwięźléj w trzy postulata. Jeżeli się krytycznie ocenia działalność jakiego autora, trzeba mieć odpowiedź na następne pytania:

a) gdzie się urodził, jacy byli jego rodzice i przodkowie? jakie są wrodzone idee danéj rasy?

b) w jakich stosunkach się wychował? jakie stanowisko zajmował w społeczeństwie? jakim ulegał wpływom? w jaki sposób odczuwał ducha czasu?

c) Jakie były znamiona i tendencye czasu i jak się takowe manifestowały?

Program to zatém nader obszerny: wyklucza on subiektywizm, zaprowadza ścisłą kontrolę między objawami życia jednostki a społeczeństwa, w którém jednostka działa, zmusza do konsekwentnego sprawdzania i tłómaczenia wszelkich zmian w umysłowym rozwoju jednostki przez zmiany w organizmie społecznym i odwrotnie; a daléj—co ważne—całkowicie usuwa stały szablon, a podnosi znaczenie indywidualizmu. Przykład okaże doniosłość téj reformy. Wenecyanin Prococurante, oceniając Raj Utracony Miltona, nie może dlań znaleść dość słów potępienia i nagany—a mówi w imieniu wszystkich Włochów. Nazywa Miltona barbarzyńcem, wiersze jego szorstkiemi i twardemi, widzi w nim naśladowcę Greków, który piękne dzieło stworzenia przekształca w karykaturę (1). Jest to oczywiście pogląd zupełnie subiektywny, oparty na wrażeniu. Addison bierze za miernik reguły Arystotelesa i konstatuje, że Milton jest doskonały—*sans tache et sans reproche*. „Raj utracony nazywa się poematem—boskim—i to wystarcza. Posiada wszystkie piękności najwznioślejszéj poezyi, a jeżeli ma jakie plamki, to nie potrzeba zapominać, że słońce ma je również.”

---

(1) Namiętny Włoch staje się w końcu swéj subiektywnéj krytyce wysoce niesprawiedliwym. „Le mariage du Péché et de la Mort et les couleuvres, dont le Péché accouche, font vomir tout homme, qui a le goût un peu délicat—et sa longue description d'un hôpital n'est bonne que pour un fossoyer. Ce poême obscur, bizarre et dégoûtant fut méprisé à sa naissance.

Macaulay w edymburskiéj Review poświęca również artykuł poematowi Miltona. Szuka on odpowiedzi na pytanie: jakie Milton czyni na mnie wrażenie? Bogactwo obrazów, dykcya, wytworna miara wiersza zachwycają go. Rozentuzyazmowany woła, że poemat jest wyższym, niż wszystko, co poeci późniéj napisali. To krytyka dawna. Nową metodą posługiwali się dwaj krytycy: Taine i Edm. Scherer. Obaj dochodzą do jednakich wniosków. Pierwszy postępuje wedle zwykłego swego programu. Analiza epoki i psychologiczna analiza poety nasuwają krytykowi zdanie, że twórczość poetycka Miltona jest przeważnie rozumową. Geniusz w całéj pełni okazuje się tylko w opisach przyrody Raju Utraconego. Natomiast osoby: Bóg i pierwsza para ludzi są to zwykłe ówczesne angielskie typy. U Shakespeare'a przeważa fantazya, u Miltona rozum. Poemat jest wzniosły, ale nie doskonały. Krytyk wyjaśnia ówczesne prądy socyalne: pokrewieństwo przekonań szatana z republikańskiemi. Cała ta krytyka daje wymienionemu poematowi nowe oświetlenie..

Edmund Scherer w swych studyach o spółczesnéj literaturze (Paryż 1882 t. VI) idzie w ślady metody Taine'a; najpierw kreśli tło czasu, na którém rozwija zasoby talentu Miltona, zaznacza wpływy poprzedzające powstanie poematu, rozbiera na podstawie pism poety rozwój jego umysłowy,—ale—zauważyć trzeba—obraz wypada dość blady a cała krytyczna budowa wygląda tak, jakby się składała z luźnych odłamów, nie spojonych wewnętrznie. Wynik zresztą jest surowszy, niż u Taine'a? Scherer widzi w Raju Utraconym mieszaninę i płód renesansu, starożytności i purytanizmu. Nieśmiertelność poematu polega na piękności epizodów.

W ten sposób jednostronnym ocenom przeciwstawiła nowa krytyka wyczerpujące i umotywowane sądy. H. Taine walczył w obronie swego systemu szeregiem cennych studyów, bądź charakteryzujących indywidua i dzieła, bądź téż zbiorową literacką i cywilizacyjną pracę społeczeństw. Zola wyrządza mu krzywdę, nazywając go bibliotecznym molem lub genialnym kompilatorem, który wyszedłszy z biblioteki na ulicę, nie widzi nic, nawet dorożek przed sobą (1). Doskonałe opisy podróży do Pireneów i Anglii udowadniają, że Taine posiada bystry dar spostrzegawczy. Metodę jego krytyczną przyswoił i przeniósł na grunt germański Duńczyk Jerzy Brandes. Przyjął on w zasadzie i szczegółach system Taine'a, ale rozszerzył takowy. Należy uważać literaturę pewnego społeczeństwa jakby jednę gałęź wielkiego drzewa; ażeby poznać genezę i wartość owocu, potrzeba badać nie tylko stadyum rozwoju téj gałęzi, ale także

(1) Documents littéraires, Paris 1881, artykuł La critique contemporaine str. 339.

i innych, bo owoc jest produktem zbiorowym soków całego drzewa. Każda literatura pozostaje w ciągłym związku i pod nieustannym wpływem innych literatur. Brandes, opatrzony wielkim zasobem erudycyi i ogromnym talentem kombinacyjnym, zrealizował ideę powyższą w dziele „Główne prądy literatury XIX wieku," i oznaczył na długie lata badaniom krytycznym zdrowy kierunek.

Krytyka naukowa w takiém pojęciu staje się rzeczywiście umiejętnością nowożytną i jeżeli wogóle godziwą byłoby rzeczą układać z szeregu umiejętności hierarchią ważniejszych i mniéj ważnych, to krytyka wcale nie na mocy swego znaczenia zajęłaby miejsce „najmłodszego" geniusza.

Oprócz licznych sił pomocniczych, które nowa krytyka liteacka wcieliła w swój zakres, oprócz psychologii i fizyologii, historyi i nauk społecznych, dąży ona pod względem formy do artystycznéj doskonałości. Prace krytyczne Taine'a, Brandesa lub Hillebranda, pomimo całéj swéj naukowéj ścisłości, okazują w obrazowaniu i kompozycyi takie bogactwo fantazyi i wytworność języka, że śmiało je można uważać za dzieła talentów poetyckich. Nie jest to paradoks i nie ubliża bynajmniéj naukowéj wartości. Fantazya poetów κατ᾽ ἐξοχὴν czerpie kształty z rzeczywistego życia, a siła jéj i doskonałość nie zależy wcale od absolutnego zmyślenia. Zola powiedział prawdę, że „rzeczywistość bywa bogatszą od zmyślenia i często daje nam takie kombinacye efektów, że przewyższa najśmielsze oczekiwania. Twórcza siła wyobraźni nie przyozdabia rzeczywistości, ale łączy w całość rysy, które nam życie podaje oddzielnie i ułamkowo." Jeżeli zatém mówię: Brandes jest krytykiem-poetą, to bynajmniéj nie osłabiam naukowéj wartości jego badań.

Krytyka jest „najmłodszym" geniuszem ludzkości—z wieku. Rozwija się ten geniusz i wzrasta potężnie, nie zadowala się bierną rolą interpretacyi, lecz częstokroć staje się w pochodzie nowożytnych społeczeństw—inicyatywą. Obala on i niszczy zmurszałe dawne bogi. Krytyka wykazała ułomność romantyzmu—na całéj przestrzeni Europy, krytyka zabiła niemiecką metafizykę, ona dopomogła francuskiéj literaturze do zachowania dawnéj przewagi, zachwianéj przez romantyzm, ona duńskiéj produkcyi wyjednała prawo europejskiego obywatelstwa. Wszędzie, gdziekolwiek ją szanują i cenią, świadczy niezliczone dobrodziejstwa. Ale nie potrzeba zapominać, że nowożytna krytyka jest z natury swéj kosmpolityczną.

Wszelkie narodowe sympatye i antypatye usuwają się, wszelkie namiętności polityczne, nienawiści rasowe niszczą obiektywność i niweczą naukową podstawę. Które społeczeństwo nie zdoła wznieść się do wysokości spokojnego poglądu na postępy innych społe-

czeństw, w tém—krytyka naukowa znajduje się w stadyum osłabienia. Występują objawy chorobliwe: bezwzględne uwielbienie własnych produkcyi, a ślepe potępianie obcych; rozbicie na tysiąc klik i stronnictw; obawa wobec wpływów zagranicy, cechująca bezsilność; pedantyzm naukowy, a w rezultacie zastój na polu działalności artystycznéj i literackiéj.

Taki smutny obraz przedstawiają pod tym względem dzisiejsze Niemcy. Dwaj wybitnym talentem obdarzeni krytycy--Hermann Hettner i Karol Hillebrand pomarli. Pierwszy za.życia nie doznawal u społeczeństwa takiego uznania, na jakie zasłużył (1); drugi, znakomity znawca literatury europejskiéj i celujący pisarz, nie wywierał odpowiedniego wpływu w Niemczech, bo wielką część życia spędził zagranicą i rozkruszył pracę swą na artykuły. Być może, że świeżo ukończone zbiorowe wydanie dzieł pozostawi trwalsze ślady, niż krytyczna jego czynność za życia (2).

W spółczesnéj krytyce naukowo literackiéj Niemiec rozróżnić trzeba dwa niezawisłe od siebie kierunki: krytykę z katedry i książkową. Dwoistość taka jest objawem specyalnie niemieckim. W żadném społeczeństwie europejskiém nie odgrywa w systemie wychowania narodowego tak ważnéj roli uniwersytet, jak w Niemczech. Młodzież, nie umiejąca jeszcze samodzielnie oddzielać ziarna od plewy, chwyta w dobréj wierze i przyswaja z wiarą *in verba magistri* podawany jéj pokarm. Profesorowie zaś poprzestają na wykładzie ustnym, nie publikując takowego. Wykład ten posiada liczne zalety; jednakże ujemną jego stroną w danym razie jest to, że przekonania wypowiedziane gorącém słowem wsiąkają w młode umysły i tworzą zastępy uczniów profesorskich w najściślejszém pojęciu tego słowa. A profesorowie literatury na niemieckich uniwersytetach, przewodniczący seminaryom, są to ludzie wyrośli w uwielbieniu chwały narodowéj, bezpośredni epigonowie jeśli nie Goethego lub Schillera, to braci Schleglów, Tiecka, Hölderlina i całéj plejady romantyków,—ludzie starzy, głoszący z rękami wzniesionemi do góry klątwę nowym prądom, których wyrozumiéć nie mogą i nie chcą.

Tak jest we Wiedniu, Lipsku, Monachium, tak w Zurychu, Bazylei—i innych ogniskach życia uniwersyteckiego. Edward Hartmann w artykule o studyum filozofii (3) wyraża się z gorzkim sar-

---

(1) W świeżo wydanéj korespondencyi Arnolda Ruge'go znaleść można wyrazy lekceważenia i niechęci uczonych niemieckich ku Hettnerowi.

(2) Dzieła Hillebranda wydane p. t. „Zeiten, Völker u. Menschen. Berlin tomów 6. W skład wydania nie wchodzą prace pisane po francusku i angielsku.

(3) Moderne Probleme. Leipzig 1886. Das Philosophie-studium.

kazmem o filozofach z katedry. „Nie są oni zdolni—powiada—nie tylko do samodzielnéj budowy, ale nie wzrośli do pośredniczenia między filozofią a młodzieżą. Męczą się dawnemi systemami. Wyjątków trzeba ze świecą szukać. Najradykalniejszym środkiem reformy byłoby spensyonować profesorów filozofii, a przedmiot ten wykreślić z rzędu wykładów.“

Prawie toż samo możnaby powiedzieć o krytyce literackiéj profesorów uniwersyteckich w Niemczech. Pomimo tego, że potrzeba traktowania literatury porównawczo dość głęboko się już w Niemczech przyjęła, profesorowie ograniczają się przeważnie na interpretacyi najświetniejszéj epoki literatury niemieckiéj—epoki klasycznéj. I nie można tego nazwać krytyką. Skoro profesor niemiecki ma mówić o Goethe'm lub Schillerze, pełen uwielbienia—zakrywa oczy na usterki, i splata bukiet, uwity wedle metody ś. p. spekulatywnych estetyków niemieckich, bukiet, złożony z najpiękniejszych kwiatków niemieckiéj wymowy i poezyi. Dla trwalszego efektu rzuca się naturalnie, porównawcze pociski na nędzne i ułomne utwory spółczesne zagranicą, zaprawia się wykład sarkastycznym dowcipem, który wywołuje salwę tłumionego dyskretnie śmiechu,—i obie strony zadowolone z odegranéj komedyi.

Sala uniwersytecka jest w Niemczech świątynią; katedra—kazalnicą, z któréj się głosi chwałę półbogów niemieckich. Któryż profesor literatury ośmieli się z katedry wypowiedzieć jaki ujemny sąd o niezrównanych wieszczach niemieckich? Wywołałoby to tysiące protestów, grożących ukamienowaniem.

W 1882 roku berliński profesor Du Bois-Reymond ośmielił się w rektorskiéj swéj mowie p. t. „Goethe und kein Ende“ wskazać psychologiczną wadliwość Fausta i przecenianie zasług, oddanych przez poetę naukom przyrodniczym. Co do Fausta—mniema Du Bois-Reymond—fałszywém jest, że Faust odbiera sobie życie dla tego, że zdobywa przekonanie, iż „ignorabimus“; wykazuje daléj niekonsekwencye i sprzeczności między przekonaniami Fausta a jego czynami, naśladownictwo Hamleta (1), nazywa wreszcie Fausta „der Hexenglaube in höherer Sphäre.“ Co do nauk przyrodniczych udowadnia, że Goethe nie rozumiał Newtona, z ubolewaniem przypomina, że optykę Jounga i Fresnela nazywał ironicznie „Katzenpastete,“ stwierdza następnie, iż pojęcie mechanicznéj przyczynowości było dla Goethego kompletną tajemnicą—a naukę o „barwach“ mieni

---

(1) w Fauście: „Zu diesen Schritt sich heiter zu entschliessen
Und wär'es mit Gefahr ins Nichts dahin zu fliessen,“
a Hamletowskie: „To sleep, perchance to dream...“

„todtgeborene Spielerei eines autodidaktischen Dilettanten“. Metamorfozę roślin odkrył przed nim Caspar Frd. Wolff; teoryą stosu pacierzowego Oken itd.

Wprawdzie już przed Reymondem osłabili znaczenie Goethego w naukach przyrodniczych Helmholtz i Brücke; ale uczyniono to okolicznościowo, i pomimo tego u ogółu Goethe uchodził za genialnego przyrodnika. Wszakże taki uczony jak Haeckel mieści go w równym rzędzie z Lamarckiem i Darwinem (1). Można sobie tedy wyobrazić, jaki popłoch sprawił sąd powyższy. „Mowa o Goethem— pisze Du Bois-Reymond (2) wywołała w prasie przeciwko mnie prawdziwą burzę.“ „Osobliwie parę stronnic dotyczących Fausta zrodziło powódź artykułów, pełnych oburzenia, pogardy i sarkazmu. Nie mogło być inaczéj. Istnieje w Niemczech szeroko rozgałęziona gmina, która wychowała się i urosła w bałwochwalczém ubóstwieniu wielkiego poety i uważa za profanacyą wszystko, co nie tchnie bezwarunkową pochwałą.“ „Wydaje się jéj to zuchwałym występkiem, jeśli kto się ośmieli podpatrzéć, czy téż bożek ich nie spoczywa na glinianych nogach“ (3).

Jeszcze parę rysów do uzupełnienia poglądu na krytykę z katedry. Najpierw—literatury narodów słowiańskich—jakby nie istniały. Stosunek, w jakim pozostaje znajomość cywilizacyi niemieckiéj u Słowian do znajomości słowiańskiéj cywilizacyi u Niemców jest anormalny i rażący. Jeśli profesor niemiecki, wykładający europejską literaturę porównawczo, raczy okolicznościowo nadmienić słówko i o literaturze np. polskiéj, to w dziewięciu razach na dziesięć bywa to—absurdum. Wszakże pomimo tego, że Mickiewicz mieszkał ćwierć wieku zagranicą, że dzieła jego przekładano wielekroć na obce języki, że niemiecki—posiada po niemiecku pisane zarysy polskiéj literatury, nie wahał się sławny i znakomity profesor Maurycy Carriere twierdzić w r. 1883, że Pan Tadeusz jest naśladowaniem byronowskiego Don-Juana i że Mickiewicz w poemacie swym opisuje miłosne awantury na Litwie.

Ale i téj podobne wzmianki zdarzają się nie często. Wogóle powiedzieć można, że w krytyce z katedry literatury słowiańskie pomijają się zupełném milczeniem.

---

(1) W pracy „Die Naturanschauung von Darwin, Goethe und Lamarck. Deutsche Rundschau T. XXXIII str. 69.

(2) Reden v..... 1-e Folge. Litteratur, Philosophie, Zeitgeschichte. Leipzig 1886 str. 418 i d.

(3) Pojawiły się całe książki skierowane przeciw téj mowie. Np. Kalischer: Goethe als Naturforscher und Herr Du Bois-Reymond als sein Kritiker. Eine Antikritik. Berlin 1883. Albo: Alfred Berger: Goethe's Faust und die Grenzen des Naturerkennens wider Goethe und Kein Ende v. E. d. B—R. Wien 1883.

Zresztą—taki sam los spotyka najnowszą produkcyą wogóle: krytyka z katedry po za okres romantyczny niemiecki nie lubi przekraczać.

Dalszym ciekawym rysem krytyki z katedry jest kult Szekspira. Szczęśliwy! On jeden ze wszystkich mocarzy słowa przedarł grubą powłokę szowinizmu. Proszę przeglądnąć programy uniwersyteckich wykładów: niemal w każdym uniwersytecie co roku znajdują się prelekcye o Szekspirze. Dla niego mają profesorowie tyleż pietyzmu, co dla własnych mistrzów, tyleż, co dla Goethego, z którym się go zwykle we wstępie i epilogu wykładów porównywa. Romantycy kult ten rozpoczęli. Spekulacya filozoficzna nic w nim nie nadwerężyła. Hegel naznacza Szekspirowi najwyższe miejsce w dziejach poezyi.

Później Gervinus w ogromném czterotomowém dziele napisał apoteozę angielskiego poety. Czyni go największym z moralistów, najwymowniejszym obrońcą wyroków opatrzności, doskonałym kierownikiem ludzkości na drodze cnoty! Dopiero atoli od r. 1866 poczęły się gruntowne badania na tle epoki. Zainaugurował je Gustaw Rümelin, a typowo niemieckim rysem jego dzieła jest to, że przeprowadza paralelę między Szekspirem a Goethe'm i rzecz naturalna—ostatniemu przyznając wyższość.

Jednym z najlepszych znawców i tłómaczy Szekspira jest obecnie monachijski profesor Michał Bernays, inteligentny wydawca przekładów Tiecka i Schlegla. Interesującą jest różnica w metodzie, jakiéj docent ten używa przy omawianiu dzieł klasycznéj poezyi niemieckiéj a Szekspira. Tam—pełen świętego zapału, wielbi podniesionym głosem piękności i deklamuje całe stronnice z pamięci; tu zaś umiejętnie i spokojnie rozważa genezę utworów, bada wpływ ich na następne wieki w Anglii i po za nią, z ołówkiem w ręku najstaranniéj notuje i wyjaśnia najpiękniejsze ustępy, a nie przebacza wadom.

Dość jednak o krytykach z katedry: nie znaczyliby oni wiele w zakresie ogólnéj krytyki literackiéj, gdyby z ziarna przez nich rzuconego nie wyrastał tłum krytyków książkowych.

W prasie polskiéj spotkać można utarty dość frazes, że Niemcy wznieśli poetom swoim piękne pomniki z dzieł krytycznych, że wyszukali i zebrali najdrobniejsze szczegóły, dotyczące życia poetów.

Zdawałoby się zatém, iż praca krytyczna ukończona, a skoro napisano tysiące i dziesiątki tysięcy dzieł i rozpraw krytycznych o literaturze niemieckiéj, oświetlono i najgruntowniéj oceniono już wszystko.

Tak nie jest. Krytyka książkowa w Niemczech była i jest dotychczas filologiczną. Wzorów dostarczała jéj starożytność, a mianowicie szkoła gramatyków aleksandryjskich: Zenodot, Arystofanes, Arystarch. „Oni rozumieli krytykę—mówi jeden z profesorów niemieckich (1)—zupełnie tak, jak my ją dziś pojmujemy. Mieli niższą i wyższą krytykę: koniekturalną i historyczno-estetyczną.“ Taką téż jest i dzisiejsza krytyka niemiecka. O Goethe'm zgromadzono stosy książek; sam brałem udział w prywatném seminaryum profesora niemieckiego, na którém przez trzydzieści godzin, rozłożonych na miesiące zdołano zaledwie objaśnić dwa niewielkie okolicznościowe poemaciki Goethego: „Zueignung“ i „Ilmenau“. Każdy wiersz, bez przesady powiem—co trzeci wyraz ulegał uwagom i zastanowieniom. Pedanterya pod tym względem nie ma granic. A pomimo tego—mowa Du Bois-Reymonda i skutki jéj świadczą, jak niewyrobionym i ułomnym jest dotychczas ogólny sąd o Goethem. Tak samo rzecz ma się z Schillerem. Dość powiedzićć, że istnieje cały szereg rozpraw o kościach Schillera. Nie każdemu może u nas wiadomo, że Schillera po śmierci wynieśli na swych barkach przyjaciele o pierwszéj po północy z 10-go na 11-y maja 1805 r. i złożyli w kaplicy, do któréj od czasu do czasu rzucano inne zwłoki. W 1826 roku, a więc we 20 lat potém, gdy chodziło o usunięcie kości z kaplicy i oczyszczenie jéj, postanowił burmistrz wejmarski Schwabe odszukać szczątki Schillera. Okazało się atoli, że kości dwudziestu trzech osób złożonych tamże są pomieszane. Pomimo trudności Schwabe wynalazł najpierw czaszkę, która imponowała wielkością i posiadała wszystkie zęby, jak u Schillera, a następnie z pomocą Goethego i trzech rzeczoznawców odszukano za pośrednictwem pomiarów anatomicznych cały kościotrup. Sprawa—zdawałoby się—załatwiona, zwłaszcza, że ściśle porównywano pośmiertną maskę poety z czaszką. Tymczasem w roku 1883 profesor anatomii w uniwersytecie w Halli, Hermann Welcker powtórzył porównanie maski pośmiertnéj z czaszką i wydobył odmienne wnioski.

Na masce prawe ucho leży wyżéj, niż lewe, na czaszce odwrotnie; nos i otwory oczu odmienne, stosunek linii profilu u obu różny; cały rzekomo szyllerowski szkielet musiał należeć do człowieka o 20 lat młodszego. Można sobie wyobrazić, jaką wrzawę wywołały rezultaty nader sumiennych, miesiące trwających badań Welckera, ogłoszone w książce „Schillers Schädel und Todtenmaske nebst Mittheilungen über Schädel und Todtenmaske Kants. Braun-

---

(1) Znany filolog Jakób Mähly w wykładzie „O krytyce literackiéj,“ mianym w uniwersytecie bazylejskim w zimowém półroczu 1885/6 r.

schweig 1883." Podniosły się liczne protesty i dowodzenia (1). Polemika ta okazuje dostatecznie kierunek i sposób badania krytycznego. Każda część ciała, każda kość Schillera uwzględniona, wszystkie szczegóły życia dotknięte i znane, korespondencya zebrana, ale sąd ogólny Niemców o twórczości tego poety nie zadawala trzeźwego krytyka. Namiętne obniżenie wartości poematów Schillera przez romantyków przeszło bez wpływu: kult—trochę ślepy—nic na tém nie stracił. A kiedy w 1883 r. Scherer w swéj historyi literatury poważył się zakwestyonować artystyczną wartość takich utworów jak Fiesco lub Intryga i miłość, ściągnął na siebie liczne gromy prawowiernych czcicieli. Więc nie pomogły owe setki i tysiące broszur, dzieł i rozpraw, skoro sąd w społeczeństwie niewyrobiony; więc krytyka literacka nie spełniła swego zadania. Podczas gdy zbieranie szczegółów biograficznych, pracę koniekturalną, ocenę materyału uważa się za wstępne badania, krytycy niemieccy, wyjątki można na palcach zliczyć—upatrują w tém cel. Stąd wytworzyła się formalistyka bezpłodna, zapanował szablon krytyczny, obejmujący nawet styl. Typowym przedstawicielem tego rodzaju krytyków jest Rudolf Gottschall, redaktor lipskiego miesięcznika „Unsere Zeit," autor wielu dzieł krytycznych, a zarazem romantyczny poeta i powieściopisarz (2). Ma on dla wszystkich autorów, których ocenia, jednę miarę, rozprasza się na mnóstwo szczegółów, pokrywa niedostatek ogólnego poglądu zgrabnym frazesem, a oprócz tego przystępuje do krytycznéj pracy w rękawiczkach, nie szczędzi pochwał i wyznawca zasady „de mortuis aut nihil aut bene" umie zachować, gdzie potrzeba, ugrzecznioną dyskrecyą. Jest on idealistą. Nie potrafi ocenić twórczości psychologicznie. Lubi się bawić w ładne słówka: podrzuca je i pieści się niemi jak małe dziecię z piłką.

Jakie prądy oddziaływały na zmianę dążeń i wyobrażeń pisarza, jak się kształtował jego rozwój, i wogóle dążenie do łączenia umysłowego rozwoju człowieka z jego produkcyą—wszystko to nie

---

(1) Wymieniam:

a) Karol Schwabe w Gartenlaube 1883 nra 46 i 47.

b) Jan Schütze—Pamiętniki.

c) Karol Siegen: Das Schicksal von Schillers Gebeinen (Gegenwart 1883 w 30 i 31).

d) Welcker: Zur Methode der wissenschaftlichen Beweisführung. Aus Anlass der Frage nach den Schillergebeinen (tamże nra 46 i 47).

e) Weimarische Ztg. 1883 nra 142 i 143.

f) Nationalztg. berlińska Nr. 293 r. 1883.

(2) Najnowsza książka jego krytyczna jest: Litterarische Todtenklänge und Lebensfragen. Berlin 1885. Ocenia tu działalność Gutzkowa, Laube'go, Freiligratha, Geibla, Dingelstedta, a oraz zajmuje się romansem francuskim, dramatyczną poezyą Francyi, Niemiec, jako też niemiecką komedyą.

istnieje. Gottschall uważa człowieka, jako świat sam w sobie, odrębnie od wpływów otoczenia. Jeżeli pisarz ma zaszczyt być Niemcem, doznaje łaskawych względów. Błędy się zakryją, zasłonią. Rys ten w krytyce niemieckiéj powtarza się tak często, że pozwolę sobie przytoczyć parę przykładów. Gottschall wydał monografią o Gutzkowie. Poeta ów — autor „Uriela Akosty“ — napisał był utwór sceniczny p. t. „Urbild des Tartuffe.“ Za treść posłużyły mu dzieje zakazu cenzury co do Molierowskiego Tartuffe'a w roku 1667; jest-to więc utwór historyczny. Gutzkow atoli popełnia bardzo wiele historycznych i niehistorycznych błędów. Nie znał on Tartuffe'a, nie znał dzieł Moliera, najzabawniéj pomięszał jego komedye powstałe przed rokiem 1667 z późniejszemi, nie umiał nawet języka francuskiego. Radcę parlamentu Lefevre'a tytułuje „huissier“, nazwisko Fleurant'a, aptekarza w „Malade imaginaire“ wywodzi od słowa „fleurir“, podczas gdy imiesłów tego czasownika byłby „fleurissant.“ A daléj — zupełnie fałszywie formułuje zarzuty, czynione od czterech obrażonych przez Moliera stanów, t. j. lekarza, prawnika, członka akademii i urzędnika policyjnego; obrzuca błotem pamięć ówczesnego prezydenta parlamentu Lamoignon'a, czyniąc go Tartuffem, gdy tymczasem Molier miał na myśli inny model, mianowicie abbé Roquette; niemiecki poeta, złudzony podobieństwem nazwisk Chapelle i Chapelain bierze pierwszego za drugiego i najfałszywiéj go charakteryzuje: jedném słowem utwór jest obrazem smutnéj ignorancyi i nagannego lekceważenia. Długi regestr tych i innych błędów spisał Paweł Lindau w starannéj i obszernéj krytyce (1). Gottschall zajmując się dziełami i życiem Gutzkowa, znał oczywiście recenzyą swego przyjaciela, bo na inném miejscu cytuje jego książkę. Pomimo to, mówiąc o sztuce powyższéj, ani jedném słówkiem nie dotyka wad jéj i ma dla niéj tylko wyrazy uznania. Nie przeszkadza mu to wcale do porównywania Gutzkowa z Bulwerem, Goethem, Schillerem, nawet Szekspirem.

Inny przykład tendencyjnego przemilczenia faktów, a zarazem wpływu odmiennych przekonań na ton krytyki, dotyczy poety Henryka Laubego. Był on realistą — należał zatém do przeciwnego obozu.

Laube kierował teatrem lipskim właśnie w czasie, kiedy Gottschall był wpływowym sprawozdawcą teatralnym dziennika „Leipziger Tageblatt.“ Laube rządził sceną lipską wybornie: pracował bez znużenia, spędzał na scenie dni całe, wybierał sztuki starannie. Mimo to nie uniknął kolizyi z krytykiem dziennika lipskiego. Po-

---

(1) Litterarische Rücksichtslosigkeiten. Leipzig 1871, str. 179—236.

częły się gorszące sceny: zarzucano sobie wzajemnie lekkomyślność, stronniczość, głupotę. Doszło nawet do burd w foyer teatru.

Po śmierci Laubego Gottschall napisał o życiu jego i pracach monografią. O całém powyższém stadyum w życiu poety przemilcza; ale nie zaniedbuje ostrem żądłem niechęci kłóć pamięć zmarłego, ilekroć przy ocenie dzieł lub życia znajdzie ku temu sposobność. Nic dziwnego zatém, że krytyka naukowa — czy to z katedry czy książkowa — nie wywiera w Niemczech wpływu dodatniego. Gubi się ona w scholastycznym formalizmie, staje się częstokroć służką namiętności i uprzedzeń, a przedewszystkiém grzeszy jednostronnością. Złe skutki cięża tak na produkcyi literackiéj, jakotéż na handlu książkowym.

Spółcześni niemieccy autorowie obracają się w szczupłém kółku, po za które im trudno przekroczyć. Szablon panuje szeroko i wszechwładnie. Liryk Geibel przed kilkudziesięciu laty wykształcił formę swéj pieśni i przez długie życie nic innego prócz pieśni nie śpiewał; forma noweli przyrosła do Heysego. Niemiec przywykł do myśli, że mu Heyse poda co roku, jako dar noworoczny, nowy tom noweli, że otrzyma od Ebersa lub Feliksa Dahna świeżą powieść historyczną, od Rosegger'a lub Anzengrubera jeszcze jeden romans ludowy. Rzecz naturalna—wszystko to muszą być arcydzieła—bezwarunkowo. Kiedy przed rokiem pomarli Geibel i Auerbach — sypnęło się mnóstwo nekrologów i nie było człowieka, coby nie uległ ślepemu entuzyazmowi i nie złożył dłoni do bezmyślnych oklasków. Wśród niezliczonych krytyk twórczości Heysego nie znam żadnéj, którąby się ośmieliła pominąć tytuł „mistrza." Porównania odgrywają w takich krytykach bardzo ważną rolę. Geibel mierzy się z Berangerem i Wiktorem Hugo, głowa Heysego jak dwie krople wody podobna do głowy Goethego, ale także i Rafaela i t. d.

Krytyka naukowa nie posiada téż w Niemczech żadnéj powagi. W Anglii rozstrzyga ona los dzieła, w Niemczech również, jeno w odwrotnym sensie: pochwały krytyki budzą powątpiewanie o wartości dzieła i zmniejszają jego rozpowszechnienie, a ostre napaści i polemika wywołuje zaufanie i zbliża publiczność do autora (1).

I

Krytyka okolicznościowa.

„En ce moment, nous n'avons pas de critique en France" — pisał Zola w 1881. „Czy mamy jeszcze krytykę literacką?" — woła

---

(1) Por. *a*) Hartmann: Moderne Probleme Der Bücher Noth.— *b*) Wolfg. Kirchbach: Ein Lebensbuch. München 1886. Artykuł „Die deutsche Kritik."

Kirchbach w 1886. Jeżeli zdanie Zoli, zastosowane do Francyi, nie jest tak stanowczo pewném, jak mu się zdaje, to przecząca odpowiedź literata niemieckiego wydaje mi się słuszną w zastosowaniu do krytyki okolicznościowéj. Paradoksalnie brzmi sąd: „niemasz krytyki w Niemczech“ dla tego, kto wié, że przecież istnieją tygodniki, wyłącznie krytyce poświęcone, że każdy miesięcznik, każdy literacki tygodnik, każdy z licznych dzienników pielęgnuje i strzeże powinności krytycznych. A jednak zdanie to prawdziwe, o ile się ma na myśli krytykę okolicznościową. Posiada ona dziś wielkie znaczenie. Dzieła naukowe coraz mniéj się rozpowszechniają i mniéj mają nabywców: skargi w tym względzie znaleść można w całéj Europie. Natomiast czasopisma zaspakajają potrzeby nawet inteligentnéj klasy, która się zadawala temi okruchami wiedzy, jakie znajduje w miesięcznikach, tygodnikach i dziennikach. To staje się powodem, że okolicznościowa krytyka literacka nabiera wagi i znaczenia. Od jéj wpływu i wartości zależy — rzecby można — powierzchnia przeciętnéj inteligencyi społecznéj. Zrozumieli to, jak nie można lepiéj— francuscy krytycy literaccy. Dość przeglądnąć roczniki paryskiéj „Revue critique d'histoire et de littérature“ aby się przekonać, że pismo to posiada jasną świadomość swego zadania i wzorowo je wypełnia. Krytyka okolicznościowa nie ma wcale specyalnego celu wskazywania usterek dzieł lub gruntownéj analizy twórczości: wykonywa ona raczej funkcye bióra informacyjnego. Pośredniczy pomiędzy czytelnikiem a autorem, objaśnia, oświetla główne punkta dzieła, a wreszcie w sposób, o ile można, przystępny i popularny podaje rdzeń jego dla tych, którzy nie mają sposobności czytać obszerniejszych książek. Oczywiście, jeśli ma nastąpić porozumienie— ton musi być spokojny, nienamiętny.

Kiedy np. sprawozdawca powyższego tygodnika A. Chuquet pisze o publikacyach niemieckich, nie wdaje się w wyszukiwanie błędów, jeno treściwie i umiejętnie usiłuje czytelnikowi przedstawić jasny obraz książek (1). Napróżno szukałbyś tu jakiejś szykany, sarkazmu. Inna jest metoda krytyki okolicznościowéj w pismach niemieckich. Sławne niemieckie „das Grübeln“ wsiąka i tu z całą siłą. Recenzentowi nie idzie o to, aby dać treściwy wyciąg z dzieła—gdzie tam. Recenzent—najczęściéj nerwowy, rozdrażniony, gorzki, często niegrzeczny i brutalny, wpada odrazu *in medias res*, zaczyna wyławiać drobne błędy z dzieła i prezentować je przed zdumionym czytelnikiem, który nie zapoznał się wcale z treścią. Biorę z pośród se-

(1) Za wzór takiéj metody służyć może np. sprawozdanie z 12 publikacyi niemieckich o Goethem w 45 numerze tego pisma z r. 1885.

tek na chybi-trafi jeden przykład. Stefan Pawlicki wydał w tłómaczeniu niemieckiém znane dzieło „Początki chrześciaństwa“ (1). Recenzent niemiecki w poważnym, specyalnie-krytycznym tygodniku (2) zaczyna w następujący sposób: „Nie wiadomo, co należy więcéj podziwiać; czy zręczne uszykowanie dowodów, czy téż umyślne przemilczanie i fałszowanie; powierzchowność, okazującą się w pomijaniu problematów, czy wiarę autora w ignorancyą czytelników.“ Grzeczny wstęp. Oczekuje się — rzecz jasna rozumnego umotywowania sądu, ale nadaremnie. Za całą odpowiedź recenzent chwyta kilkanaście drobnych usterek z dużego dzieła, zaznacza je jako błędne, opatruje cytaty, wypisane z książki prof. Pawlickiego imponującemi wykrzyknikami w nawiasach—i sprawa załatwiona. Nie uznaje za właściwe podać treści dzieła lub wymienić jego cechy znamienne. Podług tego wzoru kształtuje się $^3/_4$ recenzyi niemieckich.

Przyczyny tego zła rozmaite.

Ważną jest wielka ilość stronnictw, hołdujących odmiennym przekonaniom, tworzących szkoły i kliki. Szkodliwie panoszy się mylne wyobrażenie, że w okolicznościowéj krytyce literackiéj tak jak np. w polityce stronnictwa i koterye odgrywać powinny ważną rolę: skutkiem tego czuć się daje coraz dotkliwiéj brak obiektywnego sądu. Jedno stronnictwo chce pisać głoskami gotyckiemi, drugie łacińskiemi, jedno potępia romans historyczny, a zachwala obyczajowy, drugie wprost przeciwnie; jedno w metodzie naukowéj większą wagę kładzie na zużytkowanie materyału, inne na układ; jedno zaleca produkcyą literacką, drugie działalność receptywną. Ci chcą, aby materyał naukowy zużywać w tekście, tamci uwzględniają liczne cytaty.

Taka rozmaitość osobliwie w krytyce okolicznościowéj jest szkodliwą i niepożądaną. Jakże często zdarza się czytać recenzye pisane przez krytyków przeciwnego, niż autor dzieła, obozu. Wówczas recenzent odrzuca na bok względy parlamentaryzmu, staje się niegrzecznym, a takie zwroty, jak „für den Papierkorb“, „Makulatur“, „Stupidität“, „Impotenz“, „Bornirtheit“ i t. d. należą jeszcze do łagodnych. Przyjaźń lub nienawiść osobista, dążenie do jednego celu materyalnego, ubieganie się np. o jednę posadę, konwencyonalne fałsze wszelkiego gatunku kształtują i zabarwiają krytykę okolicznościową. „Jest to jeden z najsmutniejszych objawów nowożytnéj cywilizacyi, że takie koterye i związki wynoszą częstokroć

---

(1) Der Ursprung des Christianismus. Mainz 1885.

(2) Litterarisches Centralblatt für Deutschland, red. prof. Zarncke; dział teologii numer 44, 1885 r.

w górę ludzi nic nieznaczących, a przygniatają tęgich: szeroki świat pozwala się w wielu wypadkach łudzić“ (1). Anomalie te spotyka się nawet w sferach, gdzieby się ich nie oczekiwało, a mianowicie przy ocenie prac docentów przez profesorów zwyczajnych. „Prace te — pisze Flach — bywają naturalnie zazwyczaj, wedle zdań profesorów, nie dość przetrawione, pobieżne. Może to być często prawdą, ale w każdym razie profesorowie powinniby uwzględniać to, że oni pracują spokojnie i w dostatku, podczas gdy docent potrzebuje częstokroć szybciéj wydać pracę, aby sobie na chleb zarobić. Niektórzy zwyczajni profesorowie, lękliwi i zazdrośni, obawiają się współzawodnictwa zdolnych docentów na tejże wszechnicy, podszczuwają więc swych młodzieńczych uczniów, aby pisali zjadliwe i szydercze recenzye, a sami dostarczają im tylko skromnie i niewinnie kilku żółcią zaprawnych pigułek do użycia. Niemieccy profesorowie!...“

Inném znamieniem krytyki okolicznościowéj jest brak oryginalności. Przyczyna téj wady spoczywa niezawodnie w smutnym objawie, że krytykę okolicznościową traktuje się jako zatrudnienie uboczne dość podrzędnéj natury. Jest to w Niemczech — pomimo specyalnych pism krytycznych—rzemiosło literackie. Poeci, artyści i uczeni z zawodu albo wcale nie mieszają się do pracy krytycznéj, albo téż raczą (dotyczy to zresztą wyłącznie niemal uczonych) wypuścić od czasu do czasu w świat jaką notatkę (*Anzeige*) mało znaczącą i anonimową. Krytyka więc okolicznościowa spada z konieczności na słabe barki niefachowych i drugorzędnych publicystów, którzy zatrudnieni ważnemi kwestyami życia społecznego i politycznego — tak olbrzymio rozwiniętego w Niemczech — lekceważą krytykę i poświęcają jéj chwile, wolne od innego zajęcia. Taką jest geneza zgubnego dla rozwoju oryginalnéj krytyki okolicznościowéj powtarzania sądów, wypowiedzianych już przez inny organ, powtarzania bez kontroli i w dosłownem brzmieniu. Utworzył się nawet język stereotypowy, pewna maniera, zabijająca oryginalność. Obiega od dziennika do dziennika garstka wyrazów technicznych i młodzieńczy aspirant dziennikarski potrzebuje jeno wybębnić odpowiednią ilość porównań z dziedziny sztuki: malarstwa, architektury, muzyki, potrzebuje ułożyć sobie taką podręczną mozaikę, aby w danym razie z zupełném powodzeniem operować nią w rozmaitych kierunkach. „X. należy niewątpliwie do najzdolniejszych i pełnych nadziei młodych poetów. Makartowski koloryt obudza w nas nastrój jakiegoś upojenia; utwór jego można nazwać poprostu genialnym.

(1) Der deutsche Professor der Gegenwart v. Dr. Johannes Flach. Universitäts professor. Leipzig 1886. Rozdział: „Die deutsche Kritik.

Niekiedy przypomina Böcklina, niektóre jego poezye podobne do fresków, rzuconych i wykonanych śmiałą ręką“ i t. d.

Rzecz jasna — inne formułki tworzą się dla młodych, inne zaś dla starych i uznanych już autorów. Lecą one, jakby wichrem gnane, i obiegają łamy dziennikarskie— z Wiednia do Berlina, z Berlina do Lipska, z Lipska do Frankfurtu, z Frankfurtu do Monachium.

Dla młodych autorów niemieckich ma krytyka okolicznościowa stałą formułkę pobłażliwéj zachęty; dla uznanych wyrazy rozentuzyazmowanych pochwał. „Pojawiło się nowe dzieło X! Poprzednie dzieło sławnego autora znalazło w krytyce i u publiczności najlepsze przyjęcie. Niniejsza książka, jako arcydzieło stoi jeszcze wyżéj. Autor zdobył sobie poczestne miejsce obok Schillera i Szekspira (jeżeli jest dramatycznym pisarzem), obok Spielhagena i Freytaga (jeżeli to powieści pisarz.“

Jestem przekonany, że w żadném społeczeństwie nie rozwinął się w tak gorszący sposób system wzajemnéj adoracyi, jak w Niemczech. Wszakże sami Niemcy, a przynajmniéj ci z nich, co sądzą bezstronniéj, przyznają, że krytyka okolicznościowa niemiecka—jest to „eine Gesellschaft zur Rückversicherung auf gegenseitige Lobhudelei“ (towarzystwo ubezpieczenia wzajemnéj adoracyi). Biorę jako przykład na chybi-trafi oceny najlepszéj noweli Heysego p. t. „Unvergessbare Worte“ Węzeł główny noweli następujący.

Wiktorya v. Hainstetten, bogata obywatelka Styryi, zwiedza w podróży pewną sławną willę koło Vicenzy i poznaje tam niemieckiego uczonego, którego zaprasza do dóbr swych. Wkrótce oboje się kochają. Połączenie bliskie. Raz Wiktorya opowiada cały fakt powyższy jednéj ze swych przyjaciółek i dodaje, że dawno już pragnęła ową willę „z całym jéj inwentarzem“ zakupić i cieszy ją, że zamożność pozwala jéj nabyć na własność zamiast np. Tycyana—owego niepozornego uczonego. Profesor słyszy przypadkowo te słowa, opuszcza zamek, zrywa swój stosunek i umiera, bo mu serce z bólu pękło. Wiktorya umiera także niezamężną, a na grobach obojga wyryto słowa: *oblivisci nequeo.*

Jak widzi czytelnik, pomysł kunsztowny, psychologiczne prawdopodobieństwo kruche; etyczne motywa wątpliwéj wartości, bo gdyby każdy człowiek kierował się w życiu taką wyrafinowaną spekulacyą uczuć, jak ów uczony, toby życie stało się bardzo gorzkiém. Krytyka zaś niemiecka posiada jedynie słowa zachwytu. Jedni głoszą, że to najlepsze ze wszystkiego, cokolwiek Heyse napisał; drudzy sądzą, że pod względem artystycznym jest to niezrównana doskonałość, jeno z pesymistyczném zabarwieniem; inni naiwnie mniemają nawet, że utwór to „za doskonały.“

Znany psycholog Juliusz Duboc w delikatny i oględny sposób wypowiada wprawdzie wątpliwość co do podkładu psychologicznego, ale tę grzeczną pigułkę owija w niezliczoną ilość komplementów: „poetyczna potęga autora“, „złoto szczere jego poezyi“. „wspaniały pomysł“, „czarująca świeżość“, „orzeźwiający posiłek“, „nieskazitelna czystość moralna“ i t. p.

Ten, kto nie zna zakulisowéj wartości owych błyszczących ogólników, a spotyka je na wszelkich miejscach w tygodnikach, dziennikach, nawet miesięcznikach, gdzie tylko mowa o produkcyi niemieckiéj, szuka z ciekawością np. prób historycznego romansu niemieckiego. Czyta—najkorzystniéj uprzedzony — parę romansów Jensena Wilhelma, niekontent ale z wiarą bierze się do Feliksa Dahna, przechodzi nareszcie do Jerzego Ebersa, i znajduje przeważnie utwory pod względem artystycznym manierowane, bezduszne. Następuje przykre rozczarowanie, zwłaszcza jeżeli czytelnik rozpieścił smak na wytwornych historycznych obrazach Walter-Scotta. A krytyka głosi wciąż swoję oklepaną piosnkę o „narodowych świecznikach.“ Istotnie: *lucus a non lucendo!*

Ważną gałęzią okolicznościowéj krytyki literackiéj jest krytyka teatralna. Dość powszechnie słyszéć się dają dziś głosy, że teatr upada. Zola zaproponował nawet reformę sztuki dramatycznéj, reformę zarówno radykalną, jak romansu. Zobojętnienie publiczności dla teatru występuje na jaw z osobliwą siłą wówczas, gdy teatr ma współzawodnika np. w cyrku. Publiczność tłumnie daje pierwszeństwo cyrkowi, a teatr pozostawia próżnym. Prawda, że objaw ten nie spotyka się jeszcze wszędzie; w Niemczech atoli—często. Produkcya dramatyczna w dzisiejszych Niemczech jest ubogą. Poważny dramat i tragedya nie mają żadnego przedstawiciela europejskiéj sławy. Komedya salonowa krzepi się jak umie, sokami poetów francuskich: Dumasa, Augier'a, Sardou. Rozmaite, specyalnie niemieckie pomysły, jak „bürgerliches Schauspiel, Lustspiel, Schwank, Posse“—są zdawkową monetą sztuki. Z dnia na dzień słabnie interes dla teatru. Opera odświeża utwory Wagnera, a zresztą żywi się płodami zagranicy. Część winy tego zastoju dramatycznego spada na krytykę teatralną.

Byłoby to — rzecz jasna — przesadą żądać od krytyki teatralnéj takiéj gruntowności, jakiéj się wymaga np. od naukowéj. Jednakże przyzna mi to każdy, że sprawozdawca teatralny, jeśli chce być cenionym, musi posiadać wytrawny sąd, zdolność szybkiego oryentowania się, znajomość sceny, a nadto dość rozległe wiadomości literackie. Zanotowanie wrażeń, oklasków, położenie nacisku na miejsca efektowne w sztuce — to nie wystarczy, w przeciwnym bowiem razie każdy widz z galeryi mógłby być recenzentem teatralnym.

Potrzeba przecież uchwycić nić przewodnią sztuki, trzeba znać rozwój poetyczny autora, przeczuć—że tak powiem—genezę utworu na podstawie znajomości dotychczasowych prac pisarza. To, co przy spokojném odczytywaniu dzieła spostrzega się odrazu, to pod wpływem rozmaitych czynników teatralnego przedstawienia, uchodzi uwadze i rozprasza się.

Wszakże każdy autor buduje sztukę wedle pewnych zasad; w każdéj sztuce odzwierciedla się mniéj lub więcéj wyraźnie—indywidualność. Recenzent musi ją ująć i zrozumiéć, że się tak wyrażę, na gorącym uczynku. Wszystko to utrudnia zadanie sprawozdawcy.

Jakże się wobec powyższych wymagań zachowuje niemiecka krytyka teatralna?

Oto co krok spotyka się tu taką samą „misère“, jak w działach wymienionych.

Należy rozróżnić trzy grupy krytyk teatralnych.

Prowincyonalne sceny żywią się po części okruchami sztuk, wystawionych na głównych scenach: i wobec tych utworów krytyka czasopism prowincyonalnych przeżuwa sądy stolicy.

Ale istnieje t. z. produkcya dzienna. Setki utworów wypływają co chwila na powierzchnię, jak bańki w mętnéj wodzie i te czynią zadość potrzebom chwili. Niekiedy można całemi tygodniami studyować recenzye teatralne prowincyonalnych czasopism i wciąż spotykać nowe nazwiska autorów. Recenzenci sławią świeżo upieczone znakomitości, które równie szybko toną w morzu niepamięci, jak powstały. A tymczasem smak publiczności tępi się i psuje....

W dużych miastach kontrola sztuk scenicznych, zależna od dyrekcyi i inteligentniejszéj publiczności, nie pozwala panoszyć się na scenie miernym siłom autorskim. Ale krytyka postępuje nie lepiéj: zaznacza ona wrażenia, zadowala się notowaniem błędnych często wzruszeń sali teatralnéj. Głównym powodem tego jest znów niewykształcenie recenzentów. Dzienniki uważają recenzye za rodzaj t. z. michałków (1) „Sam znam—powiada Gottschall (2)— w stołecznych miastach pisma, w których reporterzy dzierżą rózgę krytyczną: pocztowi ekspedyenci albo subiekci, jaka dama, któréj uzdolnienie zaledwie starczy na zbieranie lokalnych wiadomostek.“ Na całym obszarze krytyki i produkcyi teatralnéj upowszechnił się fałszywy aksyomat: „rien ne réussit, que le succès“, świadczący niepochlebnie o jednéj i o drugiéj.

---

(1) Jest-to specyalna nazwa wiadomostek brukowych. Być może, że różne miejscowości posiadają na oznaczenie tego pojęcia różne wyrazy. W niektórych miastach niemieckich nazywa się to: „Eselwiese.“

(2) Die deutsche Schauspielkritik (Unsere Zeit. 1886, styczeń).

Istnieje nareszcie szczupły zastęp zdolnych recenzentów. Uważają oni krytykę jako kołek, na którym mogą zawiesić własny portret. Chodzi im nie tyle o poetę lub dzieło, nie tyle o sceniczne przedstawienie, jak o własną sławę krytyczną. Krytyka musi być dowcipniejszą, niż dowcipna komedya, świetniejszą, niż pełen talentu dramat.

Subiektywizm odgrywa tu wyłączną rolę. A niekiedy pobudki delikatnéj natury wpływają także na ton krytyki: trzeba np. poprzéć dyrekcyą lub jaką agenturę teatralną, trzeba się rozprawić z autorem, należącym do przeciwnego obozu, trzeba przyklasnąć jakiéj wdzięcznéj artystce i t. d.. „Że krytyka nasza teatralna (1) w swéj dzisiejszéj postaci nie jest dla prawdziwie utalentowanych autorów zachęcającą — to jasna. Nie wierzę w proklamowany dość często upadek sceny, jakkolwiek trudno nie przyznać, że posuwa się ona po pochyłości ku dołowi; jednak niema co myśléć o gruntownéj jéj reformie, dopóki się nie przekształci krytyki teatralnéj, dopóki się jéj nie powierzy ludziom wykształconym, bezstronnym i spokojnym tak, aby przestała być w pismach zbiegowiskiem młodzików, aby zaniechała wyszukiwania i wynoszenia *ad sidera* pozornych talentów. reklamowania interesu prywatnego lub bezpłodnego dowcipkowania.“

III.

Szowinizm krytyki niemieckiéj.

Starałem się w rozdziałach poprzednich kłaść nacisk na sposób, w jaki krytyka ocenia literackie płody autorów niemieckich. Jest-to wszakże jedna strona medalu. Uprzedzenie i stronniczość usposabiają krytykę do sądów łagodnych, każą jéj zamykać oczy na błędy i przyczyniać się do tego, aby miernota tamowała postęp i psuła gust powszechny. Niemcy nie mogą się wydziwić i mają to za wielkie zgorszenie, że każda nowa powieść Zoli lub Daudeta dosięga w krótkim czasie stu wydań, że w ciągu paru miesięcy po opuszczeniu prasy obiegają po Europie przekłady we wszystkich cywilizowanych językach, podczas gdy z olbrzymiéj, 15,000 tomów rocznie liczącéj produkcyi niemieckiéj, niepospolicie drobna ilość przebija graniczne kordony i doznaje zaszczytu przekładów we Francyi lub Anglii. Mniemaćby zatém można, że ten wymowny fakt otrzeźwi szowinizmem płonące głowy krytyków, że skłoni ich z jednéj strony do oszczędniejszego szafowania tytułami „arcydzieł“ dla utworów własnego piśmiennictwa, „mistrzów“ i „geniuszów“ dla własnych pisarzy,

---

(1) Die deutsche Schauspielkritik (Unsere Zeit. 1886, styczeń).

a z drugiéj strony każe im staranniéj przypatrzyć się zaletom i właściwościom dzieł obcych. Dotychczas błahe są ślady samopoznania w krytyce niemieckiéj.

Solą w jéj oku jest oczywiście Francya — zarówno spółczesna, jak dawna. Zdaje mi się, że przyczyna tkwi nie wyłącznie w antagonizmie politycznym.

„Powinnaś synów swych tak wychować—woła Arndt do matki niemieckiéj — aby przezwisko „Francuz" stało się dla nich obelgą, a córki swe tak wykształcić, aby wyraz francuski w ustach kobiety niemieckiéj równał się hańbie." „A mowa ich—najnędzniejsza i najuboższa staje się wówczas tylko bogatą, gdy rozwija obraz zepsucia i nieobyczajności; wtedy tylko lekką, gdy język paple bez sensu;—niemelodyjna, bez rytmu, bez wierności (!? ohne Treue) nie zdoła ona odtworzyć ani obrazu natury ani nastroju duszy" (1). Ze słów tych tchnie nienawiść rasowa, wobec któréj porozumienie niemożliwe.

Ogólnie napotyka się w krytyce literackiéj Niemców głęboka niechęć dla panującego we Francyi kierunku realistycznego. Krytyka zajmuje się nim przy każdéj sposobności, walczy z każdym nowym objawem na polu piśmiennictwa francuskiego tak, jakby o własną chodziło skórę, nawołują społeczność własną do baczności, a mimo wszystkiego nie zdoła przeszkodzić temu, że francuska produkcya wciska się do Niemiec. „Francuzi są wszyscy wrodzonymi aktorami—woła dr. Julian Schmidt w artykule o Dumasie młodszym. Trzeba naszéj publiczności od czasu do czasu powtarzać, że w téj nowomodnéj literaturze nie ma ani prawdziwego piękna, ani téż istotnego zepsucia, jeno sama czczość i próżność." „W naturalistycznym romansie nie może być nawet mowy o poezyi; fantazya nie odgrywa tu żadnéj zgoła roli." „Kult obrzydliwości—oto główne zadanie sztuki naturalistycznéj. Nie znaleść w niéj ani odrobiny dobrego smaku, zaginął zupełnie sąd estetyczny" (2). „Jest to estetyczne *Hexen-Ein-mal-eins*—mówi J. Mähly; jest to brodzenie w błocie i gnoju. Obraża się nawet zmysł powonienia: potrzeba sobie nos zatykać. Naturalizm obiera sobie umyślnie historyjki rozpustne i tworzy nowe suplementa do Pitavalu. Skoro się czyta taki np. romans jak Curée—to mimowoli zbiera podziw, czemu papier nie rumieni się od wstydu. Romanse Zoli są najjadowitszą rośliną bagien, największém absurdum europejskiéj literatury, pornograficznym specyałem iście francuskiego wymysłu" itp.

---

(1) E. M. Arndt. Fantasien uber ein kunftiges Teutschland. str. 81 i 23.

(2) Gottschal. Der Naturalistische und photografische Roman in Frankreich.

Ale jakież motywa stwierdzają ten szereg wykrzykników, pełnych pobożnego oburzenia? Wzywa się poprostu na sędziów-estetyków niemieckich: bierze się Schillera, Rosenkranza i wedle ich przepisów ocenia się utwory nowéj szkoły francuskiéj. Zdaniem Niemców, kierunek naturalistyczny nie jest wcale przez Francuzów stworzonym; pojawił się on najpierw w Niemczech, a mianowicie w dziełach Ifflanda i Kotzebue'go. Schiller zatém podał już dawno receptę na wyleczenie téj choroby.

Najsmutniéj obszarpany, odarty na podstawie Schillera i Rosenkranza ze wszelkich zalet, wychodzi oczywiście Zola.

Jest on kompletnym nieukiem, nie czytał nawet Szekspira (1). Głównym błędem Zoli jest jego nadzieja, że umiejętność powinna i będzie wspomagać romans. Przeciwnie: umiejętność z romansem niema nic wspólnego; u romansopisarza działa jako czynnik twórczy—intuicya. Zola jest jednostronnym: stwarza tylko obrzydliwe i niemoralne charaktery i sytuacye; nie masz w jego dziełach wcale dodatnich charakterów. Jest on przeciwnikiem wszelkiéj poetyckiéj inspiracyi, a ze swego delfickiego trójnoga głosi wyznanie, w którém zresztą niczego więcéj nie szukać, jeno błędnych lecz apodyktycznych wyroczni.

Dziełom Zoli odmawia krytyka niemiecka wszelkich zalet: posiadają one same wady. Twierdzi on, że należy zwrócić się do natury i naśladować ją; sam tego wcale nie czyni. Co więcéj Zola chwyta naturę w żelazne kleszcze i męczy ją, nagina, torturuje, aż utworzy rzecz nienaturalną. Taki sposób tworzenia—niewłaściwy. Przecież Goethe powiedział:

Lasst sich Natur des Schleiers nicht berauben
Und was sie deinem Geist nicht offenbaren mag,
Das zwingst du ihr nicht ab mit Hebeln und mit Schrauben (*Faust*) (2)

Takież niesprawiedliwe i jednostronne pojęcia krążą w Niemczech: o Daudecie. Są one nieco łaskawsze, lubo i w tym wypadku przebija się przez nie niechęć i uprzedzenie. Biorę naprzykład ocenę znanéj powieści „Ewangielistka." Teofil Zolling, wydawca czasopisma „Gegenwart", ceniony krytyk niemiecki, zarzuca powieści powyż-

(1) Nie wiem doprawdy, skąd ma tę wiadomość Gottschall. Jego-to bowiem są słowa w pracy cytowanéj powyżéj, str. 235.

(2) Zedrzéć zasłony z natury nie można, a czego ona sama duszy twéj objawić nie pragnie, tego jéj nie wydrzesz za pomocą śrub i heblów.

Zdanie to Goethego—wielekroć przez krytyków cytowane, jest mimochodem mówiąc błędne. Należycie urządzone i użyte instrumenta rozszerzają poznanie i wzmagają siłę ludzką w granicach natury.

széj główinie to, że nie jest zajmującą. Liczne, długie rozdziały (?) o sektach religijnych wogóle i o zakładzie armii zbawienia są suche i czytają się mozolnie. Czuje się, że są pisane bez interesu. Krytyk ma Daudet'owi za złe, że nie daje własnego zapatrywania na nowe wyznanie, zarzuca, że autor pozostawia nas w wątpliwości, czy jego fanatycy są istotnie wierzącymi, czy też hipokrytami. Główna postać jest pod tym względem dla krytyka także znakiem zapytania. Zollingowi nie podoba się naturalnie także pogląd Daudet'a na „ponure markotne“ wyznanie protestanckie. Powieściopisarz francuski—sądzi Zolling—nienawidzi protestantyzmu, jak każdy prowansalczyk, a scharakteryzowanie pięknéj postaci pastora Aussandona nic nie znaczy. „Wogóle w Daudecie moralista o wiele słabszy od artysty.“ Cóż dziwnego, że krytyk „słabemu“ artyście daje rady? On—krytyk—przekształciłby charakterystykę prezydentowéj; rozwój obłędu religijnego Elmy zakreśliłby głębiéj: już w kołyskę jéj włożyłby religijną egzaltacyą; usunąłby opis skórnéj choroby Autemana itp.

Oto jak się ocenia prądy i ludzi w społeczeństwie, które corocznie wydaje 15000 tomów i chlubi się wysoką cywilizacyą.

Ale, może kto powie—to rzecz naturalna. Nowy kierunek francuskiéj literatury nie przyjął się w Niemczech, więc nic osobliwego, że przeważają niekorzystne dla realizmu powieściowego sądy. Niestety, jeszcze smutniéj wypada obraz krytyki romantyzmu, jeżeli chodzi o ocenę pojawów francuskich. Jak wszędzie tak też i tu nie szukam przykładów wyjątkowych. Idzie mi o wskazanie rysów znamiennych krytyki, o oświetlenie jéj z różnych stanowisk. Chcę też zwrócić uwagę na ową sławną gruntowność i staranność niemiecką, rzecz jasna, w zastosowaniu do autorów francuskich. Victor Hugo jest jak wiadomo romantykiem czystéj krwi. Prawda,—był on także politykiem, pisał polityczne poezye, wydawał nawet manifesta, a ruchliwe, wszechstronne, pełne zmian życie jego nie daje się z łatwością ująć w ramy jakichś estetycznych przepisów. W krytyce niemieckiéj znaleść można wiele wzmianek o tym poecie, począwszy od Goethego.

Ale obraz ogólny otrzymuje się smutny, podarty; obskurantyzm, niedbałość i powierzchowna znajomość podały sobie ręce, a dopiero nadzwyczajna cześć, z jaką naród francuski ubiegłego roku prowadził poetę do Panteonu wprawiły w zdumienie niejednego, co znał Hugo'na, jako „personam comicam“, jako człowieka „niespełna rozumu.“

Z głównych prac o Hugo'nie w języku niemieckim dwie najlepsze wyszły z pod pióra obcych. Bardzo cenne są ustępy, poświęcone poecie przez Duńczyka, Jerzego Brandesa w „Głównych prą-

dach.“ Obraz atoli nie jest kompletny (1). Gruntowne dzieło napisał Józef Sarazin; ale jest on Szwajcarem i praca jego obejmuje tylko jeden dział twórczości Hugo'na (2). Z Niemców pisali o poecie obszerniéj Paweł Lindau, obecny redaktor miesięcznika „Nord und Süd“ i Edward Engel, redaktor tygodnika „Magazin für die Litteratur des Auslandes“ (3).

Lindau ośmiesza Hugo'na, jako polityka, drwi zeń i szydzi. Dla poety zaś posiada gotową receptę; wzrost, punkt kulminacyjny, upadek; a że jéj zastosować w danym razie nie może, odmawia zatém poecie „prawidłowego rozwoju“ i twierdzi, że tylko w początkach poetyckiego zawodu czynił istotny postęp. Widzi takowy mianowicie w poematach, opiewających życie rodzinne, w znanych Feuilles d'automne. Zbiór poezyi Contemplations zbywa pobieżną wzmianką; zbioru „L'art d'être grand-père,“ wydanego w 1876 roku nie zna wcale.

O gruntowności krytycznéj świadczy np. taki ustęp: „Czy można sobie wyobrazić poetę—pisze Lindau—który w ciągu roku tworzy kilkaset pieśni o szczęściu familijném, a ukończywszy tę pracę, nigdy już więcéj nie czuje ochoty do powtórnego wyrażenia swéj czułości?“ Najpierw zbiór „listków jesiennych“ nie powstał w jednym roku, jeno w przeciągu 4 do 5-ciu lat; „Contemplations“ zaś zawierają nawet poezye z lat 20-tu (1834—1856); powtóre Victor Hugo w „l'art d'être grand'père“ wrócił znów do tych samych uczuć i dźwięków w poezyi. Słusznie, lubo niezbyt grzecznie wyraża się o pracach powyższych profesor Koschwitz (4).

„Tak bogatéj kollekcyi całkowicie lub napół nieprawdziwych danych, połączonéj z taką pewnością sądu o rzeczach najwątpliwszych, nie pozwoliłby sobie chyba najgłupszy i niedojrzały młokos.“

Edward Engel odmawia poecie romantycznemu jednego z głównych pierwiastków twórczości. „Prawdziwe dźwięki uczucia znaleść można u retora *par excellence* Victora Hugo, niesłychanie rzadko. Trzeba zauważyć, że tylko niektóre jego poemata natchnęły kompozytorów.“ Wnet potém następuje wspaniałomyślne ustępstwo: „Co najwięcéj, można chyba w Contemplations wyszukać parę ustępów, wolnych od retorycznych antytez.“ Dziwniejsze to tém bardziéj, że

---

(1) Ob. piąty tom str. 89—112 (niem. 2-gie wyd.).

(2) Victor Hugo's Lyrik und ihr Entwickelungsgang. Bad.-Baden 1885.

(3) Pierwszy trzykrotnie: w Nord und Süd r. 1877 i 1879 i w Litterarische Rücksichtslosigkeiten. Drugi w książce Die Physiologie der französischen Litteratur. Berlin 1884.

(4) Deutsche Litteraturztg. 1883 nr. 14.

krytyk niemiecki poważa się sypać podobny piasek w oczy łatwowiernéj publiczności po tém, kiedy już znakomite dzieło Brandesa obiegło wszystkie dłonie ludzi inteligentnych, a Brandes położył nacisk na rzewne, wolne od retoryki, w najprostszych wyrazach pojawiające się uczucie „listków jesieni.“

Kilkakrotnie wybiera z przedziwną trafnością piękne miejsca, przekłada na język niemiecki, a wskazując na nie—powtarza toż samo zdanie: „oto małe sceny, które w swéj prostocie i naturalności zarówno świetnie namalowane, jak głęboko uczute.“

Lecz i to prawda, że Brandes zna i rozumie Hugo'na; nie możnaby mu uczynić takiego zarzutu, jak Englowi, że myli się o dziesiątki lat w oznaczeniu daty „les statues“ (z „les Quatre Vents de l'Esprit“), którą kładzie pomiędzy 1830—1840, podczas gdy utwór cytowany przez Engla kilkakrotnie—powstał w czasie wygnania (1).

Ale dość już tego. Myślę, że czytelnik przekonał się z powyższych wskazówek, w jaki sposób krytyka niemiecka ocenia produkcye francuskie. Ktoby pragnął sądzić na podstawie jéj o literaturze francuskiéj, ten musiałby powziąć najgorsze wyobrażenie o jéj upadku i rozstroju. Nie tylko polityka rzuca cień na sądy krytyczne: w sojuszu z nią działają rasowe nienawiści i ignorancya.

Cokolwiek inaczéj ma się sprawa literatury angielskiéj. Niemiec lubi porównywać siebie z Anglikiém i przypominać, że oba społeczeństwa wyszły z jednéj kolebki. Już Klopstock w przeszłym wieku, w jednéj z najlepszych od swoich (*Die beiden Musen*) dał obraz współzawodnictwa, pogoni ku jednemu celowi: zwycięstwo zaś osłonił tumanem pyłu, przez szybki bieg wzniesionego.

Odtąd ciągle śpiewa się w krytyce ową piosnkę współzawodnictwa; jeno wyższość i zwycięstwo Niemcy coraz śmieléj i chętniej sobie przyznają. Cały świat będzie kiedyś należał do Niemców i Anglików, a ich wzajemne stosunki wypełnią annale całéj ludzkości (2). Psychologia obu społeczeństw okazuje wszelako bogatszy zasób znamion dodatnich u Niemców. Charakter angielski cechuje się, jako samowolny, nieprzystępny i pewny siebie. W Niemczech zaś nie istnieje to, co Szekspir nazywa: „I am I,“ jakkolwiek zasada poszanowania jednostki tak samo wysoce rozwinięta, jak i w Anglii. Charaker niemiecki jest elastyczniejszy, przystępniejszy.

Anglicy posiadają wprawdzie silną wolę, ale zato rozwój intelektualny jest wyższy u Niemców. Poświęcają się oni od wieków zbyt mało realnym interesom i to właśnie uczyniło je tém, czém są wła-

(1) Por. Le Rhin I, 193.

(2) Deutschtum und Engländertum p. Karola Petersa. 1883.

ściwie—woła z dumą Peters—tj. wielkiem intelektualném i naukowém ogniskiem świata. Anglia niema filozofów (*sic!*); proszę wziąć którąkolwiek umiejętność w Anglii—wszędzie górują tam uczeni niemieccy: w dziejach, naukach przyrodniczych, medycynie, geografii... W sztukach pięknych takaż zależność od Niemców. Dyrektorem opery londyńskiéj—Niemiec; na scenie przedstawiają się niemieckie sztuki; Niemcy są przeważnie nauczyciele muzyki (1). W malarstwie uczuwać się daje niedoskonałość metody, pospolitość smaku, niedostatek technicznego wykształcenia. Nawet angielskie dziennikarstwo stoi niżéj od niemieckiego (2). Taki bezstronny i słuszny sąd porównawczy, jak Hillebranda (Ein englischer Journalist w 6-ym tomie dzieł str. 120 i d.), w którym za wzór dla całéj Europy daje dziennikarstwo angielskie, należy w Niemczech do białych kruków i wzbudza niedowierzanie.

Tak oceniają krytycy niemieccy Francuzów i Anglików. Gorszy los spotyka—jak to już na początku wspominiałem—literatury słowiańskie. Z całéj masy autorów słowiańskich wyrobił sobie prawo obywatelstwa w Niemczech tylko jeden tj. Iwan Turgeniew.

Może fakt ten przypisać trzeba temu, że Turgeniew wielką część życia spędził zagranicą, że odbył studya w Berlinie, że w nowelach swych wiele razy sympatycznie wspomina o literaturze niemieckiéj.

Cały zresztą obszar literatury rosyjskiéj, polskiéj lub czeskiéj dotychczas dla Niemców prawie nieznany. Zapewne—pojawiają się sporadycznie niedokładne biografie Kraszewskiego, Mickiewicza lub Jeża; są to jednak prace okolicznościowe, wywołane procesem, nowym przekładem Pana Tadeusza lub jubileuszem; prace, nie dające wyobrażenia o spółczesnym rozwoju literatury, stojące poza życiem społeczném danego społeczeństwa; bez rozbioru pism autora i zbiorowéj tegoż działalności.

Oto obraz krytyki. Naukowa nie przyswaja sobie najświeższych zdobyczy: psychologia nie odgrywa w niéj żadnéj roli. Skutkiem tego mozolne skupianie szczegółów uważa się za cel. Prawdą jest zatém, że Niemcy do oceny swego piśmiennictwa zebrali olbrzymie materyały: ale nie rychło jeszcze w ocenie téj ostatnie wyrzekną się słowa. W krytyce okolicznościowéj—powierzchowność, szablon opływający w krąg całe Niemcy; tworzenie na prędce geniuszów i talentów, koteryjność—smutny objaw zepsucia. Ponad wszystkiém stoi szowinizm, wielbienie z zamkniętemi oczami własnych bo-

(1) Artykuł Englische Kunstzustände (Gegenwart. 1883).
(2) Por. Art. Englische und deutsche Journalistik p. Quidam (Gegenwart. 1883).

gów, a potępianie lub pogardliwa obojętność względem obcych. Nie potrzeba się zatém dziwić, że powieści niemieckie nie bywają tłómaczone na języki obce, że dramata niemieckie starczą zaledwie dla scen krajowych, że poezya niemiecka upada, rozlewając się na liryczne jęki i westchnienia.

Wprawdzie coraz częściéj i śmieléj odzywają się głosy niezadowolenia, nawołują krytykę literacką do życia i zrzucenia zmurszałéj skorupy starożytnéj (1). Czy znajdą one łaskawy posłuch u masy krytyków? Myślę, że nie prędko, że pozostaną jeszcze przez lata całe głosami wołających na puszczy.

Antoni Mazanowski

(1) Ob. Bleibtreu: Die Revolution der Litteratur 1886, oraz wymienione już prace Kirchbacha, Jana Flacha i inne.





MIERNIKI WARTOŚCI

W PRZESTRZENI I CZASIE. [1]

Przez miernik wartości w najrozleglejszém znaczeniu należy rozumiéć każdy przedmiot, używany do odmierzania wzajemnéj wartości towarów przy ich zamianie i tym sposobem w ich zamianie pośredniczący. Mierniki wartości są prostym wypływem zasady, na któréj cały wogóle handel spoczywa, zasady: za nic—nic nie dostanie. W téj też zasadzie leży ich niezbędność.

Z powszechnéj jednak potrzeby mierników wartości nie wynika bynajmniéj, by mierniki te były wszędzie i zawsze też same Otwierało się owszem w téj mierze człowiekowi rozległe pole do dowolności, bo właściwie każdy przedmiot mógł być w tém znaczeniu użyty, byle tylko uznawały go za taki większe koła społeczne. To też rzeczywiście tak w różnych czasach, jak i dziś w przestrzeni u różnych ludów były mierniki wartości i są jeszcze bardzo rozmaite.

Wyjątkowo nie znaleść ich u ludów pierwotnych, na najniższym szczeblu kultury stojących, nie dlatego wszakże, by ludom tym obcym był jeszcze handel i jego zasadnicze warunki, lecz tylko, że u takich ludów nie obudziła się jeszcze potrzeba pewnego powszechnie obowiązującego środka zamiennego. U takich ludów odbywał się też lub jeszcze odbywa prosty *handel zamienny*, t. j. handel oparty na prostéj wymianie jednego towaru za drugi, bez pośrednictwa jakiegoś miernika wartości. Taki to właśnie handel zamienny odbywał się niegdyś u ludów przedhistorycznych; w ten również sposób wymieniały jeszcze ludy środkowéj Europy i mieszkańcy wybrzeży baltyckich wyroby etruskie na bursztyn, i w ten a nie inny sposób

(1) *Uwaga.* Jest to jeden rozdział z przygotowującego się do druku *Podręcznika ogólnéj geografii handlowéj.*

jeszcze dzisiaj otrzymuje np. plemie Orang-kubu w południowo-wschodniéj części Sumatry tytoń i ryż od kupców malajskich, chińskich lub arabskich za żywicę i kadzidła, Ainowie na wyspie Jezo ryż i noże od Japończyków w zamian za słodki wodorost (*fucus saccharinus*), a Eskimosi grenlandzcy drzewo, którego brak w ich siedzibach, za tran wielorybi.

Używanie więc tego lub owego przedmiotu, jako powszechnie w pewnéj okolicy przyjętego miernika wartości, należy już uważać za objaw wyższéj dojrzałości odnośnych narodów. Cała różnica między temi narodami może jeszcze tylko zachodzić i zachodzi rzeczywiście w wyborze przedmiotów, mających spełniać usługi mierników wartości. Za najpierwotniejsze zaś mierniki wartości należy naturalnie poczytać przedmioty, których użyteczność po za tą funkcyą pośrednika wymiany jest żadną, lub tylko bardzo małą. Takiemi miernikami wartości są np. *kamienie*, a spotykamy je w znaczeniu monety na niektórych wyspach Oceanii, mianowicie na wyspach Pelew, na wyspie Eap (Yap), jednéj z Karolińskich i na wyspach Nowych Hebrydach. Na wyspach Pelew noszą te kamienne pieniądze nazwę „Audou“, a są po prostu kawałkami wypalonéj gliny lub kawałkami szkła. Krajowcy rozróżniają w nich kilka kategoryi, według tego, czy są czerwone, czy żółte, czy emaliowane. Niektóre sztuki z kategoryi czerwonych lub żółtych przedstawiają bardzo nawet wysoką wartość, emaliowane od 50 — 85 franków, a szklanne stanowią niejako drobną monetę. Wszystkie zaś są w środku przeklute i dają się nosić nawleczone na sznurki. Z uwagi, że wyrób ich nie jest niekiedy bez wyższego smaku, że krajowcy zgoła nie umieją ich sami wyrabiać, a nawet nie posiadają na swych wyspach potrzebnego do tego materyału, nie trudny wniosek, że tego rodzaju pieniądze musiały się dostać na wymienione wyspy z obczyzny, nie dającéj się wszakże bliżéj oznaczyć. Kursująca na wyspie Eap moneta kamienna przedstawia się w czém inném znowu charakterystyczną. Posiada mianowicie kształt prążków to mniejszych, to większych, z których ostatnie dochodzą niekiedy do rozmiarów naszych kół młyńskich. Pochodzenie ich jednak jest miejscowe, t. j. krajowcy sporządzają tę monetę sami, sprowadzając tylko do niéj materyał, t. j. kule aragonitu, z wysp Pelew. Na Nowych Hebrydach wreszcie posiada moneta kamienna kształt pierścieni, o średnicy dochodzącéj niekiedy do 2 metrów i o ciężarze wynoszącym nierzadko 20 kilogramów. Krajowcy wyrabiają ją z feldspatu lub kalkspatu i zwią ją „nawatae“ (1).

---

(1) R. Andree: Ethnogr. Parallelen und Vergleiche. Stutgart 1878, str. 230—233.

Najbliżéj spokrewnioną z tą monetą kamienną jest moneta „*muszlowa*“, skoro i ona po za swą rolą pieniądza, co najwięcéj, może być użytą jako ozdoba. Taką właśnie monetą posługiwali się do niedawna jeszcze mieszkańcy północno-zachodnich wybrzeży Ameryki północnéj od Alaski począwszy aż do wyspy Vancouver; odmierzali mianowicie wartość towarów długością sznurków nawleczonych skorupkami ślimaka *Dentalium entalis.* Wcześniéj, bo już przed 200 laty zarzuciły podobną monetę inne plemiona Czerwonoskórców w północnéj Ameryce, a sporządzały ją sobie głównie ze skorup małży *Venus mercenaria*, które nawleczone na sznurki nosiły nazwę „wampumów.“ Są wszakże okolice ziemi, w których jeszcze po dziś dzień muszle w pełném znachodzą się użyciu jako mierniki wartości. Do tych okolic należą zaś wyżyny Kingsmill w Mikronezyi (1), daléj wyspy Nowéj Brytanii, gdzie krajowcy nazywają je „diwarro“ lub „tambu“ (2), poczęści cesarstwo siamskie, przedewszystkiém jednak Sudan, gdzie specyalnie usługi monety spełnia skorupa ślimaka „monetki“ (*Cypraea moneta*), krótko nazywana muszlą „kauri“ (3). W największéj ilości żyje ten ślimak w wodach oblewających wyspy Maledywy i Lakkadywy; nie dziw téż, że okolice te najwięcéj dostarczają jego skorup. Prócz tego i wyspy Filipińskie odgrywają w ich dostawie pewną rolę. Zakupnem ich i to na Ceylonie, gdzie dla tych skorup znachodzi się główne targowisko, trudnią się przedewszystkiém Anglicy, płacąc za tonę (t. j. 20 ctn.) 1750—1875 franków. Ztamtąd téż rozwożą je częścią do Siamu: 8000 tych skorup znaczy tam mniéj więcéj 3 franki,— w największéj jednak ilości do Zanzybaru i na wybrzeża Gwinei górnéj, skąd ostatecznie dostaje sie muszla kauri do Sudanu. Sudan jest bo téż obecnie największém dla niéj polem zbytu, jako klasyczna właśnie kraina, gdzie muszla ta w znaczeniu monety zdawkowéj (około 2,000 sztuk téj muszli przedstawia wartość 3 fr.) nie tylko cieszy się już zdawna bardzo rozległem wzięciem, ale nadto jeszcze ciągle rozszerza swoje panowanie. Między innemi rozpostarła się niedawno po państwie Bagirmi, a tu i owdzie dotarła już ku południowi średniego biegu rzeki Kongo (4). Jak odległych czasów sięga użycie téj muszli jako monety, nie podobna dziś ściśle oznaczyć; bo że ją znaleziono w przedhistorycznych grobach litewskich i pomorskich, do-

(1) The Nature. Vol. 30. 1834, str. 577.

(2) Zeitschrift f. Ethnologie 1885. Verhandlungen d. Gesellschaft str. 276.

(3) Jestto skorupka kształtu jajowatego, 2—3 centimetrów długa, porcelanowa, żółtawa lub biaława.

(4) Mitthellungen der k. k. geograph. Gesell. in Wien 1886, str. 257—259.

wodzić to tylko może, iż ją bardzo wcześnie znano i poszukiwano jako przedmiot ozdobny, a czém jeszcze i dziś być nie przestała np. u kobiet Mordwinów, Czuwaszów, u Arabek w kraju Hadramaut itp. W każdym razie to pewna, że muszla kauri, jak to można wnosić z jéj malajskiéj nazwy „beja", która znaczy cło, podatek, już w niepamiętnych czasach zdobyć sobie musiała znaczenie miernika wartości, że mianowicie już w IV w. naszéj ery była w obiegu jako taka w Indyach przedgangesowych i że już pierwszych żeglarzy portugalskich u zachodnich wybrzeży Afryki uderzyło użycie jéj tamże w znaczeniu monety (1).

Do téj saméj kategoryi najpierwotniejszych mierników wartości, co kamienie i muszle, można zaliczyć cały szereg innych jeszcze, a równie osobliwych monet, jakoto: kawałki porcelany, opatrzone napisami chińskiemi w państwie Siamskiém; czaszki bawole, tygrysie i małpie u ludu Miszmi w Assamie; paciorki szklane, umyślnie na ten cel sporządzane w Europie, u wielu plemion murzyńskich w środkowéj Afryce jako téż między Indyanami Ameryki południowéj nad rzeką Madejrą; skórę z głowy dzięcioła, nie odartą z pierza, u Kahroków w Kalifornii; zęby haii, używane dawniéj na wyspach Fidżi itp.

Rozumie się samo przez się, że w przeciwstawieniu do tego rodzaju przedmiotów, posiadających nader problematyczną, a w każdym razie bardzo względną użyteczność, bez porównania odpowiedniejszą monetą były lub są jeszcze przedmioty, dające się same przez się w ten lub w ów sposób spożytkować, jako to pewne środki pożywienia, napoje, materye na odzież, pewne materyały służące do wyrobu naczyń i narzędzi lub gotowe już fabrykaty. Taką monetą były np. ziarna kakao w starożytnym Meksyku, a dziś jeszcze ryż na Filipińskiéj wyspie Mindanao. Podobnie uchodził dawniéj w Wirginii tytoń za miernik wartości, a niedawno jeszcze arak w Nowéj Południowéj Walii lub dorsz na Islandyi. Między Mongołami, Tybetanami, Tangutami i poniekąd w Syberyi cieszą się tém znaczeniem sprowadzane z Chin cegiełki pośledniejszéj herbaty, ważące $1\frac{1}{4}$—$1\frac{1}{2}$ funta (2). Zluzowały one téż dawne półfuntowe tabliczki soli, których jeszcze za czasów Marka Polo używano jako pieniędzy w Chinach zachodnich i w okolicach jeziora Kukunor. Natomiast zachowała sól znaczenie monety jeszcze po dziś dzień w Abisynii tém łatwiéj, że kraj ten zgoła soli nie posiada i dopiero z wybrzeża Danakilskiego musi ją sprowadzać. Według tego téż nawet, czy pewna okolica w Abisyniii leży bliżéj czy daléj tego wybrzeża,

---

(1) R. Addree. Ethnogr. Parall. u. Vergl. str. 233—239.

(2) Russische Revue, 1879, str. 54.

przedstawia ta sama ilość soli to mniejszą, to większą wartość. I tak np. w bezpośredniém sąsiedztwie wybrzeża danakilskiego wyrównywa 100 kawałków soli (po 36 łutów) swą wartością jednemu talarowi Maryi Teresy, nieco dalej ku zachodowi 80, w większéj odległości od wybrzeża 60, w Adoa 40, a w Gandar już tylko 30 takich samych kawałków. W różnych nawet porach roku staje się wartość tych kawałków rozmaitą, według tego mianowicie, czy kawałki te tracą na wadze jak w porze dżdżystéj, czyli téż nie. Wprawdzie nie jest już dzisiaj sól głównym w Abisynii miernikiem wartości, jak to jeszcze było na początku XVII wieku, gdy przebywał w tym kraju misyonarz Lobo, bo w najnowszych czasach rozpowszechniła się w Abisynii inna moneta jako panująca, t. j. talar Maryi Teresy. Mimo to i kawałki soli nie wyszły tam jeszcze w zupełności z obiegu. Podobnie utrzymują się jeszcze po części w Abisynii, ale tylko północnéj, w znaczeniu pieniędzy kawałki tkanin bawełnianych, 8 łokci długie, a 1 łokieć szerokie t. zw. Girbab. Daleko szersze jednak użycie jako moneta znajdują wyroby bawełniane w Sudanie, kursując tam obok muszli kauri jako drugi miernik wartości. Nie inne usługi oddawały dawniéj w całéj Gwinei dolnéj t. zw. makuty, t. j. plecionki z włókien palmowych, a Portugalczycy opatrywali je nawet stemplem, celem ściślejszego oznaczenia ich wartości i nadania im tém wybitniejszego charakteru monety. Dziś już tylko na wybrzeżu Loango można się jeszcze spotkać z tego rodzaju miernikiem wartości (1).

Natomiast, skutkiem częstszego w najnowszych czasach obcowania ludów Gwinei dolnej z kupcami europejskimi, wytworzył się tam od niedawna inny rodzaj pieniędzy. Oto krajowcy wyrażają tam cenę swych produktów, głównie kości słoniowéj, ilością strzelb, lubo przez nie nie same tylko strzelby rozumiéć należy, bo nazwa ta ogarnia zarazem cały zbiór najrozmaitszych towarów. W Gabunie np. „jedna strzelba“ obejmuje nie mniéj jak 122 artykuły, a mianowicie: 1 strzelbę, 4 kilogramy prochu, 8 metrów materyi bawełnianéj, 1 koszulę, 4 garści pereł szklannych, 4 sztaby miedzi, 2 talerze, 2 noże, 2 butelki araku, pewną ilość soli i t. p. (2), przyczém jednak zauważyć należy, że im głębiéj w ląd, na tę samę ilość strzelb przypada coraz to mniéj artykułów; czyli, co na jedno wychodzi, wymagania krajowców, daléj od wybrzeża mieszkających, pomniejszają się stopniowo. Nie w saméj wszakże tylko Afryce dostąpiły tkaniny zaszczytu monety. Używali ich bowiem w tém znaczeniu także Czer-

(1) R. Andree, l. c. str. 245—248.
(2) l'Explorateur, 1875, N. 6, str. 124.

kiesi jeszcze przed 60 laty, mianowicie kawałków płótna, dość wielkich, by z jednego można było zrobić koszulę, a dziś pełnią jeszcze usługę monety tkaniny bawełniane na archipelagu wysp Zulu (Sulu) i we wschodniéj Peruwii, podobnie, jak znowu na północno-zachodniém wybrzeżu Ameryki północnéj kołdry wełniane, odkąd je kupcy europejscy zaczęli krajowcom dowozić. Kołdry te wyparły tam właśnie dawniejszą skorupkową monetę zupełnie tak samo, jak u innych plemion indyańskich północnéj Ameryki pierwotne wampuny ustąpiły miejsca futrom, odkąd Europejczycy, zwłaszcza francuscy osadnicy w Kanadzie rozpoczęli na wielką skalę zakupywać je od krajowców. W szczególności dobiły się w ten sposób między Indyanami Ameryki północnéj znaczenia miernika wartości futra bobrowe. Że zaś i tego rodzaju moneta nie należy bynajmniéj do wyjątkowych w świecie, przekonywa fakt, że i w Syberyi zaraz po zetknięciu się Rosyan z krajowcami nie inny wytworzył się i utrzymał jeszcze poniekąd dzisiaj miernik wartości, t. j. futra sobole, podczas gdy niegdyś takiego samego znaczenia monety używały u ludów nadwołżańskich futra kuny (tumaki), a w średniowiecznéj Skandynawii prócz tego jeszcze futra lisie, gronostaje i sobole.

Tém więcéj urozmaiconém przedstawia się to muzeum monet, że nie brak w niém również samych nawet istot organicznych, w szczególności zwierząt domowych, głównie krów, wołów, koni i owiec. Spotykamy naturalnie tego rodzaju mierniki wartości u samych tylko ludów pasterskich lub rolniczych, jako to w okolicy jeziora Kukunor—owce, u wielu plemion murzyńskich nad górnym Nilem białym oraz w kraju Damara — krowy i woły, podczas gdy Osseci na Kaukazie, choć już między nimi kursuje moneta bita, nie pozbyli się jeszcze po dziś dzień dawnego zwyczaju oceniania wartości towarów według ilości krów. Z tych nielicznych przykładów byłby jednak fałszywy wniosek, jakoby zwierzęta domowe należały już w historyi i geografii monet do rzadszych i mniéj rozpowszechnionych mierników wartości. Owszem, w czasach poprzedzających monetę bitą, były właśnie krowy, woły, konie i owce bardzo nawet szeroko rozpostartym miernikiem wartości, jako to w Medyi, Rosyi, u Greków, Rzymian i Germanów, a najwymowniejszém tego świadectwem jest sama rzymska nazwa, służąca do oznaczenia pieniędzy wogóle, t. j. *pecunia* (od pecus=bydło), Co się zaś tyczy początku tego rodzaju monet, to niezawodnie należy go odnieść do samejże kolebki ludów białéj rasy.

Najosobliwsza bez wątpienia, że między istotami organicznemi nie uchronił się sam nawet człowiek od zostania monetą, a dziedziną tego najoryginalniejszego z mierników wartości jak był tak i pozo-

stał głównie świat murzyński, a obok niego poniekąd jeszcze Nowa Gwinea. Prawda, przypadła człowiekowi między Negrami przynajmniéj rola monety grubszéj — w przeciwstawieniu do muszli kauri i tkanin bawełnianych. W Segu np. płaci krajowiec jednego niewolnika za dwa woły, a za konia trzech niewolników (1).

Osobne miejsce w przeglądzie mierników wartości należy się metalom, skoro one to właśnie utorowały bezpośrednio drogę monecie bitéj i to nietylko ze względu, że moneta bita sporządza się z metalów, ale i dla tego, że przy użyciu tychże jako mierników wartości było już prędzéj czy późniéj rzeczą nieuniknioną dzielić je na cząstki, a następnie wagę tych cząstek oznaczać. Nieuniknionem stało się to oczywiście od czasu wynalezienia wag i miar i u wszystkich tych ludów, które w swym rozwoju kulturalnym dostatecznie już były dojrzały, aby mogły dobrodziejstwa podobnego wynalazku ocenić i, zapoznawszy się z tym lub owym systemem wag i miar, przyswoić je sobie lub nawet pod ich wpływem wykształcić własny, odrębny ich system. Nie może nas też zadziwiać, że u ludów barbarzyńskich, nie mających zgoła jakiegokolwiek systemu wag i miar, a nawet ich potrzeby, istniały lub kursują jeszcze jako moneta kawałki metalów o najdowolniejszym ciężarze i o najrozmaitszych kształtach, wprost zastosowanych do tego lub owego ich użycia, jako to w starożytnym Meksyku kawałki miedzi w kształcie litery *T*, na wyspie Borneo wielkie bronzowe lufy armatnie, u ujścia Nigru (w Bonny) kawałki miedzi o kształcie podkowy, u murzynów Bongo kawałki żelaza w kształcie łopaty, u murzynów Djur w kształcie ostrza włóczni, o tym samym kształcie nad średnim biegiem Kongo, gdzie oraz napotkał był Lenz i druty mosiężne, tak jak znowu nad dolnym Kongo druty miedziane (2), w Darfurze kawałki cyny w kształcie pierścieni, podczas gdy nad Senegalem jeszcze pod koniec przeszłego stulecia używały znaczenia monety sztaby żelaza, skąd też poszło, że ilość jakiegokolwiok towaru, równająca się co do wartości jednéj sztabie żelaza, nazywano tam krótko sztabą tego towaru, a więc np. sztabą wódki, sztabą tytoniu i t. p. Nigdzie wszakże w gronie ludów barbarzyńskich nie spotyka się tak charakterystycznego sposobu sporządzania monety jak u ludu Niam-Niam. Wprawdzie i tam jak niegdyś nad Senegalem oddają usługi miernika wartości sztaby metalu, mianowicie sztaby miedzi; ile razy jednak Niamniamczycy widzą się w potrzebie drobniejszéj monety, odłamują z tych sztab mniejsze kawałki i robią z nich pierścienie, które też

(1) R. Andree, l. c. str. 248—250.

(2) Mitth. d. k. k. geogr. Gesell. in Wien. 1886, str. 142 i 257—259.

jako takie używają u nich w stosunku do całych sztab miedzi znaczenia monety zdawkowéj (1). Charakterystyczne to ze wszech miar zjawisko, bo tkwi w niém już, pomimo że Niamniamczycy nie posiadają jakiéjkolwiek umiejętnéj metody odważania metalu—najwyraźniéj idea podzielności monety, która właśnie przewodniczy wszelkiéj monecie bitéj.

W rzeczy samėj dzielenie i ważenie metalu, przyjętego za miernik wartości, były pierwszym warunkiem, jaki spełnić musiano i spełniono, zanim wogóle mogła być mowa o monecie bitéj. Problem ten rozwiązały dopiero, jak się powiedziało, miary i wagi, jako dające właśnie możność zarówno odważać cząstki metalów jak i odmierzać wszelkiego rodzaju towary, temi cząstkami metalu płacone. Skoro zaś wynalazcami pierwszych miar i wag i to nawet w dwóch systemach, dwunastkowym i szesnastkowym, byli Babilończycy, i miary te i wagi dopiero od nich dostały się do Fenicyan. Żydów, Egipcyan, Greków i daléj na zachód, przeto też nie bez przyczyny spotykamy się u samych tylko cywilizowanych ludów starożytnych, ilekroć razy chodziło o wypłaty, z praktyką odważania przyjętych za monetę kruszców. Tak było w szczególności w Babilonii, Fenicyi, Palestynie, Egipcie, w Grecyi, a jakby zabytek z tych odległych czasów utrzymuje się podobna praktyka jeszcze dzisiaj w Chinach, Birmie, Tonkinie, Kochinchinie, u ludów zamieszkujących góry Hindukusz i u ludu Mandingo w Senegambii (2). W języku niektórych ludów europejskich zachowały się nawet do dziś dnia pewne wyrażenia, wprost pochodzące z czasów, kiedy jeszcze ze sztab metalu odrąbywano drobniejsze cząstki i według ich ciężaru oznaczano wartość towarów. Mianowicie Fińczycy używają ciągle jeszcze wyrażenia „rąbać pieniądze“ w znaczeniu „zmieniać pieniądze“ i nie mniéj nazwa rosyjskiego rubla pochodzi od *rubit'*, t. j. rąbać.

Od téj metody pozostawało już uczynić jeszcze krok tylko, ażeby ostatecznie ideał miernika wartości mógł zostać urzeczywistnionym. Potrzeba było mianowicie do tego, ażeby moneta nie tylko dawała się dzielić na mniejsze cząstki jak metalowa, ale nadto jeszcze, aby była możebnie najtrwalszą, aby była wygodną w użyciu i łatwą do przenoszenia, aby przy małéj stosunkowo objętości i ciężarze reprezentowała największą możebnie wartość i to wartość jak najmniéj narażoną na zmiany, i nareszcie potrzeba było rękojmi, że ten lub ów kawałek metalu jest czystym i rzeczywiście taką posiada wagę, jaką opiewa.

---

(1) R. Andree, l. c. str. 241—245.

(2) Roscher: Nationalökonomik des Handels u. Gewerbflusses. Stuttgart, 1882, str. 195—197 i Andree, l. c. str. 221—225.

Te wszystkie zaś warunki mogła tylko spełnić i spełniła dopiero moneta, sporządzona z najwięcéj właśnie wartościowych i najtrwalszych metalów, t. j. z kruszców szlachetnych, złota i srebra, i opatrzona nadto stemplem władzy publicznéj, który, obdarzając ją jako taki zaufaniem powszechném, czynił przez to samo zbyteczném ciągłe w czasie jéj obiegu odważanie i poddawanie próbie. Te warunki też, w jakie ujrzała się uposażoną moneta bita, zwolniły ją ostatecznie od charakteru towaru (1), jakim jeszcze były i są wszystkie inne mierniki wartości, a podniosły ją do znaczenia *pośrednika zamiennego* między towarami, t. j. do znaczenia prawdziwego pieniądza.

Zdawało by się, że pierwsze monety bite winny się były pojawić tam, gdzie pierwsze właśnie powstały miary i wagi, a więc w Babilonii albo przynajmniéj w drugiém a nie zbyt od niéj odległém ognisku handlowém starożytnego wschodu, t. j. w Fenicyi. Tymczasem ani ludy Mezopotamii, ani Fenicyanie, ani ich sąsiedzi Żydzi i Egipcyanie nie zdobyli się na podobny wynalazek o własnych siłach. Owszem kolebka monety bitéj leżała znacznie daléj ku zachodowi i to najprawdopodobniéj w łonie tego narodu, któremu przypadła jedyna w dziejach rola nie tylko przyjąć dary cywilizacyi starożytnego wschodu i podać je daléj na zachód, ale oraz wykształcić je i pchnąć na nowe tory rozwoju. To przynajmniéj pewna, że jakkolwiek najstarsze znane monety bite są pochodzenia lidyjskiego i datują się z VII w. przed Chr., nie Lidya przecież była ich rozsadnikiem — bo owszem ze względu na monetę bitą pozostała Lidya wyjątkowém państwem w rzędzie wszystkich azyatyckich — lecz Grecya, gdzie już w połowie VI wieku przed Ch. wszystkie niemal większe miasta od Eolidy, Jonii i Dorydy, aż po Sycylię posiadały swe własne mennice (2). Pewna również, że miasta greckie, Teos i Cyzikus, były pierwszemi, które na swych monetach wybijały swoje nazwy, podczas gdy na monetach lidyjskich figurowały dopiero wizerunki lwa i byka. To pewna wreszcie, że podczas gdy pierwsze monety lidyjskie i greckie były jeszcze sporządzane z mieszaniny złota i srebra (z t. zw. elektronu), nie w Lidyi, lecz w Grecyi zaczęto wybijać monety z każdego z tych kruszczów z osobna, — jako to: srebrną monetę w Atenach już w r. 594 przed Chr. i ostatecznie nawet monetę zdawkową z miedzi, jako to w Eginie na początku V wieku przed Chr.

---

(1) Towarem bowiem jest w monecie bitéj tylko kruszec surowy jako materyał służący do jéj sporządzania,—p. H. H. Gibbs „Die Doppelwährung“ (tłóm. z angielskiego). Berlin 1883, str 24.

(2) J. Brandis. Das Münz-, Maas- und Gewichtswezen in Vorderasien bis auf Aleksander d. Gr. Berlin 1866 apud R. Andree, l. c. str. 223—224.

Rozpowszechnienie się użycia monety bitéj za przykładem i inicyatywą Greków było już tylko po prostu rzeczą czasu. Najskuteczniéj oddziałali w téj mierze Rzymianie, u których pierwsza moneta bita pojawiła się za decemwirów. Od Rzymian téż dostała się ostatecznie moneta bita do państw średniowiecznych, a od tych znowu do państw dzisiejszych.

Łatwo zrozumiéć, jak wielkie korzyści odniósł był handel z rozpowszechnienia się monety bitéj i niezbędnych jéj towarzyszów, miar i wag. Oto dawna ogólnikowość i dowolność tak w oznaczeniu cen towarów jak w ich odmierzaniu ustała raz na zawsze, bo zluzowały ją nadal pewne stałe normy i matematyczna ścisłość. W ten sam sposób stały się i wypłaty niezmiernie odtąd uproszczonemi, bo zyskały pewną prawidłowość i nową, na wskróś umiejętną formę. Wszystko to ułatwiło naturalnie w wysokim stopniu wymiany handlowe i musiało się przyczynić do coraz to większego ożywienia się ruchu handlowego. Z drugiéj jednak strony nastała z monetą bitą i pewna nowa dla handlu niedogodność, pochodząca stąd mianowicie, że jak każdy niemal naród wytworzył sobie w kolei czasu własny odrębny system miar i wag, że tak samo każdy niemal wykształcił sobie także odrębny system monetarny, wskutek czego już wcześnie zapanowała niezmierna rozmaitość i chaotyczność tam właśnie, gdzie w interesie handlu winna panować o ile możności największa jednostajność i zgodność. Szczególnie w najnowszych czasach, kiedy przy tyle udoskonalonych środkach komunikacyi weszły narody i państwa w tak ścisłe i zażyłe z sobą stosunki handlowe, zaczęła niedogodność ta coraz dotkliwiéj dawać się we znaki i coraz wyraźniéj rozbudzać dążność do zaprowadzenia w świecie jednostajnych miar i wag i jednego systemu monetarnego. I trzeba przyznać, że ta dążność nie jest już dzisiaj bez walnych owoców. Rozpowszechniający się bowiem z Francyi, gdzie w r. 1792 został najprzód wprowadzonym, system metryczny uchylił już rzeczywiście w znacznéj części pierwotną dowolność w miarach i wagach, panując dziś w Europie we wszystkich państwach z wyjątkiem Anglii i Rosyi, w Ameryce wszędzie prócz Kanady i Stanów Zjednoczonych, a nadto jeszcze w Algieryi, Egipcie i Indyach angielskich (1). I coś podobnego od-

---

(1) Jak wiadomo jednostką miar długości w systemie metrycznym jest *metr* = $^1/_{10000000}$ kwadratu południka ziemskiego; jednostką miar ciężkości *gram* tj. ciężar jednego centimetra sześciennego, wody o 4^0 Cl.; jednostką miar objętości *litr* tj. decymetr sześcienny. Obok systemu metrycznego tylko jeszcze systemy miernicze angielski i rosyjski obejmują sobą większe obszary ziemi. Angielski panuje bowiem w W. Brytanii, w St. Zjedn., Kanadzie, Australii, kraju Przylądkowym; rosyjski zaś w Rosyi europejskiéj azyatyckiéj.

bywa się na polu monetarném z systemem frankowym. Mimo to przecież utrzymuje się w systemach monetarnych zbyt jeszcze wiele różnic i właściwości lokalnych, aby można już dziś mówić o tryumfie idei ujednostajnienia monety w całym świecie.

Przekonywa o tém najlepiéj sam przegląd obowiązujących dziś w poszczególnych państwach monet (1).

Frank (o 100 centimach) panuje: we Francyi i we wszystkich jéj koloniach (z jedynym wyjątkiem jéj posiadłości w Indyach wschodnich) w Szwajcaryi, Belgii, we Włoszech (jako t. zw. lira=100 centesimi), w Grecyi (jako t. zw. drachma=100 lepta), w Rumunii (jako t. zw. ley=100 bani), w Bułgaryi (jako t. zw. lewa=100 stotinkom), w Serbii (jako t. zw. dinar=100 para), w Hiszpanii (jako t. zw. pesata=100 centavo), w Finlandyi (jako t. zw. marka=100 penni). Prócz tego przyjęły w ostatnich czasach system frankowy prawie wszystkie państwa Ameryki południowéj i środkowéj, a to w ten sposób, że dawne tamtejsze jednostki monetarne zwane „peso“ (a w Peruwii „sol“) przyjęto=5 frankom (2) a mianowicie: Kolumbia, Ekwador, Peruwia, Chile, Argentyna, Uragwaj, Boliwia, Wenezuela, Gwatemala, S. Salwador, Nikaragwa, Costa-Rica, Honduras (3) i Haiti. Jedna sztuka w złocie à 20 fr. zwie się Napoleon d'orem.

Dolar (à 100 cents=2·5 guldena w. a.=5 fr. 18 cent.) panuje w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnéj, a nadto w Kanadzie, na wyspie Jamajce, na wyspach Hawaii (Sendwich), w rzeczypospolitéj Liberyi (w Afryce) i w Japonii, gdzie dolary noszą nazwę yen'ów. Od tego dolara trzeba odróżnić t. zw. *dolar kupiecki* (Trade-dollar), pod którą to nazwą figuruje dzisiaj w handlu zarówno dawny srebrny piaster hiszpański, zwłaszcza piaster Karola IV (dolar karolowy=2·16 guldenów w. a.) jakotéż i dawny srebrny piaster meksykański (dolar

---

W angielskim jednostką miar długości jest yard (à 3 stopy) = 0.914 metra, jednostką miar ciężkości funt = 453 gramy, a jednostką miar objętości gallon imperial= 4·543 litrów; 8 gallonów tworzy t. zw. bushel (36·347 litrów) używany do mierzenia zboża.

W rosyjskim jednostką miar długości jest arszyn=0·7 metra, jednostką miar ciężkości pud (à 40 funtów)=16·3 kilogr.; ważniejszemi zaś miarami objętości są: dla zboża i innych towarów sypkich czetwert=209·9 litrów i wiadro=12·2 litrów dla płynów.

(1) Następujący przegląd ułożony po części na podstawie dat „Annuaire du bureau des longitudes pour l'an 1881, str. 226 i nastp. po części Ottomara Haupta (L'histoire monetaire de notre temps“ Paris-Berlin 1886, passim), po części wreszcie K. Scherzera („Das wirtschaftliche Leben der Völker. Leipzig 1885, str. 749—756).

(2) Jest to jednak tylko nominalna ich wartość, bo faktycznie według ich obecnego kursu wartają tylko 3 fr. 85 ct.

(3) W Honduras panującym jest system frankowy tylko faktycznie, bo urzędownie obowiązuje tam system monetarny angielski.

meksykański=2·19 guldenów w. a.). Znajduje on wyłącznie użycie w handlu z ludami wschodniéj Azyi, zwłaszcza z Chinami i Indo-Chinami.

Dukat. Należy rozróżnić kilka jego rodzajów, jakoto holenderski, austryacki i rosyjski. Wartość ich wynosi od 5·7 do 6 guldenów w. a. Szczególnie ważnym jest dukat rosyjski z holenderskim stemplem, ze względu na jego użycie w handlu persko-rosyjskim. Na dukaty t. zw. metikale albo metgale obliczają wartość także Marokanie; 1 metikal odpowiada wszakże w Marokko tylko 1.32 guld. w. a. czyli 2 frankom i 70 centimów. Jest to tylko idealna moneta, bo osobne sztuki monetarne tego nazwiska nie istnieją. Właściwą zaś jednostką monetarną w Marokko jest srebrny drahem (albo okeat) wartujący 26—27 centimów. Na jeden metikal przypada ich więc 10.

Funt szterling=25 frankom (à 20 szylingów, 1 szyling à 12 pensów) panuje w W. Brytanii, na Malcie, w kraju Przylądkowym i w Natalu, w posiadłościach angielskich w Indyach zachodnich (prócz Jamaiki), w Australii i na Nowéj Zelandyi.

Gulden: a) austryacko-węgierski (=około 2 fr.) w monarchii austro-węgierskiéj, b) holenderski (=2 fr. 10 centim.) w Holandyi i koloniach holenderskich,

Korona (à 100 ore=1 frank 38 centm.=0·67 guld. w. a.) obowiązuje w Danii, Szwecyi i Norwegii.

Marka (à 100 fenigów=1 fr. 25 centim.= 0·60 guld. w. a.) panuje w cesarstwie niemieckiém.

Milreis a) w Portugalii (à 1000 reis=5 fr. 60 centim=2·72 guld. w. a.) b) w Brazylii (= 2 fr. 83 centim.=1·37 guld. w. a.).

Piaster: a) dzisiejsza jednostka monetarna w Meksyku, gdzie zwie się także „peso“, posiada wartość nominalną 5 fr. 43 centim. b) w Egipcie, Turcyi i Trypolitanii (à 40 para=10—11 krajcarów w. a.=0·22—0·25 frank.). 100 piastrów w złocie zwie się w Egipcie sekinem (cekinem=12 guldenom i 45 kr. w. a.), w Turcyi turecką lirą (= 11 guldenom 6 kr. w. a.); c) w Tunisie, gdzie jego wartość wynosi 0·61 franka.

Rubel srebrny jest panującą jednostką monetarną w Rosyi i jéj posiadłościach w Azyi. Nominalna wartość jego=4 fr.=2 guld. w. a., faktycznie według obecnego kursu $2\frac{1}{2}$ fr. albo $1\,{}^1/_5$ guld. w. a. Złote sztuki w wartości 5 rubli noszą miano półimperyałów, złoty zaś dukat rosyjski=3 rublom srebrnym.

Rupia panuje w Indyach angielskich; wartość jej wynosi 2 fr. 36 centim., kwota 100.000 rupii nosi miano 1 laka.

Tael (czyt. tehl) w Chinach. Jest to idealna tylko moneta, bo osobnych sztuk bitych tego nazwiska nie ma wcale. Właściwie jest

to tylko jednostka wagi o ciężarze mniéj więcéj 37 gramów,—mniéj więcéj, bo w różnych prowincyach Chin reprezentuje tael różny ciężar. Jednostka ta służy do oznaczania ciężaru sztab srebra, któremi Chińczycy posługują się w większych wypłatach. Jeden tael srebra odpowiada wartości około 7½ frank. czyli około 3 guld. w. a. Jedyną faktyczną monetą chińską jest t. zw. tsien albo li (po angielsku cash, po francusku sapegue); ale i on nie jest bitą, tylko laną monetą i to z mieszaniny cynku, ołowiu, cyny i miedzi, przyczém miedź zajmuje 79%. Na jeden tael idzie tych tsienów od 1400 sztuk (lepszych), —1700 sztuk (gorszych). Moneta ta jest przedziurawioną we środku, aby ją można nawlekać na sznurki. Znajdują się i większe sztuki téj monety, mieszczące w sobie 10, 20, 50 i 100 tsienów. Z Chin rozpowszechniła się ta moneta i po Anamie, Tybecie, Korei i Japonii. Obok tsienów i sztab srebra kursuje także w Chinach i moneta srebrna obcego pochodzenia, jako to stare hiszpańskie i meksykańskie dolary (Trade-dollars). Złotéj natomiast monety nie posiadają Chińczycy zgoła.

Talar, dawna jednostka monetarna w Niemczech, ale i dziś mająca kurs obowiązkowy w wartości 3 marek.

Talar Maryi Teresy zwany także talarem lewanckim; należy on obok dolarów kupieckich do tych nielicznych już starszych monet, które jeszcze do dziś dnia nie wyszły z obiegu. Jak tamte bowiem w handlu z Chinami, Indyami zagangesowemi, tak znowu talar Maryi Teresy ciągle jeszcze oddaje usługi w handlu z ludami Afryki północno-wschodniéj, Sudanu środkowego i wschodniego oraz po części z Arabią. Rozpościeranie się jego po wymienionych okolicach rozpoczęło się niedługo po śmierci cesarzowéj, któréj miano talar ten nosi, a po dziś dzień rozrósł się już obszar jego rozpostarcia nie mniéj jak do 180.000 mil □. Szczególnie panuje on w Bornu, Wadaju, Darfurze, Kordofanie, między koczującą ludnością Egiptu, na obu wybrzeżach Morza Czerwonego, w Abisynii i w Zanzybarze. W Sudanie jest jego monetą zdawkową muszla Kauri, w Bornu np. idzie 140—150 funtów téj muszli na 1 talar Maryi Teresy tj. licząc na 1 funt 32 muszle 4480—4800 sztuk muszli; w Abisynii zaś tabliczki soli. Nie dziw téż, że w Wiedniu ciągle jeszcze biją ten talar, obdarzając go przestarzałą datą 1780 r., a nawet nadając mu sztucznie pozór wyszarzały. Nie nowe bowiem lecz właśnie stare i brudne sztuki téj monety znajdują u ludów wymienionych okolic zupełne zaufanie i swobodny obieg. Przekonali się o tém najlepiéj Anglicy w czasie swéj wyprawy do Abisynii w r. 1867; zupełnie bowiem świeże sztuki tych talarów, w jakie się zaopatrzyli z mennicy wiedeń-

skiéj, przyjmowali krajowcy tylko z trudnością i z niedowierzaniem (1).

Tikal w Siamie; pięć sztuk jego równa się trzem dolarom kupieckim.

Toman w Persyi; wartość jego=5½ guld. w. a. albo 11 fr. Obok tomanów kursują jednak w Persyi i niektóre obce monety, mianowicie dukaty rosyjskie z holenderskim stemplem i dukaty austryackie.

Moneta bita, choć spełniła niezawodnie ideał miernika wartości, nie spełniła przecież jeszcze wszystkich wymagań obrotu handlowego. Sama przez się bowiem nie jest jeszcze wyposażoną w nic takiego, coby pozwalało tranzakcyom kupieckim odbywać się i bez konieczności uskuteczniania natychmiastowych wypłat, coby przeto zwalniało kupujących od obowiązku przechowywania jéj ciągle pod ręką lub téż od uciążliwości przewożenia jéj każdym razem z miejsca na miejsce, zwłaszcza większéj jéj ilości. Jako taka potrzebowała téż najwyraźniéj jeszcze czegoś pomocniczego, coby jéj użycie mogło na razie zastąpić, a więc i ją samą chwilowo wyręczyć i w ten sposób usługi jéj jako środka zamiennego ułatwić i rozszerzyć. Téj potrzebie zaś uczynił dopiero w zupełności zadość *kredyt* i oparte na nim pieniądze papierowe i banknoty.

Ale i te, zanim się mogły pojawić i drugim obok gotówki zostać nerwem handlu, musiały mieć odpowiednio przygotowaną dla siebie glebę a téj użyczyć im dopiero mogła wyższa oświata narodów, skoro ta dopiero uszlachetnia ludzi i rozbudza między nimi wzajemne zaufanie, uczy ich pilności w pracy a umiarkowania w używaniu i stwarza instytucye, stojące na straży bezpieczeństwa życia i mienia. To téż nie dziwna, że w świecie starożytnym, pełnym codziennych niemal bezprawiów, zdzierstw i niedowierzania zwłaszcza w stosunkach międzynarodowych, kredyt zgoła jeszcze nie był znanym, że również przedwczesnym lub co najwięcéj wyjątkowym musiał być jeszcze pojawem w społeczeństwach średniowiecznych, tak luźnych w swym składzie i surowych w swych obyczajach, że, choć już w XIII i XIV wieku zaczął kiełkować, nie pierwéj urósł w dojrzały owoc, jak dopiero wśród cywilizacyi nowożytnéj.

Rzeczywiście, pomijając Chiny, gdzie pierwsze pieniądze papierowe pojawiły się już w IX w. po Chr. w formie asygnat, wystawianych kupcom za złożony w bankach kruszec, spotykamy w Europie pierwszą zapowiedź papierowych pieniędzy dopiero w XIII

(1) Bliższe szczegóły, odnoszące się do rozpostarcia geograficznego talara Maryi Teresy zob. w R. Andree'go: Ethnogr. Par. n. Veregl. str. 225—230

i XIV wieku w postaci wekslów. Pojawiły się one najprzod we Włoszech i Niemczech—jako środek, uchylający potrzebę przewożenia większych kwot pieniężnych w gotówce, a podyktowany po części obawą przed rozbojami na ówczesnych drogach, po części względami na trudności, z jakiemi ówczesny transport miał jeszcze do walczenia. We Włoszech również i w tym samym mniéj więcéj czasie, co weksle, wzięły początek i banki, jako instytucya, służąca zarówno do wymiany różnych monet, napływających z najrozmaitszych okolic, jako też do odważania sztab kruszczu, przeznaczonych do wypłat przy większych zamianach handlowych, a które, pochodząc z różnych okolic, bywały według różnego systemu wag sporządzane. Właściwe wszakże rozpowszechnienie się pieniędzy papierowych i banknotów przypada w najnowsze dopiero czasy (począwszy od końca XVII w.) bo wtedy dopiero, przy coraz to większym rozroście tranzakcyi handlowych, dała się coraz dotkliwiéj uczuwać potrzeba środków zamiennych, któreby, przedstawiając znaczne nawet wartości (kwoty pieniężne), dozwalały się mimo to przecież wygodnie, tj. nie zajmując wiele miejsca i nie ciążąc zbytecznie, przechowywać i przenosić.

Wymieniamy osobno pieniądze papierowe i banknoty, albowiem należy rzeczywiście stanowczo jedne od drugich odróżnić. Zasadnicza zaś różnica między niemi polega na tém, że papierowe pieniądze—w Austro-Węgrzech zwiące się „Staatsnoten,“ w Niemczech „Reichskassenscheine“—tylko i wyłącznie ustanawiają i wydają czyli puszczają w obieg rządy, że przeto pieniądze te mają znaczenie przekazów płatniczych do kas rządowych, a jako osobnemi ustawami nakazane, posiadają zarazem zawsze w granicach odnośnych państw kurs przymusowy, co znaczy, że każdy w granicach państw odnośnych podobnie jak kasy rządowe ma obowiązek przyjmować je w wartości, na jaką opiewają; podczas gdy banknoty czyli bilety bankowe (przekazy płatnicze do pewnych banków) mają tylko kurs dobrowolny, bo wydawane są nie przez rządy lecz przez osobne banki, choć najczęściéj do tego przez rządy wyraźnie upoważnione i uprzywilejowane (1). Do takich banków należy np. w Anglii bank angielski (od r. 1844), we Włoszech bank narodowy włoski (od r. 1860) obok 5 innych jeszcze banków, w Austro-Węgrzech od r. 1816 bank narodowy austryacki, noszący od r. 1878 tytuł austryacko-węgierskiego itp. Pomimo wszakże wskazanych różnic między papierowemi pieniędzmi a banknotami, mają rządy w zasadzie te same obo-

(1) Dr. A. Wagner: „System der Zettelbank-politik.“ Freiburg in Br. 1873 str. 5 i nast.

wiązki co i banki tak co do ścisłego przestrzegania ilości wydawanych papierów jak i co do ich wymiany na gotówkę w każdéj chwili. Tylko w wyjątkowych wypadkach nie przestrzegają rządy tych obowiązków, a mianowicie gdy wypadnie im zaciągnąć większe długi, czyli co na jedno wychodzi—pomnożyć zbytecznie ilość papierowych pieniędzy w stosunku do ilości gotówki, służącéj im na pokrycie. Jeżeli—co właśnie najczęściéj się praktykuje—ten lub ów rząd zaciąga swe pożyczki w bankach, które właśnie posiadają upoważnienie do wydawania banknotów, to naówczas otrzymują banki te oczywiście i prawo puszczania w obieg odpowiedniéj ilości banknotów, a rząd nadaje wtedy tym banknotom kurs przymusowy, tj. podnosi je do znaczenia pieniędzy papierowych.

Już sama okoliczność, że panujące dziś w świecie cywilizowanym środki zamienne występują w trzech różnych formach, tj. jako bite z kruszcu szlachetnego i jako papierowe, pierwsze zaś jako srebrne i złote, zniewala nas przyjrzéć się bliżéj wzajemnemu tych pieniędzy stosunkowi i znaczeniu tak w ogóle jak w poszczególnych państwach. W szczególności nasuwają się następujące pytania do bliższego rozbioru:

a) które z tych trzech rodzajów pieniędzy są w poszczególnych krajach panującemi?

b) jakim jest stosunek wartości monety złotéj do srebrnéj i *vice versa*?

c) w jakim przedstawia się stosunku ilość monety bitéj do ilości pieniędzy papierowych i banknotów w poszczególnych krajach i we wszystkich razem?

Co się tyczy pierwszego z tych pytań, to należy przedewszystkiém zaznaczyć, że stosunki monetarne téj natury, w których by wszystkie trzy rodzaje pieniędzy używały razem i jednocześnie równorzędnego znaczenia, są wprost niemożebnemi, a to z powodu, że pieniądze papierowe lub banknoty pełnią w obiegu pieniężnym jedynie usługi monety zastępczéj i posiłkowéj. Tém mniéj naturalnie mają warunków do odgrywania roli samoistnego miernika wartości same tylko pieniądze papierowe lub banknoty. Ztąd téż w zasadzie może być właściwie tylko mowa o trzech ewentualnościach w stosunkach monetarnych państw poszczególnych, tj. albo w jednych może być uznaną za obowiązujący miernik wartości i środek wypłat, moneta złota, albo w innych moneta srebrna, albo w innych jeszcze moneta złota i srebrna razem obok siebie. Skoro zaś rodzaj monety, ustanowiony przez władzę publiczną jako powszechnie obowiązujący środek wypłat, zwie się *walutą* (etalon, standard, Währung), przeto może być tylko w poszczególnych państwach mowa

o trzech rodzajach waluty tj. albo o walucie złotéj, albo o walucie srebrnéj, albo téż o złotéj i srebrnéj razem. Gdzie panuje bądź to złota, bądź srebrna waluta, tam, powiadamy, obowiązuje monometalizm czyli waluta pojedyncza, gdzie zaś obie razem obok siebie, tam bimetalizm, czyli waluta podwójna. Nie wyklucza wprawdzie i waluta złota używania monet srebrnych, podobnie jak i waluta srebrna monet złotych. W tém jednak zachodzi zasadnicza różnica między walutą pojedyńczą a podwójną, że przy walucie pojedyńczéj monety, obce téj walucie, ani nie mają siły prawa obowiązującéj w wypłatach, ani téż ustalonéj wartości i z tego powodu są właściwie prostym tylko towarem, którego cena każdéj chwili jest zależną od podaży i popytu; podczas gdy przy walucie podwójnéj oba rodzaje monet, tj. tak złota jak i srebrna, zupełnie równorzędne co do swego charakteru posiadają znaczenie i celem zachowania téj swojéj równorzędności potrzebują tylko, aby stosunek wartości jednego kruszcu do drugiego był stale oznaczonym czyli, innemi słowy, aby ustawa stale naznaczała, ile jednostek wagi srebra ma odpowiadać jednostce wagi złota.

Innych walut ponad wymienione trzy rodzaje nie znaleść. Bo choć wprawdzie w wypadkach wyjątkowych, jak np. w razie wielkiego zadłużenia się tego lub owego państwa, przyjmują i pieniądze papierowe pozornie charakter waluty (papierowéj), a czego najlepszym objawem jest, że na ówczas kasy rządowe lub banki, w których państwo dług zaciągnęło, zwolnione są od obowiązku wymieniania swych asygnat na gotówkę, to przecież pieniądze papierowe nie mogą nigdy dzierżyć znaczenia istotnéj waluty, bo właśnie z istoty swéj są tylko monetą zastępczą i posiłkową w obiegu pieniężnym. Dlatego téż i w tych wyjątkowych wypadkach obowiązuje—przynajmniéj nominalnie, inna a nie waluta papierowa. Również i drobna czyli zdawkowa moneta, bita z kruszców nieszlachetnych jak miedź, bronz i nikiel (1) nie może być podniesioną do znaczenia waluty, bo i ona posiada tylko charakter monety posiłkowéj, a nadto i w pewnym stopniu idealnéj z powodu, że jéj nominalna wartość, pod jaką kursuje, nie odpowiada zgoła faktycznéj wartości zawartego w niéj metalu. Właśnie téż z tych względów moneta zdawkowa nie ma innego zadania, jak tylko *przedstawiać* ułamki i cząstki monety, używającéj znaczenia waluty.

(1) Bronzowa moneta zdawkowa znachodzi się: we Francyi, Anglii, Belgii, Hiszpanii, Włoszech, w Danii, Swecyi, Norwegii, w Grecyi, Bułgaryi, Egipcie i w Argentynie. Niklowa zaś w Niemczech, Belgii, Szwajcaryi, Serbii, w St. Zjedn. Brazylii, Boliwii, Kolumbii, Ekwadorze, na Jamaice i w Egipcie. p. O. Haupt: „l'Histoire monetaire de notre temps" (Paris-Berlin 1886) passim.

Na dzisiejszą rozmaitość walut złożyły się trzy główne czynniki:

α) w jednych państwach sama siła zwyczaju i tradycyą uświęcona praktyka, a poczęści także brak dostatecznéj własnéj produkcyi złota. Należą tu np. takie państwa jak cesarstwo indyjskie i Chiny, mające walutę srebrną;

β) w innych państwach niepomyślny stan finansów, który jako taki nie tylko nie dozwala im przystąpić do reformy stosunków monetarnych, ale niekiedy nawet zniewala je do wydawania nadmiernéj ilości pieniędzy papierowych, przez co te przyjmują pozór waluty. Należą tu np. Austro-Węgry i Rosya, o obowiązującéj w zasadzie walucie srebrnéj.

γ) w innych wreszcie państwach polityka, oparta bądź to na pewnych teoretycznych założeniach, bądź téż znowu na pewnych praktycznych względach i widokach. Téj polityce właśnie zawdzięczają w najnowszych czasach swój początek waluta złota i bimetalizm i jéj również należy przypisać walkę, jaka w ostatnich dziesiątkach lat między obrońcami tych dwóch systemów waluty zawrzała.

Argumenty, na których się wspierają i któremi walczą zwolennicy waluty złotéj, obracają się głównie około tych pewników, że złoto z pomiędzy wszystkich kruszców posiada największą trwałość i największą wartość a przez to samo niezaprzeczoną wyższość nad monetą srebrną; że daléj wobec niezmiernego wzrostu w najnowszych czasach zamian handlowych i kwot wypłacanych, srebro, jako kruszec tańszy od złota, stało się poniekąd już monetą drobną; że prócz tego jeszcze srebro w ostatnich latach skutkiem gwałtownego wzmożenia się jego produkcyi znacznéj uległo deprecyacyi i ciągle jeszcze jéj ulega, podczas gdy produkcya złota od czasów odkrycia nowych jego kopalni w Kalifornii i Australii bez porównania więcéj miarowym odbywała się krokiem, a w ostatnich czasach nawet zaczęła się zmniejszać, że przeto w takim składzie rzeczy nie podobna nawet myśléć, aby się dał utrzymać pewien stały stosunek wartości złota do srebra, a tém samém i bimetalizm, z konieczności zniewolony na takim właśnie opierać się stosunku.

Inaczéj brzmią wywody bimetalistów. Nie tają i oni sobie naturalnie, że teoretycznie najlepszą byłaby waluta złota, ale tém lepiéj jeszcze oceniają tę prawdę i ten fakt niezaprzeczony, że praktyka wieków uświęciła już z dawna srebro w tém samém znaczeniu miernika wartości i waluty, jakieby obrońcy waluty złotéj radzi byli wyłącznie rewindykować dla złota; że więc srebro, jako takie, nie da się już zgoła swojéj roli pozbawić, zwłaszcza, że w pewnych krajach jak było tak i pozostało jedyną walutą, i z tego stanu rzeczy wypro-

wadzają wniosek, że o zaprowadzeniu w całym świecie jednéj i jedynéj waluty złotéj nie podobna marzyć, że zatém praktycznie najodpowiedniejszym i jedynie wskazanym jest tylko bimetalizm. Tém więcéj jeszcze, powiadają jego zwolennicy, dyktują go względy praktyczne, że on dopiero i on wyłącznie, po zaprowadzeniu go wszędzie, usunąłby stanowczo i raz na zawsze chwianie się stosunku wartości jednego kruszcu do drugiego, skoro w chwili najmniejszego nadwyrężenia tego stosunku musiałby natychmiast ze strony dłużników wzrość popyt na tańszy kruszec, a ustać popyt na kruszec podrożały, coby znowu zaraz poprzedni stosunek wartości obojga kruszców przywróciło. Wreszcie, co nie mniéj ważna, jeźli dziś przyszło do niebywałego zdrożenia złota, czego przyczyny zajmą nas nieco niżéj, i wskutek tego do niezmiernéj obniżki cen pracy i produktów, i jeźli obniżka ta jeszcze większe musiałaby przybrać rozmiary, gdyby nagle wszystkie państwa zaprowadziły u siebie walutę złotą, to tylko jeden bimetalizm byłby w stanie i téj obniżce i wyniklemu ztąd a tak dziś w całym świecie dotkliwemu przesileniu ekonomicznemu skutecznie zapobiedz. Jedynie tylko jako wyjątkowe w tém lub owém państwie zjawisko nie byłby bimetalizm zdolnym sprowadzić z sobą dobrodziejstw, o których mówimy. Bo naówczas ani nie byłby dla odnośnego państwa korzystnym, skoro wszyscy dłużnicy płaciliby naturalnie swe długi w kruszcu tańszym tj. srebrze, ani też nie dałby się wogóle w takiém wyjątkowém państwie utrzymać, skoro prędzéj czy późniéj podkopałby go spadek wartości srebra, zrządzony wyzbywaniem się tegoż przez państwa o walucie złotéj. I w tém też powód, dlaczego jedynym i najważniejszym warunkiem bytu dla bimetalizmu jest, aby go wszędzie przyjęto, czyli ażeby został powszechnie panującym w świecie systemem waluty (1).

Pomimo jednak, że bimetalizm tak wszechstronnym wydaje się odpowiadać wymaganiom i z tego powodu wprost przez najzawołańszych ekonomistów dzisiejszych jest głoszony i polecany jako najzbawienniejszy rodzaj waluty, daremnie jeszcze szukalibyśmy dzisiaj państw, któreby, sprzymierzywszy się między sobą, chciały wziąć inicyatywę w wielkiém dziele jego urzeczywistnienia. Na razie owszem panuje inna w dzisiejszym świecie tendencya, bo właśnie dążność do zaprowadzenia wszędzie monety złotéj jako podstawo-

---

(1) Porów. W. H. Gibbs: „die Doppelwährung“ Berlin 1883; M. Frewen: „Zmniejszenie się ilości złota i przesilenie w handlu. (z angiel. tłóm.) Lwów 1885.—O. Haupt: „L'histoire monetaire de notre temps, str. 3—18.—Dr. J. Milewski: „Obecny stan kwestyi monetarnéj“ w „Przeglądzie polskim“ w zeszycie październikowym r. 1886.

wéj. Szczególnie wzięła ta tendencya górę od czasu przejścia Niemiec, Stanów Zjedn. i państw skandynawskich do waluty złotéj i — co za tém poszło — od zaniechania dalszego bicia monety srebrnéj w państwach łacińskiego związku monetarnego, t. j. od okresu lat 1871—1876. Z tém wszystkiém, nie można bynajmniéj jeszcze powiedzieć, aby waluta złota, chociaż na razie zwrot do niéj niezaprzeczenie przeważa, odniosła już była stanowczy tryumf. Przeciwnie, na polu waluty zapanowała obecnie bez mała we wszystkich państwach cywilizacyi zachodniéj niepraktykowana dotychczas chwiejność, połowiczność i wyczekiwanie. Same nawet Niemcy i Stany Zjednoczone, od których właśnie wyszło niejako hasło, nawołujące inne kraje do waluty złotéj, powstrzymują się z zupełném i dosłownem zaprowadzeniem jéj u siebie. O téj chwiejności, jak wogóle o niebywałéj mozaice w dzisiejszych stosunkach monetarnych, świadczy najwymowniéj sam przegląd obowiązujących w poszczególnych państwach walut.

Jedna tylko W. Brytania jest wolną od téj chwiejności, posiadając już od stu lat blisko ustaloną walutę złotą. Jak w całym świecie starożytnym i średniowiecznym tak i w Anglii obowiązywała pierwotnie waluta srebrna. Z nastaniem dopiero czasów nowożytnych zluzował ją w Anglii bimetalizm, który wszakże od 1665—1717 znowu ustąpił miejsca walucie srebrnéj, a ostatecznie walucie złotéj, która — pod koniec XVIII wieku — najprzód faktycznie a od r. 1816 obowiązkowo została wprowadzoną. Jako taka dostała się waluta złota i do wielu kolonii angielskich, a mianowicie do kraju Przylądkowego, do Natalu, do Malty, do Australii, Nowéj Zelandyi i do Kanady, lubo w tym ostatnim kraju została wprowadzoną nie według systemu funtów szterlingów, lecz na wzór Stanów Zjednoczonych północnéj Ameryki według systemu dolarowego.

Z wyjątkiem jednéj Portugalii, która w r. 1854 przeszła z waluty srebrnéj do złotéj, długo żadne z państw kontynentu europejskiego nie myślało o naśladowaniu Anglii. Dopiero gdy przyszło do zwołania międzynarodowéj konferencyi monetarnéj w Paryżu r. 1867, objawiły się między większością reprezentantów mocarstw zdania, przychylne wprowadzeniu waluty złotéj, a decydującą tego przyczyną był ówczesny ustawicznie z roku na rok zwiększający się wzrost produkcyi złota, a więc niezłomne przekonanie, że zasoby złota na wszystkie potrzeby państw europejskich wystarczą. Między Francyą i Austryą przyszło wtedy nawet do zawarcia traktatu, mocą którego oba te państwa przyrzekały sobie wzajemnie przystąpić ewentualnie do zaprowadzenia u siebie waluty złotéj. Wojna jednak francusko-niemiecka 1870—1871 pokrzyżowała te plany i za-

miary, a natomiast w Niemczech rozwarła nagle szerokie do wprowadzenia waluty złotéj podwoje. W kraju tym, chociaż w poszczególnych państwach dawnéj rzeszy niemieckiéj obowiązywała tylko waluta srebrna, panował faktycznie w pierwszych dziesiątkach tego wieku bimetalizm, skoro obok monety srebrnéj bito i złotą według pewnego stałego kursu. Dopiero konwencya monetarna, zawarta między państwami rzeszy w Dreźnie r. 1838 położyła temu koniec, ustanawiając walutę srebrną, jako jedynie obowiązującą. Na podstawie téj waluty przyszło też w r. 1857 do zawarcia między Niemcami i Austryą traktatu monetarnego. Gdy jednak wskutek wojny niemiecko-austryackiéj w r. 1866 traktat ten został zerwany, a po wojnie francusko-niemieckiéj wpłynęła do Niemiec kontrybucya wojenna w olbrzymiéj ilości 5 miliardów franków, ujrzało cesarstwo niemieckie swą finansową podstawę zbyt wzmocnioną, aby nie miało pomyśléć natychmiast o zaprowadzeniu waluty złotéj. To téż bezwłocznie uskuteczniły to odnośne ustawy z r. 1871 i 1873, lubo faktycznie nie spełniono ich litery jeszcze po dziś dzień z całą stanowczością, skoro nie odjęto w zupełności i dawnym srebrnym talarom znaczenia waluty, lubo ich ilość znacznie pomniejszono.

Tuż śladem Niemiec poszły w latach 1872 i 1873 państwa skandynawskie, t. j. Szwecya, Norwegia i Dania, mające poprzednio walutę srebrną, a zaprowadzając walutę złotą, zawarły zarazem między sobą traktat monetarny w téj mierze.

W rzędzie państw europejskich, które przeszły do waluty złotéj, stanęła wreszcie w roku 1877 i Finlandya.

Ale także i Holandya, jako też państwa t. zw. łacińskiego związku monetarnego mogą już być dzisiaj wliczone do krajów o panującéj monecie złotéj przynajmniéj faktycznie. Holandya bowiem po pierwotnéj walucie srebrnéj (do r. 1825), następnie bimetalizmie (do r. 1847) i znowu walucie srebrnéj (od r. 1847) ujrzała się ostatecznie w 1875 spowodowaną, wskutek reform monetarnych w Niemczech i państwach Skandynawskich, przyjąć nadal w zasadzie walutę złotą a zawiesić bicie monety srebrnéj. Również i w państwach łacińskiego związku monetarnego zaszły w ostatnich latach wypadki, nadwyrężające dotkliwie obowiązujący u nich bimetalizm. W myśl mianowicie zawartego w r. 1865 związku monetarnego między Francyą, gdzie już od r. 1803 obowiązuje bimetalizm, a Belgią, Włochami Szwajcaryą i niedługo potém Grecyą i Rumunią stał się we wszystkich tych państwach obowiązującym bimetalizm i to według jednego i tego samego stosunku wartości złota do srebra (to jest stosunku 1 : 15½). Tymczasem już niedługo po zawarciu tego związku oka-

zało się, iż ten stosunek wzajemnéj wartości obu kruszców nie da się bynajmniéj stale utrzymać. Właśnie bowiem na targach światowych dały się coraz większe uczuwać zmiany co do stosunkowéj wartości złota i srebra, a mianowicie wystąpiła wyraźnie tendencya do coraz to większego obniżania się wartości srebra. Skoro téż wskutek tego zaczęła do państw łacińskiego związku monetarnego napływać w coraz to większéj ilości moneta srebra i gdy szczególnie wzmógł się tu napływ po przejściu Niemiec i państw Skandynawskich do waluty złotéj, a więc po zdemonetyzowaniu w tych państwach ogromnych ilości srebra, ujrzały się państwa łacińskiego związku ostatecznie zniewolone najprzód coraz to bardziéj ograniczać u siebie ilość mającéj się bić monety srebrnéj, a w r. 1876 zupełnie nawet zaprzestać jéj bicia. W podobnym zaś składzie rzeczy wypada i te państwa, chcć *de jure* o obowiązującéj walucie podwójnéj, poczytać za kraje o panującéj faktycznie walucie złotéj.

To samo mniéj więcéj można powiedzieć i o Hiszpanii, gdzie wprawdzie od r. 1868 obowiązuje bimetalizm, ale wskutek ograniczenia ilości mającéj się bić monety srebrnéj w r. 1876 skrępowany, a więc i wielce problematyczny. Wreszcie i w Turcyi panuje rażąca niezgoda między obowiązującym *de jure* bimetalizmem (od r. 1844) a faktyczną przewagą monety złotéj.

We wszystkich innych natomiast państwach europejskich utrzymuje się z dawniejszych czasów po dziś dzień jeszcze jako podstawowa waluta srebrna, a więc w Austro-Węgrzech i Rosyi, których przykład oddziałał także na stosunki monetarne nowokreowanych państw bałkańskich, Serbii i Bułgaryi.

Jak w Europie tak i w państwach poza-europejskich nie szukać dzisiaj jednéj powszechnie obowiązującéj waluty. Jeszcze najwięcéj w téj mierze jednolitości przedstawiają kraje Azyi, bo tam z wyjątkiem krajów wchodzących w skład państwa Tureckiego, oraz Filippin, gdzie obowiązuje waluta złota, i prócz Japonii, gdzie w roku 1871 wprowadzono bimetalizm, jako téż Indyi holenderskich, gdzie on również obowiązuje, wszędzie zresztą panującą jest waluta srebrna, a mianowicie w Persyi, gdzie wprawdzie urzędownie obowiązuje złota, faktycznie jednak srebrna, w całych Indyach angielskich, Indyach zagangesowych, w Chinach i w Rosyi azyatyckiéj. W Afryce panuje częścią waluta złota, jak w koloniach angielskich i od r. 1885 w Egipcie, częścią srebrna, jak w Trypolitanii, Tunisie i Marokko, jako téż w okolicach, gdzie kursuje talar Maryi Teresy, częścią bimetalizm, jak w posiadłościach francuskich. W Australii, jako w kolonii angielskiéj, panuje waluta złota. W Ameryce zaś obowiązuje częścią srebrna, jak w Meksyku, Kolumbii, Ekwadorze, Pe-

ruwii, Boliwii, w Chile i Paragwaju; częścią złota, jak w Brazylii. Uragwaju, Argentynie, na wyspie Kubie i w Kanadzie; a częścią bimetalizm, jak na wyspie Haiti, w Gwatemali, San Salwador, Nikaragwie, Kostaryce, w Honduras, Wenezueli i w Stan. Zjednoczonych północnéj Ameryki. W ostatnim z tych krajów został już niedługo po ukonstytuowaniu się rzeczypospolitéj (t. j. w r. 1792) wprowadzonym bimetalizm, ale charakter jego był nader chwiejnym, bo najprzód posiadala faktyczną przewagę waluta złota, a potém podczas i po wojnie domowéj moneta papierowa. Wprawdzie w roku 1873 ogłosiły Stany Zjedn. jako obowiązującą u siebie walutę złotą i ta jest nawet po dziś dzień faktycznie panującą, jednakże w roku 1878 wskutek agitacyi ze strony producentów srebra wprowadzono znowu mocą t. zw. blandbilu walutę podwójną (według stosunku wartości złota do srebra 1:15·9) (*).

Jak widzimy, zachodzą rzeczywiście na razie między poszczególnemi państwami bardzo walne różnice co do rodzaju obowiązującéj w nich waluty, pomimo, że w ostatnich kilkunastu latach stala się tak wyraźną tendencya do zapanowania wszędzie jednéj i to złotéj. Skoro zaś ta dążność główny dla siebie znajduje komentarz w stopniowém, a od dłuższego już czasu odbywającém się spadaniu wartości srebra w stosunku do złota, przeto przypatrzmy się z kolei przyczynom, które sprawiły, że stosunek wartości tych metalów nigdy właśnie bardziéj jak dzisiaj nie stał się chwiejnym i zmiennym, a dla srebra mniéj korzystnym.

Górującą po nad innemi przyczyną, dla któréj stosunek wartości złota do srebra nie może być stałym i trwałym, jest okoliczność że złoto i srebro, choć przyjęte raz nazawsze za zasadnicze mierniki wartości, same jako materyał, z którego sporządza się monetę, tym samym podlegają prawom ekonomicznym, co każdy inny towar, to jest zależą w swojéj cenie od podaży i popytu. To znaczy, że im więcéj pozyska się jednego z tych kruszców i im więcéj pojawia się go przez to samo na targach pieniężnych w porównaniu z drugim, tém więcéj wskutek wzrostu téj podaży traci on na swéj wartości, a natomiast w tym samym stopniu cena drugiego wzrasta. Ręka w rękę idzie z tém i druga okoliczność, t. j. ta, że produkcyi złota i srebra, jak wogóle wszelkiéj produkcyi, nie podobna przepisać i narzucić pewnéj stałéj miary, albo innemi słowy, że nie podobna jéj unormować tak, iżby zawsze w stałym ilościowym pozostawala stosunku i jednego kruszcu do drugiego i do każdorazowéj ich obu potrzeby.

(*) Por. O. Haupt: L'histoire monetaire de notre temps—passim; F. Hertzka: Währung u. Handel. Wien 1876, str. 243 i nast.

czyli popytu. Ztąd więc może raz produkcya złota wziąć stosunkowo górę nad produkcyą srebra, innym razem produkcya srebra znacznie przewyższyć produkcyą złota i ztąd w dalszym ciągu musi ta nierównowaga w produkcyi obu kruszców pociągać za sobą nieuchronne zmiany w stosunkach ich popytu i ofiarowania, a tém samém w stosunkach ich wzajemnéj wartości. Zrozumiałą staje się też wobec tego rzeczą, że gdy po odkryciu Ameryki zaczęły do Europy napływać coraz to nowe ilości kruszców szlachetnych, a mianowicie srebro w większéj stosunkowo obfitości, niźli złoto, że wskutek tego poprzednio obowiązujący stosunek wartości złota do srebra 1:10·5 — tak dalece uległ zmianie w ciągu XVI i XVII wieku, iż na początku XVIII stulecia przedstawił się już jak 1:15·2 (*). Nie dziwne również, że gdy w ostatnich dziesiątkach lat nastała jeszcze większa nierównowaga między produkcyą złota z jednéj a produkcyą srebra z drugiéj strony, musiał i stosunek wartości obu tych kruszców do siebie uledz dalszym, a jeszcze gwałtowniejszym zmianom. Szczególnie od r. 1863 zwiększyła się produkcya srebra w tak niebywały sposób, że odtąd rok rocznie w przecięciu przybywało i przybywa srebra na targi pieniężne o 100,000 kilogram. więcéj, niż w latach poprzednich, podczas gdy przeciwnie roczna produkcya złota w tym samym czasie zwłaszcza od r. 1871, a jeszcze wybitniéj od r. 1878 stopniowéj doznała obniżki (1).

Gdyby w ostatnich dwóch dziesiątkach lat popyt na srebro zwiększał się był mniéj więcéj odpowiednio do tego gwałtownego wzrostu jego produkcyi, nie potrzebowałby zapewne stosunek wartości jego do złota uledz jakiejkolwiek dotkliwszéj zmianie. Tymczasem właśnie w ciągu ostatniego dwudziestolecia cały szereg czynników złożył się na to, że w miarę jak produkcya srebra wzrastała, potrzeba jego stawała się właśnie jednocześnie coraz mniejszą, a natomiast potrzeba złota coraz większą. Do tych czynników należy zaś przedewszystkiém dokonana między rokiem 1871 a 1876 reforma monetarna w Niemczech, Stanach Zjednoczonych, Holandyi i państwach skandynawskich na rzecz waluty złotéj, jako też jednocześnie ograniczenie ilości mającéj się bić monety srebrnéj w państwach łacińskiego związku monetarnego łącznie z przejściem Włoch w roku 1881 do wypłat gotówką w miejsce poprzedniego przymusowego kursu pieniędzy papierowych. Przez to bowiem podskoczył np. w Niemczech zasób monety złotéj z 91 milionów marek, ile jeszcze wynosił w r. 1871, na 1800 mil. marek, jak dzisiaj;

(*) Scherzer: D. wirtschaft. Leben d. Völker. Leipzig 1885, str. 662.

(1) Neumann-Spallart: Übersichten der Weltwirtschaft. Stuttgart 1884, str. 347.

w Stanach Zjednoczonych ze 180 milionów dolarów (w roku 1875) na 630 mil. dolarów; a we Włoszech z 215 mil. franków (w r. 1881) na 700 milionów franków (1). Nie obojętną wszakże rolę w tém zmniejszaniu się potrzeby srebra odegrywał i fakt, że właśnie w latach ostatnich zmniejszył się także i wywóz srebra do Azyi, mianowicie do Indyi angielskich, a powiększył się natomiast wywóz złota.

Indye przedgangesowe, jako nieposiadające znaczniejszych źródeł do własnéj produkcyi kruszców szlachetnych były już od najdawniejszych czasów okolicą, ku któréj za rodzime jéj płody surowe napływał z Zachodu kruszec szlachetny. Szczególnie spotęgował się ten napływ zwłaszcza srebra do Indyi przedgangesowych, gdy takowe dostały się pod panowanie angielskiéj wschodnio-indyjskiéj kompanii kupieckiéj i gdy wskutek tego handlowe stosunki z Indyami niepospolicie się wzmogły, nadewszystko zaś, gdy kompania ta zaprowadziła w Indyach srebrne rupie, które téż po dziś dzień pozostały tam obowiązującą walutą. O rozmiarach tego napływu kruszców szlachetnych do Indyi najlepiéj przekonywa fakt, iż w ciągu ostatnich lat 50 (1831—1880) z całego wywozu kruszców szlachetnych z Europy do Azyi, cenionego na 1950 milionów fr. w złocie i 8775 mil. fr. w srebrze, największą część właśnie pochłonęły Indye przedgangesowe. Podczas gdy jednak początkowo odpływało srebro w znacznie większéj ilości niż złoto, — jeszcze między rokiem 1851 a 1866 wywożono srebra rocznie w wartości 225 milionów franków, a złota tylko w wartości 50 mil. fr.— to natomiast w ostatnich latach dwudziestu zmienił się już ten stosunek tak dalece, że między r. 1866 a 1874 wywożono rocznie srebra tylko na 112 mil. fran. a złota na 78 mil. fr., w latach zaś 1881, 82 i 83 wzrósł nawet roczny wywóz złota do wysokości 125 mil. fr., srebra zaś tylko do 188 mil. frank. Spowodowanym zaś był ten wzrost odpływu złota do Indyi tém, że Indye angielskie zaciągnęły w ostatnich latach w Anglii wielkie pożyczki na budowę kolei żelaznych, a od tych pożyczek muszą naturalnie płacić procenta w złocie, jako obowiązującéj w Anglii walucie. Wprawdzie ani ten wzrost wywozu złota, ani téż zmniejszenie się wywozu srebra do Indyi nie przedstawiają się same przez się zbyt wielkiemi; w każdym razie, dodane do przyczyn wyżéj wymienionych, wpłynęły i ze swéj strony niepoślednio na powszechne w świecie zmniejszenie się potrzeby srebra z jednéj, a na zwiększenie się potrzeby złota z drugiéj strony.

Jeżeli w końcu dodamy do tego, że w myśl obliczeń Soetbeera, przemysł jubilerski w tym samym okresie czasu pochłonął znacznie

(1) O. Haupt, l. c. str. 27.

większe ilości złota niż dawniéj, a stosunkowo znacznie mniéj srebra — w ciągu lat 1871—1880 blisko połowę całéj produkcyi złota, a tylko 1/5 produkcyi srebra, — to pojmiemy, dlaczego ostatecznym tych wszystkich przytoczonych wypadków stało się wynikiem, że podczas gdy jeszcze w 1862 stosunek wartości złota do srebra przedstawiał się jak 1 : 15·36, to już

w roku 1866	jak	1 : 15·44
„ 1867	„	1 : 15·57
„ 1873	„	1 : 15·90
„ 1875	„	1 : 16·63
„ 1876	„	1 : 17·58
„ 1879	„	1 : 18·40
„ 1883	„	1 : 18·65
a w czerwcu 1876 przedstawiał się nawet chwilowo	„	1 : 20·20 (*)

Bez porównania jeszcze mniéj stałym i trwałym aniżeli stosunek wartości złota do srebra jest stosunek ilości pieniędzy papierowych i banknotów do ilości monety kruszcowéj zarówno w poszczególnych krajach jak wogóle w całym świecie. Pominąwszy już bowiem okoliczność, że każde państwo może w razach wyjątkowych znacznie powiększyć ilość pieniędzy papierowych, t. j. puścić w obieg znacznie większą ich ilość, niżeli posiada w swych kasach monety kruszcowéj na ich pokrycie i zapewnić im kurs przymusowo, rozstrzyga przedewszystkiém o stosunku ilościowym pieniędzy papierowych i banknotów do monety kruszcowéj stan powszechnego kredytu, który z istoty swéj równie jest chwiejnym, jak chwiejną jest żywotna jego podstawa, t. j. stan gospodarstwa poszczególnych narodów i wszystkich razem. Nie tu miejsce wdawać się w szczegółowe wywody, jakie to przyczyny składają się na to, że w rozwoju gospodarstwa narodów pojawiają się od czasu do czasu jak gdyby chroniczne choroby: gwałtowne przerwy, zastoje i przesilenia handlowe. Na razie dość nam tylko powołać się na te przesilenia i zastoje w gospodarstwie i handlu poszczególnych narodów lub całych nawet ich grup, ażeby zrozumiéć, że każde z tych przesileń, spro-

---

(*) Neumann-Spallart: Übersichten d. Weltwirtschaft str. 347—369. Nie obojętnem wprawdzie jest także zużywanie się monety złotéj i srebrnéj przez ścieranie się ich w obiegu, ale czynnik ten jest już bez wpływu na jakąkolwiek zmianę stosunku wartości złota do srebra, a to z powodu, że zużywaniu się temu podlegają oba te kruszce zarówno i że strata ztąd pochodząca nie jest zbyt wielką w stosunku do ogromu znajdującéj się dziś w obiegu monety srebrnéj i złotéj. W przybliżeniu obliczono, że z całéj ilości cyrkulującego w świecie złota zciera się dziś rocznie około 1000 kilogr., a ze srebra 50000 kilogr. w sumarycznéj wartości 15 mil. franków.

wadzając mniejsze lub większe klęski ekonomiczne, w naturalnéj swéj konsekwencyi nadwyrężają i zaufanie powszechne, i że tém samém każde większe i rozleglejsze przesilenie wcale stanowczo musi wpływać na zmniejszenie się ilości wszelkich banknotów i weksli, których całym warunkiem bytu jest właśnie tylko kredyt.

Najlepiéj przekonało o tém przesilenie, jakie dotknęło w r. 1873 Austro-Węgry i Niemcy, a którego następstwa dały się uczuć w całéj Europie i Stan. Zjedn. Podczas gdy bowiem w pierwszym półroczu 1873 r. ilość weksli, zostających w obiegu w Europie środkowéj i zachodniéj, oraz w Stanach Zjednoczonych przedstawiała się w wartości 8,300 mil. franków, a ilość będących w obiegu pieniędzy papierowych i banknotów w tychże krajach w wartości 8,375 milionów franków, to już w połowie roku 1876 ilość weksli przedstawiała w tych samych krajach tylko wartość 6,000 mil. franków, a ilość pieniędzy papierowych i banknotów tylko wartość 7,289 mil. frank., a więc razem przedstawiały wartość o przeszło 3,000 mil. fr. mniejszą, niż przed trzema laty (1). Nie dość na tem. Z drugiéj bowiem strony przyszło ręka w rękę z tém pomniejszeniem się kredytu publicznego i do nagromadzenia się większych ilości gotówki w bankach narodowych celem pokrycia zostających w obiegu banknotów, t. j. w celu okazania swéj wypłacalności. W ostatnich dopiero latach wzmocnił się ponownie kredyt publiczny, a tém samém zwiększyła się napowrót ilość cyrkulujących pieniędzy papierowych i banknotów. W r. 1883 znajdowało się już tych pieniędzy w obiegu w samych państwach cywilizacyi zachodniéj w wartości przeszło 16 miliardów franków. W bankach zaś narodowych jako pokrycie téj ilości spoczywało w gotówce blisko 8 miliardów franków, tak, że ilość pieniędzy papierowych i banknotów przewyższała zasób gotówki leżącéj w bankach narodowych około 9 miliard. fr., w całym świecie nawet o 10 miliardów franków.

Obok téj masy pieniędzy papierowych i banknotów przedstawia się dzisiejsza ilość cyrkulującéj w całym świecie monety złotéj o wartości blisko 18 miliardów franków, a ilość monety srebrnéj o wartości 20 miliar. fr., do czego doliczając wartość (nominalną) téj ilości pieniędzy papierowych i banknotów, które nie znajdują już dla siebie pokrycia w bankach narodowych i kasach rządowych, otrzymujemy w przybliżeniu okrągłą sumę 48 miliardów franków, jako wartość wszystkich dziś kursujących w świecie pieniędzy złotych, srebrnych i papierowych (2).

---

(1) Behm: Geogr. Jahrb. 1876, str. 654 i nast.

(2) Por. Neumann-Spallart, l. c. str. 375—385 i Haupt, str. 414 i nast.

W poszczególnych państwach przedstawia się zasób tych pieniędzy z końcem 1885 r. — według obliczeń Haupta (1) — jak następuje (w milionach franków):

a) **W państwach o podwójnej walucie.**

	Złota	Srebra	Monety zdawkow.	Pieniędzy papierow. niepokryt.	Razem	Na 1-ną głowę ludności
	12428	**7239**	**2124**	**4992**	**26783**	—
Z czego przypadało na:						franków
Francyą	4450	3500	310	675	8935	234
Holandyą	132	315	19	126	592	148
Belgią	270	240	48	262	820	143
Stany Zjednoczone .	3240	1135	468	1622	6465	112
Niemcy	2300	560	611	626	4097	91
Hiszpanią	470	420	237	302	1429	86
Szwajcaryą. . . .	80	70	22	61	233	77
Włochy	560	100	246	850	1756	58
Turcyą	370	180	50	—	600	24

Reszta na Algieryą, Grecyą, Rumunią, Japonią, Kolonie holenderskie i Haiti.

b) **W państwach o walucie złotej.**

	Złota	Srebra	Monety zdawkow.	Pieniędzy papierow. niepokryt.	Razem	Na 1-ną głowę ludności
	4856	—	**942**	**1498**	**7296**	—
Z czego w szczególności przypadało na:						franków
Anglią	2750	—	580	300	3630	100
Australią	550	—	37	—	587	169
Kanadę	80	—	30	220	330	73
Kraj przylądkowy .	170	—	12	—	182	—
Danią						64
Szwecyą	164	—	58	137	359	35
Norwegią						29
Portugalią	230	—	61	24	315	74
Egipt	675	—	87	—	762	108

Reszta na Maltę, Gibraltar, Finlandyą, Brazylią, Argentynę i Kubę.

(1) Tamże, str. 417 i nast.

c) **W państwach o walucie srebrnej.**

	Złota	Srebra	Monety zdawkow,	Pieniędzy papierow. niepokryt.	Razem	Na 1-ną głowę ludności
	1188	**9008**	**311**	**2673**	**13180**	—
Z czego w szczególności na:						franków
Austro-Węgry . .	200	300	94	1006	1600	41
Rosyą	968	36	215	1667	2886	27
Indye wschod. angiel.	—	4000	—	—	4000	16
Chiny	—	3750	—	—	3750	11 ?

a reszta na Straits-Settlements, Boliwią, Kolumbią, Chile i Meksyk.

Zdumiewające to zapewne zjawisko, że w dzisiejszych stosunkach, t. j. przy dzisiejszym rozroście i spotęgowaniu się ruchu handlowego nawet i ten olbrzymi zasób pieniędzy w świecie okazuje się już niewystarczającym. Przybyły mu też w najnowszych czasach w pomoc pewne nowe środki i instytucye, mające na celu zaspakajać wzajemne pretensye kupców bez uciekania się do uciążliwych i wiele czasu marnujących wzajemnych wypłat gotówką. Do tych środków zwłaszcza w państwach zajmujących w handlu naczelne stanowisko, należą t. zw. „checki" (czeki" (1), t. j. przekazy płatnicze wystawione do tego lub owego banku przez osoby, które mają swe kapitały w tych bankach złożone na to, ażeby z nich różnostronne pretensye zostały wyrównane. Należą tu prócz tego instytucye zwane domem wyrównywania rachunków (*Saldirhäuser*), a służące do likwidowania długów kupieckich, za pomocą wzajemnéj wymiany weksli i akceptów pomiędzy różnemi bankami i bankierami—instytucya, która najprzód powstała w Londynie (r. 1775) pod nazwą „Clearing-house", dziś zaś nie tylko rozpowszechniła się we wszystkich niemal większych miastach W. Brytanii, ale oraz w Stanach Zjednoczonych, gdzie od r. 1853 założono takich domów bankowych 31, i na kontynencie europejskim, jako to w Paryżu (1872: *Chambre de compensation*); w Wiedniu (1872: *Wiener-Saldirungs-Verein*); we Włoszech (*Stanze di compensazione* 1882: w Rzymie, Medyolanie, Genui, Florencyi, 1883: w Bolonii i Katanii, obok dawniejszego w Liworno); w Niemczech (*Abrechnungsstellen* od 1883 w Berlinie, Hamburgu, Frankfurcie nad M., Lipsku, Wrocławiu, Kolonii,

(1) Czek różni się od banknota tém, że obowiązuje tylko do jednorazowéj wypłaty, a po jéj uskutecznieniu traci swą wartość i znaczenie.

Bremie, Stuttgardzie i Dreźnie (1). Nic zaś lepiéj nie ilustruje nieocenionych usług podobnych domów bankowych nad to, że te wzajemne wymiany weksli kupieckich w Clearing-hausie londyńskim przedstawiają dziś roczną wartość około 150,000 milionów franków, a w Clearinghausie nowojorskim 200,000 mil. franków z górą, a nawet niekiedy, jak w r. 1881, 250,000 mil. franków.

Niezawodnie do wypłat tego rodzaju sum i to w ciągu jednego roku i na jednym lub drugim tylko punkcie kuli ziemskiéj — nie wystarcza dzisiejszy zasób pieniędzy kruszcowych i papierowych. A jednak te kolosalne kwoty—choć gotówką nie płacone — jakże wspaniałém są świadectwem potęgi panujących dziś mierników wartości, przy pomocy i na podstawie których właśnie zdołał obecny obrót handlowy w samych wymienionych dwóch miastach do takich już rozrość się rozmiarów!

---

(1) Rauchberg: Statistische Studien über den Clearing-Verkehr w „Stat. Monatsschrift", Wien 1886 (XII Jahrg.) Februarheft str. 61—90.

Dr. Franciszek Czerny
prof. geografii w uniwers. Jagiellońskim.





KRZYSZTOFA WARSZEWICKIEGO

DZIEŁA NIEWYDANE. (1)

Christophori Varsevicii opuscula inedita, ad illustres viros epistolae caeteraque documenta vitam ac res gestas ipsius illustrantia, collecta ac edita a Theodoro Wierzbowski. Varsoviae, 8-vo, 1883.

Do rzędu pisarzy z drugiéj połowy szesnastego wieku, którzy jako zbyt ciężcy i nudni z największém uszanowaniem bywają omijani, należy także Krzysztof Warszewicki, słynny w swoim czasie mówca, historyk i statysta. Czy to skutkiem jego łacińskiego języka, który lubo gładki i potoczysty musi z natury rzeczy nam nowoczesnym nastręczać pewne trudności, czy téż skutkiem tego charakteru cudzoziemskiego i kosmopolitycznego jego utworów, w których zapatruje się na sprawy polskie ze stanowiska przeciwnego całemu szlacheckiemu narodowi, albo téż może skutkiem tego, że przez całe życie swoje wyznawał system polityczny dla Polski ówczesnéj niezaprzeczenie zły i niebezpieczny, system połączenia Polski z Austryą pod jedną dynastyą,—dość, że za naszych czasów nazwisko jego stało się ogółowi prawie obce a dzieła uległy zapomnieniu i zaniedbaniu. A przecież mąż ten nie na lekceważenie, lecz przeciwnie na szczególniejszą zasługuje uwagę. Poznać go warto choćby dla saméj ciekawości, bo choć w swych dążeniach i poglądach nie skupia, nie krystalizuje aspiracyi całego społeczeństwa ówczesnego, jak naprzykład Zamojski, geniuszem Polski za czasów wolnego obioru nazwany,—owszem jest jego politycznym antypodą,—to przecież jako myśliciel i pisarz dochodzi miary niezwyczajnéj, a jako obywatel i Polak wymusza na czytelniku cześć dla swo-

(1) Rzecz niniejsza napisana była przez autora w końcu roku 1885.

(*Przyp. red.*)

ich stałych, wyrobionych zasad, dla swéj może zbyt wyłącznéj ale prawdziwéj miłości ojczyzny. Nie chcę przez to powiedzieć, żeby jako człowiek był sympatyczny i ujmujący, nie brak bowiem wskazówek nieszczególnego charakteru, ale w każdym razie przyznać należy, że jest osobistością niezwykłą, poniekąd wyjątkową. W umyśle jego przeważnie rozwinęła się jedna idea, któréj gorliwym szermierzem pozostał do śmierci to jest: potrzeba ustawicznéj walki przeciw wybujałym swobodom szlacheckim, przeciw wzrostowi republikańskich i dysydenckich uroszczeń. Idea ta, z któréj naturalnym biegiem rzeczy płynęła fanatyczna wiara w absolutną władzę królewską, parła go wprawdzie przez cały ciąg politycznéj karyery w ramiona Austryi, utrzymującéj w całéj sile dawną królewskość a nawet przygłuszała w nim chwilami wrodzony instynkt rozeznania złego od dobrego, ale w imię téj saméj idei wrócił na drogę obowiązku i przejednał się ze Stefanem i Zygmuntem III, kiedy zrozumiał, że wzmocnienie władzy monarchicznéj jest także głównem ich usiłowaniem i celem.

Warszewickim dotąd mało się zajmowano. Dotychczasowi biografowie i historycy literatury obchodzili się z nim po macoszemu, podając krótkie i ubogie w daty życiorysy. Starowolski Szymon podał o nim skąpe wiadomości w swych *elogia et vitae* p. 121 sq. Obszerniéj ale bez ścisłéj krytyki rozwiódł się biskup Łętowski w katalogu prałatów i kanoników krakowskich t. IV p. 207 sq. opierając się na podstawie dzieł Warszewickiego i luźnych wzmiankach u współczesnych pisarzy jak Sarnickiego, Posseviniego Gwagnina i innych. Artykuł Sobieszczańskiego w Encyklopedyi Orgelbranda jest krótkiém streszczeniem poprzedniego i zawiera dużo starych błędów. Nierównie więcéj wartości mają wiadomości podane przez Michała Wiszniewskiego (Historya literatury t. IX p. 361—377 lecz oparte na ubogich i niedostatecznych materyałach w niejednym szczególe nie wytrzymują krytyki umiejętnéj. Najlepszą po dziś dzień pracą nad Warszewickim lubo nie nad jego życiem, ale pismami, jest rozprawa Stanisława Tarnowskiego umieszczona w Rocznikach Akademii Umiejętności krakowskiéj—wydziału filologicznego tomie I, (r. 1874) od str. 153—222. Autor z właściwą sobie barwnością języka i zdolnością odgadywania wewnętrznéj fizyognomii pisarza kreśli charakter i stanowisko polityczne Warszewickiego i rozbiera najgłówniejsze jego dzieła jako to: *de optimo statu libertatis*, *de legato et legatione*, *de consilio et consiliariis* i jego bardzo liczne oracye. Praca ta jednak, jako nie oparta na szerszém tle historyczném i biograficzném, nie może być uważana za ostatni wyraz studyów nad wspomnianym autorem i ma swoje słabe strony; przedewszystkiém ocena Warsze-

wickiego jako pisarza wydaje mi się za surowa i bezwzględna. Powodem tych niedostatków był brak dostatecznych materyałów i dokumentów odnoszących się do działalności literackiéj i politycznéj téj ciekawéj ze wszech miar postaci. Potrzebie téj zaradził p. Teodor Wierzbowski, wydając przed dwoma laty z pyłów bibliotecznych i archiwalnych drzemiące dotąd w zapomnieniu niektóre utwory, dokumenta i korespondencyą późniejszego kanonika krakowskiego. Z tego to ważnego i cennego wydawnictwa zamyślamy zdać sprawę zwłaszcza, że odnosi się nietylko do osoby Warszewickiego, ale jest także nader ciekawym przyczynkiem do historyi drugiéj połowy szesnastego stulecia.

I.

Cała publikacya rozpada się na cztery części. Pierwsza część od s. 1—142 obejmuje *opuscula inedita*, druga od s. 143—207 korespondencyą Warszewickiego, trzecia od s. 209—239 dokumenta odnoszące się do jego życia, czwarta wykaz chronologiczny dziel jego od s. 241—261.

W części pierwszéj umieszczono na samém czele fragment z większego dzieła Warszewickiego p. t. „*Rerum polonicarum libri*,“ z którego nadto zachowała się księga trzynasta, wydana przez Ciampiego we Florencyi 1826, który ją Brutusowi przypisał, a opisująca bezkrólewie po Stefanie. Fragment ten obejmujący nie całkowite 3 księgi opowiada dzieje bezkrólewia po Zygmuncie Auguście do połowy sejmu elekcyjnego a zatém czas od 7 lipca 1572 r. do 8 kwietnia następnego roku. Przechowany w spółczesnym rękopiśmie w cesarskiéj bibliotece wiedeńskiéj N. 8892, 4-to, nie uszedł baczności naszych badaczów historyi. Szujski w Dziejach Polski t. III, Piliński w pracy p. t.: *Das polnisehe Interegnum* 1572—1573 *und die Königswahl Heinrichs von Valois* (Heidelberg 1861: przekład polski téj rozprawy w Przeglądzie polskim, czerwiec 1868 i zeszyty następne), Zakrzewski w dziele p. t. „Po ucieczce Henryka,“ (Krak. 1878) wreszcie hr. Tarnowski w wspomnianéj rozprawie wyzyskali w mniéj albo więcéj wyczerpujący i naukowy sposób źródło, dla szerszéj publiczności nieprzystępne. Wypadałoby je teraz krytycznie rozebrać to jest wykazać zależność Warszewickiego od współczesnych Orzelskiego, Heidensteina, Bielskiego i innych, podnieść to co stanowi własność autora historyi, rozebrać tendencyą, ocenić metodę, a oraz zaznaczyć poglądy dziejopisarza na kwestye społeczne epoki. Ponieważ jednak praca taka musiałaby być przedmiotem osobnego obszernego studyum, ograniczę się z obowiązkn sprawozdawczego na

podaniu najważniejszych wiadomości w rzeczonem dziele zawartych, przy czém od czasu do czasu wypadnie wskazać na zasadnicze różnice chronologiczne i rzeczowe, jakie zachodzą między naszym autorem a innymi współczesnymi historykami.

W I-széj księdze autor opisuje wypadki, jakie zaszły bezpośrednio po śmierci Zygmunta Augusta aż do zjazdu konwokacyjnego w Warszawie.

Po ogólnym wstępie, malującym groźne położenie rozległéj Polski po bezpotomnym zgonie ostatniego z Jagiellonów, wspomina autor o pierwotnym planie prymasa Jakóba Uchańskiego towarzyszenia Annie siostrze zmarłego króla do Knyszyna, ażeby tam powołać i innych senatorów na obrady. Plan ten jednak niebawem musiał prymas porzucić wskutek nalegań biskupa kujawskiego Karnkowskiego, o którym mówi z przekąsem nasz dziejopisarz, że we wszystkiém chciał réj wodzić w Rzeczypospolitéj. Zjazd małopolski uprzedza Warszewicki zjazdem wielkopolskim w Łowiczu, który się w 8 dni po śmierci królewskiéj a zatém 16 lipca miał rozpocząć. Byli na nim wbrew zwyczajnéj wersyi nietylko wielkopolscy, ale i małopolscy panowie,—razem około 30. W kwestyi wyboru króla uchwalono zwołać sejm walny do Knyszyna na dzień 7 września b. r., gdy tymczasem według Orzelskiego miał się on odbyć 17 września a wedle Heidensteina w 2 tygodnie po św. Bartłomieju. Po bardzo ogólnikowéj wzmiance o zbawiennych, ale nie dość taktownych postanowieniach zjazdu łowickiego,—przy czém zupełnie zamilcza o zamierzonéj korekturze czyli rewizyi praw, przechodzi autor do opisu zjazdų małopolskiego w Krakowie i jego rozporządzeń, które również kilku ogólnikami zbywa. Oznaczenie miejsca i czasu dla przyszłéj elekcyi odroczono do pełnego zebrania senatu, które się miało odbyć w Knyszynie dnia 20 sierpnia. Natomiast nie omieszkał nasz historyk przekazać pamięci potomnych odpowiedzi, jaką dał kardynał Commendone poselstwu krakowskiemu, wyprawionemu z żądaniem, aby opuścił kraje Rzeczypospolitéj na czas bezkrólewia. Rzecz ta i w Orzelskim niemal temi samemi słowami opisana.

Mimo, iż zebranie senatu było postanowione na 10 sierpnia, rozpoczęto je dopiero 24 tegoż miesiąca. Pomijając senatorów z Mało-Polski, którzy się dość licznie stawili, przybyło z Wielko-Polski tylko dwóch, wedle Orzelskiego trzech, a z Litwy również niewielu. Wśród nieustających rozterek i powszechnego rozjątrzenia uchwalono zwołać sejm elekcyjny na dzień 13-go października na polach między Lublinem a Bystrzycą. Termin zjazdu znowu przeciwny doniesieniu Orzelskiego, który wspomina o 10 października, ale zgodny z relacyą Heidensteina. O uchwałach, jakie tam zapa-

dły, o tak ważném postanowieniu, jak, że każdy szlachcic nie przez reprezentacyą, ale osobiście ma prawo wybierać króla, milczy nasz autor, jak zaklęty, natomiast dowiadujemy się, że senatorowie opatrzyli samozwańczo z kasy królewskiéj dworzan, nie chcących wydać ciała zmarłego monarchy, i że się przez to narazili na rozliczne obmowy i podejrzenia i t. p. W tym to czasie, opowiada Warszewicki, przybyło do Polski właściwe poselstwo cesarza Maksymiliana II, złożone z Wilhelma Rozemberga i Władysława Bernsteina, kanclerza czeskiego. Do Krakowa wzbroniono im wjazdu, natomiast wyznaczono im Sandomierz na mieszkanie. Stąd jednak nie samowolnie, jak było w rzeczywistości, ale z powodu, że szlachta na nich sarkała, udali się na Konopnicę, Urzędów, Płock, Dziekanów do Łomży, aby widzieć się z królewną, tam przebywającą. Przeszkodził im w tym zamiarze zjazd małopolskiej szlachty w Osieku, który wyprawił do Anny osobne w tym celu poselstwo, wzbraniającc jéj znoszenia się z posłami cesarskimi. Ustęp ten obfity w szczegóły skądinąd nieznane, dowodzi, a przynajmniéj zniewala do przypuszczenia, że autor, pisząc historyą, musiał mieć pod ręką dokładne informacye co do spraw i zabiegów austryackich.

Tymczasem uchwała Knyszyńska co do zjazdu w Bystrzycy, doznała w Wielkopolsce nieżyczliwego przyjęcia. Na sejmikach w Środzie, Radziejowie, Sieradzu, Łęczycy, których nasz historyk w przeciwieństwie do Orzelskiego nie opisuje z osobna, ale łączy w jedną całość, tylko nader słaba mniejszość oświadczyła się za zgodą, większość zaś widziała w postanowieniu Knyszyńskiém ujmę dla zwierzchniczêj władzy prymasa, egoistyczną uzurpacyą. W wyborze Bystrzycy na miejsce elekcyi upatrywano podstępny manewr głowy przeciwnego stronnictwa Jana Firleja, wojewody krakowskiego, który posiadał obszerne majętności w województwie lubelskiém i przez liczną klientelę i wojsko mógł wywrzéć stanowczy wpływ na elekcyą, a nawet sam się pokusić o koronę. Wiadomość to bardzo ważna, a jak mogę wnosić z cytatu w pracy Pilińskiego, tylko jeszcze w dziele markiza de Noailles (*Henri de Valois et la Pologne en 1572*, 3 tomy, Paryż 1867) podana. Istotnym sprawcą téj porażki Małopolan był ambitny biskup kujawski, wspomniany powyżéj Karnkowski. Siłą argumentacyi i energią opanował tak dalece nieudolnego i chwiejnego prymasa, że go złośliwi, a do nich należał i nasz dziejopisarz, mamką prymasa nazywali („*vulgo eius nutrix ad individiam dicebatur*“). Jego to wpływowi przypisać należy, że Uchański przystał na żądanie szlachty wielkopolskiej i wyznaczył termin elekcyi na dzień 27 października w Łomży; gdyby zaś ten termin dla większości okazał się niedogodnym, mają wszyscy senatorowie Rzeczypospolitéj

zjechać do Woli pod Warszawą, celem ostatecznego porozumienia się co do miejsca i czasu dla wyboru króla. Terminu tegoż powtórnego zjazdu nasz historyk nie podaje. I co do powyższéj daty współcześni dziejopisarze różnią się od jego relacyi. Orzelski naprzykład nie uznaje alternatywy powtórnego zjazdu, a zabranie w Woli odnosi do dnia 10 października, Heidenstein zaś twierdzi i to najprawdopodobniejsze, że 9 października miał się odbyć zjazd senatorów w Woli, a 27 tegoż miesiąca sejm elekcyjny w Łomży.

Gdy na termin elekcyi nie zgodzono się, a na zjazd warszawski nikt z Małopolski i Litwy nie przybył, udali się panowie wielkopolscy z prymasem na czele do Koła na sejmik. Przebieg jego i uchwały opisuje Warszewicki niemal temi samemi słowami, co Orzelski. Wysłuchano skarg posłów cesarskich, żalących się na zjadliwe paszkwile przeciw nim zwrócone i proszących o pozwolenie widzenia się z Anną; roztrząśnięto zażalenia, wniesione przez Stanisława Przyjemskiego i towarzyszy przeciw Pomorzanom o krzywdy, jakie im zbrojnymi napadami wyrządzili. Jedna i druga rzecz, opowiedziana dokładnie i szczegółowo, stanowi cenny przyczynek do historyi bezkrólewia. Ale stała wada autora, zasadzająca się na ignorowaniu rozwoju i wzrostu życia parlamentarnego w Polsce i tu objawiła się w całéj pełni. Ani słowem nie dowiadujemy się o tak ważnéj przecież konfederacyi obu stanów, która miała uniemożebnić wszelkie usiłowania wyboru króla przez jakąś część narodu lub opanowania tronu przemocą.

W piąty, czy szósty dzień zjazdu, nadeszła do Koła radośna wiadomość, że panowie małopolscy, pokonawszy w sobie separatystyczne dążności, zjechali zgodnie do Woli i czekają Wielkopolan. Po dłuższych pertraktacyach i układach, zgodzono się ostatecznie na zjazd w Kaskach, któremu miał przewodniczyć nie marszałek, lecz prymas. Zjazd ten odbył się wedle naszego historyka z końcem października b. r., gdy wedle Heidensteina przypadł on na 25 paźdz., a według Orzelskiego, dopiero na początek listopada.

Pod tę samę porę przybyło poselstwo francuzkie do Polski. Aby przedstawić jego losy, autor zrywa wątek dotychczasowego opowiadania i przechodzi do szczegółowego opisu zabiegów francuzkich. Na czele poselstwa stał biskup Walencyi Jan de Monluc, mąż nie wzbudzający wcale zaufania, o którym wielu wiedziało, jak opowiada autor, *„non episcopum sed aposcopum potius esse et catholicae religionis desertorem“*. Listu, jaki ów bezsprzecznie najznakomitszy dyplomata ówczesny przywiózł od Karola IX do szlachty, historyk nasz nie podaje w całości na wzór Orzelskiego, ale w streszczeniu. Wrażenie, jakie obietnice w nim wyrażone wywarły na szlachtę,

było tak potężne, że wobec kandydatury francuskiéj zbladły i moskiewskie i rakuskie nadzieje; Polacy już nie dali się „wzruszyć znaną dobrocią i łagodnością Ernesta, w którym nie było i cienia okrucieństwa, o które po śmierci admirała zewsząd oskarżano księcia andegaweńskiego."

Przy téj sposobności autor rozpisuje się szeroko o nocy ś. Bartłomieja, lecz jako zagorzały papista, upatruje jéj przyczynę nie we wstecznéj nietolerancyi sfanatyzowanéj ludności katolickiéj, nie w machiawelskiéj polityce króla, ale w osobistéj, partyjnéj nienawiści; zabójstwo admirała było wedle niego dziełem prywatnéj zemsty Gwizów dziełem, do którego także i książę andegaweński przyłożył ręki, ale rzezi Hugonotów nikt z góry nie układał, nikt nie przewidywał, była ona przypadkowym, nieprzewidzianym wybuchem rozpętanych namiętności ludu.

Po téj dygresyi wraca Warszewicki do zjazdu w Kaskach i wbrew dotychczasowemu zwyczajowi podaje uchwały na nim powzięte. Przedewszystkiém postanowiono, że konwokacya (tak nazwano przyszły sejm) ze względów formalnych miała się zebrać w Warszawie dnia 7 stycznia 1573 r., lubo Orzelski odkłada ją na 20 stycznia a Heidenstein na 6 lutego; w skład jéj mieli wejść nietylko senatorowie, ale i posłowie ziemscy, których każde województwo delegewało w pewnéj, bliżéj nam nie określonéj liczbie. W téj sprawie wyprawiono umyślne poselstwa do Prus, do Rusi, do Inflant i do Litwy, która lubo na tém zebraniu nie była reprezentowana, zawstydzała, zdaniem historyka, Polaków jednomyślnością i zgodą. Agentów cesarskich, Gastalda, Cyrusa, Gerstmana polecił zjazd wydalić z granic Rzeczypospolitéj, samym posłom wyznaczono miasteczko Urzędów na stałe miejsce pobytu aż do otwarcia sejmu elekcyjnego, — jedynie legatowi papieskiemu dano zupełną swobodę i wolność. Nowet siostrę królewską skrępował zjazd uchwałą w formie rady, że do elekcyi ma zabawić w Łęczycy albo w Krasnymstawie. W sprawie Przyjemskiego, niezałatwionéj na zjeździe poprzednim, postanowiono zarządzić dochodzenie na miejscu, a w końcu poruczono wybranéj komisyi rewizyą czyli korekturę ustaw. Ostatnia ta wiadomość dosyć wydaje mi się opaczną wobec okoliczności, że Piliński w bardzo gruntownéj swéj pracy str. 36—37, ani słowem o niéj nie wspomina, a taka sama uchwała zapadła na zjeździe knyszyńskim, jak o tém wyżéj wspomniano. Wobec widocznéj skłonności autora do ściągania kilku wypadków historycznych w jednę całość, nie jest rzeczą nieprawdopodobną, że autor i w tym wypadku sprawy chronologicznie pomieszał.

Dwumiesięczna przerwa, jaka nastąpiła między zjazdem w Kaskach a konwokacyą warszawską, nastręcza autorowi sposobność do przedstawienia równocześnie czynionych zabiegów francuskich i austryackich. Opowiada tedy szczegółowo o podróży opata Cyrusa do Litwy w celu zjednania jéj dla Ernesta, nadmienia, że zabiegi jego odniosły pożądany skutek, gdy tymczasem skądinąd wiadomo, że skutek tejże misyi był nader problematyczny, a w końcu żali się i dziwi, iż w celu zdyskredytowania kandydatury austryackiéj nie wahano się o Erneście rozsiewać najfałszywszych wieści. Lepiéj o wiele wiodło się francuskiemu poselstwu. Montluc z właściwą sobie zręcznością i zapobiegliwością pracował głównie nad pozyskaniem całéj nieprzeliczonéj masy drobnéj szlachty, nie zapominał jednak i o magnatach; jakoż niebawem Zborowscy (Piotr) i Maciejowscy (Mikołaj) stanęli na czele stronnictwa Henrykowego i przysporzyli mu wielu członków.

Pod koniec rozdziału opowiada autor epizod z własnéj działalności na arenie publicznéj. Duszą i ciałem będąc oddany sprawie kościoła i wiary katolickiéj, rozumiał, jak silnie zaważy na szali wyborów współudział prawowiernéj szlachty mazowieckiéj, wśród któréj, jako syn byłego kasztelana warszawskiego, miał wielkie zachowanie. Zobowiązał tedy zgromadzonych braci szlachtę na sejmiku w Zastowie pod groźbą surowych kar, że bez wyjątku stawią się wszyscy na sejmie konwokacyjnym i wezmą udział w głosowaniu. Przykład jego naśladowano skwapliwie w innych województwach.

Ku wielkiemu niezadowoleniu i szemraniu szlachty Anna wbrew rozkazowi zjazdu w Kaskach powróciła bezpośrednio przed rozpoczęciem konwokacyi do Warszawy.

Księga druga (str. 24—39) obejmuje dzieje bezkrólewia od konwokacyi aż od właściwéj elekcyi, to jest przeciąg niespełna trzech miesięcy. Zachowanie Litwy, które niemałego nabawiło Polskę kłopotu, zbywa autor dyskretnie w kilku słowach; ogranicza się na suchém stwierdzeniu faktu, iż wyprawili dwóch posłów senatorów, tudzież kilku szlachty z żądaniem, aby elekcya odbyła się w Liwie albo Parczowie. Natomiast z widoczném upodobaniem kreśli historyą tajnego zeznania, jakie złożył Jan Dymitr Solikowski, dworzanin królewski co do śmierci Zygmunta Augusta i skarbów po nim pozostałych. W opisie przebiegu sejmu przeważa widoczna skłonność do podnoszenia rzeczy mniéj ważnych drobnostkowych, — rzeczy, które bardziéj skupiają się około poszczególnych osobistości, aniżeli znamionują ducha i aspiracye społeczeństwa. I tak opowiedziany spór między biskupem poznańskim a kasztelanem krakowskim o pierwszeństwo w senacie, daléj sprawa księcia pruskiego, domaga-

jącego się uczestnictwa w elekcyi, sprawa Leśniowskiego, sprawa biskupa Krasińskiego a wreszcie Przyjemskiego, który nie mogąc doczekać się wykonania uchwał, na sejmiku w Kole zapadłych, napadł zbrojną ręką sąsiednie pruskie osady i orężem sobie wymierzył sprawiedliwość. Orzelski przedstawia tę sprawę zupełnie tak samo, tylko że według niego, Przyjemski dopiero umyślił przedsięwziąć wyprawę, ale jéj jeszcze nie podjął, i to 19-go a nie 21 stycznia, którą to datę podaje Warszewicki.

Opis rekryminacyi podniesionych przeciw Litwie i zatargu prowincyonalno - religijnego między marszałkiem wielkim koronnym a prymasem nie przynosi żadnych nowych szczegółów. Mowę Karnkowskiego w obronie prerogatyw arcybiskupa gnieźnieńskiego podaje historyk w zwięzłém streszczeniu, spisaném wedle opowiadań wiarogodnych świadków. Samegoż prymasa, zdaniem Warszewickiego, protestanci nie dopuścili do głosu, wbrew świadectwu Bielskiego, który przytacza długą jego mowę przy téj sposobności wypowiedzianą. O ostatecznem załatwieniu téj piekącéj i zasadniczéj kwestyi, to jest że prymasowi przyznano prawo zwoływania sejmu w czasie bezkrólewia i oznajmywania wyboru (*nominatio*), marszałkowi zaś prawo obwoływania nowego króla (*proclamatio*) — nie dowiadujemy się ani słowem.

Jest jednak jedna rzecz w naszém dziele, z którą nie spotkałem się w najgruntowniejszych opracowaniach sejmu konwokacyjnego, którą dlatego pozwolę sobie dokładniéj wyłuszczyć. Oto królewna Anna, któréj kroki — nawiasem mówiąc — nasz autor otacza szczególniejszą pieczołowitością, wniosła przed zgromadzone stany skargę o nieuszanowanie swej osoby a zarazem prośbę o ratyfikacyą testamentu królewskiego. Sprawa ta wywołała żwawą dyskusyą i gorącą wymianę zdań. Przeciwnicy królewnéj i ratyfikacyi gruntowali swe wywody prawno-polityczne na sofizmacie, że król, jako najwyższy urzędnik państwowy, opłacany z dochodów publicznych, nie może tak jak prywatny człowiek rozporządzać dowolnie swoim majątkiem, który z natury rzeczy przechodzi po jego śmierci na własność państwa; powtóre, że statuty litewsko-polskie zakazują dowolnie rozporządzać majątkiem nieruchomym; w końcu powoływali się na brak formalności prawnych w legacie testamentowym. Przeciwnie zwolennicy ratyfikacyi utrzymywali, że nie można przecież wyjmować królów z pod powszechnego przywileju legowania swych dóbr testamentem, że nie brak w historyi minionych wieków antecedensów do ratyfikacyi pośmiertnych legatów królewskich, że królowie już dla słusznego wymiaru sprawiedliwości potrzebują swobody w tym względzie, że wola ich wyższa nad wszelkie prawo a słowo królewskie

stokroć więcéj waży od czczych formalności prawnych. Niestety, dziejopisarz nasz nie podaje, która opinia odniosła zwycięstwo, czego tém więcéj żałować wypada, ile że w sporze powyższym nie można jedynie upatrywać walki o paragrafy i literę prawa, ale raczéj konflikt monarchistów z wolnomyślnymi republikanami polskimi. Niemniéj pożałowania godném jest milczenie, jakiém pominięto rozwój konstytucyi polskiéj na tym sejmie w kierunku demokratycznym, to jest równouprawnienie wszystkich przy elekcyi króla i zasadę głosowania *viritim*. O Zamojskim nie słyszymy wcale. Natomiast wiecznéj pamięci potomnych przekazany jest dosłowny odpis dokumentu normującego porządek elekcyi, znajdujący się również u Orzelskiego.

Pod koniec wspomina autor o protestacyi, jaką zanieśli niektórzy posłowie mazowieccy przeciw wynikowi sporu między prymasem a marszałkiem, a kończy doniesieniem o przytrzymaniu opata Cyrusa przez Górkę w Malborgu.

W księdze trzeciéj historyk nasz pomija zupełnie akcyą sejmików, które odbyły się w przeciągu dwóch miesięcy czasu, jaki upłynął między konwokacyą a sejmem elekcyjnym, a przechodzi wprost do opisu przygotowań i samegoż zjazdu na elekcyą. I w tym względzie zgadza się zupełnie z Orzelskim I, 39—41. Podnieść jednak wypada to, czego dotąd nie zużytkowano w opracowaniach owéj chwili dziejowéj, a mianowicie, że z początkiem sejmu wniósł Stanisław Szafraniec, kasztelan biecki, dla pozyskania sobie popularności u szlachty, ażeby wybrano z pośród siebie komisyą z 10 mężów, która miała się zastanowić nad kwestyą, czy sejm powinien odrzucić czyli téż aprobować uchwały konwokacyi. Zwyciężył jednak tą razą zdrowy rozsądek, zalecający ścisłe przestrzeganie jedności. Zachowano w całéj sile powziętą uchwałę, że od wysłuchania poselstw zagranicznych rozpocznie się czynność sejmu; emulacyi zaś między niemi zapobieżono w ten sposób, iż pierwszeństwo w zabieraniu głosu przyznawano tym legacyom, które wpierw przybyły na pole obrad. Tyle co do szczegółów dotąd niezużytkowanych. Następuje z kolei rzeczy opis audyencyi udzielonéj posłom cudzoziemskim w „Szopie.“ Pierwszy przemawia kardynał Commendone, legat papieski. Mowę jego tak jak mowy wszystkich innych dyplomatów miał zamiar nasz historyk przytoczyć dosłownie. Niestety fragment urywa się w środku przemowy Commendoniego — reszta rękopismu zaginęła bez wieści.

Ażeby streścić pokrótce uwagi, jakie mi się przy referacie nasunęły, dodam słów parę. Historya Warszewickiego jest cenném źródłem historyczném, gdyż podaje wiadomości skąd inąd nieznane, a tém samém uzupełnia innych historyków współczesnych. W auto-

rze widać pewien talent konstrukcyjny i zmysł grupowania faktów w przeciwstawieniu do Orzelskiego, który odznacza się bałamuctwem i chaotycznością. Przymiotem jego jest także styl piękny i klasyczny. Niejasność na kilku miejscach wynikła raczéj z błędnego oddrukowania tekstu, aniżeli z winy historyka. Mimo to przedstawienie rzeczy w wielu wypadkach jest niezupełne albo błędne. Pochodzi to ztąd, że autor, jako legitymista katolicki i zwolennik absolutnéj władzy królewskiéj, z umysłu pomijał dyskretném milczeniem wszystko, co się odnosiło do zdrożnego konfliktu między dysydentami a katolikami, między liberalną i demokratyczną szlachtą a możnowładcami, którzy bądź-co-bądź reprezentowali pierwiastek władzy i rządu. Milczy przeto o konfederacyi a podaje dokument normujący porządek elekcyi, któréj w zasadzie jest przeciwny. Mimo iż stara się historyi swojéj nadać pozór bezstronności, sympatye jego austryackie są aż nadto widoczne. Wplata nadto w opowiadanie własne moralne sentencye i ogólne refleksye na temat chrześciańskiéj miłości i pobłażliwości, co nie przeszkadza, że przy nadarzonéj okazyi chłoszcze przeciwników politycznych biczem zjadliwéj lecz skrytéj satyry.

II.

Po historyi, która bezsprzecznie jest ozdobą niniejszego wydawnictwa, umieszczono pisma polityczne, nie dorównywające wprawdzie wartością źródłom historycznym, ale nie mniéj potrzebne do gruntownego poznania dziejów ówczesnéj Polski; w nich bowiem skupia się i niejako rekapituluje to wszystko, co było rozproszone w setkach innych publikacyi. Konkluzya wprawdzie, do któréj Warszewicki w nich dochodzi — jest mylną, bo zmierza do najściślejszego połączenia Polski z Austryą pod jedną dynastyą habsburską, ale mimo to są jego apologie, dyalogi i mowy wybornym komentarzem ilustrującym, jak Polska podówczas o sobie myślała, jak oceniała swoje interesa i stosunki z ościennemi państwami, jak pojmowała własne zadania i cele.

Traktat pod tyt. „*De rebus in Polonia gestis in Regem eligendo*", wydany z rękopisu spółczesnego, wyszedł z pod pióra Warszewickiego, jak można wnosić ze wskazówek zawartych w samém piśmie, niedługo po posłuchaniu udzieloném przez sejm ratysboński wysłańcom Stefana Batorego, Janowi z Krotoszyna i Dymitrowi Solikowskiemu, a zatém po 15 czerwca 1576 r., — a przed śmiercią Maksymiliana, to jest przed 6 października t. r. Traktat ten zapewne jest od-

powiedzią na żądania posłów polskich i zasługuje pod każdym względem na miano „apologii.“

Autor usiłuje dowieść, że jedynie cesarz Maksymilian jest prawym królem polskim, bo tylko jego elekcya odbyła się w legalny sposób, gdy tymczasem Batorego zaledwie jedna drobna i to mniéj poważna część narodu powołała na tron, winien przeto jako przywłaszczyciel i uzurpator bezwłocznie opuścić Polskę. Celem udowodnienia tego bezprawia przechodzi nasz publicysta dzieje bezkrólewia po ucieczce Henryka w chronologicznym porządku; wspomina kilku słowy o sejmie warszawskim z 10 września 1574 r., który wedle niego nie był wcale zwołany przez prymasa (por. Szujski: Dz. P. III, str. 31), — mówi o bezskutecznych naradach stężyckich, — a co ważniejsza, nadmienia o sejmie konwokacyjnym warszawskim z dnia 3 października, o którym nawet Heidenstein, acz najdokładniejszy w opisach, nie czyni wzmianki. Obszerniéj rozwodzi się nad sejmem elekcyjnym, w miesiąc niespełna po konwokacyi odbytym. Z początku cały senat świecki i duchowny, Litwa, Prusy, Inflanty, a z pośród szlachty Mazowsze były ciałem i duszą oddane sprawie domu habsburskiego. Trwało to tak długo, dopóki partya Piastowska, kryjącą pod płaszczykiem patryotyzmu upatrzonego kandydata, nie poczęła wichrzyć i zbrojną swą postawą nie steroryzowała senatu. Niebezpieczeństwo mianowicie wzrosło, gdy stronnictwo narodowe mszcząc się porażki poniesionéj z kandydaturą Kostki i Tęczyńskiego ściągnęło z okolic Warszawy nieprzeliczone mnóstwo drobnéj szlachty, gotowéj do broni na pierwsze skinienie. Z obawy rozruchów, jakie się stąd bardzo łatwo mogły wywiązać, tudzież z powodu nader ostréj zimy prymas wraz z senatorami przeniósł się dnia 12 grudnia do miasta, a nie widząc po całodziennem bezskutecznem wyczekiwaniu innéj drogi wyjścia z drażliwéj sytuacyi, zamianował Maksymiliana królem. Akt nominacyi odbył się w sposób zupełnie legalny, wobec licznie zgromadzonego senatu i szlachty. Jakież więc — woła mówca — było zdziwienie a zarazem oburzenie senatorow, gdy koło rycerskie jakby nie wiedząc o uskutecznionym wyborze i nie licząc się bynajmniéj z wolą Litwy i Prus, obwołało samozwańczo elektami Annę Jagiellonkę i Stefana, księcia na Siedmiogrodzie. Kandydat ów, który przedtém z obłudną skromnością doradzał wybór cesarza, nie przez przymioty swoje ale uporem kilku przekornych zagorzalców wypłynął na widownię publiczną i odebral cesarzowi dawną sympatyą narodu. Poselstwo, jakie doń wnet po ogłoszeniu wyprawiono, posłużyło się niegodną bronią fałszu, zapewniając go, że frakcya cesarska nieliczna, składa się z kilku polskich senatorów, jednego litewskiego wojewody i trzech biskupów, a sie-

bie podając za prawą reprezentacyą całego zjednoczonego narodu Polski, Litwy i Prus. Nie mniejszém bezprawiem wywracającém porządek społeczny był zjazd Jędrzejowski, zwołany na dzień 18 stycznia, bez przyzwolenia i wiedzy prymasa; uchwały na nim powzięte nie mają prawnéj podstawy, a jako takie nie obowiązują.

Po dłuższéj retorycznéj deklamacyi na temat świętości bronionéj sprawy i sumiennego spełniania obowiązków, autor podejmuje na nowo zerwany wątek apologii. Odważnie stawia czoło każdemu bez wyjątku zarzutowi, jaki podniesiono przeciw legalności wyboru Habsburga,—idzie niejako przeciw potwarcom i ściera ich w proch; zamyka zaś całą obronę uroczystém zawezwaniem, aby zaniechano już raz niegodnego szarpania poczciwéj sławy domu rakuskiego, który jest zbyt cnotliwym, aby się umiał sam skutecznie obronić przeciw oszczercom i nieprzyjaciołom.

Traktat ten, chociaż aż nadto wyraźne ma znamiona austryackich sympatyi autora, robi na czytelniku korzystne wrażenie. Apologista nawet w przesadzie umie zachować pewną szczęśliwą miarę, o którą tak mu trudno w następnych traktatach. Wywody jego cechuje silna wiara w zbawienność wyznawanéj doktryny politycznéj, a chociaż nie poznać w nim Polaka, przecież nie popada w zbytnią uniżoność i serwilizm.

Równą zupełnie zawartość historyczną posiada następujące pismo p. t. „*Apologia I-ma, qua divi Maximiliani Caesaris, regis Poloniae electi ius et dignitas defenditur*", — wydana z rękopisu spółczesnego, poprawionego przez autora. Jest ona dalszém waryowaniem tego samego tematu z różnych tonów. Wiele jednak motywów przeniesiono tutaj z poprzedniego memoryału. Są nawet ustępy równobrzmiące, co naprowadza na domysł, że oba pisma powstały równocześnie,—może pierwsze dla Polaków, drugie dla cesarza, na co zdaje się wskazywać i tytuł i forma zewnętrzna o wiele staranniejsza w drugiém piśmie aniżeli pierwszém.

Jeżeli wymienione rozprawy czyta się z przyjemnością i pewném uszanowaniem dla zasad autora stałych i wyrobionych— to memoryał podany przezeń Maksymilianowi na sejmie ratysbońskim dnia 7 września 1576 napełnia czytelnika wstrętem i odrazą do człowieka, który w swéj zaciekłości stronniczéj przekroczył granicę czynów dozwolonych sumieniem uczciwego człowieka i Polaka. Memoryał nosi tytuł „*Rationes et argumenta pro regno Poloniae recuperando*" i składa się z 3 części. W pierwszéj wyliczone powody, dla których cesarz powinien podjąć koniecznie wyprawę do Polski, a zatém skrupuły sumienia, wzrost potęgi i domu habsburskiego w Niemczech, obrona zagrożonego chrześciaństwa, nabytek Wołoszy i Moł-

dawii itd. W drugiéj części zastanawia się nad konstelacyą stosunków w Polsce i z prawdziwie machiawelowską przebiegłością poucza go, jak ma korzystać z niezgód i ambicyi polskich, jak podchlebstwem i przekupstwem ma Polskę poddać pod swoję władzę. W trzeciéj rozbiera autor klęski i niebezpieczeństwa, jakie spadną na Europę i chrześciaństwo, jeżeli Austrya nie poda Polsce, stojącéj nad przepaścią rozterek wewnętrznych, bratniéj dłoni. Główną rolę między argumentami miotanymi przeciw Stefanowi gra oczywiście bajka, jakoby Polskę w niewolę Turcyi zaprzedał, a tém samém półksiężycowi wolną drogę do wnętrza Europy otworzył. Nadto wybór Batorego naraża bezpośrednio Austryą na niebezpieczeństwo, albowiem Batory nie omieszka Węgrów przeciw Habsburgom podburzyć.

Memoryał ten, jakkolwiek w wysokim stopniu obraża patryotyczne uczucia każdego Polaka, zawiera jednak bardzo wiele trafnych uwag i prawd, świadczących o bystrym zmyśle obserwacyjnym Warszewickiego. Spostrzeżenie naprzykład, że Polacy zwykli się zabierać do dzieła z zapałem i gorliwością nie do opisania, z czasem jednak jak ów strumień w piasku, stają się leniwi i opieszali a w końcu zupełnie bezczynni i bezradni, sięga w najgłębsze tajniki narodowego charakteru; natomiast pewność, z jaką mówi o korupcyi senatorów i szlachty, policzyć należy raczéj na karb wielkiego uprzedzenia autora do klas uprzywilejowanych w narodzie aniżeli przypisać faktycznemu stanowi rzeczy.

Następuje z kolei ciekawy dyalog Polaka z Czechem: *Lechitae et Bohemi colloquium*, wydany z rękopisu spółczesnego, który się przechowuje w bibliotece watykańskiéj. Jak łatwo można dorozumiéć się, Lechita jest reprezentantem narodowéj antyaustryackiéj opinii, podczas gdy Czech reprezentuje cudzoziemski sposób zapatrywania się na Polskę i jest stronnikiem rakuskiéj kandydatury. Lechita to zwyczajny, naiwny, rubaszny szlachcic, dbały przedewszystkiém o zachowanie swobód i polskości. Czech to człowiek bystry, trzeźwy, wymowny, obrońca pierwiastku władzy i rządu, pieczołowity szczególnie o dobro chrześciaństwa i Europy,—to sam Warszewicki. Dyalog odbywa się po śmierci Batorego, kiedy rzeczpospolita po raz trzeci w krótkim przeciągu lat znalazła się wobec nierozwiązanego problematu zgodnéj elekcyi króla.

Po kilku przedwstępnych i solą attycką zaprawnych uwagach zaczyna autor (Czech) od dowodzenia, że kandydatura Piastowska tylko na szkodę Polakom wyjść może. Widmo zalewu bisurmańskiego i tu odgrywa najpierwszą rolę. Już ta okoliczność,—mówi Czech,—że sułtan zaleca wybór Piasta, daje pewność, że w razie wy-

boru byłby najniższym sługą sułtana; Polskę wówczas spotka los, który spadł na Węgry przed pół wiekiem, za czém pójdzie podbicie całéj Europy pod panowanie Porty ottomańskiéj. Wybór Piasta pociągnie daléj za sobą rozliczne wydatki, których szlachta nie zechce ponosić; wybuchną więc bunty, rokosze, a Polska stanie otworem dla wszelkich zagranicznych intryg i machinacyi. Kandydatura piastowska raz do życia powołana rozbudzi uśpione ambicye magnatów, które sprowadzą na Polskę nowe zakwikłania i niebezpieczeństwa. Polakom potrzeba monarchy, któregoby otaczał urok królewskiego pochodzenia, któregoby zalecało długoletnie doświadczenie i prywatny majątek. Temu ideałowi monarchy odpowiada tylko rakuski książę. Lechita jednak ani chce słyszéć o tém, odpowiada znaném przysłowiem: Jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem. Czech przeto przystępuje do wykazania trudności, z jakiemi jest połączony wybór Szweda na króla polskiego. Szwed będzie się przedewszystkiém dopominał oddania Litwy i Mazowsza jako wiana Katarzyny Jagiellonki. Z Jagiellonami łączy go dalsze pokrewieństwo aniżeli Habsburgów. Daléj niepodobna połączyć pod jedném berłem dwóch tak odmiennych, morzem od siebie przedzielonych państw. Szwecya otoczona zewsząd nieprzyjaciołmi, nie da Polsce ani materyalnéj ani moralnéj pomocy, a natomiast wciągnie ją w wir domowych niesnasek dynastycznych, które ją jeszcze bardziéj osłabią. Królewicz szwedzki jest młody i niedoświadczony, prawdopodobnie sam ojciec nie zechce go wyprawić do rozdwojonéj i niezgodnéj Polski, gdzie potrzeba żelaznéj dłoni do kierowania nawą państwa.

Na tak przekonywające argumenta Lechita nie ma innéj obrony prócz przykładu Karola V, który w 19 latach zostawszy cesarzem świetną swych rządów pozostawił pamięć. Czech jednak wskazawszy na odmienne warunki, wśród których rządził cesarz niemiecki, poczyna dowodzić, że i trzecia kandydatura, moskiewska, nie ma racyi bytu. Już sam charakter Moskala despotyczny, tyrański, pod wpływem barbarzyńskiéj religii urobiony, wzbudza niemałe obawy i podejrzenia. Analogia z ojczystéj przeszłości za argument służyć nie może, bo od tego czasu fizyonomia narodów się zmieniła i ani na chwilę nie można przypuszczać, że Moskwa zmieni wiarę dla Polski jak to Litwa uczyniła. A co do mrzonek o wielkiém państwie północno-słowiańskiem, to pochodzą one z braku dostatecznéj znajomości historyi, która uczy, że wielkie organizmy państwowe o wiele prędzéj upadają, aniżeli małe.

Zaczyna się materya druga o zaletach i wyższości kandydatury austryackiéj. Przedtém jednak Lechita zapala się przeciw do-

tychczasowéj polityce domu rakuskiego, w najwyższym stopniu nieszczeréj, podstępnéj, zasadzającéj się na przeniewierstwach i niespodziewanych napadach zbrojnych. Otrzymawszy sofistyczną odpowiedź, że wojny między sąsiadami są koniecznością geograficzną, zwraca następnie uwagę przeciwnika na opłakany stan Węgier i Czech, od czasu, jak zostały przyłączone do korony Habsburgów. Nietylko rozwój ich narodowy poniósł szwank dotkliwy, ale nadto jęczą pod jarzmem niewoli, okrucieństwa i podatków. Zaskoczony z nienacka Czech sprzeciwia się stanowczo niegodnym potwarzom rozsiewanym przez ludzi nie znających ani łagodności rządów austryackich ani kwitnącego stanu nadłabskiéj krainy. Że im odebrano prawo wolnego wyboru króla, to jeden więcéj powód do wdzięczności względem domu habsburskiego; Polska bowiem jest odstraszającym przykładem, do czego prowadzi wolność elekcyi.

Po téj złośliwéj, ale trafnéj uwadze, przystępuje Czech (Warszewicki) do wykazania nieporównanych korzyści jakie Polska odniesie z wyboru Habsburga. Przedewszystkiém nie powinna się zrażać, że król habsburski może jéj przynieść wojnę z Turcyą; lepiéj bowiem wcześnie, przygotować się do wojny i siły swe udziałem w lidze umocnić, aniżeli ufać przymierzu z Turkiem i wyczekiwać, aż pokrzepiwszy nadwerężone siły rzuci się na Polskę bezsilną i nieprzygotowaną. Że partya cesarska używa pieniędzy do jednania stronników, także nie powinno Polaków razić, bo nie przekupywanoby ich, gdyby nie dali się przekupywać, a powtóre wiadomo powszechnie, iż nawet przy wyborze papieża pieniądze grają niepospolitą rolę. Korzyści zaś będą następujące. Polska zjedna sobie szacunek w całéj Europie. Król rakuski umorzy pretensye Rzeszy niemieckiéj do Prus i Inflant, zabezpieczy granicę od wschodu tj. Moskwy i Tatarów, odzyska Wołoszę dla korony polskiéj, wreszcie umocni Polskę na wewnątrz i będzie Polska wielka, bogata i szczęśliwa.

Na wszystkich punktach pobity Lechita szuka ostatniego schronienia po za zasłoną opinii powszechnéj, która jest przeciwną Austryakowi. Nawet i Czech czuje się wobec téj wszechwładnéj pani bezsilnym, ucieka się więc do broni zjadliwego sarkazmu: Cóż począć z wami—woła uniesiony—skoro słyniecie z szczególniejszego przywileju być mądrymi dopiero po szkodzie i wszystko czynić po niewczasie.

Lechita rozdrażniony urywa rozmowę—spieszy na śniadanie, na które go w sąsiedztwie zaproszono.

Dyalog ciekawy—może najciekawszy i najlepszy ze wszystkich, w naszéj publikacyi pomieszczonych pism politycznych. Cie-

kawy jest, bo pozwala nam zajrzéć w głąb duszy i wyczytać całe jego polityczne *credo*; najlepszy, bo w sposób wyczerpujący i mądry przedstawia, jak Polska podówczas sądziła swoje położenie i przeznaczenie na świecie, swój stosunek do mocarstw zagranicznych. Mimo to dyalog ten nie jest sympatyczny; a nie jest nim dlatego, że nie można powziąć szacunku dla człowieka, który może przed kilku miesiącami wynosił pod niebiosa w oracyi pogrzebowéj swego dobroczyńcę, króla Stefana a tutaj wyraża się o nim z niechęcią i lekceważeniem; tak więc miłość i szczere uwielbienie powzięte do Stefana za życia stopniało po jego zgonie w promieniach łaski cesarskiéj.

Jeszcze jedna uwaga nasuwa się co do znaczenia aktorów dyalogu. Dla czego Warszewicki wybrał właśnie Czecha na adwersaryusza politycznego Lechity, a nie innego Słowianina, Węgra lub drugiego Polaka. Oto wiadomo (Szujski Dz. P. III p. 17), że podczas pierwszego bezkrólewia Rozemberg i Bernstein, Czesi rodem a posłowie cesarscy, pobratawszy się na biesiadach z Polakami, mieli ich sami przestrzegać przed elekcyą Rakuszanina wskazując na los własnéj ojczyzny. Pamięć o téj pełnéj znaczenia przestrodze żyła zapewne dotąd między szlachtą i nieraz zapewne była używana jako rozstrzygający argument przeciw namowom cesarskich agentów. Biorąc pochop z téj okoliczności, włożył autor w usta Czecha wymowny protest przeciw kłamliwym potwarzom podochoconych ziomków.

Po tém, w każdym razie niezwyczajném piśmie następuje traktat p. t. „*Apologia II qua alterius Maximiliani archi ducis Austriae in Regem Poloniae et Magnum Ducem Lithuaniae legitime electi ius et dignitas defenditur.*“ Jak już z tytułu można wyrozumiéć, autor porusza w tym traktacie sprawę podwójnéj elekcyi, jaka miała miejsce po śmierci Batorego na sejmie elekcyjnym z r. 1587 i udowadnia, że jedynie prawnym królem jest arcyksiążę Maksymilian. Opowiada tedy w porządku chronologicznym wypadki bezkrólewia lecz oczywiście pomija uchwały i rozporządzenia, jakie zapadły na sejmie konwokacyjnym i elekcyjnym. O burzy, jaka się podniosła na konwokacyi przeciw Zamoyskiemu, o konfederacyi generalnéj warszawskiéj, lustracyi szlachty zdolnéj do broni nie dowiadujemy się ani słowem. Lepiéj ale także chaotycznie opisany przebieg sejmu elekcyjnego, szczególniéj charakterystyka obu stronnictw tak zwanego koła czarnego i generalnego, poniekąd bezstronna i wyczerpująca, zasługuje na uwagę; w tém jednak, co mówi o Zborowskich, słychać głuche echo jego własnych krzyków na konwokacyi przeciw Weseliniemu o rozdrapanie skarbów Stefana. O innych szczegółach sejmu jak o zbrojnych zatargach stronictw, o morderstwie dokonaném na

biskupie Rozrażewskim, poselstwie Leśniowolskiego do Zygmunta i t. d. dowiadujemy się tylko mimochodem, to jest kiedy autor odpiera niezliczone zarzuty przeciwników a broni własnego stronnictwa. Mowa ta nieodznacza się ani świeżością motywów, ani żywością języka i formy, dla tego pomijam dokładniejsze jéj streszczenie. Kończy ją autor szumną, napuszystą dysertacyą o zacności sprawy austryjackiéj i zaletach domu habsburskiego.

Następująca mowa, wydana z rękopisu spółczesnego znajdującego się w Insbruku, zwraca się również do Maksymiliana. Miał ją autor na naradzie we Wieluniu 17 stycznia 1588 r. w chwili, gdy przednie straże Zamoyskiego docierały do Krzepic i lada chwila kazały się obawiać przybycia samego kanclerza. Radzi przeto mówca arcyksięciu wykonać jak najszybszy odwrót do którego z silnie obwarowanych miast i tam oczekiwać przybycia posiłków.

Mowa ta z tego względu ważna, iż potwierdza hypotezę Nachera w pracy p. t. Bitwa pod Byczyną (Lwów 1883) wypowiedzianą, iż autorem dzieła: *ab excessu Stephani regis ad Maximiliani Austriaci captivitatem liber singularis*, — nie jest Bruttus, jak Ciampi utrzymywał, lecz Warszewicki.

Jeżeli w téj mowie autor widocznie pod wpływem niebezpieczeństwa podnosi się do niezwyczajnéj sobie żywości stylu i wymowy, to nie masz nic bardziéj suchego i pedantycznego jak następująca oracya do cesarza Rudolfa II, miana w Pradze dnia 2 marca r. 1588 a zatém po bitwie pod Byczyną. Składa w niéj autor zapewnienie wiernopoddańczych swych uczuć względem tronu i prosi, by jak najspieszniéj przedsięwzięto odpowiednie kroki celem uwolnienia Maksymiliana II z więzienia. Jest to jeden wielki szumny dytyramb na cześć potęgi domu habsburskiego. Nie brak w mowie także alluzyi do opłakanego stanu majątkowego w jakim znajdują się rozbitki z pogromu byczyńskiego. Nadto dowiadujemy się, że Warszewicki nie dostał się wraz z innymi do niewoli, jak sądził Szujski (Dz. P. III s. 125).

Następujące 2 memoryały, jeżeli je tak nazwać można, rzucają bardzo ciekawe światło na sieć intryg, jaką dom austryjacki na Polskę zarzucił. Pierwszy: *propositio archiducis Maximiliani liberandi*, zawiera 2 plany obmyślane przez Warszewickiego celem oswobodzenia Maksymiliana. Pierwszy z nich zasadzał się na ułatwieniu mu przeprawy przez Wisłę i ucieczki do Szląska, drugi zamierzał wyprawę zbrojną na własną rękę i uwiezienie arcyksięcia do Węgier lub Szląska.

W drugim zaś memoryale p. t. „*Consilium de rebus polonicis turbandis*“ poucza Rudolfa jak ma mataczyć, aby zjazd komisarzy, mający zmusić Maksymiliana do abdykacyi, nie przyszedł do skutku.

Ostanim płodem literackim na większe rozmiary jest *oratio pro Maximiliano electo Poloniae rege ad regni Poloniae et Magni Ducatus Lithuaniae ordines*, wydana ze spółczesnego, przez autora poprawianego rękopisu. Jest to znowu retoryczny panegiryk na cześć potęgi Habsburgów — bez większéj wartości historycznéj a zarazem jeden dowód więcéj arogancyi i fanfaronady, z jaką przystępowała komisya cesarska do układów w Będzinie. Mówca opisuje ze stanowiska swojej sympatyi politycznéj wyprawę Maksymiliana do Polski, sławi jego łagodność i ludzkość a oburza się na warcholstwo niektórych osób (Zamoyskiego), łowiących ryby w mętnéj wodzie. Od komisyi żąda przyjęcia następujących 3 warunków: wydania arcyksięcia i utrzymania jego pretensyi do tronu polskiego; w tym celu— jako trzeci postulat — komisya jeszcze raz rozpatrzy sprawę podwójnéj elekcyi i zawyrokuje kto ma na władcę Polski więcéj danych i więcéj przymiotów. Mowa zamyka się groźbami niebezpieczeństw, jakie spadną na Polskę, jeżeli nie skorzysta z téj ostatniéj sposobności wprowadzenia na tron Habsburga.

III.

Część następna obejmuje listy Warszewickiego w liczbie 59 od i do znakomitości spółczesnych z lat 1574 — 1603, ułożone nie wedle osób ale w porządku chronologicznym. Najwięcéj z nich bo 18 odnosi się do dziejów 2-go, a 13 do 3-go bezkrólewia. Do dziejów 1-go interregnum nie ma wcale korespondencyi, jak przypuszczam na podstawie wzmianki o Warszewickim w 1-éj księdze jego Historyi tudzież listu pierwszego do kardynała, z tego powodu, że nasz dziejopisarz w owéj epoce nie miał jeszcze ustalonych zasad i sympatyi politycznych i stojąc na stanowissku ściśle katolickiém, miał wyłącznie ogólny interes kościoła na oku.

Liczebnie najwięcéj bo aż 9 a przytém nie bez wartości historycznéj są listy do kardynała Commendoniego. Nr 1, 2, 4, 5, 6, 17, 19, 20, 29. — Pisane w latach 1574 — 1583, jużto z Krakowa, jużto z Francyi, dokąd zapewne udał się nasz dyplomata z polecnia Tęczyńskiego (Zakrzewski: Po uc. Henr. s. 197 uw.), już to wreszcie z Ratyzbony, gdzie bawił po nieudałéj elekcyi Maksymiliana II,— grupują się około najważniéjszych wypadków z owéj epoki dziejów Polski, nie podając jednak wiadomości skąd inąd nieznanych i ważnych. Nowy natomiast, o ile wiem, jest szczegół zawarty w drugim liście z Lugdunu, że pierwotnie na posłów do Polski od Henryka byli przeznaczeni nie marszałek Bellegarde i Pibrak ale marszałek Beffianus i Raumbuleti.

Żywszy interes budzą obfitością szczegółów i większą swobodą listy do Dudycza, niegdyś biskupa pięciokościelskiego a następnie jednego z najzdolniejszych agentów cesarskich. (Nr 3, 10, 12, 14, 15, 27). Szczególnie korespondencya z 15 stycznia 1576 r. jest ważnym przyczynkiem do dziejów stronnictwa rakuskiego i daje miarę intryg, jakiemi zarzucono Warszawę i kraj cały, aby nie dopuścić wyboru Habsburga. Oto podczas bankietu u marszałka — opowiada Warszewicki—pokazywano sobie z tryumfem list od biskupa chełmskiego, w którym uwiadamiał marszałka, iż cesarz w odręcznem piśmie do niego wystosowaném zrzekł się uroczyście korony polskiéj. Wiadomość ta zaniepokoiła i zdziwiła niezmiernie, ale nie mając żadnych dowodów na podorędziu, nie mogłem jéj zaprzeczyć. Wtém, szczęśliwém zrządzeniem losu, otrzymuję w téj właśnie chwili list od cesarza z Wiednia, zawierający wręcz przeciwne wiadomości. Przejrzałem matactwa przeciwników; pełen oburzenia wystąpiłem przeciw niecnym intrygantom i zażegnałem w porę złe skutki, jakie taka mistyfikacya mogła dla cesarza pociągnąć.

Jeszcze więcéj wtajemnicza nas w drobiazgowy mechanizm dyplomacyi austryackiéj list pisany z Warszawy 23 stycznia 1576 r. Jest to relacya o wypadkach zaszłych w ciągu tygodnia. Przed 6 dniami przybył do Anny wysłaniec od Batorego ze Siedmiogrodu— niewiadomo w jakim celu. Krąży tu pogłoska, że Batory nie przyjmie korony — może to jednak być podstęp w celu uśpienia naszéj czynności. Marszałek kor. Piotr Zborowski udał się w 100 koni do Jędrzejowa, — zastępuje go chwilowo Zebrzydowski. Do Jędrzejowa pociągnął także pan Kryski, kasztelan raciążki w 150 koni—otrzymawszy poprzód dwukrotne tajne posłuchanie u królewny Anny. Z szlachty mazowieckiéj tylko niższa spieszy na zjazd jędrzejowski— wiekszość trwa wiernie przy cesarzu.

Jedyny list do Mikołaja Radziwiłła (z 4 kwietnia 1575 r.) napisał zapewne Warszewicki z polecenia Henryka, do którego słał niedawno wojewoda po koadyutoryą wileńską dla brata (Zakrzewski l. c. 197 p.). Dowiadujemy się zeń, iż król Henryk zamyślał żądać przez posłów, aby Polacy jeszcze jeden rok wstrzymali się od wyboru nowego króla, tymczasem przesyła 300,000 zł. na potrzeby koronne, a obiecuje w krótkim czasie jeszcze więcéj posłać byleby nie zrywano „tego między nim a Polską świątobliwego związku.“—Wiadomość ważna, prawdopodobnie jednak nie prawdziwa, wiadomo bowiem jak okropnie Francya była podówczas zrujnowana i jak strasznie podupadł kredyt królów francuskich. Wszakżeż z posłami na sejm elekcyjny r. 1575 zwlóczył Henryk dlatego, że nie miał ich w co zaopatrzéć a nie mógł ich do Polski z gołemi wyprawić rękami

(Zakrzewski l. c. p. 209 sq.). Wobec tego, sądzę, słowa Warszewickiego należy uważać za czczą obietnicę podsuniętą łatwowiernym Polakom z natchnienia Henryka.

Prawie współczesne listy, jak list do Grzegorza XIII tudzież do członków domu habsburskiego, Ernesta, Ferdynanda, Maksymiliana II i Rudolfa II, wreszcie 3 listy do kardynała Moroni, nie zawierają ważniejszych wiadomości historycznych, odnosząc się przeważnie do agitacyi na korzyść domu habsburskiego i do jurgieltów, jakie Warszewickiemu w nagrodę za jego gorliwą działalność przyrzeczono.

Natomiast nie bez wartości historycznéj jest list pisany r. 1577 do Gratianiego sekretarza kardynała Comendone; podaje mianowicie kilka ciekawych szczegółów odnoszących się do wyprawy Gdańskiéj Batorego. Gdańszczanie, — czytamy — ofiarowali początkowo królowi 300,000 zł. Ponieważ jednak król żądał bezwarunkowego poddania się i złożenia hołdu, nie tylko nie chcą teraz ani słyszeć o okupie lecz żądają od króla znacznej sumy tytułem wynagrodzenia kosztów wojennych. Walczy po ich stronie Mansfeld, były dowódca wojsk austryjackich. Mają 800 jazdy a 6000 pieszych i podostatkiem żywności; wspiera ich nadto król duński i miasta nadmorskie. Równocześnie Moskwa zagarnęła Inflanty; wszystko jednèm słowem się rozprzęga i idzie na opak. — List ten także z tego względu interesujący, że odkrywa w gruncie szlachetną duszę naszego publicysty; warchoł z natury i przyzwyczajenia, kochał jednak ojczyznę, kochał ją wprawdzie po swojemu, ale szczerze i serdecznie i o złą wolę względem Polski obwiniać go się nie godzi.

Ważnym przyczynkiem do wyświecenia stosunków prywatnych Warszewickiego, jego wziętości i rozgłosu za granicą, jego znajomości w kraju są listy napisane po włosku do nuncyuszów Bolognettiego i Annibala z Kapuy, tudzież list ks. Hieronima Rozrażewskiego, sekretarza w. kor.

Korespondencya z Janem Zamoyskim Nr 26, 50, 51, 52, utrzymywana i po klęsce byczyńskiéj, nie jest tak ciekawą i ważną jakby można się było spodziewać. Jedynie list pierwszy pisany, z Zapola 12 Grudnia 1581 posiada pewną zawartość historyczną. Odnosi się do tak zwanego „Zapolskiego“ pokoju, czyli do pokoju w Kiwerowéj Horce, który stanął 15 stycznia 1582. Rosyanie mimo nalegań Possewina wszelkimi sposobami zwlekali, oczekując klęski wojsk polskich pod Pskowem. Pragnęli, jak się dowiadujemy, aby nie oni do Polaków, ale posłowie polscy, między którymi i Warszewicki się znajdował, do ich obozu zjechali na układy. Równocześnie rozsiewali dla postrachu wieści, że Iwan nie zważając na rozpoczęte układy, gotuje groźną wyprawę przeciw Polakom.

Sześć listów do i od senatu gdańskiego wyjaśniają nam jedynie z jak ciężkiemi nieraz kłopotami i trudnościami materyalnemi musieli walczyć nasi literaci z XVI wieku, chcąc swe prace ogłosić drukiem. Bez uszczerbku również dla historyi możemy pominąć 2 listy wystósowane do biskupa ołomunieckiego Eckharda von Schwoeben, list do posła cesarskiego Pawłowskiego i do kanoników kapituły krakowskiej. Wypada natomiast zwrócić uwagę na list do króla szwedzkiego Jana III (Nr 28) datowany ze Sztokholmu dnia 8 lipca 1582 r. Wiadomo bowiem, że Jan III mimo bliskiego pokrewieństwa z Jagielonami i niezakłóconych stosunków sąsiedzkich z Batorym, zajął podczas wyprawy pskowskiéj wrogie względem Polski stanowisko a nawet kilka zamków inflanckich jak Weisenstein i Narwę wziął w posiadanie. Na wieść o tém wyprawił Stefan zaraz z Rygi kuchmistrza swego Allemaniego w poselstwie do Szwecyi, przedstawiając królowi bezprawność i nieuczciwość podobnego kroku. Allemani jednak nic nie wskórał; Batory przeto poruczył missyą Warszewickiemu. Lecz i naszemu dyplomacie nie sprzyjała fortuna. Mimo najsolenniéjszego przyrzeczenia, że otrzyma piśmienną i wyczerpującą odpowiedź w jak najkrótszym czasie, siedział przez 3 tygodnie w Sztokholmie bezskutecznie. Na tę to przydługę a dającą do myślenia zwłokę w rokowaniach żali się Warszewicki w dwudziestym ósmym liście.

IV.

Jeżeli dotychczas Warszewicki przedstawiał się nam w świetle własnych utworów i korespondencyi lub co najwięcéj w świetle przychylnych mu, bo interesem natchnionych relacyi, to ta część dzieła o któréj obecnie mówimy, pozwala nam go poznać z innéj strony, okazuje go nam takim, jakim go sądzili swoi i obcy, przeciwnicy i adherenci, nie związani z nim bezpośredniemi stosunkami. Przeto prawdziwe uznanie należy się wydawcy za tę szczęśliwą myśl. za to, że zebrał sporę stosunkowo wiązankę ekscerptów i dokumentów, które w wysokim stopniu przyczyniają się do tém głębszego przeniknięcia i tém plastyczniéjszego uwydatnienia tej ze wszech miar interesującéj postaci.

Obszerny ekscerpt z dzieła Orzelskiego (Bezkrólewia ksiąg ośmioro) — rzuca bardzo niekorzystne światło na charkter i moralną wartość Warszewickiego w latach młodocianych. Rzecz cała wykryła się na sejmie konwokacyjnym z r. 1574 podczas zaciętéj walki parlamentarnéj o zasadniczą kwestyą, czy utrzymać panowanie króla Henryka i wysłać do niego posłów, czy też ogłosić bezkrólewie. Z jednéj i drugiéj partyi wybrano do téj sprawy osobnych mówców.

Za bezkrólewiem przemawiali Rafał Leszczyński, Świętosław Orzelski i Abraham Zbąski; ze strony przeciwnéj doświadczali sił swoich Niedziałkowski, Bykowski i Krysztof Warszewicki, najzdolniejszy z obrońców Henryka. Zagorzałość stronnicza zapewne popchnęła go do tego, że się chwycił niegodnego środka. Oto aby nie dopuścić wysłania poselstwa do Henryka, które zapewne zdaniem jego ubliżało powadze władzy monarszéj, odczytał w izbie, niby w imieniu wszystkich posłów mazowieckich pismo podające w wątpliwość charakter przyszłych wysłańców i odmawiające potwierdzenia uchwał. Tymczasem posłowie mazowieccy przestraszeni krzykami, które się na nich z tego powodu podniosły, zaprzeczyli zgodnie temu, jakoby Warszewickiego umocowali do podobnego memoryału. Oskarżony o zbrodnię przeciw Rzeczypospolitéj, zaledwie uniżonemi prośbami i przyrzeczeniem stanowczéj poprawy, zdołał się ocalić od niechybnéj kary śmierci. Postępek ten jednak nie uszedł mu bezkarnie. Przypomniał bowiem przeciwnikom politycznym, a mianowicie radykaliście Zbąskiemu inne nieczyste sprawki Warszewickiego z czasów jego pobytu we Włoszech. Zarzucano mu mianowicie liczne kradzieże, długi niepopłacone i inne tym podobne występki, a we wszystkiém powoływano się na naocznych świadków i księgi sądowe. Wobec tego domagał się Zbąski, aby Warszewickiego wykluczyć z grona posłów jako niegodnego zasiadać na jednéj ławie z ludźmi honorowymi. Na usilne jednak nalegania posłów mazowieckich, tudzież ze względu na dobro publiczne, izba odroczyła termin ekskluzyi aż do czasu przedłożenia dowodów. Jak ostatecznie sprawa się rozstrzygnęła — nie mamy wiadomości, tyle pewna, że Zbąski pod koniec sejmu rzeczywiście przedstawił już-to naocznych świadków, już-to autentyczne ich listy, które potwierdziły jego oskarżenie.

Rekryminacye te doszły także do uszu senatu. To téż kiedy Warszewickiego wybrano do deputacyi z 20 (10 senatorów — 10 rycerzy) mającéj się zająć obmyśleniem odpowiednich środków do ubezpieczenia uchwał konfederacyi, Jan Tomicki zerwał obrady nie chcąc zasiadać razem z człowiekiem zostającym pod klątwą tak nikczemnego występku. Jednem słowem młody nasz szermierz parlamentarny ściągnął na się powszechną nienawiść i wzgardę. Jego to intrygom przypisywał Drohojowski tak ubliżającą odprawę i nieokreśloną odpowiedź, jaką posłom polskim dał Walezy w drodze do Rheims.

Przedstawiłem rzecz tę z tego powodu szczegółowiéj niż inne, gdyż jest ona także przedmiotem ekscerptu z listów nuncyusza Wincentego Laurei do sekretarza papieskiego Ptolomaeusa Galliusa. Nun-

cyusz prosi kardynała, ażeby przeszkodził wydaniu dokumentów neapolitańskich, po które wysłano Zbąskiego, ponieważ Warszewicki broni gorliwie sprawy kościoła, a mianowicie pozyskanie Mazowsza dla cesarskiéj kandydatury jemu i Radzimińskiemu zawdzięczyć należy.

Do tego chóru kalumnii i najcięższych zarzutów dodać należy jeszcze jeden głos, który nie brzmi wprawdzie tak poważnie jak inne, ale nie mniéj jest charakterystyczny, będąc echem opinii, jakiéj Warszewicki w kraju zażywał. Mówię o ekscerpcie z relacyi kapitana Piotra Dunina Spoth'a z r. 1590. Skarży się w niéj ów oficer, że Warszewicki wraz z drugim przybłędą na każdym kroku przygotowuje nań zasadzki, obrzuca go obelgami i zniesławia przed czcigodnymi ludźmi. Podawszy krótką, ale dosadną charakterystykę jego dotychczasowego życia, prosi cesarza Rudolfa II o wydelegowanie sędziów dla zbadania téj sprawy. Życzeniom jego stało się zadość— o czém zaświadcza dokument pod N. 11 umieszczony.

Że to nie był człowiek wcale wzorowych obyczajów a przedewszystkiém zapalczywy i namiętny, dowodzą także ekscerpta z aktów kapituły krakowskiéj, która była zmuszoną wytoczyć mu za klasztorne przestępstwa sprawę dyscyplinarną a nawet zawotować ekskomunikę.

Z pośród innych mniéj ważnych dokumentów podnieść wypada akt jego instalacyi na kanonią krakowską z roku 1598, zawierający ważne przyczynki do jego genealogii, tudzież akt śmierci, która 12-go września 1603 r. przecięła pasmo jego niespokojnego życia. Majątku tak dalece żadnego nie zostawił, że kapituła była zmuszona własnym kosztem go pogrzebać.

O pochodzeniu jego i urzędzie, a mianowicie, że był synem kasztelana warszawskiego i sekretarzem królewskim dowiadujemy się z legatu króla Zygmunta III, który za wstawieniem się ojca św. Klemensa VIII wyznaczył mu (r. 1593) 100 zł. rocznéj pensyi. Do tegoż przywileju odnosi się następujący dokument z r. 1597.

Przy téj sposobności wspomnieć należy o asygnacyi Stefana Batorego z r. 1581, zastrzegającéj Warszewickiemu również 1000 zł. dożywotnéj pensyi rocznéj. Nie było zatém z nim tak źle, jakby można wnosić z wiecznych utyskiwań w jego listach. Ale nasz Krzysztof był dzieckiem swego czasu,— a jak słusznie zauważył Morawski Kaz. (Andrzéj Patrycy Nidecki, str. 153)—jednym z rysów najwybitniejszych całego ówczesnego pokolenia była zbytnia chciwość nabywania. Nie omieszkał także nagabywać z tego powodu o łaski wielkich tego świata, jak arcyksięcia Ernesta, Annibala z Kapuy, Wincentego Laurei, których pisma polecające do Rudolfa II, pry-

masa Karnkowskiego, Maksymiliana II i kardynała Moroni ujęte są w formę nadzwyczaj pochlebną i uznania pełną.

W końcu wyszczególnić należy dwa listy, odnoszące się do misyi szwedzkiéj Warszewickiego. Jest to list Jana III do Stefana Batorego datowany z Upsali (8 lipca 1582) i spółczesny list Katarzyny Jagiellonki do tegoż Stefana, który ją prosił o poparcie swych przedstawień. Oba zawierają odmowną odpowiedź na żądanie króla polskiego, aby załogi szwedzkie ustąpiły z twierdz zajętych w czasie wojny inflanckiéj. List Jana III dumny, arogancki, wyzywający, charakteryzuje dosadnie zaostrzenie się stosunków polsko-szwedzkich, które pod koniec rządów Stefana z całą siłą objawiło się w zaburzeniu rygskiém r. 1584.

Nie kusząc się o wyczerpanie obfitego materyału biograficznego i historycznego, który w tym dziale jest zawarty, przystępuję do ostatniéj części wydawnictwa, aby i o niéj słów kilka powiedziéć.

Jest to chronologiczny wykaz wszystkich edycyi dzieł Warszewickiego, jakie pojawiły się od r. 1572, t. j. roku wydania pierwszego poetycznego traktatu historycznego p. t. „*Venecia*“ aż do r. 1858, w którym wyszły 3 znakomitsze oracye Warszewickiego w Krakowie; z tych 2 mowy, t. j. na zjeździe mazowieckim po śmierci Stefana Batorego i o śmierci Anny Rakuszanki — przełożone na język polski staraniem Józefa Turowskiego. Książek opatrzonych nazwiskiem autora jest 83, — cyfra bardzo wymowna i imponująca. Kompletne wydanie a raczéj obejmujące to wszystko, co okazało się do r. 1600, wyszło tegoż roku w Krakowie z dedykacyą Klemensowi VIII. Sława i wpływ autora widocznie zasadzały się na jego pomniejszych pismach, które przeto nader często wydawano, zwłaszcza w XVII w. Szczególnie mowa jego na zawarcie pokoju w Zapolu, czyli jak autor ją nazywa „*ad Zapolsciam*“,—Turcyki, których jest niemniéj nie więcéj jak 14 i panegiryk pogrzebowy Stefana—cieszyły się nadzwyczajnym rozgłosem i poczytnością.

Przeciwnie 3 dzieła większe, bez porównania wyżéj od mów tak treścią jak i głębokością stojące, t. j. „*De optimo statu libertatis*“, „*De legato et legatione*“; tłómaczone z hiszpańskiego na łacińskie Friderici Ceriolao: „*De consilio et consiliariis*“ (1595 wydane) doczekały się tylko nielicznych wydań.

Wydawcy można być tylko wdzięcznym za ten bibliograficzny wykaz dzieł o wiele dokładniejszy i zasobniejszy, aniżeli indeks p. Tarnowskiego umieszczony w dodatkach do rozprawy o Warszewickim. Wykaz taki bowiem jest także otwartą księgą, z której można wiele ciekawych szczegółów wyczytać, odnoszących się nie-

tylko od osoby autora, ale i do życia umysłowego i literackich upodobań naszych przodków — jest on poniekąd miarą stopnia polskiéj cywilizacyi w trzech następnych wiekach i świadectwem, czy i po jakich drogach dążyła ona na wyższe stopnie.

Dla zupełności sprawozdania dodać należy, że na końcu znajduje się skrzętny indeks osób i miejscowości.

V.

Wartość i niemałe znaczenie niniejszego wydawnictwa już z początkiem i w ciągu sprawozdania miałem sposobność podnieść i uwydatnić. Tu dodam jeszcze słów parę o przedmowie, która mieści się na 2 stronicach. Autor przez 5 lat pobytu swego za granicą krzątał się około zebrania i uporządkowania rozproszonego materyału. Nie poprzestał na utworach i dokumentach, których mu dostarczyły obfite archiwa watykańskie i wiedeńskie, ale dotarł także do mniéj zasobnych i znanych zbiorów. Archiwa w Bolonii, Padwie, Ołomuńcu, biblioteki w Pradze, Warszawie i Sztokholmie, tak zwane Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie, zakład im. Ossolińskich we Lwowie, biblioteka Kórnicka i t. d. użyczyły mu wielu odpisów pierwszorzędnéj dla badacza wartości. Nietylko łacińskie ale i włoskie, polskie tak dobrze jak niemieckie utwory i dokumenta znalazły w niniejszém wydawnictwie pomieszczenie. Pomagało mu w téj żmudnéj i uznania godnéj pracy wielu uczonych, których z wdzięcznością wspomina w przedmowie. Ale i na tém koniec przedmowy. Fatalizm, jaki widocznie ciąży na wielu naszych wydawnictwach, zawisł także nad naszą publikacyą. „Autor nie pisze dłuższego wstępu, albowiem w roku przyszłym ogłosi osobną rozprawę o Warszewickim“— a rozprawy téj dotąd nie ma lubo już 2 lata upłynęły od tego czasu. „Autor nie daje bliższych wyjaśnień i komentarzy, gdyż będzie o nich mówił w zapowiedzianym traktacie.“

O sposobie i metodzie wydawnictwa dowiadujemy się tylko tyle, iż poszczególne pisma w części pierwszéj ułożono nie w porządku, w jakim z pod pióra autora wychodziły, ale w następstwie rzeczowém wedle wypadków dziejowych, do których się odnoszą, że zachowano właściwą pisownię jedynie w kilku listach dla przykładu, że nagłówki umieszczone na pierwszym z listów odnoszą się i do następnych; zresztą „trzymano się metody przez innych wydawców zaleconéj.“ Nie mamy nic przeciwko temu, ażeby w wydawnictwie czy to dzieł, czy dokumentów postępować drogą przez pracę i doświadczenie innych utorowaną, jeżeli ta droga okazała się dobrą

i wygodną; ale w tym wypadku musielibyśmy albo bardzo nieprzychylny wyrok wydać o naszych dotychczasowych wydawnictwach, gdybyśmy o nich sądzili z publikacyi p. Wierzbowskiego, albo téż wypada nam przypuścić, że wydawcy niniejszéj książki przyświecały najmniéj uznania godne pierwowzory, najnieszczęśliwsze próby na polu wydawnictwa źródeł historycznych. Bo czyż do warunków owéj zaleconéj metody może należéć przywiléj zasadniczego przemilczania o pochodzeniu, czasie, stanie, stosunku wzajemnym i właściwościach rękopismów, z których wydaje się poraz pierwszy utwory i to utwory niezwyczajnéj wartości, z których wydaje się tak cenne źródło historyczne, jak *Historiarum libri tres*? Nie wiem, czy i gdzie znajdują się dotyczące manuskrypta i w jakim zachowały się stanie, ale przecież nie trudno było dowiedziéć się o tém, że w Ossolineum istnieje także rękopism owych pierwszych trzech ksiąg, który należało przy wydaniu koniecznie uwzględnić i zużytkować. Kollacya i rewizya tekstów nie byłaby ani tak dalece mozolna, ani nie zajęłaby nazbyt wiele czasu, a wydawnictwo byłoby niezmiernie na tém zyskało.

A daléj czyż nie godziło się w przedmowie dotknąć bodaj kilku słowy kwestyi przynależności i stosunku naszego fragmentu do wspomnianéj księgi trzynastéj, opisującéj bezkrólewie po Stefanie, zastanowić się nad pytaniem, czy nie ma jakichciś wskazówek lub danych w wydanym ułamku, któreby przemawiały za autentycznością tamtego *liber singularis*, odpowiedziéć w mniéj albo więcéj prawdopodobny sposób, czy historyk nasz napisał całe wielkie dzieło, z którego tylko okruchy zostały, czy téż dzieła swego z umysłu albo niezależnych przyczyn nie kontynuował i t. p.

Lecz nietylko o metodzie wydawnictwa nie mówi nic przedmowa, także i co do osoby historyka pozostawia nas wydawca w prawdziwie cymbryjskich ciemnościach. Dowiadujemy się zaledwie, że był to *polono-latinus scriptor saeculi XVI vergentis* i ani słowa więcéj. Nie chcemy przez to powiedzieć, że wydawca miał obowiązek pisać życiorys Warszewickiego lub traktat o jego dziełach, nie zapoznajemy okoliczności, że książka ta jest przeznaczona i obliczona na badaczów historyi polskiéj, obeznanych dokładnie z przedmiotem, ale byłoby, mojém zdaniem, rzeczą zupełnie stosowną a nawet pożądaną choćby dla fachowców, gdyby wydawca przykładem tylu innych znakomitszych wydawców był zwrócił w przedmowie uwagę czytelnika na stanowisko polityczne i społeczne Warszewickiego, na jego wyjątkowość pewną, gdyby skreślił po krótce choćby w najogólniejszych zarysach spółczesną sytuacyą polityczną i tym sposobem wprowadził czytelnika w samą rzecz.

Lecz przystąpmy do rozbioru właściwéj materyi, to jest jak wydawca powinien był się wywiązać a jak się wywiązał z podjętego a przyznać trzeba wcale niełatwego zadania, tj. jak wydał historyczne źródło.

Pierwszym obowiązkiem, który po zebraniu materyału przedstawia się wydawcy jest poprawienie krytyczne wadliwych tekstów. Może się ono a poniekąd musi w dwojaki sposób odbywać. Jeżeli zachodzi ten szczęśliwy zbieg okoliczności, że wydawca ma pod ręką kilka rękopismów, powinien w miejscach trudniejszych i wątpliwych porównać je z sobą, dokładnie takowe roztrząsnąć, zważyć wszelkie *pro* i *contra* i ostatecznie zdecydować się na najodpowiedniejszą lekcyą. Jeżeli jednak tylko jedyny kodeks się zachował, lub z jednego tylko wydawca może korzystać, albo jeśli w pewném miejscu kilka rękopisów podaje zgodnie fałszywą lekcyą, o wiele trudniejsze ale i ponętniejsze otwiera się pole dla wydawcy,— pole krytyki konjekturalnéj. Rozumiem przez to samodzielne poprawki czyli domysły, które błędność tekstu usuwają. Zdrowy rozsądek i logika są tu pierwszym, niezbędnym warunkiem; wspierać je powinna gruntowna wiedza i nauka a przedewszystkiém najdokładniejsza i najsubtelniejsza znajomość języka.

Z drugiéj jednak strony nie powinien krytyk zamyślający błędny tekst poprawić, zbyt samowolnie bujać na polu i manowcach krytyki; nie powinien zbyt daleko odbiegać od tradycyjnego tekstu, który chociaż zepsuty, jest dla wydawcy poniekąd obowiązujący; z tego wynika, że konjektury, o których wyżéj była mowa, jedynie w granicach prawdopodobieństwa paleograficznego i fonetycznego mają racyą bytu.

Zobaczymy, czy p. Wierzbowski tym wymaganiom metody wydawniczej zadosyćuczynił.

Przedewszystkiem zaznaczyć wypada, że wydawca do większej części utworów, które wydobył na jaw z pyłów bibliotecznych, nie posiadał kilku rękopismów, tak N. 2, 3, 4, 5, 7, 9, 10, i 1. Lecz jeżeli za to wydawcy zgoła winić nie można, z wyjątkiem za rękopism Historyi, o którym wyżéj była mowa, to z tém większą ciekawością poszukujemy śladów czyszczącego ognia kollacyi rękopismiennéj w utworach, do których miał pod ręką kilka kodeksów, a zatem w drugiéj apologii i w mowie na cześć Rudolfa. Atoli tu albo los złośliwy wyplatał figla, że rękopisy są spółczesnemi odpisami lub niczém nie różniącemi są duplikatami, albo wydawca nie zadał sobie trudu i nie skolacyonował tekstów a tém samém obniżył wartość swego wydawnictwa, albowiem w tekstach nie widać ani jednej zmiany uwidocznionéj a błędów i w jednym i drugim traktacie sporo.

Tyle co do rękopiśmiennego fundamentu w wydawnictwie p. Wierzbowskiego.

O drugim sposobie emendowania tekstu, o krytyce konjekturalnéj u p. Wierzbowskiego,—jeszcze niekorzystniéj sąd nasz musi wypaść. Z wyjątkiem dwóch niezłych uzupełnień w Historyi (p. 11 uw. 50 i p. 12 uw. 54), tekst przepisany dosłownie z manuskryptu, bez dokładnego wniknięcia w treść i krytyki. To téż książka zwłaszcza część jéj pierwsza roi się od błędów i usterek. Zachodzą od czasu do czasu zdania, których znaczenia tylko domyślać się można, ale nie zrozumiéć. Szczęśliwy, kto od razu przejrzy błędność tekstu i zrozumie że wyraz pewien, interpunkcya, nieraz całe zdanie dostało się przez omyłkę autora lub przepisywacza w niewłaściwe miejsce, szczęśliwy, kto przez zmianę jednéj czasem litery, przez wyrzucenie jednéj sylaby usunie bezsens lub sprzeczność pomiędzy zdaniami; ale stokroć pożałowania godne położenie czytelnika, kiedy utkwi w miejscu, gdzie nieświadomość przepisywacza lub niedozór wydawcy napiętrzyły już nie Ossę i Pelion ale całe Czimborasso błędów, gdzie niezbędnie potrzeba obmyślać całą seryą przypuszczeń, aby zdrowy sens z okresu wycisnąć. Nie można zaś braków językowych składać na średniowieczną łacinę, na niepoprawny sposób pisania, gdyż jeżeli kto, to Warszewicki znał doskonale klasyczną łacinę; wykształcony na wzorach starożytnych, przedstawiciel kierunku humanistycznego w Polsce, używał z pewnością frazesów wykwintnych i wyszukanych, wszelkie sekreta zbudowania zaokrąglonego okresu posiadał lepiéj niż niejeden dzisiejszy uczony a oracye swoje i traktaty starał się, o ile możności, stroić w szaty niedoścignionego mistrza, Cycerona.

Jeżeli zaś p. Wierzbowski nie poczuwał się na siłach do emendowania wadliwego tekstu, albo jeśli jego pietyzm dla ruin wspaniałego niegdyś budynku był tak wielki, że wolał pozostawić tekst poszarpany i wadliwy, aniżeli go oddrukować ze zmianami, to dlaczegoż w notach u dołu nie zaznaczył ani słowem, że tego albo owego miejsca nie rozumie, że ten albo ów ustęp wydaje mu się popsuty lub wadliwy. Taki bodaj komentarz byłby nadzwyczajném ułatwieniem i poniekąd uspokojeniem dla czytelnika.

Dość wskazać na następującą listę błędów mniejszych i większych, drukarskich i niedrukarskich, które referentowi podpadły pod oko, aby przeświadczyć się o bezstronnéj prawdziwości wyżéj wypowiedzianego sądu. Zdań całych mniéj albo więcéj zrozumiałych, z natury rzeczy tu przytaczać i prostować nie mogę. A zatém p. 16 (15a) stoi *enim* zam. *eam*. p. 45 *quantum audeo* zam. *quia ut audio*, p. 45 po *approbatus* należy położyć kropkę, nie przecinek, p.

45 *ut ita* zam. *ita ut*, p. 46 *quam* zam. *quamquam*, p. 47 po *occultare* ma być przecinek nie kropka, p. 47 *intemperie* zam. *intemperies* p. 48 *eo* zam. *et*, p. 48 *usui* zam. *usi*, p. 48 *quid* zam. *quod*, p. 50 *ut* zam. *et*, p. 51 *quam* zam. *quum*, p. 50 *causam suam* zam. *causae suae*, p. 51 po *arbitrio* brakuje przecinka, p. 52 po *licet* nie ma przecinka, a po *fuisset* winna stać kropka zam. przecinka, p. 52 *an* oddzielić przecinkiem od tego co następuje, p. 54 *quam* zam, *cum*, p. 55 *terrorum* zam. *terrarum*, p. 60 po *sanitatis* nie kropka, ale znak pytania konieczny, p. 65 ta sama usterka po *discesserunt*, p. 65 po *videtur* brakuje przecinka, p. 70 przed *arbitraretur* uzupełnić potrzeba *non* albo też zamiast *qui* położyć *quin*, p. 71 *quo* zam. *quod*, p. 72 po *fidendum* brakuje interpunkcyi, p. 72 *at num* zam. *at enim*, p. 72 *nulla tarditate* zam. *nullam tarditatem*, p. 72 *evadit* zam. *evadat*; *denique*, p. 73 *fidet* zam. *fidit*. Klasycznym przykładem wadliwości tekstu jest druga część zdania zaczynającego się na str. 73 a kończąca się na str. 74 u góry. Tam, ażeby jakkolwiek wybrnąć z trzęsawiska, należy mojem zdaniem przedsiębrać całą seryą poprawek. I tak zam. *cupida* czytać *cupido*, *ut* przed *alibi* opuścić, po *speraverit* pytajnik zmienić w kropkę, a *velle* w *vellet*. Lecz idę dalej: p. 75 brakuje przecinka po *tenebatur*, p. 86 *iudicium* wydrukowano zam. *indicium*, p. 86 *lunem* fałszywie zam. *lunam*, p. 87 *numera* zam. *munera*, p. 88 *muctandi* zam. *mactandi*, p. 89 przecinek nie po *adiungimus* ale po *nostras*, p. 91 *cotrariis* zam. *contrariis*. Niewątpliwie błędne jest zdanie p. 92 „*Si non referti pecuniis sacci ad maiorum mutto rerum ostensae expectationes legatione funguntur.*“ Dalej p. 93 *vestri?* błędne,—p. 98 *contineretur* zam. *continerentur* p. 99 po *honestatis* brak komy, p. 100 w *vix recusavit aliquis conditionem ea* tkwi jakaś pomyłka, bo cóż za znaczenie może mieć tutaj *ea*; p. 103 przed *nempe* radziłbym pytajnik zam. kropki, toż samo niżej po *fuerit*, p. 104 przed *pars* brakuje *utra* v. *quae*; p. 104 *corrumperentur* zam. *corrumperetur*, p. 106 zam. *eis* czytać lepiej *eas*; p. 106 przecinek przed nie po *diris*; p. 107, zam. kropki po *profiteri* lepiej pytajnik, zam. *ad* czytać *ab*, p. 109 niezrozumiałe całe zdanie od słów; *itaque*....... do *procuretur*, p. 111 brakuje przecinka po *sustineretur*, tamże *reliquae* fałszywie zam. *reliquiae*, p. 113 po *habeant* kropka nie przecinek; p. 115 *emarata* błędnie zam. *emanata*, p. 119 *quam* zam. *quasi*, *ut* zam. *utrum*; p. 124 *collacatus* zam. *collocatus*, p. 131 po *fuerant* nie ma interpunkcyi. Po *decernente* na tejże stronie nie kropka ma stać, ale przecinek; p. 132 brakuje po *enimvero* negacyi *non*; tamże zam. *quid* czyt. *quod* i pytajnik przed tém zbędny; p. 134 zam. *ultra* czyt. *ultro*, p. 134 zam. *interetur* czyt. *niteretur*, p. 135 *docebatis* błędnie zam. *docebaris* albo *dicebaris*; p. 135 *se* błędnie zam. *re*, p. 136 *priusque* zam. *priusquam*. Niżej nie-

co całe zdanie bałamutne, p. 140 *incurrent* niemożliwe, p. 141 *et* zam. *se*, p. 141 *qui* zam. *quo*, p. 147 *sed vereor* niezrozumiałe, p. 149 *ne* czyt. *nec*, p. 149 *praesam* czyt. *pressam*, p. 150 *deesse* czyt. *ad esse*, p. 170 *coeperunt* czyt. *ceperunt*, p. 174 *accipitis* czyt. *recipitis*, p. 185 *communicata* czyt. *communicatae sunt*, p. 191 *ac* czyt. *ad*, p. 213 *existimarunt* czyt. *existimarent*; p. 213 *esse* czyt. *se*, p. 214 *spuro* czyt. *spurco*, p. 216 po *adiecit* niepotrzebnie zaczęte nowe zdanie.

Nie mniéj kardynalnym błędem wydawnictwa jest niedokładny i niewystarczający komentarz. Przyznaję najchętniéj, że i do takiego, jaki jest, potrzeba było wielkiego nakładu pracy, że p. Wierzbowski przetrząsnął choć niewyczerpująco rozlicznych historyków spółczesnych, którzy opisują te same wypadki, ale mimo to wszystko komentarz pozostawia wiele do życzenia. Pomijam wielką liczbę osób, miejscowości itd., które pominięto w komentarzu dyskretném milczeniem a przez to utrudniono zrozumienie rzeczy,—słuszny jednak można mieć żal do wydawcy, że do listów żadnych nie dodał komentarzy. W listach bowiem są one z tego względu potrzebne a nawet konieczne, gdyż sytuacya tak piszącego jak i adresata ustawicznie się zmienia, coraz nowi ludzie, coraz nowe wypadki jak w kalejdoskopie przesuwają się przed oczyma czytelnika i prawie niepodobna a przynajmniéj z największą trudnością przychodzi mu oryentować się, jeżeli nie znajduje pomocy w zwięzłym ale trafnym komentarzu. Z tego względu brak koniecznych objaśnień w wydawnictwie p. Wierzbowskiego bardzo się daje uczuć i za wielką ujmę poczytany być winien.

Czasem zdarzają się autorowi drobne wprawdzie ale rażące pomyłki. I tak zapomniał wydawca, iż jest morze pod nazwiskiem *mare Carpaticum* i na *Caspicum* poprawiać go nie ma potrzeby (p. 75). Podobnie nie umiem sobie wytłómaczyć, skąd M. Antoni Mureti Oratio miana r. 1585 dostała się między edycye mów Warszewickiego.

Ażeby po krótce zrekapitulować to, co wyżéj o zaletach i niedostatkach niniejszego wydawnictwa powiedziano, tak sąd nasz wypaść musi.

Publikacya p. Wierzbowskiego zawierająca obfite i cenne źródła i dokumenta jest ważnym przyczynkiem do dziejów politycznych i społecznych trzech bezkrólewi, i jako taka ciekawa i bardzo pożyteczna; byłaby jednak i o wiele ciekawsza i o wiele pożyteczniejsza, gdyby stała na wysokości krytycznego i umiejętnego wydawnictwa.

P. B.



PROJEKT
KONWERSYI LISTÓW ZASTAWNYCH
TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO.

Ciężkie położenie obecne rolnictwa europejskiego, wywołane gwałtownym i dość już długotrwałym upadkiem cen, pobudziło i naszych ziemian do niezwykłego ruchu. Objawy tego ożywienia nie wyszły dotąd, co prawda, z okresu brzemienności w formie licznych dyskusyi, konkursów i projektów, oraz ich poprawek i przeróbek, lecz nie należy wątpić, że niejeden z tych zamiarów po mniéj lub więcéj długich i ciężkich bólach porodowych ujrzy w końcu światło dzienne, chociaż nie mniéj téż zapewne ulegnie uduszeniu, lub cefalotomii. Większość tych koncepcyi bierze źródło w namiętném a bardzo chwalebném dążeniu do oczyszczenia hipotek, albo przynajmniéj do ulżenia nadmiernych ciężarów, jakie je dziś gniotą. To téż i najpoważniejsza nasza instytucya ziemiańska, Towarzystwo kredytowe ziemskie, nie chce się dać wyprzedzić nikomu i gorliwie, choć rozważnie przemyśliwa nad sposobami przyjścia w pomoc w tym względzie swoim dłużnikom. Przed dwoma laty władze jéj przedyskutowały znany czytelnikom naszym z zeszytu styczniowego „Ateneum“ z roku 1885 projekt metalizacyi obligów Towarzystwa, mający na celu ustalenie wysokości zobowiązań stowarzyszonych i uczynienie ich niezależnemi od wahań kursu rubla papierowego. Projekt ten upadł, ponieważ i w prasie i w zarządzie Towarzystwa miał większość przeciwko sobie, lecz poważny jego rozbiór i światła znajomość rzeczy, jakiéj dowody, tak jego zwolennicy jak przeciwnicy, z łona władz Towarzystwa w rozprawach złożyli, pozyskały dla nich ogólne uznanie. Obecnie zwykły rzecznik literacki téj instytucyi, p. A. Kłobukowski, przedstawił w zeszycie 283 „Niwy“ nowy projekt konwersyi listów zastawnych T-stwa mający na celu obniże-

nie stopy opłacanego od nich procentu z 5% do 4%. Sprawa ta ma się stać wkrótce przedmiotem obrad zarządu T-stwa, więc chcemy jéj przedtém poświęcić słów kilka, celem wszechstronnego, o ile możności, jéj oświetlenia.

Za pobudkę i punkt wyjścia dla projektodawców téj operacyi posłużył fakt, iż 4-procentowe listy likwidacyjne Królestwa polskiego cieszą się kursem *względnie* lepszym, niż 5% listy zastawne ziemskie. Mają więc oni nadzieję, że te ostatnie, jaką wartości nie mniéj pewne jak pierwsze, uzyskałby przy stopie 4% kurs nie niższy od listów likw. W takim zaś razie rachunek wykazuje, że stowarzyszeni, którzyby zamienili swoje długi z 5-procentowych na 4-procentowe, odnieśliby stąd pewną korzyść. Zobaczymy jaką?

Listy likwidacyjne płacą sie obecnie po 93 z górą za sto; listy zast. ziem. około 101 za sto. Otóż projektodawcy konwersyi przypuszczają, iż znalazłoby się *consortium* poważnych firm bankierskich, któreby się zgodziło nabyć 4% listy zastawne po 92 za sto w nadziei, że potrafiłoby je sprzedać korzystniéj. Uczyniłoby to wszakże tylko pod warunkiem, gdyby Towarzystwo zobowiązało się dostarczyć mu w danym, ściśle oznaczonym i bliskim terminie znaczną, mniéj więcéj parę milionów rubli wynoszącą sumę tych listów. Krótki termin dostawy byłby wymagany ze względu na to, że chwila obecna, skutkiem ogólnéj stagnacyi w przemyśle i handlu i spowodowanego przez nią upadku stopy procentowéj, jest szczególnie sprzyjającą podobnéj operacyi, lecz może nie potrwać długo. Z drugiéj jednak strony, według obowiązującéj ustawy, ażeby Towarzystwo miało prawo puścić w obieg pewną sumę nowych listów 4-procentowych, musi uprzednio wycofać z obiegu takąż samą sumę w listach dawnych 5-procentowych. To wycofanie z obiegu może wogóle miéć miejsce albo przez przyśpieszone losowanie, albo też przez wykupienie po kursie giełdowym. Wobec tego wszakże, że listy 5-procentowe ziemskie stoją obecnie w kursie wyżéj *pari*, pierwsza z wzmiankowanych wyżéj dwóch dróg wycofania z obiegu listów dawnych jest dla Towarzystwa niedostępna, ze względu na interes jego wierzycieli, którzyby tym sposobem niesłusznie byli pokrzywdzeni. Pozostaje więc Towarzystwu tylko droga wykupu po kursie giełdowym, który naturalnie skutkiem zwiększonego zapotrzebowania może się znacznie podnieść i uczynić konwersyą niemożliwą. To jednak projektodawców jéj wcale nie kłopoce. Według tego, co pisze p. Kłobukowski, biedzili oni głowy tylko nad tém, skąd wziąć kapitału na wykup, kiedy stowarzyszeni w odpowiednim terminie i potrzebnéj ilości dostarczyć by go nie mogli, a i Towarzystwo również rozporządzalnych fun-

duszów na zastąpienie ich nie posiada? Zawikłany węzeł téj trudności rozcięli projektodawcy w ten sposób, iż uznali za konieczne „ułożyć się ze wzmiankowaném konsorcyum firm bankierskich nietylko już o wprowadzenie pewnéj sumy listów 4%-wych na giełdę berlińską, ale zarazem o wycofanie z obiegu odpowiedniéj sumy listów 5%-wych po pewnym z góry umówionym kursie i w pewnym również z góry oznaczonym terminie.“

Projektodawcy przypuszczają daléj, że owo konsorcyum podejmie się wykupić listy dawne (5%) po 102 za 100, oraz że nabywszy od T-stwa listy nowe (4%), jak to wyżéj powiedzieliśmy, po kursie 92 za 100, „znajdzie już ono w tych operacyach dostateczne dla siebie za trud i względne ryzyko wynagrodzenie.“ Zjawia się tu jednakże jeszcze jeden szkopuł. Projekt konwersyi ma na celu ulżenie stowarzyszonym ciężarów, którym podołać nie mogą. Tymczasem, gdyby konwertujący swe pożyczki wykupywali listy dawne po 102%, a otrzymywali za nowe tylko 92%, to na każdych 100 rs. swego długu u Towarzystwa ponosiliby na razie 10 rs. straty na różnicy kursu, którą należałoby pokryć gotowizną. Ponieważ przytém przeważna większość stowarzyszonych nie zdołałaby prawdopodobnie siłami własnego jedynie kredytu na opłacających się warunkach wydostać skądkolwiek funduszu dostatecznego na pokrycie powyższéj straty, przeto przystąpienie do konwersyi byłoby, dla niéj niemożliwe. I tę trudność jednak pomysłowi projektodawcy potrafili przezwyciężyć. Chcą oni, ażeby Towarzystwo Kredytowe, za wiedzą i przypuszczalną zgodą p. ministra finansów, podjęło się pośrednictwa w uzyskaniu na ten cel pożyczki, a to na zasadach następujących: Ponieważ stowarzyszony po skonwertowaniu swego długu powinienby płacić od niego procentu zamiast $2\frac{1}{2}\%$ półrocznie, tylko 2%, przeto mógłby dla umożliwienia sobie konwersyi zrzec się téj ulgi na pewien czas i zobowiązać się hipotecznie względem Towarzystwa do płacenia rat w poprzedniéj wysokości aż dotąd, dopókiby wnoszona przez niego w ten sposób nadwyżka rat nowych ($\frac{1}{2}\%$ półrocznie) w zupełności zaforszusowanych mu przez Tow. kosztów konwersyi, wraz z procentami od nich, nie pokryła (1). Z drugiéj strony T-stwo, zabezpieczywszy sobie tak spłatę kosztów konwersyi, wypuściłoby odpowiednią sumę obligacyj procentowych, umarzalnych w oznaczonym przeciągu czasu, i poręczyło całym

(1) Wierzyciele niżéj zabezpieczeni, ani wydział hipoteczny przeciwko takiemu układowi, zdaniem projektodawców, nic by mieć nie mogli. Dla czego? — dowiemy się późniéj.

swoim majątkiem terminowość opłaty procentów, oraz umorzenia samego kapitału. I oto wszystkie trudności pokonane!

Przejdźmy teraz do obliczenia korzyści, jakieby konwersya, przystępującym do niéj, stowarzyszonym przyniosła.

W warunkach obecnych dłużnicy T-stwa obowiązani są opłacać od zaciągniętéj pożyczki półrocznie $2\frac{1}{2}\%$ na procent i $\frac{1}{2}\%$ na umorzenie kapitału, który armotyzuje się całkowicie w ciągu 73 półroczy. Po dokonaniu konwersyi umarzaliby dług dopiero po 82 półroczach, lecz płaciliby tylko 2% na procent i $\frac{1}{2}\%$ na umorzenie, czyli zyskaliby $\frac{1}{2}\%$ półrocznie. Zysk ten jednak osiągnęliby dopiero po umorzeniu kosztów konwersyi (10 rs. wraz z procentami po 5%), które nastąpiłoby, według obliczenia jednego z byłych radców komitetu towarzystwa, po upływie 28,07 półroczy. Tak więc przez 28 półr. po dokonaniu konwersyi, stowarzyszony opłacałby raty takiéj saméj wysokości, jak poprzednio — dajmy na to od 1000 rs. długu po 30 rs. półrocznie. Przez następne zaś 54 półrocza płaciłby tylko po 25 rs., czyli w porównaniu z dawniejszemi swemi obowiązkami, zyskiwałby przez 73 — 28 = 45 półroczy po 5 rs., które, oddając na procent po 5% rocznie, mógłby skapitalizować na rs. 407,80 kp. Za to jednakże po upływie 73 półroczy byłby jeszcze winien T-stwu rs. 204. Gdyby ten dług pokrył jednorazowo, to zostałoby mu jeszcze rs. 407,80 — 204 = rs. 203 80 kop. Nie byłby to wszakże jeszcze czysty zysk, gdyż przy przemianie pożyczyli 5 procentowéj na 4 procentową musiałby każdy konwertujący ponieść pewne t. zw. koszta uboczne, rejentalne i hipoteczne, które wyniosłyby jakiś 1%, czyli rs. 10 od rs. 1000. Otóż wartość tych 10 rs. wraz z procentem 5% za lat $36\frac{1}{2}$ = rs. 59.39. Odjąwszy ją od otrzymywanéj powyżéj kwoty rs. 203,80 dojdziemy ostatecznie do wniosku, że konwersya przynosiłaby czystego zysku na każdym 1000 rubli rs. 144,41 kop.

Sumka ta, choć konwertujący długo na jéj osiągnięcie czekać będą musieli, przedstawia się dość pokaźnie. Winniśmy jednakże zwrócić uwagę czytelników na to, że autor powyższego rachunku wszystkie sumy wydatkowane, lub zaoszczędzane przez własność ziemską oprocentowywał po 5%, dla wierzycieli zaś jéj uważał za wystarczającą stopę 4%. Na czém się taki przywiléj większéj własności ziemskiéj ma zasadzać — odgadnąć trudno. Kiedy bankier płaci swym wierzycielom procent niższy od tego, jaki pobiera od dłużników, to otrzymuje słuszne (o ile nie jest lichwiarzem) wynagrodzenie za trudy pośrednictwa i ryzyko. Ale właściciele ziemscy nie są bankierami; biorą grosz od publiczności z własnéj potrzeby i na użytek własny, więc nie powinni by nawet w rachunkach na papierze wymagać procentów wyższych, niż sami płacą. Przytém,

jeżeli projektodawcy konwersyi rzeczywiście przypuszczają, że ona obniży wogóle stopę procentową w kraju naszym i „dla skarbu państwa będzie bardzo korzystnym prejudykatem, ułatwiającym mu konwersyą swych własnych pożyczek nadmiernie oprocentowanych," to nie rozumiemy, na jakiéj podstawie liczą tak na pewno, iż *będą mogli* oprocentować swoje wierzytelności po 5%. Gdyby zaś tego osięgnąć nie zdołali, to obrachowany przez nich zysk z konwersyi będzie się przedstawiał daleko skromniéj i bodaj czy wynagrodzi zachody i trudy koło niéj poniesione. Lecz pomijając tę kwestyą, któréj rozstrzygnięcie zależeć będzie wyłącznie od osobistych zapatrywań każdego ze stowarzyszonych, przystępujących do przemiany swych zobowiązań, rozpatrzmy kolejno wszystkie wyłuszczone wyżéj argumenty i nadzieje projektu.

Najważniejszym warunkiem możliwości konwersyi jest znalezienie owego *consortium* firm bankierskich, któreby się zgodziło nabyć listy 4-o procentowe po kursie co najmniéj 92% i wycofać z obiegu dawne co najwyżéj po 102%. Przy większéj bowiem różnicy tych kursów przemiana stanowczoby się nie opłaciła. Ażeby bankierzy mogli wejść w układ podobny, musieliby przewidywać, że listy nowe zdołają sprzedać po kursie wyższym nad 92%, a dawne wykupić po niższym, niż 102%. Wątpimy wszelako, żeby ludzie oznajomieni bliżéj ze sprawami giełdowemi mogli się tak łudzić. Kurs listów zast. ziem. jest obecnie 101%. Gdyby się tylko giełda dowiedziała — a, jak wiadomo, nie ma dla niéj tajemnic — że znaczna suma tych listów musi być koniecznie w oznaczonym i do tego krótkim czasie wykupiona, napewno kurs ich odrazu gwałtownie by podskoczył. Żaden kupiec o prawdzie tego twierdzenia wątpić nie może. Podobnie łudzą się projektodawcy co do spodziewanéj wysokości kursu listów 4 procentowych. Listy likwidacyjne zawdzięczają swoję wysoką cenę temu, że jest ich w obiegu mało, a popyt, na nie wskutek rozmaitych szczęśliwych okoliczności większy niż na inne papiery nasze. Na pierwszém miejscu wśród tych okoliczności stoi znaczniejsza dla nich, niż dla innych walorów naszych szansa ich wylosowania. Daléj listy te są jedynym u nas papierem rządowym i najchętniéj nabywane bywają na kaucye, depozyta i t. p. we wszystkich tych razach, w których papiery towarzystw prywatnych nie są przyjmowane, bo chociaż przynoszą procent niższy od papierów rządowych rosyjskich, to jednakże nie wielką tę stratę wynagradza ich posiadaczom nadzieja wygranéj wobec wielkiego prawdopodobieństwa ich wylosowania. Listy zastawne ziemskie nie cieszą się żadnym z tych przywilejów, trudno więc przypuszczać, żeby przy procencie 4% mogły uzyskać kurs równie wysoki. Ra-

chuba na to, że cenę ich podbiłaby giełda berlińska zdaje się być niemniéj złudną. Jak wiadomo bowiem $^2/_3$ ogólnéj sumy listów zast. ziem. obiega w kraju, a tylko $^1/_3$ zagranicą, kurs więc ich zależy głównie od naszych stosunków pieniężnych, w których jak wiadomo panuje stopa wysoka. A i Niemcy o 4% nie potrzebowaliby się znowu tak gorąco dobijać wobec tego, że podług najświeższych danych same rządowe walory 4-procentowe w całém cesarstwie niemieckiém dosięgają dziś jeszcze olbrzymiéj sumy 6,200,000,000 marek (*), a według niedawnych zapewnień pruskiego ministra finansów rząd niemiecki nie myśli wcale obecnie o konwersyi. Tenże minister, oraz prezes niemieckiego banku państwowego wyrazili zdanie, że niezmierna obniżka obecna stopy procentowéj jest zjawiskiem przejściowém, które w bardzo niedalekim czasie może się zmienić. Dodajmy nadto, że w tychże Niemczech obiega niesłychane mnóstwo rozmaitych papierów obcych, wysoko oprocentowanych, w liczbie których same walory rosyjskie wynoszą okrągło 2 miliardy rubli. Wprawdzie nasze listy zast. ziem. są na giełdzie berlińskiéj stosunkowo wyżéj od papierów rosyjskich cenione, lecz pomimo to trudno przypuszczać, ażeby przy 4% mogły odrazu osiągnąć kurs tak korzystny, jak to sobie projektodawcy konwersyi zakładają. Naturalnie, że gdyby wbrew naszym przewidywaniom Towarzystwo kred. ziem. zdołało wynaleść *consortium* bankierów, tak różowo, jak ono, na przyszły kurs listów 4-procentowych patrzące, moglibyśmy mu tylko powinszować powodzenia.

Nie mniejsze, zdaniem naszém, szczęście musiałoby mieć Towarzystwo, ażeby potrafiło uzyskać pozwolenie niższych wierzycieli i zgodę wydziału hipotecznego na zabezpieczenie hipoteczne w podany wyżéj sposób forszusowanych swym dłużnikom kosztów konwersyi. P. Kłobukowski rozumuje w tym względzie tak: „Stowarzyszony, zaciągając pożyczkę od T-stwa. nie zobowiązał się do jednorazowego w danym terminie zwrotu wypożyczonego mu przez Towarzystwo kapitału, lecz tylko do płacenia przez pewien szereg półroczy rat, mieszczących w sobie procent od pożyczki, oraz opłatę na powolne i zupełne umorzenie kapitału (art. 7 prawa z r. 1869). Hipoteczne przeto zabezpieczenie kapitału pożyczki na rzecz Tow. ma tylko znaczenie podstawy do unormowania wysokości rat przez dłużnika opłacanych, do kontroli ilości listów zastawnych przez Towarzystwo w obieg wypuszczanych, oraz do wynalezienia kapitalnéj

---

(*) P. Dr. Moriz Ströll, Direktor der bayerischen Notenbank. „Ueber die neueste Konversionsaera in Deutschland“ w *Jahrbücher für Nationaloekonomie und Statistik* Conrada. Zeszyt listopadowy z r. b.

cyfry nieumorzonego długu na wypadek, jeżeli dłużnik życzy sobie odnowić pożyczkę, lub spłacić naraz jedną część nieumorzonego jeszcze długu. I dlatego téż w zasadniczéj ustawie z r. 1825 nigdzie mowy nawet nie ma o możności wypowiedzenia kapitału pożyczki, a T-stwo wystawiając majątek na przymusową sprzedaż za zaległość w opłacie rat, nie ma prawa dopominać się od nowo-nabywcy majątku spłaty kapitału, lecz tylko zapłaty zaległych rat".... „Postawiwszy się przeto na zasadniczém stanowisku prawném, że istotą zobowiązania stowarzyszonego względem Towarzystwa jest regularne przez pewien przeciąg czasu opłacanie rat, w cyfrze ściśle udeterminowanéj i hipotecznie zabezpieczonéj, twierdzimy, że jakikolwiek mógłby nastąpić układ między stowarzyszonym dłużnikiem a Towarzystwem jako wierzycielem, odnoszący się do niższego oprocentowania, lub przedłużenia ostatecznego terminu umorzenia pożyczki, istniejące zobowiązanie hipoteczne, odnoszące się do opłacanych rat, może pozostać na pewien przeciąg czasu niezmienionćm, jeśli strony o to się umówią. Prawo nasze hipoteczne, jeżeli niema tak nazwanéj nowacyi długu, pozostawia dłużnikowi zupełną swobodę układania się z wierzycielem o warunki pożyczki, jak również o zmianę warunków pożyczki w czasie jéj trwania bez potrzeby uzyskiwania na to zezwolenia niższych wierzycieli. Jeżeli przeto dłużnik ułoży się z wierzycielem o obniżenie stopy procentowéj hipotecznie zabezpieczonéj i stanowiącéj łącznie z niezmienioną opłatą na umorzenie, istotę samego ubezpieczenia, pod warunkiem, że z prawa opłacania niższego procentu dłużnik będzie mógł korzystać dopiero po upływie pewnego przeciągu czasu, to układ taki nie tylko nie pogorszy (?) położenia niżéj zabezpieczonego wierzyciela, ale je polepszy (*sic*), bo gdyby układu wcale nie było, obowiązek opłacania wyższego procentu w kształcie dotąd opłacanych wyższych rat pozostałby ważnym aż do zupełnego umorzenia pożyczki (ale to umorzenie nastąpiłoby o 9 lat wcześniéj). Z tych przeto powodów sądzimy, że ani wierzyciel hipoteczny niżéj zabezpieczony nie będzie miał zasady wystąpić przeciwko takiemu hipotecznie ujawnionemu układowi, ani wydział hipoteczny nie będzie miał powodu odmówić mu swego zatwierdzenia." Nam się, niestety, wydaje przeciwnie, że zarówno wierzyciele niżsi, jak wydział hipoteczny łatwo zrozumieją, że taki „hipotecznie ujawniony układ" jest właśnie nowacyą długu, oraz że podnosi on jakkolwiek nieformalnie, to faktycznie „kapitalną cyfrę długu" o 10%. Co więcéj, nawet po spłaceniu tego dodatkowego długu wierzyciele niżsi będą się ciągle znajdowali w gorszém położeniu, niż poprzednio, bo zawsze ogólna cyfra niespłaconéj należności T-stwa będzie wyższa, niż przed konwersyą. I tak np.

po 36½ latach, zamiast zejść do *zera*, będzie jeszcze na każde 1000 rs. pierwotnego długu wynosiła rs. 204. W razie więc np. sprzedaży przymusowéj majątku, gdyby suma osiągnięta zeń na licytacyi nie pokryła ogółu jego długów hipotecznych, co się obecnie często zdarza, najniżsi wierzyciele ponieśliby stratę daleko znaczniejszą, niż przy obecném unormowaniu spłaty T-stwa. Z tego powodu bardzo wątpimy, ażeby nietylko już wydział hipoteczny podobny układ bez prawodawczego zezwolenia zatwierdzić się odważył, ale nawet, żeby minister finansów zechciał zezwolić na zawieranie podobnych umów pomiędzy T-stwem, a stowarzyszonymi, bez obowiązku pozyskania uprzedniéj zgody wierzycieli niżéj zabezpieczonych.

Dotąd rozpatrywaliśmy projekt konwersyi wyłącznie ze stanowiska możliwości przeprowadzenia go, oraz korzyści, jakie konwersya mogłaby przynieść dłużnikom T-stwa. Obowiązek publicystyczny nakazuje nam jeszcze rozpatrzyć się w interesach drugiéj strony w grę tu wchodzącéj, a mianowicie wierzycieli T-stwa.

Nie potrzebujemy nadmieniać, że interesy tych dwu stron są w zasadniczéj z sobą sprzeczności. O ile dłużnicy pragnęliby zawsze płacić procent jak najniższy, o tyle wierzyciele chcieliby pobierać jak najwyższy. O pogodzeniu więc tych sprzecznych interesów mowy być nie może. Ścierają się one z sobą bezustanku, a na czyję stronę zwycięstwo w danéj chwili się przechyla — rozstrzygają okoliczności. Doba obecna skutkiem zastoju w handlu i przemyśle, oraz upadku dochodów z roli, a co za tém idzie—zmniejszenia się wartości użytkowéj kapitałów i utrudnienia bezpiecznéj i korzystnéj ich lokacyi, sprzyja dłużnikom, dzięki czemu kursy papierów procentowych idą w górę. Właściciele ziemscy chcą z tego skorzystać i obniżyć stopę opłacanego przez nich procentu. Są oni tutaj w zupełnym porządku i niezaprzeczoném prawie. Żądać od nich, żeby się zrzekli korzyści osobistéj przez wzgląd na to np., że wierzycielami ich są w znacznéj części ludzie niezamożni: wdowy, sieroty, wysłużeni oficyaliści, lub dorabiający się biedacy, którzy z trudem zebrane oszczędności oddają im do użytku i oprocentowania (1), byłoby to sentymentalizowaniem bez żadnego pożytku. Z zupełną słusznością odpowiedzianoby nam, że gdy okoliczności sprzyjają wierzycielom, nie wahają się oni wcale z nich skorzystać i kurs listów zniżają. Obowiązkiem jednak prasy jest ostrzedz wierzycieli, co ich może spotkać, ażeby się nie naraziła na zarzut, że popiera interesy jednéj tylko strony.

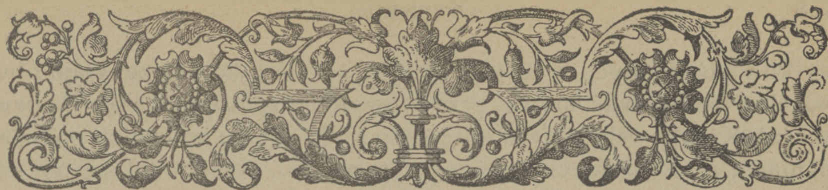
---

(1) Na to kładzie główny nacisk d-r Ströll, występując przeciwko konwersyi papierów państwowych we wzmiankowanym wyżéj artkule w *Jahrb. f. N. u. St.*

Niska stopa procentowa od wypożyczanych kapitałów jest wogóle pożądana dla kraju, bo zachęca do przedsiębiorczości, podnosi wartość pracy i zdolności ludzkich, obniża cenę produktów i zmniejsza wygody życia darmozjadów procentowiczów. Ale ażeby ona mogła stale się utrzymać, musi przyjść drogą naturalną, musi być skutkiem obfitości kapitałów, pewności prawnéj, dokładnego i szybkiego wymiaru sprawiedliwości i dobréj organizacyi kredytu publicznego. My widocznie błogosławieństwami temi się nie cieszymy, kiedy wogóle płacić musimy procenta grube, kiedy nawet przy zupełnie pewném zabezpieczeniu zwrotu pożyczki, dosięgają one nieraz 10 i 12%, a zazwyczaj nie bywają niższe od 8%. Gdybyśmy mieli kapitałów wiele, takie stosunki byłyby niemożliwe. Jeżeli zaś ich nie mamy podostatkiem, to niska stopa procentowa sztucznie wprowadzić się nie da. Dlatego myli się, zdaniem naszém, p. Kłobukowski, gdy przypuszcza, że konwersya listów zastawnych na 4% zdoła przeciętną stopę obniżyć. Jeżeli zaś tego nie uczyni, to gdyby na razie, dzięki zastojowi ekonomicznemu listy 4-procentowe przyjęte zostały dobrze, musiałyby po ożywieniu się interesów znacznie spaść w kursie, na czém ich posiadacze ponieśliby wielkie straty. Wreszcie projektodawcy konwersyi widocznie na trwałe utrzymanie się wysokiego kursu, czyli—innemi słowy—niskiéj stopy procentowéj nie liczą, kiedy tak wyraźny kładą nacisk na potrzebę wielkiego pośpiechu w téj sprawie. Jeżeli zaś rzeczywiście sami w niedalekim czasie przewidują upadek kursu, to powinniby się rachować z tą okolicznością, że zrażeni raz dotkliwemi stratami wierzyciele T-stwa, mogliby na przyszłość przestać je darzyć tém zaufaniem, jakie dotychczas w przezorności jego zarządu pokładają. Gdyby zaś to nastąpiło, to nie wyszłoby ostatecznie na dobre i jego dłużnikom. Mamy nadzieję, że władze T-stwa w obradach nad projektem zechcą wzgląd ten pod baczną wziąć rozwagę, jak z drugiéj strony również nie wątpimy, że gdyby konwersya, pomimo całego nieprawdopodobieństwa możliwości jéj przeprowadzenia, została uchwalona, to tak nabywcy 4-procentowych jak posiadacze dzisiejszych listów okazaliby się dość przezornymi na to, by się potrafili ściśle obliczyć ze swojemi interesami w przyszłości.

W. Wścieklica.





POLSKA W PIEŚNI

DEOTYMY.

Polska w Pieśni. Z księgi pierwszéj: Lech. Warsz. 1859, str. 84. — Wojna Olbrzymów. Wyszymir. Dwunastu wojewodów. Warsz. 1860, str. 371.— Wanda. Warszawa, nakład M. Orgelbranda, 1887, str. 286.

Było-to przed laty 30-stu. Słońce poezyi romantycznéj przyświecało naszéj krainie piękna ostatniemi już jesiennemi promieniami, ale budziło życie ruchliwe i gwarne. Co najdzielniejsze umysły rzuciły się do wyzyskiwania obszarów przeszłości na rzecz poezyi narodowéj, coby swemi wdziękami przemówiła do serc, ożywiła w nich miłość i cześć dla czasów minionych, bez względu nawet na to, czy wszystko w niéj było dobrém i uwielbienia godném. Poezya historyczna zakwitła u nas bujnie, jak nigdy przedtém. Gawędy, rapsody, powieści, tragedye i komedye historyczne ciągnęły się szeregiem nieprzerwanym. Pol, Syrokomla, Romanowski, Chodźko, Rzewuski, Kaczkowski, Kraszewski i Korzeniowski nawet dostarczali co rok po kilka utworów przypominających bliższą i odleglejszą przeszłość, rozniecających dla niéj zajęcie wśród ogółu nadzwyczajne.

Wobec tak gorącego zaprzątnienia się czasami minionemi, łatwo zrozumiéć, że i umysł Deotymy, która już w „Improwizacyach“ chętnie uciekała od prozy dnia dzisiejszego na ukwiecone poezyą błonia wieków minionych, zwrócił się ku nim całkowicie i zaczął snuć przędzę myśli i obrazów w tym właśnie kierunku na daleko większą niż poprzednio skalę. Z natury tego umysłu, zupełnie idealistycznéj, wypadło, że nie mógł się on lubować w tych epokach dziejowych, które, będąc dokładnie znane, zmuszają poetę do trzymania się ściśle rzeczywistości historycznéj, lecz natomiast z rozkoszą przenosił się w owe chwile zamglone lub całkiem nieznane, które pozostawiają fantazyi twórczéj obszerną dziedzinę snów, przeczuć i domysłów. Ponieważ z takich czasów nie posiadamy wcale za-

bytków piśmiennych w języku ojczystym, nie było potrzeby ani obowiązku naśladować mowę przodków w ten sposób jak Pol, Rzewuski lub Kaczkowski odtwarzali język XVIII wieku w swoich opowiadaniach; a za zniknięciem tego skrępowania, poeta mógł się poczuć zupełnie swobodnym i oddać się wyłącznie pod kierunek własnych upodobań, własnych rojeń, własnéj fantazyi.

I.

Pierwszym wyrazem takiego zwrotu Deotymy do przeszłości naszéj jest misteryum p. n. „Tomira" (Warsz. 1855). Znajdujemy się tu pośrodku romantycznych ułud, to miłych to groźnych naprzemian. Rzecz się dzieje niby za czasów Bolesława Chrobrego; ale to wszystko, co było czysto-ludzkiém i rzeczywistém, staje się tu cieniem, jak sam król i jego otoczenie, a to, co było przeniknięte mistycznym nastrojem, co było idealném urojeniem, nabiera znaczenia przeważnego i jedynie rzeczywistego. Tomira, piękna i młoda poganka, obdarzona poetycznością wyższego polotu, ulega najprzód wpływowi królewicza Emeryka, otoczonego mistyczną potęgą, a za jego radą i wskazówkami chce zostać chrześcianką, uczy się prawd wiary i przygotowuje do przyjęcia chrztu w klasztorze na Łysćj górze; gdy w tém razu pewnego spotyka żyda wiecznego tułacza Ahaswera, nad którym tak samo jak nad Emerykiem, tylko w innym, mniéj przyjaznym względzie, czuwają nadzmysłowe potęgi, i daje się porwać jego sceptycyzmowi, wspomnieniu i odczuciu jego cierpień, chęci dowiedzenia się od niego tajemnicy co do olbrzymich losów świata i boju sił nim rządzących (str. 61). Gdy Emeryk poznał wpływ Ahaswera, postanowił oddziałać przeciwko niemu, ale pomimo swéj mistycznéj potęgi nie zdołał oderwać Tomiry od Ahaswera, bo go kochała, więc téż na jéj słowa; „by nie kochać, nie czcić go, trzebaby kamieniem być", Emeryk, dbając o zbawienie jéj duszy, w kamień ją zamienia. Kamień ten pod Łysą Górą do dziś istnieje, jak to przepowiedział Emeryk czyniąc aluzyą do chęci Tomiry towarzyszenia Ahaswerowi w jego nieustającéj wędrówce:

Podróż jéj straszna, długa, choć tak niedaleka,
Chciała iść, więc iść będzie, lecz gdzie iść nie chciała:
Bo do wierzchołka téj góry,
Gdzie chrzest ją czeka.

Do szczytu dojdzie dopiero w dzień sądu ostatecznego.

Poemat Deotymy wynikł z chęci wytłómaczenia podania ludowego, który na wstępie do utworu przytoczyła; ale urzeczywistniając tę chęć poetka, ani na chwilę nie pomyślała o przejęciu się prostemi

pojęciami ludu; przeciwnie pragnęła ucieleśnić w słowie artystycznem myśl głębszą, która dopiero w naszém stuleciu rozwinąć się w całości mogła. Formę więc ludową napełniła treścią cywilizacyjną wyższą, spółczesną: walką duszy marzącéj i myślącéj pomiędzy wiedzą a jéj poszukiwaniem, pomiędzy pragnieniem spokoju i ubłogosławienia, jakie reprezentuje Emeryk, a żądzą doświadczeń i wzruszeń namiętnych, upostaciowaną w żydzie wiecznym tułaczu. Ten drugi tytaniczny pierwiastek, pod wpływem nowożytnéj poezyi faustowskiéj, uwydatnił się nawet silniéj niż pierwszy, z wolą czy bez woli autorki, tak, iż demoniczny, bluźniący Bogu, ale przerażająco nieszczęśliwy Ahaswer nie tylko w sercu Tomiry, lecz i w duszy czytelnika upamiętnia się sympatyczniéj, niż seraficzny Emeryk, który pomimo potęgi nadzmysłowéj nie umie inaczéj zapobiedz postanowieniu Tomiry, wynikłemu ze spółczucia dla wielkiego cierpienia, jak tylko w głaz ją przemieniając.

W uplastycznieniu atoli swego pomysłu nie potrafiła się Deotyma wznieść do tych wyżyn, na jakich unoszą się kreacye faustowskie naszego stulecia. Zabrakło jéj tchu i lotu orlich skrzydeł gieniuszu. Posługując się obficie potęgami nadzmysłowemi, nie zdołała ani na chwilę zapanować nad umysłami w tym stopniu, żeby uwierzyły choćby czasowo w istnienie owych „głosów z wysoka“, w moc cudotwórczą Emeryka i w te nadzwyczajne zjawiska przyrody, jakie się dzieją w atmosferze poematu; cała ta machina poetycka, podobnie jak gromy teatralne mogą tylko na bardzo młodziutkie wyobraźnie podziałać wstrząsająco.

Ten operowy charakter cudowności miał już następnie nazawsze pozostać cechą znamienną twórczości Deotymy zwróconéj do odtwarzania zamierzchłych epok dziejowych, a raczéj fantazyowania na ten temat.

Lecz zanim się do téj dalszéj pracy zabrała, pragnęła—mówiąc jéj frazeologią — „stopami pielgrzyma obejść swą ziemię, gdzie wyrósł lud ludów“, pragnęła sama „zbadać te wody pełne dźwięków, łany pełne kłosów, doliny pełne kwiatów, góry pełne cudów i te polskie oblicza tak pełne niebiosów“; pragnęła „z ust każdego wspomnienia schwycić wszystkie echa“ — i wówczas dopiero „wszystkie w pieśń uwiązać“ (1).

Oddała się tedy najprzód studyom historycznym, a że studya takie wymagały skupienia myśli i samotności wielkiéj, uprosiła rodziców, żeby od r. 1855 zamknęli swe poniedziałkowe wieczory, zastępując je tylko rzadkiemi, proszonemi zebraniami. Następnie po-

---

(1) Zob. końcowy ustęp w poemacie *Lech*, p. n. „Polka u mogiły Lecha“, str. 81.

stanowiła wraz z rodzicami w kolejnych wędrówkach cały kraj objechać. Jakoż zaraz w r. 1856 rozpoczęły się te wędrówki wycieczką do Gniezna, Kruszwicy i Poznania; w roku następnym zwiedzili wyspę Rugią, „główne ognisko wiary i chwały Lechitów za dni ich pogaństwa, a dziś prawdziwe gniazdo czarów, tak pod względem sztuki i pamiątek, jak zachwycającéj przyrody." W r. 1858 obejrzała poetka wraz z ojcem Toruń, Malborg, Gdańsk, Oliwę i wogóle okolice nad Bałtykiem; w r. 1859 odbyła dwie wycieczki: jednę na górę Świętokrzyską, drugą do Ojcowa. Łuszczewscy doznawali wszędzie „niezrównanéj gościnności zarówno w wielkich grodach jak i w najcichszych ustroniach"; stąd u poetki do rozbudzenia myśli, do zachwyceń wyobraźni przybywało niejedno wspomnienie miłe sercu. Ze wszystkich tych podróży spisywała Deotyma wrażenia, które następnie z wielką ciekawością odczytywano w pismach peryodycznych.

Ponieważ wiedziano o zamiarze poetki przedstawienia dziejów Polski w pieśni, oczekiwano z niecierpliwością tego utworu, na który złożyć się miała erudycya, spostrzeżenia osobiste i fantazya.

W początkach roku 1859 ukazał się z druku wyjątek z księgi pierwszéj „Polski w pieśni", a obejmował podanie o Lechu.

W obrobieniu poetycznem tego podania miała już Deotyma poprzedników. W pierwszéj połowie XVII stulecia Sarbiewski utworzył na tle jego epopeję; ale ona czasów naszych nie doszła. Za Sasów Skorski tak samo jak Sarbiewski napisał epopeję w języku łacińskim. W początkach naszego stulecia Woronicz rozpoczął poemat o Lechu na większą skalę, nie dokończył go jednak. Deotyma nie poszła w ślady tych poprzedników; o utworzeniu epopei nie marzyła; szło jéj tylko o zobrazowanie w luźnych rapsodach o formie przeważnie lirycznéj narodzin państwa polskiego i wskazanie zasadniczych idei, które miały rozwojowi jego przewodniczyć. Nie czyny zatém Lecha, ale posłannictwo jego stało się przedmiotem poematu. Przedstawiwszy obrazowo wyłanianie się Słowian z pośród mgławicy narodów, poetka, w dytyrambicznym zachwycie opiewa zjawienie się Lecha, „ojca przyszłości", „orła z wolą-opoką", z „czołem jak niebiosy olbrzymiém", jako jednego z tych ludzi, których rodzą „olbrzymie cierpienia", a którzy stają się prorokami w czynach, bo najpierwsi przeczucia wzrokiem widzą „posłannictwo ziomków olbrzymie." Zdaje się, że autorka nie dowierzając sobie, czy potrafi oddać należycie zjawioną w jéj wyobraźni potęgę tego męża opatrznościowego, złożyła na barki wyrazu „olbrzymi" wielokrotnie powtórzonego cały ciężar doniosłych zadań, jakie Lechowi przypisywała. Po tak górném zapowiedzeniu misyi Lecha, Deotyma nie przystępuje odrazu do skreślenia jéj szczegółów, lecz zapoznaje nas

z młodością jego, gdy się w nim obudziła myśl, że bierne uleganie Słowian przemocy obcych jest objawem zgubnym. Na razie nie umie młodzieniec powiedzićć, jak się z téj bierności otrząsnąć, to tylko wié, że inaczéj być powinno, a chcąc nabrać doświadczenia, idzie z dobranymi 12 towarzyszami na wędrówkę, by się przekonać, czy tak wszędzie jest jak wśród Słowian, czy téż inaczéj. Szczegółów wędrówki nie podaje autorka, tylko jéj wynik. Po latach wrócił Lech i 12 jego towarzyszy, którzy jakoś wszyscy pomimo rozlicznych bojów, przy zdrowiu zostali, niby „olbrzymy ze krwi i z płomieni“: wzrok ich swobodny, dłoń żylasta, ramię potężne; na czole mieli „smętne, lecz piękne doświadczenia znamię.“ Lech u towarzyszy obudzał największe podziwienie; powiadają o nim: „widzieliśmy twoje cuda odwagi, mądrości i siły; tyś nas zapoznał ze wspaniałym światem; tyś nam ukazał rozumu zdobycze i dał kosztować oświaty słodycze; tyś nam był ojcem i wodzem i bratem; czegóż nie zdołasz?!“ Ufność pokładana w Lechu przez towarzyszy nie zawiodła ich; potrafił on taką samą wiarą w siebie natchnąć naród cały i poprowadzić go do wielkich czynów, do zrzucenia jarzma obcego. I nie pomagali mu w téj sprawie bogowie, jak bohaterom Iliady; wszystko było dziełem własnego jego ducha. Pytał on wprawdzie bogów o radę, jak ma wywyższyć swój naród nad inne, ale bogowie dawali odpowiedzi, które go nie zadowolniły, bo radzili wywyższyć naród albo potęgą wojenną, albo talentem artystycznym, albo bogactwem, albo mądrością;—Lech odrzucał te wszystkie wskazówki dlatego, że już były takie narody, co podobnemi odznaczały się zaletami, on zaś chciał widzićć swój lud takim, jakiego na ziemi nigdy jeszcze nie było. Wzgardziwszy radą zagniewanych bogów, Lech znalazł jedyną prawdziwą na swe pytania odpowiedź w głębi serca własnego, które mu wskazało ideę poświęcenia jako hasło wywyższenia swego narodu. Znalazłszy tę „wielką przyszłość“, obwieścił ją ludowi w górnych słowach, dając równocześnie trzy zasadnicze prawa, od wypełniania których miały zależćć szczęście narodu i jego wyższość nad innemi. Pierwszém z tych praw jest poświęcenie się jednéj części narodu dla obrony drugiéj bez żadnéj nagrody, prócz odznaczenia suknią czerwoną i zwojem piór przy barkach; drugiém prawem jednomyślność w obradach i postanowieniach; trzeciém—wyrzeczenie się zdobyczy na obcych plemionach tak dalece, że gdyby który wódz tknięty „chciwością bojową“ chciał prowadzić rycerstwo na podbój, Lech zgóry zwalnia rycerzy od posłuszeństwa; przeciwnie hasłem nowego państwa ma być poświęcenie dla ludów. Zebranie, które słuchało słów Lecha w upojeniu, zrozumiało i wielkie swe posłannictwo i wywody natchnionego proroka, okrzyknęło go księciem,

Pod jego dowództwem Lechici wypędzili przybyszów, co ich uciskali, a Lech zbudował miasto Bremę (*Brzemię*) na wskazanie, gdzie się kończą Słowian ziemię, Gniezno zaś na stolicę państwa. Tyle tylko o czynach jego opowiada poetka, zaznaczając ogólnikowo, że „od Baltyku do Wezery, od Wezery pod Karpaty, wszędzie jego bieg skrzydlaty porozbudzał bohatery.“ W obronie narodu ginie wreszcie, a umierając śpiewa hymn na cześć jego:

Dzięki wam nieba!... dzięki! — Komuż ziemskie losy
Splotły dolę szczęśliwszą od doli Lechowéj?
Oto w ziemię rzuciłem posadę budowy,
Co tak strzeli w niebiosy, że zdziwi — niebiosy!
Nacechowany zemstą, świat mi pozazdrości
Jedynych, niepojętych mego ludu cech.
Imię moje tak wielkie, że kto powie: Lech —
Ten powie: Naród miłości.
Witam ciebie, o mój synu,
Żywa wstęgo z karmazynu,
Orle chwały, dębie czynu,
O ty, narodzie cierpienia!
O narodzie przebaczenia!
O narodzie poświęcenia!

Jak ten ostatni śpiew Lecha, któremu „z piersi strumieniem toczyła się krew“, tak i wszystkie jego wystąpienia są jakby na pokaz teatralny; w rzeczywistość ich uwierzyć niepodobna wtedy nawet, gdy się przyjmie idealistyczny punkt widzenia autorki. Deotyma, uposażając Lecha myślami, które nie za jego ale za jéj czasów stały się popularnemi wśród inteligencyi z powodu, że natchnieni wieszcze barwnie je wyśpiewali, zrobiła go nie człowiekiem choćby najbardziéj uidealizowanym, ale abstrakcyą, alegoryą; dlatego téż nie czyny go charakteryzują, tylko frazeologia.

Do wyrażenia swych myśli użyła poetka najrozmaitszych miar wierszowych, któremi władała nadzwyczaj zręcznie, choć niezawsze poprawnie; większéj części form nic zarzucić nie można; ale jest jedna, która poprostu sztuczką tylko nazwać się może; ma bowiem kształt dwu stożków podstawami złączonych. Nie wynalazła ona téj formy, używał jéj przed nią Jaśkowski, a może i inni; w każdym razie wybór jéj i zastosowanie dość obszerne (cały pierwszy ustęp p. n. „Lud nieznany“) świadczy raczéj o zamiłowaniu w nadzwyczajności, niż o subtelném poczuciu piękna formy artystycznéj. Cóż pomyśléć o autorze, który sili się zawrzeć myśli w 20 strofach takiego kształtu:

Już wieki
Pożęły swe plony
A jeszcze ów obszar daleki

Od morza Czarnego do Elby zielonéj
Stał w dziejach pustynią jak przyszłość nieznaną;
Któż zbadał zamgloną tę ziemię?
Któż wiedział, jak zwano
Jéj plemię?

Wygląda to zabawnie w druku, dowodzi władztwa nad rymami, ale nie przestaje być figlem tylko wierszopisarskim.

Wśród ogółu nie obudził poemat Deotymy rzeczywistego zajęcia; w czasopiśmiennictwie nawet niewiele się o nim rozszerzano; wojna włoska chłonęła uwagę wszystkich. Poważniejsi krytycy, jak np. Kazimierz Kaszewski (w *Bibliotece Warszawskiéj*, 1859 t. III, str. 186—198) stawiali go wprawdzie na czele doówczesnych utworów Deotymy, widzieli z przyjemością, że autorka „zrzuciła z siebie ten ciężar erudycyi, która nie mogła ukryć swéj lodowatéj prozy pod najświętniejszemi wstęgami poetycznych słów i wyrażeń;“ zaznaczali, że „tu już uczucie odzywa się nawet słowami zapału, który nie wybucha jednak nigdy falami potoku, ale jak cichy i narzekający strumyk, w chwilach najwyższego nawet podniesienia, donośniejszym tylko rozbrzmiewa szmerem,“ — w pochwałach atoli była wielka powściągliwość, a nie brakowało i surowych zarzutów. Kaszewski utrzymywał, że „panująca myśl poematu niedość silne ma rozwinięcie,“ że Lech wobec narodu jest więcéj kaznodzieją lub oratorem, niż figurą poetyczną, że w utworze nie ma obrazu, ruchu, życia, ale jest tylko mowa; „stąd téż to, co z prawa założenia winno jak nić złota wić się przez cały poemat, jest tu tylko skupione w jeden ustęp, stanowiący li tylko jakieś zwierciadłowe, ale nie artystyczne odbicie myśli głównéj.“ Zaznaczał i to, że ci, do których Lech przemawiał tak górnie, rozumieć go nie mogli, „boć to — jak powiada krytyk — senni ludzie zaledwie przecierający oczy i dlatego uderzająco nieprawdopodobnym zdaje się nam wiersz, którym lud odpowiada na ostatnie słowa Lecha: O, Boże poświęcenia, Ty bądź naszym Bogiem!“

II.

Chłodne przyjęcie „Lecha“ nie zniechęciło poetki; już w połowie r. 1860 wyszedł z druku drugi wyjątek z księgi pierwszéj „Polski w pieśni,“ a zawierał trzy nierównéj objętości utwory: „Wojna olbrzymów,“ „Wyszymir“ i „Dwunastu wojewodów.“

„Wojna olbrzymów“ i „Dwunastu wojewodów“ to małe liryczne rapsody wykonane w ten sam sposób co i „Lech,“ ale jako krótsze o wiele, zapełnione były treścią realniejszą, wypadkami, a więc nie są tak mgliste. „Wojna olbrzymów“ gdyby nie kilka nieszczęśliwych

wyrażeń („jak się rzęsa piorunu skrzy pod jéj powieką," „i jak *do dna* rozwarłszy chmurne niebios *wieko*" i t. p.), gdyby nie nastrój zbyt patetyczny, byłby wcale udatnym obrazkiem z bojowego życia Słowian. W ogólnym układzie „Polski w pieśni" jako całości jest ten ustęp zbytecznym, gdyż przebudzenie się Słowian do czynu na polu walki, ażeby zrzucić jarzmo hord najezdniczych, już było opiewaném jako dzieło „Lecha."

Nowy pierwiastek do „Polski w pieśni" wprowadziła Deotyma w „Wyszymirze." Utwór ten ma już zakrój epopei i pod względem obszerności i pod względem wprowadzenia tak zwanéj machiny poetyckiéj. Nazywa go poetka „opowieścią czarodziejską;" jest nią on w istocie. Deotyma pragnęła w niéj wystawić bajeczne panowanie Lechitów na morzu; zdaniem jéj bowiem „najodleglejsza przeszłość nasza jest niezupełną, póki jéj brakuje wojenno-żeglarskiego żywiołu." Jako przedstawiciela żywiołu tego wzięła Wyszymira, prostego rybaka, który pokochany przez boginię Wisławę, za jéj natchnieniem i przy jéj pomocy zostaje dowódcą Lechitów, zagrzewa ich do walki na morzu, robi szczęśliwe wyprawy w obronie kraju od Duńczyków, pod królem Sywardem występujących. Bogini darowała mu żagiel cudowny, pod którym jest niezwyciężony i rannym być nie może, ale wyszedłszy z pod niego, staje się zwykłym śmiertelnikiem, podległym wszelkim przygodom. Uniesiony zapałem wojowniczym, gdy mu Syward nie dotrzymał warunków, udaje się na nową wyprawę, poraża i zabija króla duńskiego, zdobywa Danią i chce ją do swych krajów przyłączyć. Ale wówczas rycerze, którzy dotychczas szli za nim wszędzie bez szemrania i na wszelkie niebezpieczeństwa wystawiali się z ochotą; teraz pomni na trzecie prawo Lecha wypowiadają mu posłuszeństwo, bo na cudze nie są łakomi. Po krótkiéj chwili walki z sobą i Wyszymir uznaje to prawo; wyrzeka się zaborczego planu, pozyskuje tym sposobem nanowo miłość i uwielbienie rycerstwa, zamyśla wreszcie, uspokoiwszy Danią, oddać ją prawemu władcy. Ale tymczasem wpada w sieci córki królewskiéj czarodziejki Hildy, która z początku przez chęć upokorzenia wroga swéj ojczyzny a potém w skutek zażegniętéj w jéj sercu miłości ku niemu postanowiła czarami przykuć go do swéj osoby. Po czary te wyprawia się do Walhalli, przechodzi mężnie próby odwagi i milczenia, zdobywa co jéj było potrzebném i rzeczywiście oszołamia Wyszymira. Gdy przyszedł do tego przekonania, że stanowi jego duszy winny czary, błaga Hildę, by go odczarowała, a tą próbą oraz wyznaniem, że ojczyznie jéj wolność zupełną zamierza pozostawić, wywołuje ducha szlachetności w zaciętéj Germance, która „równie była zdolną ukochanemu poświęcić swe szczęście, jak je poświęcić dla ojczyzny chcia-

ła.“ Czary nikną, ale wówczas gdy Wyszymir z Hildą znajdowali się na morzu w statku, na którym nie było żagla cudownego, siedzących i ucztujących zobaczyła zazdrością palona Wisława; zaczęła wyrzucać zdradę Wyszymirowi, a gdy ten powoływał się na ziemię i nieba, że jest niewinny, Wisława na dowód kazała mu skoczyć w fale, co też bohater tak zagadnięty wykonywa. Przenosimy się odtąd do „świata podwodnego;“ widzimy, jak Wyszymir napróżno chcąc się wyratować, „uczuł się w końcu igraszką omdlałą jakiéjś nieczułéj a strasznéj potęgi i zaczął wtedy czytać z owéj księgi, któréj żyjące oko nie widziało, bo nikt nie wrócił z tych, co ją czytali;“ nakoniec utracił „straszną moc pamięci i przestał cierpiéć.“ Za sprawą Wisławy ożył atoli przemieniony; „duch jego powstał jak posąg z kryształu,“ lekki, przezroczysty. Zwolna wróciła mu i pamięć dawnego życia; spostrzegł Wisławę, „zbliżył się; ruchem pełnéj tkliwéj cześci podniósł płaczącą, która... w jego objęciach niby kwiat się słania.“

I jak świerk z brzozą rosnące na grobie,
Zaczęli długą wpół-cichą rozmowę,
Pełną powierzeń, płynącą tajemnie,
Jak dwóch strumieni skargi kryształowe...
Nabrzmiałą smętném ich przeszłości echem,
Nieraz przerwaną łkaniami srebrnemi,
Czasem przetkaną promiennym uśmiechem;
Długą rozmowę! — Aż w ostatniéj chwili,
Wzajemnie sobie wszystko przebaczyli
I swą niewinność uznali wzajemnie
I zapomnieli o łzach i o ziemi.

Lecz nie dosyć na tém; ponieważ w owym świecie podwodnym „do ziemskich krajów podobne są kraje,“ więc i formy życia są podobne. Wisława wybrawszy sercem Wyszymira, postanowiła go zaślubić; więc się ślub ten odbywa z całą uroczystością przy zbiegu wszystkich polskich rzek, jezior, trzęsawisk, potoków i źródeł. Bożki były wprawdzie zagniewane, że na śmiertelnika padł wybór bogini, ale gniew ich nie przeszkodził wspaniałéj uczcie na ogromnych stołach kryształowych, z zastawą muszlową, którą poetka w części tylko opisać się odważa. Wisława na „lutni przejrzystéj, z łez dziewic ulotnéj“ zaśpiewała madrygał miłosny, równie chłodny jak żywioł, wśród którego rzecz się dzieje. Nastąpiły tańce; pląs się rozlegał od mórz po Karpaty! Nie zabrakło i błogosławieństwa boga morza. Wyszymir odtąd został monarchą Wisły; lecz „wszystko z rozkoszą oddaje pod Wisławy wolę, bo jego miłość rośnie, wiecznie rośnie!“ Na Wiśle nieraz w ciche letnie noce widać wielką konchę białą, „która tak lekko po falach przechodzi, jakby w niéj bożków skrzy-

dło wiosłowało;“ a w téj konsze płyną dwie postaci, przez których rzewne, przezroczyste lica wieczną jutrzenką nieśmiertelność świeci;“ nad niemi „żagiel utkany z promieni księżyca, w srebrzyste skrzydła trzepoce.“ To Wisława i Wyszymir: „dzień im się chwilą, wiek zdaje godziną.“

Taką jest powieść czarodziejska o Wyszymirze. Poetka mogła fantazyi swojéj dozwolić zupełnie swobodnego lotu, zużytkowując tylko podanie zawarte w kronikach co do wypadków, a zresztą snując tkankę właściwéj baśni całkiem dowolnie. Wyobraźnia Deotymy jest bujna, więc téż potrafiła wyprowadzić z siebie takie mnóstwo obrazów, że wystarczyły na utworzenie obszernego poematu. Oczywiście nic innego wydobyć z siebie nie mogła, jak to co w niéj było złożoném przez czytanie i dostrzeganie; to téż świat ów fantastyczny tylko olbrzymiością powiewnych kształtów i niezależnością w niektórych razach od praw przyrody różni się od świata tutecznego; a jeżeli poetka chce dać poznać coś przechodzącego wyobraźnię śmiertelników, musi się posługiwać zwrotem tak przeciwnym prawdziwéj epice, a tak powszechnym u retorów jak: „Nieba! któż ten cud określi!“ „Teraz na ludzką użalę się mowę“ i t. p.—a zwrotów takich jest w poemacie podostatkiem. Wprowadzenie żywiołu fantastycznego zbliżyło poemat do epopei starożytnéj i do klechd naszych, ale odebrało bohaterowi sławę, że wszystkich czynów wielkich dokonywa własną dzielnością, obniżyło zatém wrażenie, jakiegobyśmy doznać mogli, gdybyśmy w opowiadaniu o wyprawach Wyszymira widzieli tylko czysto ludzkie czynniki. Obrazy fantastyczne kreślone przez Deotymę są albo dydaktyczną alegoryą jak np. w przedstawieniu hidrografii polskiéj, albo aż zanadto przypominają ludzkie stosunki, z ich słabościami. Wisława raz jest wszechwiedzącą boginią, która okazuje Wyszymirowi rzeczy zakryte przed oczyma ludzkiemi, to znowu prostą ziemianką posądzającą na ślepo swego ukochanego o zdradę i dla zyskania dowodu, że tak nie jest, potrzebuje, żeby się rzucił w nurty morza. Raz występuje majestatycznie, jak na boginię przystało, to znów staje się słabą, naiwną dziecinnie kochanką, to wreszcie przemawia jak gderliwa gospodyni, gdy woła na wzburzone fale:

...Héj w szyki!
Na cóż mych starań i opieki tyle?
Że téż nie mogę odejść i na chwilę,
Abym swawoli nie zastała dzikiéj!...

Ta mieszanina wrażeń, kolejno na czytelnika spływających, mieszanina, nie dozwalająca na stanowczą decyzyą, czy się znajdujemy w krainie całkowicie fantastycznéj, czy w czysto-ludzkiéj, jest

może głównym powodem, że poemat pomimo swego poważnego zakroju nie wywiera na nas wpływu, jakiego po utworze poważnie pomyślanym i wykonanym spodziewaćby się było można; ciągle bowiem wydaje się nam, że rzecz o Wyszymirze to igraszka poetycka, którą tworząc autorka sama nieraz ironicznie uśmiechać się do siebie musiała; cieszyła się ze swojéj wirtuozyi, ale zarazem spoglądała zgóry na utworzone przez siebie postaci i na opowiadane zdarzenia.

Publiczność przyjęła ten nowy poemat równie chłodno jak „Lecha;“ a krytyka zachowała się podobnie jak poprzednio; przyznawała mu wprawdzie więcéj plastyki niż „Lechowi,“ ale wytykała mu brak myśli głębszéj. Ktoś nawet z ogólniejszego wychodząc stanowiska, twierdził, że autorka niepotrzebnie kreśli obrazy z przeszłości, bo powinniśmy zupełnie zapomnieć o przeszłości naszéj i na czystym wyprzątniętym placu wznosić nowe budowle. Powstał atoli w obronie Wyszymira rycerz, który przytoczywszy z oburzeniem dopiero co zaznaczone zdanie radykalnego krytyka, zajął się wykazaniem poszczególnych piękności utworu Deotymy. Rycerzem tym był na nowo wtedy do literatury wstępujący F. S. Dmochowski. W końcu r. 1861 pomieścił on w *Bibliotece Warszawskiéj* artykuł (IV, str. 683 — 699), w którym kładł wielki nacisk na to, że Deotyma stwarza nam poemata, jakiemi ludy rozpoczynające swój żywot dziejowy zwykły uwieczniać ideały swoje. „Po upływie czternastu wieków — pisał on — okazuje się talent twórczy, który z krótkich oderwanych wspomnień, z mozolnych badań tegoczesnych historyków, z ledwie dojrzanych, przekształconych podań ludowych, odtwarza nam epokę Lecha i Wyszymira i piśmiennictwo nasze zbogaca utworami, którym tego tylko niedostaje, żeby o nich powiedzieć można: one pochodzą z żywych, szeroko rozpostartych tradycyj ludowych, a dziś wzniesione do ideału, ubarwione wdziękiem nowożytnego wieszczopisarstwa, mieszczą się w rzędzie poematów na ludowéj zbudowanych podstawie.“ Dmochowski widocznie nie oceniał dostatecznie doniosłości tego braku, o którym wspominał, a który sam jeden wystarczał, ażeby do indywidualnych fantazyj poetki o czasach zamierzchłych nie przywiązywać wagi. Stąd téż zdobył się tylko na zaznaczenie faktu, „że ogół nie czując z mlekiem macierzyńskiém wyssanéj wiary w obrazy i przygody bohaterów poematu, niełatwo idzie za duchem poetycznym autorki, i na te poemata zapomnianych wieków, zapatruje się jako na utwory tegoczesnéj sztuki i fantazyi.“ Przy zaznaczeniu tego faktu dodać właśnie wypadało, że nie tylko ogół ale i krytyka inaczéj zapatrywać się ani potrzebowała, ani mogła. Ale Dmochowski był innego zdania. Niepopularność „Polski w pieśni“ złożył na porę nieprzyjazną dla

niéj; „bo—jak powiadał—dla zajęcia się i upodobania sobie w utworach imaginacyi, potrzeba albo prostoty pierwszych epok cywilizacyi, albo swobodnego wypoczynku myśli, pośród skarbów przyrodzenia i sztuki;“ stąd téż twierdził, że „czas nie tylko nie umniejszy zalet poematów Deotymy, lecz nowéj ceny im doda.“ Przepowiednia ta, jak dotąd, nie spełniła się; dziś jak przed laty, uznając te i owe w poematach tych piękności, musimy je uważać co najmniéj za spóźnione w swoim pojawie; potrzeba im było o wiele mniéj wymagających, o wiele naiwniejszych czytelników.

III.

Autorka nie ustawała w pracy. W r. 1860 odbyła wycieczkę w Karpaty mając na myśli między innemi i potrzebę przygotowania sobie tła przyrody dla dalszych części „Polski w pieśni.“ Obmyśliła bowiem już wtedy plan obszernéj trylogii dramatycznéj, mającéj zamknąć dzieje Krakusa i Wandy. Krakus występował już w „Wyszymirze“ a w „Dwunastu Wojewodach,“ którzy uciskając lud zmienili „swe orszaki na wojska, swe zwady na wojny,“ on jeden, „czczony i spokojny, sprawiedliwość ojcowską wymierzał z Wawelu, a lud w jego dzielnicy wzrastał w zamożność, szlachta żyła zgodnie. On téż się stał gwiazdą nadziei dla narodu; ku niemu wysłańcy uciśnionych, Wyrwidąb i Waligóra, zmierzali, jak się zdaje z zakończenia poematu, ażeby objąwszy władzę, pozbawił jéj tych, co się nad ludem znęcali. Dzieje Kraka miały zapewne stanowić pierwszą część owéj trylogii dramatycznéj. Czy ją wykonała poetka, nie wiemy. Zaszły tymczasem takie okoliczności, które myśl jéj w inną stronę zwróciły lub téż od pracy odrywały. I tak w r. 1862 zajęta była pisaniem poematu o Kordeckim, który czy został wykończony, nie wiadomo. Pod koniec tegoż roku (w początkach września) z powodu mocno nadwyrężonego zdrowia musiała Deotyma wraz z matką pojechać do Włoch, skąd dopiero w maju r. 1863 powróciła. W r. 1864 towarzyszyła ojcu swewu, Wacławowi, wysłanemu na Syberyą. Puszczając się w drogę, zabrała z sobą rozpoczęty poemat dramatyczny o Wandzie i „pod niebem północnego wschodu“ powstawały zwolna dalsze jego części, czyli, jak mówi poetka, „z poza mroźnych nasypów ta pieśń wybuchała jak Hekla wre i kipi za ryglami z lodu.“ Jeden ustęp powstał w ziemiach nadwołżańskich, w Jadrynie; powiada o nim Deotyma:

Wśród zadymek i szturmów śniegowego morza
W pochylonéj chałupce siedząc na pudełku,
Pisałam przy okienku o klejoném szkiełku
Gdzie tęczami północna falowała zorza.

Inny utworzony został w starym dworku czembarskim, „gdzie kawki wyprawiały sejmik bez ustanku“; inny znowuż rodził się nie pod dachem nawet, lecz „na spiekłym stepie, gdzie gnany postrachem tłum dwudziestotysięczny uciekał z rozpaczą“ w czasie pożaru Symbirska. Po śmierci ojca w r. 1867 poetka nie chciała się rozstać ze swoim utworem jako drogą pamiątką chwil spólnie z nim przebytych; strzegła jéj więc „zazdrosna, przed chłodnemi oczyma, złośliwemi szpony.“ Dopiero po latach dwudziestu od czasu utworzenia poematu, posłyszawszy w sercu swém głos, „iż pieśni są dla rzeszy a nie dla pieśniarza“, wykończyła go w r. 1884, przypisała w pięknym wierszu dedakacyjnym pamięci ojca i wydała wreszcie z datą roku 1887.

Pierwotny pomysł trylogii dramatycznéj został zarzucony; dzieje Kraka nie weszły do obrazu; powstał dramat o Wandzie tylko w pięciu aktach z prologiem i epilogiem.

W prologu widzimy Wandę wśród białych ksień, „matek wiedzy“, w dolinie Kościeliskiéj. Wykształcona przez nie w ciągu lat trzech, przejąwszy od nich wszystkie tajemnice przyrody i ducha, zahartowana na wszelkie przygody, wyczytuje na skale Pisaną zwanéj starożytną wróżbę, obiecującą szczęście i wielkość Lechitom, jeżeli córa pogromcy smoka do grobu zachowa „kalinowy wieniec.“ Ksienie wytłómaczyły zamyślonéj dziewicy, iż jéj to niewątpliwie dotyczy przepowiednia, wyświęciły ją na ksienię pod imieniem „Władnéj“, wróżąc, że przez nią „może niewiasta dorówna mężowi“; ale nie radziły jéj krępować się ślubem pozostania „samotną i białą.“ Podrażniona nieufnością w jéj siły, Wanda ślubuje Dziewannie, splatającéj wianki dziewicze, iż żaden śmiertelnik jéj ręki nie otrzyma, iż duch narodu będzie jedynym kochankiem, któremu zaprzysięga miłość wierną aż po grób. Wówczas z chmur wiszących w głębi doliny wysuwa się „postać obłoczna“, która przepływa po Dunajcu, podnosi rękę i w mgle się rozprasza. Był-to duch narodu, cień Lecha; Wanda wpatruje się klęcząc w tę postać, potém słania się i upada bezprzytomnie. Ocucona przez białe ksienie, mówi o swém widzeniu; gdy wtém przybywają posłowie narodu Wyrwidąb i Stanisław, donoszą o śmierci Krakusa, o wywołaniu z ziemi młodszego brata za zabójstwo tegoż i o powołanie na tron Wandy. Gdy Wanda udaje się wraz z posłami, aby zacząć życie czynne, na jednéj ze skał pokazuje się czarnoksiężnica Piorunna „w szacie jaskrawéj, czarnym płaszczem po wierzchu owiniętéj“, grozi ręką w stronę odchodzących, zapowiada zemstę czarnych ksień i znika.

W akcie I przedstawiającym nam Wandę jako królowę w otoczeniu rycerek na placu wiecowym pod bramami Krakowa, jest wy-

kład programu postępowania reformatorki doli kobiecéj. Wypowiedziane tu są myśli, które się w entuzyastycznych głowach kobiecych około roku 1860, kiedy jeszcze twarda konieczność jęcia się pracy na polu ekonomicznêm i nauki nie objawiła w całéj grozie, silnie się roiły. Wanda nie dlatego dała w rękę niewiastom „sierp wojowniczy“, by ich do rozlewu krwi zaprawić i żądzą podbojów zapalić, lecz aby je wprowadzić na przyszłe wiece i zażądać „praw nowych dla nowéj zasługi“, mając nadzieję, że z wiecu na wiec z latami bujny plon się zbierze i kiedyś „w wielkiéj kraju gospodarce i ród niewieści własne zdobędzie zagony.“ Pomiędzy rycerkami znajdują się i zawzięte przeciwniczki mężczyzn, któreby przynaglić chciały królowę do wypowiedzenia wojny mężom, ale Wanda nie chce się uciekać „do bogów siły“, pewna, że niewiasta zawsze u nich przegra, karci Włastę za myśl wojny przeciw ojcom, braciom, narzeczonym i powiada:

Choćby nam bitwę stoczyć raz przyszło jedynie;
Choćby nasz los na wieki miał zależéć od niéj;
Choćby nas miała podnieść nad same boginie:
Precz ze zwycięstwem opartém na zbrodni!

Wanda pragnie tylko okazać, że i niewiasty do czynów są zdolne, a tym sposobem zjednać im przyszłość lepszą, niż była przeszłość; lecz nadto pragnie zmienić obyczaje niewiast, oduczyć ich płochości. Właśnie nastała chwila próby a téj rycerki nie wytrzymały. Zaledwie giermek zapowiedział przybycie swatów Rytygiera o rękę Wandy, zaraz myśli rycerek zwróciły się ku wysławieniu jego piękności, zaraz się ożywiły i rozweseliły. Wanda przed najserdeczniejszą przyjaciółką swoją, Tomiłą, wynurza żal z tego powodu. To „rój wietrznic—powiada—jak je chwycić za motyle skrzydła? pochlebiam ich próżności, rzucam im świecidła, oznaki dostojeństwa, zwycięskie obrzędy, ufna, że tą przynętą zatrzymam je w sieci; próżno! łakotkę połkną, a nie tkną się wędy;— przemów do nich poważnie,--ogarnia je nuda; mów o strojach i chłopcach—zapał z oczu świeci.“ A i w garnięciu się do rycerskich zastępów, powoduje niemi próżność: „ta lśniący hełm włożyła, bo jéj w nim do twarzy; ta inna, bo domową pracę ma w ohydzie.“ Żadna zaś nie czyni tego ani przez czysty obowiązek względem ojczyzny, ani „przez szlachetny głód czynu, miłość wielkiéj sprawy“, ani nawet przez żądzę chwały bohaterek. O zalotność rozbija się według Wandy cały jéj trud; dopóki powołuje pod sztandary, „dziewki garną się, matki są wyrozumiałe; kto wie — myślą—czy sława nie przywabi męża? Nawet wahanie się ojców przed tym przypuszczeniem ustępuje. Lecz gdzie trzeba wystąpić odważnie ze swém zdaniem, gdzie trzeba „narazić się męskiemu

sądowi", Wanda znajduje milczenie i strach; „jeśli która się zerwie i śmiało wysłowi, to chyba z tych, co wszystkie straciły nadzieje przez ciężki zawód serca." Nie lepiéj się przedstawiają Wandzie siwe białogłowy; widzi w nich „głębokość serca" a „ciasność myśli"; póki rzuca „czcze skargi na minione wieki", lub roi marzenia na przyszłość daleką, słuchają jéj wzdychając; lecz jak tylko chce ściśléj określić, co przedsięwziąć należy dla podniesienia kobiety, zaraz się wzdrygną i mówią: „czemuż właśnie *dziś* zaczynać? czemu właśnie na córkach *naszych* doświadczać téj próby." Największym wrogiem dzieła Wandy, zmierzającego do wywalczenia stanowiska wyższego dla niewiasty, jest sama niewiasta. Gdyby jéj bóstwo jakie dało do wyboru: albo być szanowną, mądrą, umieć wieszczyć, lecz pozostać samotną; albo też mieć taką ciemnotą oprzędzone swe myśli, że „mrówka czy pszczoła, najuboższe zwierzątko" zrównałoby jéj rozumem, lecz za to być uwielbianą przez młodziana, któryby twierdził, że nieświadomość jéj wyższa od mądrości; — żadnaby nie wybrała losu pierwszego.

Te wywody Wandy, w których łatwo odnaleźć odgłos rozmów i rozpraw toczonych przed laty dwudziestu, były podstawą poprzedniego i są wskazówką jéj dalszego postępowania. Na wszystkie oświadczenia miłości odpowiada jednostajnie, że nikomu serca nie odda, że służy tylko sprawie kraju i niewiast. Tak odprawia Stanisława, który odmalowawszy swą miłość w długiéj tyradzie, zakończył ją jak prawdziwy romantyk słowami, że ją będzie czcił milcząc, schyliwszy kolana, „robaczek zakochany w gwieździe złotowłoséj, co nawet o nim nie wie, a jednak mu świeci." Tak też traktuje madrygały posła od Rytygiera. Tak też przyjmuje pierwsze oświadczyny samego bohatera, rozmiłowanego w niéj do szału, gdy się wyrwał z Rugii do Lechii wbrew żądaniu ambitnego kapłana-oszusta, który groził zemstą bogów za podjęcie wyprawy w czasie święta Herty, na ten cel umyślnie przezeń inscenizowanego.

Inaczéj jednakże przemówiło jéj serce, którego słabość umiała wyzyskać czarnoksiężnica Piorunna, obiecując Wandzie pokazać bożka miłości Lela i uprosić u niego powrót spokoju. Przebywa wtedy chwilę straszną: przed oczyma jéj wyobraźni stają okropne widziadła, jako wynik jéj słabości, że serce swe ku cudzoziemcowi skłoniła:

Topór huczy... Padają świątyń naszych gaje.
Snuje się tłum obcych twarzy...
Dzieci zapominają ojców swoich mowy...
Młodzież w obcym stroju
Pogardza rolą o pracy surowéj. .
Kto przeszłość jeszcze kocha, jak cień chodzi w tłumie;

Kto dawny obrzęd święci, zamyka się w domu,
Kto dawną piosenkę umie,
Zaśpiewać jéj nie ma komu.
Brat podsłuchuje brata... brat wydaje brata!
I wszystko, co było święte,
Staje się wyklęte.
Lech wychodzi z mogiły, woła dawnéj chwały,
Do serc i do drzwi puka... nikt sercem nie slucha!
Drzwi zamknięte. I kraj cały
Zapada — w poddaństwo ducha.

Ale i te widziadła już nie mogą powstrzymać serca po raz pierwszy silniéj bijącego; dla Wandy „nawet wiedza" kojącą moc utraciła.

Na wezwanie Piorunnéj, która urządziła scenę taką jaką Wergiliusz opisuje, gdy Eneasz z Dydoną schronić się przed nawałnicą w grocie musieli, zjawia się Wanda o północy w lesie. Sześć czarnych ksień nakłada sześć ognisk, po trzy z każdéj strony wejścia do jaskini. Piorunna, wziąwszy różową laseczkę do ręki, stara się w Wandzie osłabić ducha i nakazuje, żeby za pojawieniem się Lela, wymówiła słowa: „Kocham Rytygiera; czy chcesz wydarte powrócić mi serce?" Powstaje szum w lesie; zrywa się gwałtowny wicher, z sześciu ognisk wybuchają wielkie płomienie różnobarwne; zwolna wicher ucisza się i w szum dźwięczny rozpływa. Piorunna z laseczką podniesioną staje przed wejściem jaskini; każda z sześciu innych ksień przed jednem z ognisk; rozpoczynają się śpiewy; na wezwanie Piorunnéj: Lelu, pojaw się! występuje z głębi jaskini Rytygier — zupełnie jak w operze czarodziejskiéj. Wanda osłupiała. Piorunna nakazawszy jéj wypowiedzieć owe słowa, odchodzi w głąb sceny, tam podnosi laseczkę różową i czyni znaki ku niebu; wnet zaczyna się chmurzyć i ściemniać; podczas tyrady Rytygiera słychać grzmoty. Wanda cuci się i wrze strasznym ku Piorunnéj gniewem, która téż skarcona oddala się z „ponurém podziwieniem." Dowiedziawszy się, że Rytygier o podstępie Piorunnéj nic nie wiedział, nie chce mu wprawdzie wyznać, że go kocha, ale odmowę swoję łagodzi prośbą o dzień zwłoki; poczém, choć burza szaleje, pioruny biją, odrzuca propozycyą Rytygiera odprowadzenia jéj do domu; rozchodzą się więc w różne strony.

Nazajutrz odbywa się wielka uczta w książęcym dworze w Krakowie, na którą zaproszony był Rytygier ze swym orszakiem. Tomiła wyrzuca jéj, że się sprzeniewierzyła wielkiemu posłannictwu, ale w końcu, jak prawdziwa przyjaciółka, radzi żeby jeżeli kapłanie nie rozwiążą jéj ślubu, sama go rozwiązała „prawem serca" własnego. Otuchy i odwagi dodaje jéj także opowiadanie Płomniewy o rozkoszy pocałunku. Ale zatruwa jéj tę rozkosz zawzięta Własta, robiąca jéj wyrzuty:

Po co było zaczynać? W śpiący, zapomniany
Świat niewieści podrzucać pochodnię pożaru?
Namawiać nas do buntu! Sypać sól na rany?
A potém .. potém pierwszéj uciec zpod sztandaru?
Ty dla mnie byłaś Prawdą z nieba zeszłą żywcem.
Ja dumna szłam za tobą jak pies za myśliwcem.
Pyszniłam się, że jestem takich rąk narzędziem.
Teraz cóż mi zostanie? Marzyłam szalenie!
Tracąc cię, tracę wiarę w wielkość i natchnienie.
Gdy i ty nas zawodzisz, w kogóż wierzyć będziem?...

Na te wyrzuty nie umie Wanda znaleźć odpowiedzi.

Podczas biesiady Rytygier tańczący z Wandą i śpiewający krakowiaki pozyskuje uwielbienie kobiet oraz mężczyzn, którzy się w księżnéj nie kochali. To uwielbienie podżega miłość w sercu Wandy, gdy widzi, że naród nie będzie przeciwny jéj wyborowi; ale nadzieje jéj znów zamąca kapłan Niebosz, oświadczając, że nie wie, czy bogowie od ślubu ją zwolnią. Wtedy Wanda w pięknéj modlitwie do Dziewanny, błaga ją „przez czar powitania, dreszcz oczekiwania, rozpacz pożegnania, przez śmierć rozstania," by zapomniała o niéj w „swém słoneczném niebie," bo ona pragnie ziemi „z radościami jéj gorzkiemi, cierpieniami czarownemi...." Następuje znów scena czarodziejska, w której czarnoksiężnice wabią ją ku sobie, wystawiając rozkosze miłości, a białe ksienie przypominają obowiązek bronienia doli kobiecéj i przyszłości narodu, a w końcu przepowiadają, że na dziejów sądzie wyprze się jéj narodowy duch. Tego ciosu znieść Wanda nie mogła i choć serce jéj pękało, wyrzekła się miłości. Białe ksienie błogosławiąc to postanowienie odchodzą, a Wanda z okrzykiem: „Światłość zwycięża, wolność!" uderza włócznią w tarczę i znów się staje dawniejszą rycerką. Następuje walka z wojskiem Rytygiera, który przez galanteryą rozkazał mu się cofać. Wanda, spotkawszy wodza, każe mu walczyć z sobą, ale ten odpowiada: „drzewo na mym grobie uschnie, jeśli kobietę dotknę bronią męża," ale na stanowcze jej domaganie się bierze miecz do ręki. Stoją naprzeciw siebie, ale żadne z nich nie śmie podnieść oręża na siebie. Wanda omdlewa, Rytygier chwyta ją w swoje objęcia; bohaterka wyznaje, że go kocha; wypowiadają duet miłosny, przerwany nadejściem rycerek. Rytygier wzięty do niewoli. Wandzie ukazuje się duch Lecha, duch narodu, jak w prologu, przytłumia w jéj sercu płomień miłości, „okuwa ją hartem zbroi, troski rozwiewa z pamięci"; budzi w niéj postanowienie poświęcenia mu wszystkiego. Z myślą, że „szczęsny, kto kocha i żyje, szczęśliwszy, kto ukochawszy umiera"; rzuca się do Wisły. Rytygier zabija się.

W epilogu „głos lutnistki“ wzywa „głos miłości“, by wyśpiewał chwałę Wandy, jéj ukochanego, Tomiły, Wyrwidęba, Stanisława. „Głos miłości“ spełnia to życzenie i daje przestrogę, że kto się zrzeka miłości i „chce wieczne prawdy głosząc wzbić się nad człowieka, ten żyć musi nad burzami, na lodowym szczycie; lecz kto zejdzie na dolinę, musi żyć jak żywi, lub go dotknie straszna zemsta, bo tych co miłością gardzą, miłość zabija.“ Duch Lecha pozwolił Wandzie połączyć się po śmierci z Rytygierem:

Wiek po wieku dniem się zdaje rozkochanéj parze.
Kwieciem wonny miód młodości piją w jednéj czarze,
Wspólną myślą jak weselnym łamią się kołaczem,
I przez oczy, które nigdy już nie zajdą płaczem,
Zamieniają duszę z duszą jak pierścień zamęścia.

Tak kończy się poemat dramatyczny o Wandzie, spóźniony owoc romantyzmu naszego. Więcéj ma on niewątpliwie zalet poetyckich od poprzednich części „Polski w pieśni“, bo już sam pierwiastek uczucia, tak silnie w nim uwydatniony, a nieporównanie gorętszemi niż w „Wyszymirze“ barwami oddany, wyróżnia go od nich dobitnie; ale pod względem ducha i wykonania jest z niemi spółrzędny. Nie dzisiejszy to sposób pojmowania przeszłości i nie dzisiejsza metoda odtwarzania jéj w poezyi. Całość ma zakrój operowy w tém znaczeniu, że poetce, chodzi o malowniczość scen i sytuacyi bez względu na to, czy można je sobie jako rzeczywiste pomyśléć czy nie. Pierwiastek fantastyczny w nadmiernéj ilości wprowadzony sprawia, że wszystko się przedstawia jako baśń; tam zaś, gdzie się widzi ludzi, ich myśli, rozumowania i uczucia, mamy odtworzony duch spółczesny poetce nie zaś ten, jaki sobie wyobrażamy w przeszłości. Rażącém nawet ze stanowiska poetki jest uwydatnienie szarlataneryi wśród kapłanów i ksień; przypominają się tu bowiem augurowie z czasów zamierania wiary, nie zaś naiwni wyznawcy potęgi i przemożnego wpływu bóstwa. Wskutek takiego wystawienia tego czynnika, wszystko, co się mówi o znaczeniu ślubów bogom składanych, cała dramatyczność położenia Wandy wobec złożonéj przed laty przysięgi, traci swoję doniosłość, a przynajmniéj silnie w podstawie swéj jest zachwianém.

Pięknych, prawdziwie natchnionych ustępów nie brak „Wandzie“; ale są to cząstki tylko całość zaś nie może sprawić głębszego wrażenia, bo nie ma w niéj ludzi prawdziwych, niema kolizyi, któreby na seryo mogły być nam zrozumiałemi i naprawdę wstrząsającemi; są tylko uosobione abstrakcye, albo fantazye, nic spólnego z rzeczywistością obecną lub minioną nie mające.

P. Chmielowski.



ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Memoriale ordinis fratrum Minorum a fratre Joanne de Komorowo compilatum ediderunt Xaverius Liske et Antonius Lorkiewicz. Leopoli 1886, wielka 8-ka, str. 420.

Oddawna uznaną jest rzeczą, że wpływ zakonów w wiekach średnich niepospolitą miał doniosłość i znaczenie w wewnętrznym rozwoju narodów. Jeżeli dziś przy zmienionych warunkach cywilizacyjnych oczywiście możemy i musimy inaczéj zapatrywać się na kwestyą ich bytu, to w odległych owych czasach, kiedy klasztory bywały ogniskami oświaty i kultury, kiedy mnisi z propagandą religii rosnosili światło nauki po krajach, nie możemy zakonom bez ujmy dla sprawiedliwości odmówić zasług i to niemałych. W uznaniu tego rozpoczęto za granicą nie od dzisiaj badać ich dzieje, poświęcać im osobne rozprawy i osobne wydawnictwa. U nas zrobiono pod tym względem jeszcze mało, że jednak i tutaj rozpoczęto umiejętną i wymogom dzisiejszéj krytyki odpowiadającą pracę,—dowodem książka niniejsza, któréj tytuł podałem wyżéj. Dzieło to odnosi się specyalnie do historyi zakonu franciszkańskiego i jest, o ile wiemy, pierwszém u nas tego rodzaju, stojącém na wyżynie obecnéj nauki, a jak znakomite przynosi wyniki, nietylko dla dziejów polskich Minorytów, lecz ogólnych tego zakonu dziejów, — będę się starał pokrótce przedstawić.

Zakon Franciszkanów, założony w początkach XIII wieku przez św. Franciszka z Assyżu, należy do najmniéj jeszcze zbadanych. Sam żywot założyciela, jakotéż pierwsze zawiązki owego bractwa, które w potężny wkrótce wzrosło zakon, spowite w mgły cudownych legend, mnóstwo mają nierozjaśnionych jeszcze kwestyi. Wprawdzie w XVII w. znalazł zakon swego historyografa w Waddingu, którego olbrzymie dzieło: *Annales Minorum* opowiada jego dzieje

od samych początków, ale praca ta chaotyczna, brakiem krytyki i rozumnéj metody badania zupełnie nie odpowiada celowi, a ogromem odstrasza i zniechęca. Ale Wadding rozporządzał materyałem w kronikach i legendach, jaki, kto wie, kiedy zdołamy skupić, wiele bowiem z tych źródeł zagineło i tylko z niego są nam znane. Krytyczny rozbiór najdawniejszéj literatury zakonu zainaugurował Jerzy Voigt wydaniem najstarszéj kroniki Jordana z Giano (*Die Denkwürdigkeiten (1207—1238) des Minoriten Jordanus von Giano. Leipzig 1870*), poprzedzonéj wyborną przedmową, roztrząsającą, a w wielkiéj części i rozstrzygającą, znaczną ilość pytań z pierwotnych dziejów i piśmiennictwa zakonu. Zrobiono mimo to niewiele dotychczas, a przyczyna tego głównie w ogromnym braku zaginionych źródeł. Prócz Waddinga bowiem, mającego ostatecznie wartość jedynie dla owych nieznanych kronik, które pochłonął, znamy tylko Jordana, najstarsze źródło i znacznie późniejszego, bo piszącego w r. 1508, Glasbergera. Ogniw, łączących Jordana z Glasbergerem nie mamy, choć pewna, iż istniały. Obecnie przynoszą wydawcy pp. Liske i Lorkiewicz kronikę Jana Komorowskiego, a jakkolwiek powstała dopiero w XVI w., wartość jéj, jest niemałą.

Nową zupełnie ona nie jest. W roku 1873 wydał kronikę Jana z Komorowa prof. Zeissberg w *Archiv für österr. Geschichte* tom 49, część II. Czyż wobec tego wydania obecne nie zdawałoby się zbędném? Zapewne że nie. A to dlatego, że Zeissberg rozporządzał jednym tylko rękopisem, znajdującym się dziś w bibliotece Krasińskich w Warszawie i dochodzącym tylko do r. 1503, podczas gdy obecni wydawcy mają prócz tego jeszcze dwa o wiele obszerniejsze i daléj idące, a powtóre wydanie Zeissberga jest tak błędne, że dość spojrzéć na długi, bo siedem stron (58—65) liczący wykaz omyłek i opuszczeń, popełnionych w niém, a podanych przez wydawców na końcu przedmowy, ażeby książkę jego raz nazawsze usunąć z rąk badaczy.

Na teraźniejsze wydanie złożyły się trzy rękopisy: 1-szy ręk. biblioteki Czartoryskich w Krakowie N. 3792, 2-gi ręk. bibl. Jagiellońskiéj N. 3539, 3-ci ręk. bibl. Krasińskich (1). Opis ich, pochodzenie, czas powstania i wzajemny stosunek do siebie znajdujemy skreślone z nadzwyczajną ścisłością w pierwszym rozdziale szerokiego wstępu (str. 3—18). Najważniejszym jest ręk. Cz., kwartant mający do str. 135*a*, kronikę pisaną własną ręką Komorowskiego, jak widać ze znajdującego się na pierwszéj stronicy napisu: *Fr. Joannes de Komorowo*

(1) Stosownie do skróceń przez wydawców używanych będę oznaczał nadal 1-szy rękopis przez *Cz.*, 2-gi—*Jag.*, 3-ci—*Kr.*

hunc librum compilavit. A zresztą liczne poprawki w tekście, dopiski na marginesie i wtręty na osobnych karteczkach, dokonane jedną ręką świadczą niezbicie, że mamy przed sobą brulion kroniki, ręką autora pisany i poprawiany. W ręk. Jag. widzimy wszystkie te boczne dopiski wciągnięte już do tekstu i rękopism ten przedstawia się nam jako odpis na czysto brulionu Cz., wykonany również własnoręcznie przez samego kronikarza. Oba sięgają do roku 1535; nadto mają jednak jeszcze późniejsze kontynuacye wkraczające aż w wiek XVII. Jeżeli zaś Kr. porównamy z poprzedzającemi, to przekonamy się, że pierwotny tekst Cz. uwolniony od wszystkich owych dodatków i dopisków równa się mniej więcéj tekstowi ręk. Kr., oczywiście tylko do r. 1503. Tak więc Cz. i Jag. przedstawiają większą redakcyą, Kr. mniejszą téj saméj kroniki, a właściwiéj z powodu drobnych różnic i odmian: *Kr. mniejszą pierwotną*, *Cz. pierwszą większą*, *Jag. drugą większą redakcyą.* Że tak jest, dowodem zresztą czas powstania wszystkich trzech rękopisów, do którego oznaczenia dochodzą wydawcy na podstawie wewnętrznéj analizy, a mianowicie: Kr. powstał około 1512 (między 1511—3), Cz. zaś 1534—5. A zatém dwa razy zabierał się Komorowski do pisania swéj kroniki, przedział między niemi dwudziestokilkoletni. U schyłku swego życia odpisał zaś jeszcze tę drugą redakcyą i z tego powstał Jag.

Wypada nam tu powiedziéć słów kilka o życiu Jana z Komorowa, przyczém pójdziemy za krótką, lecz wyczerpującą biografią, którą wydawcy umieścili w drugim rodziale przedmowy. O młodości kronikarza nie wiemy nic; pierwszą datę swego życia podaje sam, t. j. 8 września 1494 wstąpił do zakonu obserwantów franciszkańskich, czyli t. z. Bernardynów. W r. 1511 obrany został gwardyanem klasztoru wileńskiego, 1513 warszawskiego. Późniéj odbywał kilkakrotne poselstwa na kapituły powszechne w charakterze delegata lub komisarza, a 1517 po zupełném oddzieleniu obserwantów od konwentualnych mianowała go stolica apostolska pierwszym ministrem prowincyi polskiéj i kustoszem przy wyborze nowego ministra. W latach 1520—1523, 1529—1532 piastował Komorowski godność prowincyała, którą złożywszy w r. 1532 usunął się w zacisze klasztorne i oddał pracy nad kroniką zakonu. Zdołał ją téż wykończyć szczęśliwie w ostatnich latach życia, a nawet odpisać na kilka miesięcy przed śmiercią, która nastąpiła 3 listop. 1536. Oprócz kroniki napisał on jeszcze dzieło: *Sermones de regula et condicionibus ordinis minorum*, które zaginęło, oraz *Introductio in doctrinam doctoris subtilis*, drukowane w krótkim czasie 1508—1519 cztery razy.

Kronika Komorowskiego rozpada się pod względem wewnętrznego układu na dwie części, których ustępy przeplatają się nawza-

jem, t. j. na dzieje powszechne zakonu i na specyalnie polskich Minorytów. Stosownie do tego dzielą też wydawcy na dwie części badanie swoje, z jakich źródeł i jak korzystał Komorowski w historyi ogólnéj, a szczegółowo polskiéj. Ten rozbiór krytyczny napisany z drobiazgową gruntownością, a dochodzący do bardzo ciekawych wyników, tworzy trzeci, najobszerniejszy rozdział przedmowy (str. 28—58), oraz dodatek na końcu kroniki (str. 409—420). A podnosi on témbardziéj wartość niniejszéj edycyi, ile że wydawcy, jako tacy, nie byli do niego koniecznie obowiązani. Otóż wynikiem tych badań jest: że Komorowski lubo cytuje dosyć często Jordana, nie miał go w oryginale przed sobą, przypisuje bowiem Jordanowi rzeczy, których ten nie posiada. Kronika, którą on podaje jako sięgającą do czasów Bonagracyi i Mikołaja III (1279—1280) nie mogła być Jordanem, jak mylnie twierdzi Komorowski, lecz była według wydawców zapewne kroniką Balduina, który przejął opowiadanie Jordana i za którym nasz kronikarz tego ostatniego powołuje, jak gdyby zeń bezpośrednio korzystał. Kronikę tę miał Komorowski uważać jako Jordana i ztąd owa mylna data zakończenia. Balduin zaginął, kroniki jego nie znamy, a mogła ona sięgać, jak dochodzi Voigt na innéj drodze (z Waddinga) mniéj więcéj do r. 1278. Jakkolwiek jednak hipoteza wydawców dziwnie przystaje do wniosku Voigta, budzi pewną wątpliwość ta okoliczność, że Komorowski widząc Jordana cytowanego (np. *ut dicit Jordanus*, co miał żywcem przenieść z Balduina) musiał spostrzedz, że cytujący Jordana, nie może być Jordanem. A przecież mówi on wyraźnie, że Jordanus sięgał 1279—1280, dokąd opowiadanie tegoż, spisane na kapitule halberstadzkiéj r. 1262 żadną miarą sięgać nie mogło. Sprawa ta niedość jasna, przyznać jednak trzeba, że na razie przypuszczenie wydawców ma najwięcéj za sobą. — Powyższą datę końcową Jordana podał Komorowski w mniejszéj redakcyi, w większéj mówi zaś, że kronika Jordana sięgała do r. 1244. Rzecz to bardzo ważna i ciekawa. Kronikę tę, nieznaną przedtém, wydał poraz pierwszy Voigt (ob. wyżéj) w wydaniu tém jednak urywa się opowiadanie na roku 1238 i to w sposób, każący się domyślać, że sięgało daléj. Dokąd? było dotychczas nieznaném. Jedyny dziś Komorowski daje dokładną informacyą, mianowicie na str. 24 Jag. powiada on: *In hoc capitulo fecit generalis dictus diligenter divinum officium corrigi et rubricas alias suppleri de mandato domini pape et gradualia et anthifonaria missaliaque correcta in provincias missa sunt, licet aduc tempore Gregorii 9. missa fuerint, ut scribit Jordanus de Javo et in hunc annum suam cronicam ab initio ordinis scripsit.* Że przez to *hoc capitulo* należy rozumiéć kapitułę Genueńską z roku

1244, a nie Bolońską z r. 1242, jak chcą wydawcy, dowodem najważniejszym, prócz innych względów, owo *de mandato domini pape*: od 8 października 1241 do 25 czerwca 1243 wakowała stolica apostolska, a więc w r. 1242 nie mógł papież dawać poleceń, bo go nie było. Jako koniec kroniki Jordana przyjąć należy zatém tylko r. 1244.

Ciekawym jest szczegół Komorowskiego tyczący się Tomasza di Celano. Dwóch uważają autorów legend o św. Franciszku, jeden ma być Tomasz di Celano, twórca słynnego hymnu: *Dies irae dies illa*, drugi nieznany bliżéj Tomasz di Ceperano; obaj figurują do dziś oddzielnie w literaturze niemieckiéj. Tymczasem od Komorowskiego dowiadujemy się, że dwaj ci Tomasze to jedna osobistość: *Thomas di Ceperano sive Zelano.*

Brak miejsca nie pozwala nam streszczać całego wywodu wydawców, odnoszącego się do dziejów ogólnych zakonu, dość powiedzieć, że Komorowski, korzystający z licznych bardzo dawnych źródeł, których po większéj części już nie znamy, podający mnóstwo nieznanych a ważnych i ciekawych bardzo szczegółów do najdawniejszéj literatury i historyi zakonu, posiada bardzo znaczną wartość dla badacza owych dziejów.—Zwróćmy się natomiast do téj części kroniki, która opowiada dzieje polskich obserwantów. O pierwszych klasztorach franciszkańskich wogóle mówi on bardzo mało gdyż wziął sobie za przedmiot dzieje Bernardynów, który to zakon, zwany także *Franciscani de observancia*, powstał z początkiem XV w. za wdaniem się Bernarda Seneńskiego, jako odłam wielkiego zakonu Franciszkanów. A ponieważ pierwszy klasztor polski Bernardynów założono dopiero w r. 1453, miał Komorowski zaledwie kilkanaście lat wstecz, w które nie sięgał pamięcią. Żywa tradycya jest u niego wtedy główném źródłem; co chwila odwołuje się na kogoś ze starszych, którzy widzieli lub słyszeli osobiście o tém lub owém. Nie ulega jednak wątpliwości, że musiał mieć pod ręką także i zapiski jakieś prowincyonalne lub partykularne. Dwa razy powołuje także kronikę Miechowity, oczywiście tylko w większéj redakcyi, korzysta zaś z niego bardzo mało. Stosunkowi Komorowskiego do Miechowity poświęcają wydawcy cały dodatek (409—420) i do tego szczegółowego rozbioru, wykazującego z jednéj strony, że w mniejszéj redakcyi (1512) nie mógł mieć i nie miał Miechowity (wyd. 1519), z drugiéj, że w Cz. i Jag. zagląda do niego bardzo rzadko, odsyłam pragnących się zaznajomić z tą kwestyą oraz pouczyć się co do metodycznego jéj traktowania; zwracam jednak specyalnie uwagę na ustęp o założeniu klasztoru w Inowrocławiu, w którém dochodzeniu bystrość i skrupulatność walczą o pierwszeństwo. Prócz tych źródeł miał Komorowski, jak sam powiada, książeczkę po mnichu Melchi-

zedechu znalezioną w klasztorze wartskim, w której książeczce były rozmaite zapiski i to ważne (*multa bona*) a szczególnie podróż Jana Kapistrana z Rzymu do Polski, opisana przez sekretarza biskupa wileńskiego, towarzyszącego Kapistranowi w roli tłómacza, i ztąd pochodzi, że u Komorowskiego znajdujemy o téj podróży takie szczegóły, jakich nie znajdujemy w żadném inném źródle. — Wartość polskiéj części naszéj kroniki odnosi się głównie do dziejów polskich Bernardynów. Przeniesienie ich na grunt nasz łączy się z podróżą Jana Kapistrana do Polski. Kiedy sława tego fanatycznego mnicha, który we Włoszech i Niemczech tłumy porywał grzmiącą wymową, obiła się o Polskę, zaprosił go król Kazimierz do przybycia do Polski. Przez Wrocław z posłami królewskimi przybył Kapistran pod Kraków 23 sierpnia 1453 roku, a król z matką swoją, biskup Zbigniew z masą duchowieństwa, szlachty i ludu wyszli naprzeciw niemu za Kleparz. Na cześć tego męża, którego już za życia posądzano o świętość, wybudował kardynał Oleśnicki pierwszy klasztor bernardyński polski w Krakowie na Stradomiu, a pierwszym tegoż gwardyanem został Władysław z Węgier, jeden ze świty Kapistrana. Porywające słowo mnicha-kaznodziei umiało zjednać zakonowi licznych zwolenników, on sam przyjął do reguły obserwantów przeszło sto osób i to wielu nawet ze znacznéj szlachty. Widzimy w nim wkrótce Kobylańskich, Balów, Melsztyńskich, Tarłów, Komorowskich i innych wielu. Zakon aklimatyzuje się w Polsce wybornie, wzrasta i potężnieje; na całéj przestrzeni Polski, Rusi i Litwy szybko powstają klasztory jeden za drugim. Według Komorowskiego założono u nas w XV w. klasztory Bernardynów: w Krakowie (1453), w Warszawie (1454), w Poznaniu, Kościanie, Wschowie (1455), w Kobylinie (1456), w Tarnowie (1459), w Lublinie, we Lwowie (1460), w Przeworsku, w Kaliszu (około 1460), w Kole (1466), w Warcie (1468), w Wilnie (1468), w Łowiczu, Radomiu (około 1468), w Kownie (1468), w Opatowie (ok. 1470), w Samborze (ok. 1474), w Bodzęcinie (1477), w Tykocinie (ok. 1480), w Bydgoszczy (1480), w Płocku (1490).

Po wprowadzeniu Bernardynów do Polski, tworzyła ona, stosownie do podziału całego zakonu, wraz z Austryą i Czechami jednę prowincyą, na któréj czele stał wikaryusz prowincyonalny, podlegający wikaryuszowi generalnemu, podczas gdy prawdziwi Franciszkanie t. z. konwentualni, w przeciwieństwie do obserwantów, mieli swego generała i prowincyałów. W początkach, kiedy jeszcze umysły zapalały się nowością idei, bo zakon ten powstał, z powodu rozluźnienia się obyczajów Franciszkanów, właśnie w tym celu, aby ściśle przestrzegać reguł założyciela, — życie klasztorne było dość nienaganne, a zwłaszcza gdy na czele stawali mężowie tak surowi i nie-

skazitelni, jak Bernard z Ingolstadu, który będąc wikaryuszem prowincyonalnym, rygorem swoim mnóstwo zrobił sobie wrogów między mnichami. Komorowski opowiada, że ten fanatyczny czciciel ubóstwa kazał w mszałach i śpiewnikach klasztornych niszczyć wszystkie malowane i złocone litery inicyałów. W Krakowie wstąpił na ratusz i wezwał rajców, aby zakonnikom dawali mniéj jadła i napoju, gdyż zbytek odciąga ich od ślubów zakonnych. W Warszawie przyszedłszy do klasztoru znalazł w kuchni pieczeń wołową; kazał więc gwardyanowi zabrać całą tę ćwiartkę i obnosić po ulicach miasta dla podziału między ubogich. „Ludzie — mówi o nim nasza kronika — czcili go jak anioła bożego, bracia nienawidzili, jak szatana.“ Z postępem czasu poczęły się do życia klasztornego wkradać coraz to wolniejsze obyczaje, a mnisi coraz bardziéj oburzali się na wikaryuszy, pragnących ich ująć w kluby pierwotnéj reguły. Zapomniano o ślubie ubóstwa, a zbytek zagnieżdżał się z rozpustą, jak o tém świadczą liczne anegdotki, które Komorowski dość naiwnie podaje. A że podagra, na którą według niego dość często chorują i umierają dygnitarze zakonu, nie pochodziła ze zbyt ścisłéj obserwy, zdaje się nie ulegać wątpliwości. — W r. 1467 nastąpił rozdział prowincyi austryacko-czesko-polskiéj, a Polska miała odtąd stanowić sama w sobie prowincyą: pierwszym wikaryuszem tym czysto polskim wybrano Maryana z Jeziorka. W pół wieku późniéj osiągnęli Bernardyni zupełne oddzielenie od Franciszkanów. Mając dotychczas tylko wikaryuszy gener. i prowincyonalnych, byli obserwanci w zależném stanowisku od konwentualnych. Na kapitule w Lugdunie 1517 otrzymali osobnych swoich generałów i prowincyałów, a pierwszym polskim prowincyałem mianowała stolica kronikarza naszego Jana z Komorowa.

Wszystkie te sukcesy nie zadowoliły jednak Litwinów, którzy przy każdéj sposobności występowali wrogo przeciw Koronie. Separatystyczne ich dążności przeniosły się z pola politycznych zatargów i na religijną odrębność. Magnatom litewskim zachciało się rozłomu prowincyi polskiéj, do któréj terytoryalnie należała Polska, Ruś i Litwa i z téj ostatniéj zapragnęli miéć osobną prowincyą litewską. Gorliwym ich zabiegom udało się uzyskać u kuryi zezwolenie na to, a Jan Komorowski, ówczesny prowincyał, choć wrogi tym dążeniom, musiał w myśl zlecenia papieskiego z bólem serca dokonać tego rozdziału, po którym zakonnicy Polacy musieli Litwę opuścić. Ale z zadowoleniem i pewnym odcieniem szyderstwa notuje Komorowski, że Litwini w żaden sposób nie mogli znaleść między swoimi godnego na urząd prowincyała i zmuszeni byli wreszcie obrać sobie Polaka. Gotarda z Siemiacina. Stało się to w roku 1530.

Prócz tego znajdujemy w kronice wiele drobniejszych rysów tak do dziejów zakonu, jak obyczajów wogóle, np. ciekawe anegdoty o składaniu skrzyń w klasztorach, o oszuście udającym Boga, o Szymonie z Lipnicy, który będąc komisarzem kazał w Warszawie nowicyuszom stać na rozpalonéj kracie bosemi nogami dla wypróbowania ich wytrwałości i t. p. Takich drobnych opowiadań, wypadków mniéj lub więcéj cudownych znajdujemy mnóstwo, a z jaką głęboką wiarą i dziecinną naiwnością umie on je opowiadać. I ani mu przez myśl nie przejdzie wątpić, że Władysław z Węgier wskrzesił osła zdechłego i ten mu niósł daléj rzeczy, że szatan w postaci Bernardyna zalecał się do kobiet i starał się je skusić, ażeby tym sposobem na zakonników rzucić podejrzenie rozwiązłego życia, że mnich po śmierci okazuje się i każe płacić długi swoje, że nienarodzone dziecię w łonie matki przez sześć tygodni głośno płakało i t. d.

Od Komorowskiego dowiadujemy się nadto o różnych zmarłych członkach zakonu, którzy się czémkolwiek odznaczyli i tak: Bernard z Żarnowca był to śpiewak i pisarz, który wiele książek przez siebie napisanych pozostawił po klasztorach, Ludwik z Warki ognisty kaznodzieja, miewający kazania w Warszawie na ulicach, gdyż kościół nie był w stanie pomieścić tłumów, jakie się doń cisnęły, Antoni z Radomska i Stanisław z Korzepia, profesorowie Akademii krak., Władysław z Gielniowa poeta religijny, który skomponował mnóstwo rozmaitych psalmów, hymnów i t. p. poezyi, oraz napisał w r. 1488 pieśń: „Jeszusza Judasz przedal“, śpiewaną powszechnie przez braci zakonnych i w. i.

Do politycznych dziejów Rzplitéj nie znajdziemy u Komorowskiego wielkiego połowu. Dotyka on ich wtedy tylko, gdy się wiążą z dziejami jego zakonu, i niewątpliwie można u niego z niejednym spotkać się nieznanym szczegółem. Zwykle te wypadki, których sam był naocznym świadkiem i sam osobiście brał w nich udział, opowiada z szeroką drobiazgowością pamiętnikarza. Tak np. napad Turków i Tatarów w r. 1498, zbyty u Miechowity kilku tylko słowami, kreśli obszernie i bardzo zajmująco. Nie mniéj ciekawém, a zupełnie dotychczas nieznaném jest opowiadanie jego o skarbie królowéj Heleny, które w krótkości pozwolę sobie powtórzyć.

Znaną jest nadzwyczajna hojność i rozrzutność króla, który umierając, nie zostawił, jak mówi Miechowita w 1 wyd. zupełnie nic. Tymczasem dowiadujemy się tutaj o olbrzymim skarbie, który żona jego Helena w 14 skrzyniach złożyła do przechowania w klasztorze bernardyńskim w Wilnie, aby przy sposobności wywieść go do swoich. Wszystko było już ułożone, królowa miała ze skarbem udać się do Brasławia, dokąd miało przybyć kilkutysięczne wojsko brata jéj

w. księcia dla straży i bezpieczeństwa. Plan cały odkryła ochmistrzyni jéj dworu Aleksandrowi ks. Grodzieńskiemu, a ten doniósł o tém ówczesnemu gwardyanowi, Janowi z Komorowa. Komorowski udał się natychmiast do Mik. Radziwiłła, woj. wileńskiego, ażeby on, jako *vicerex* strzegł skarbu i nie dopuścił, by wywiezieniem jego król tak ogromną poniósł stratę. Wojewoda roześmiał się na to i rzekł: „Ojcze gwardyanie, *szydzi wami*, jestem pewny, że ona nakładła tam kamienie ze słomą, a wam powiedziała, że to skarb.“ Komorowski zapewnił, iż widział skarby na własne oczy; to zdziwiło Radziwiłła, ale zarazem i przekonało. Zabrał więc czterech senatorów i udał się do królowéj dla zrobienia jéj przedstawień. Królowa wpadła w gniew, zaczęła wymyślać panom litewskim, tak, że ci chcąc choć trochę się salwować, zwalili sprawę na gwardyana. Wprawdzie Helena wylała teraz swoję złość na mnichów i zupełnie się od nich odwróciła, choć pierwéj hojnie ich wspomagała, ale Komorowski miał to zadowolnienie, że skarb został uratowany, témbardziéj, gdy Helena wkrótce umarła w Brasławiu, otruta przez panów litewskich, obawiających się utraty skarbu. — Jak olbrzymie były to bogactwa, widać z tego, iż po otwarciu dwóch skrzyń znaleziono w jednéj 1600 kóp szerokich groszy i 2000 czerw. złotych, w drugiéj pełno czystego złota, kosztowności, klejnotów, łańcuchów złotych, pierścieni (400 sztuk), drogich kamieni i t. p. Przez cały dzień trzéj pisarze nie zdołali sporządzić inwentarza jéj zawartości. A gdy późniéj wywieziono ten skarb na rozkaz Zygmunta, potrzeba było do tego szesnastu koni do dwóch wozów. Cały skarb zaś według oceny panów obecnych przy jego spisywaniu, wart był, jak mówi Komorowski, przeszło 400,000 flor.

Opowiadanie Komorowskiego szerokie często i plastyczne, obfitujące w mnogość zdarzeń i wypadków z własnego życia lub słyszanych od innych a przynoszące wiele ciekawych rysów obyczajowych i kulturnych robi kronikę jego bardzo poczytną, a autorowi jéj mogłoby nie bez słuszności zapewnić nazwę *pierwszego polskiego pamiętnikarza*.

Wypada nam jeszcze powiedzieć coś o kontynuatorach; w Cz. jest ich dwóch, w Jag. trzech. Pierwsza kontynuacya Cz. obejmuje rok 1536, druga rok 1608. W ręk. Jag. zaś sięga pierwsza kontynuacya od r. 1536—1557, druga napisana przez brata Innocentego z C. w Radomiu w r. 1581, obejmuje dalszy czas 1557—1581, trzecia wreszcie od 1592 — 1620. — Wartość ich dla politycznych dziejów Rzplitéj jest już znacznie większą, niż sama kronika Komorowskiego, szczególnie odznaczają się kontynucye 1 i 2 Jag. obfitością tego rodzaju zapisek. Mimo to mają one także główną ważność dla hi-

storyi obyczajów. W czasach kiedy ruch reformacyjny rozlewający się po Niemczech ogarnął i Polskę, zaczęły i do klasztorów wkradać się nowatorskie nauki. Znajdujemy tu kilka ciekawych tego przykładów. W r. 537 stał się w Łowiczu „szkandał“, „którego rozgłos w krótkim czasie nie tylko królestwo całe przebiegł, ale i ościenne księstwa.“ Dwaj mnisi warszawiacy wyszli wieczorem pokryjomu na miasto i wrócili aż nad rankiem, a zastawszy cele swe na rozkaz gwardyana zamknięte, wszczęli wielki tumult w refektarzu, rzucając się z mieczem na braci i chcąc gwardyana koniecznie zgładzić. Gdy ustąpili i znowu udali się do miasta, posłał gwardyan natychmiast na zamek po pomoc. Powstał w mieście ruch i zamieszanie, było to z rana w palmową niedzielę. Pachołkowie zamkowi nadbiegli i poczęli dobywać domu, w którym się mnisi zabarykadowali i dzielnie bronili przed nacierającymi, a ludność całego miasta zapchała ulice i przypatrywała się niezwykłemu widowisku. Wreszcie ujęci, zostali odprowadzeni na zamek, a później osadzeni w więzieniu dla duchownych w Uniejowie. W r. 1548 opuszcza klasztor Tomasz Słączyński były gwardyan Radomski i żyje przez dwa lata z kobietą, w następnym Józef z Pleszowa, gwardyan łowicki, który już kilkakrotnie przedtém był gwardyanem, rzuca habit i także oddaje się kobiecie. Wraca napowrót do klasztoru, lecz w 7 lat później stanowczo uchodzi z pod obedyencyi zakonnéj i przywdziewa *„carvatcam et saravary.“* W 1556 robi to samo gwardyan Ludwik Piec. Wypadki takie się mnożą; ascetyczna surowość pierzchła przed silniejszém rozbudzeniem się natury.

Do najciekawszych epizodycznych opowiadań i kontyn. Jag. należy téż niewątpliwie słynna sprawa ks. Czarnkowskiego ze studentami krakowskimi, któréj skutkiem było opuszczenie akademii i miasta przez młodzież akademicką w r. 1549. Pragnący zaznajomić się z tą sprawą znajdą w kronice, nie jedno nowe i odmiennie oświetlone niż indziéj.

Taką w najogólniejszych zarysach jest zawartość téj książki.

Co się tyczy wydawniczéj strony, to za podstawę wzięli wydawcy tekst Jag., w notach zaś, w górnym oddziele podają odmianki Cz. i Kr., w dolnym zaś wszelkie uwagi pochodzące od siebie. Pod tym względem, jeżeli jeszcze uwzględnimy znakomitą przedmowę, może edycya niniejsza stanąć obok najlepszych zagranicznych wydawnictw. Indeksu na końcu nie znajdujemy, gdyż książka ta jest tylko odbitką z 5-go tomu „Monumentów Poloniae“, który może w prędkim czasie ukaże się i sumaryczny spis rzeczy będzie miał na końcu.

Ferdynand Bostel.

— Pruski minister oświecenia polecił w r. 1884 budowniczemu rejencyjnemu Lutschowi w Wrocławiu wygotowanie *spisu szląskich zabytków sztuki architektonicznéj, plastycznéj, rzeźbiarskiéj, malarskiéj i przemysłowo-artystycznéj*, z dodaniem szczegółów, tyczących się stylu zabytków, ich historyi, a mianowicie czasu ich powstania. Pracy téj wyszedł u W. G. Korna w Wrocławiu pierwszy tom p. t. „*Die Kunstdenkmäler der Stadt Breslau.*“ W pierwszéj części jest mowa o kościołach i kaplicach wrocławskich, jako budowlach, i o zabytkach architektonicznych nie kościelnych, a mianowicie o gmachach publicznych; w drugiéj części o zabytkach, znajdujących się w kościołach, kaplicach i w ratuszu wrocł., a mianowicie o ołtarzach, ambonach, tumbach, kamieniach, tablicach i pomnikach pośmiertnych, stalach, chrzcielnicach, wyrobach ornamentacyjnych z drzewa, kamienia, z żelaza lanego lub kutego, z bronzu, o malowidłach, statuach i t. p. — „*Die Kunstdenkmäler der Stadt Breslau*“, jako i następne tomy Spisu mają być uzupełnieniem zbioru dokumentów i regestrów szląskich (*Acta Publica* i *Regesten zur schlesischen Geschichte*), wydawanych w imieniu Towarzystwa dziejów i starożytności szląskich, mają nadto służyć — jak autor w przedmowie zaznacza — nie tylko celom urzędowym i naukowym, ale mają nadto stanowić przeważnie podręcznik dla tych, którym o oznaczenie czasu powstania zabytków odnośnych i o oznaczenie wartości i ważności ich artystycznéj chodzić będzie. O ile p. L. zadaniu temu zadosyć uczynił, specyaliści fachowi ocenią. Zabytków przedhistorycznych i XIX wieku autor nie uwzględnił. Niepominięcie mianowicie pierwszych byłoby dziełu p. L. dodało ważności. Pominął téż autor odnośne okazy archeologiczne, w Muzeum szląskich starożytności w Wrocławiu się znajdujące, i wszystko to, co obie biblioteki wrocławskie, miejska i uniwersytecka, obok księgozbiorów posiadają. Utworom, po 30 letniéj wojnie powstałym, poświęca autor mało w ogólności miejsca; wcześniejszym tém więcéj, im się więcéj zbliżają do czasu wytwarzania się nowszych stylów. Literatura, w bliskiéj i dalszéj styczności z zabytkami spisanemi i opisanemi pozostająca, podana jest obficie w zwięzłych wyimkach, aby przyszłym badaczom oszczędzić — jak autor dodaje — mozolnéj pracy robienia wyciągów. Literatura ta jest niestety bardzo ubogą w ilustracye, które, jeżeli gdzie, to na polu fachowéj oceny i opisu szczegółowego płodów sztuki dla unaocznienia tego, czego częstokroć wcale opisać nie można: harmonii kształtów, barw, wyrazu całości, dysharmonii części w całości i innych rażących lub podnoszących utwór momentów, koniecznie są potrzebne. I autor spisu zabytków wrocławskich nie mógł, jak nam zaręcza, zmódz trudności, z jakiemi w tym względzie walczył—

nie podaje zgoła żadnéj ilustracyi: stany prowincyonalne szląskie i Łużyc pruskich, przeznaczając na wydanie spisu szląskich zabytków sztuki fundusz, odmówiły podniesienia takowego do takiéj wysokości, aby jednemu z najważniejszych warunków przedsięwzięcia zadość się stało. Że w ministeryum oświecenia w Berlinie nie miano na uchylenie trudności téj rady, mocno nas dziwi. Książe-biskup wrocławski chcąc ze swéj strony autorowi ułatwić pracę, polecił swego czasu zarządzcom parafii nadodrzańskiéj ziemi i Łużyc pruskich, aby p. Lutschowi przesyłali z kronik kościelnych odnośne wypiski, zwracali uwagę jego na zabytki, jak wogóle gruntownych udzielali mu informacyi. Podobne polecenie otrzymali nauczyciele od władzy swojéj. — Z ciekawością oczekujemy dalszego ciągu pracy p. L., a mianowicie szczegółów, tyczących się zabytków po szląskich Piastach. *S. J.*

= Dopełnieniem Pism Gabryelli są wydane w Krakowie 1885 **Listy Narcyzy Żmichowskiéj do rodziny i przyjaciół** (2 tomy), opatrzone wstępem bezimiennego autora czy autorki, przedstawiającym na zbyt może szerokiém tle „Gabryellę jako znakomitą niewiastę polską XIX-go stulecia" (str. CLXVII). Wstęp ten, trochę mglisto napisany, wchodzi głęboko w rozbiór umysłu autorki i może posłużyć za dobre przygotowanie do czytania listów Żmichowskiéj, których tu znaczny poczet zebrano. Najprzód idą listy do brata, Erazma; potém listy „do przyjaciółek" wogóle, a następnie poszczególe: „do Mii", „do Józefy", „do Felicyi", „do Julii", „do Elli", „do Bianki", „do młodéj nauczycielki", oraz do przyjaciół: Henryka W., Seweryna M, Seweryna El. Oprócz listów dających obfitą karm dla umysłu i służących do dokładniejszego poznania usposobień i przekonań Gabryelli, znajdujemy w tych dwu tomach wiersze i prozaiczne pisemka saméj Żmichowskiéj, oraz wiersze Bohdana Zaleskiego i list Józefa Szujskiego do niéj pisane. Wydanie Listów jest staranne i piękne.

= **Dernburg. Pandekten.** *1 Band. Berlin 1885.* — Każdy niemal profesor prawa rzymskiego w Niemczech uważa to za swój obowiązek wystąpić bądź z podręcznikiem Instytucyi, bądź Pandektów. Ztąd tak wielka mnogość téj gałęzi prawa poświęconych książek, a poniekąd i trudność wyboru najodpowiedniejszego do nauki dzieła. Prawo rzymskie tak szczegółowo jest już obrobione, tak obszerną ma literaturę, że wytrawny tylko znawca w stanie jest lepszego co z jego zakresu napisać. Również i co się tyczy podręczników, to zawsze bezpieczniéj jest używać książki napisanéj przez profesora z kilkudziesięcioletnią praktyką, niż przez początkującego docenta. Pan Dernburg należy do dawniejszych i znakomitszych niemieckich

romanistów. a „Pandekta“, których tom pierwszy w roku zeszłym ogłosił, są jego ostatniém dziełem. Obszerniejsze od podręczników Puchty, Arndtsa, Barona, nie są jednak tak szczegółowe, jak Windscheida lub Brinza; odznaczają się przedewszystkiém zrozumiałym wykładem, uwzględnianiem najważniejszych kontrowersów, ale nie wpadają w ostateczność i nie są zbytnio przypiskami przeładowane. Do nauki książka ta się nadaje bardzo dobrze i pewno zyska sobie szeroką popularność.

= Jedném z najstaranniéj redagowanych pism codziennych jest **„Dziennik Łódzki“**, mający za „główne zadanie przedstawicielstwo w prasie pracy przemysłowéj kraju.“ Ze względu na warunki szczególne, w jakich się znajduje polskie wydawnictwo w Łodzi, ma on prawo do poparcia wszystkich sfer przemysłowych i handlowych, a udzielić mu poparcie tém łatwiéj, że obniżył dotychczasową cenę prenumeraty o 1/3 część, tak, iż wynosi ona w Łodzi rs. 6, a w Królestwie i Cesarstwie rs. 8 rocznie. Czytelnikom, interesującym się sprawami ekonomicznemi, śmiało „Dziennik Łódzki“ polecić możemy.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Postanowienia noworoczne. — Nasz spokój społeczny. — Kiermasz zamiast pokusy.— Pragnienia torturowanego.—Pokój czy wojna?—Europa rok temu i dziś.—Kiermasz, jarmarki i wystawy.—Wyroby chłopskie w salach Muzeum Przemysłu i Rolnictwa.— Rozwój przemysłu krajowego. — Brak mebli na wystawie i jego przyczyny.— Biórko i maszyna do szycia wobec emancypacyi.—Słówko o „Świcie" i bohaterce z paryskiego bruku. — Z Wystawy obrazów. — Dzieła Matejki i Siemiradzkiego.—Wady geniuszów.—Święci na obrazie.—Wyklęcie tematów historycznych. — Turniura w rzeźbie.— „Życie." — Program artystyczny. — Hasła społeczne.—Naiwność w poglądzie na naukę i terroryzm.

Znowu kończy się rok stary i rozpoczyna nowy. Dni wyróżnione przez astronomów i zwyczaje mają pospolicie wybitne znaczenie, jeżeli nie w życiu, to przynajmniéj w planach jednostek. Wszyscy ludzie o nieczystém, lecz czułem sumieniu, a słabéj woli robią postanowienia poprawy bądź od poniedziałku, bądź od pierwszego, bądź od Nowego Roku. Zależy to od ważności zamierzonéj reformy, od tego czy chodzi o wcześniejsze wstawanie, czy o wzięcie się gorliwsze do pracy, czy o zaprowadzenie oszczędności w budżecie. Zwykle podobne postanowienia nie widują się z rzeczywistością; dzień jeden od drugiego można odróżnić w kalendarzu czerwoną farbą, ale to nie wpływa, ani na wschód słońca, ani na temperaturę; słabości natury ludzkiéj nie umierają z końcem miesiąca, ani roku. Tém nie mniéj jednak myśl o poprawie, chociażby drażliwość sumienia nie miała być nigdy w całości zaspokojoną, dobrze świadczy o człowieku, którego niepokoi, i chociaż w części musi wpłynąć dodatnio na czyny i życie. Zadowolenie z siebie jest zwykle smutném świadectwem.

Gdybyśmy społeczeństwa sądzić chcieli, jak jednostki, to, widząc u nas brak wszelki postanowień, i spokój godny przedsiębiorcy, przyzwyczajonego do dobrego stanu interesów, musielibyśmy zapytać się, czego nam brak: wyrzutów sumienia, czy jego drażliwości?

Albo może siła woli i poczucie społecznych potrzeb i jedności są tak wielkie, że niemówiąc nic, wykonywamy wszystko, co potrzeba nakazuje? Ach!...

Ileż to dobrych zwyczajów ginie z biegiem czasu! Dawniéj, gdy klęski trapiły naród, gdy nieszczęścia uderzały w nawę społeczną, lud się korzył. Widział w tém palec boży, wyroki sprawiedliwego nieba za grzechy własne. Nakładał na siebie włosiennice, posypywał głowy popiołem, bił się w piersi, pokutą zmywał winy. Naiwny był to w swojéj prostocie pogląd na sprawy świata, zmieńmy jednak tylko brzmienie nazw, a pozostanie prawda trwała, niezaprzeczalna.

Rok 1886 przechodzi do historyi życia naszego z tytułem: *wywłaszczenie—kolonizacya*, a pod czarnym cieniem tych słów kryją się tłumy innych haseł, innych gróźb i czynów, co mają jak bagna Gangesu siać śmierć i zniszczenie.

Rok 1886 myśmy zakończyli Kiermaszem! Z dumą możemy powiedziéć o sobie, że nie my Francuzami północy, lecz Francuzi Polakami południa zwać by się mogli—tak urozmaicić zabawy, zdobyć się na taką ochoczość oni nie potrafią. Była to kwintesencya wszystkich uciech!

Rok przyszły zaczniemy zapewne balem koła polskiego w Wiedniu, zeszłoroczny tak się udał!

Rok Nowy! Do życia potrzeba złudzeń, nadziei, a te o coś zaczepić się muszą. Koło czasu obraca się jakby było częścią dokładnéj maszyny, bez wstrząśnień i zmian. Strapiona, zmęczona, zbolała ludzkość krzepi swe siły nadzieją: zły rok się skończy, może nowy będzie lepszy, czekajmy, wytrwajmy! Czasem, gdy nadmiar cierpień przechodzi zwykłą miarę, gdy gasną pokolei jeden za drugim tęczowe promienie nadziei, wtedy się nie czeka już ulgi, ale widzi dobrodziejstwo w prostéj zmianie.

W dniu dzisiejszym nie brak ani jednego znaku zwiastuńczego burzy, obejmującéj cały świat cywilizacyi. Ziemia drży pod stopami, oko po za chmurami dojrzéć nie zdoła ni słońca, ni błękitu, słychać głuchy łoskot bliskiego gromu. Mord, pożogi, mór, ruina, wszystkie klęski szalejącéj nienawiści wroga i nieobjęta okropność bratobójczéj walki. To skutki pewne. Czy po za tém można spodziewać się czego, czy choć chwilka błogości wynagrodzi dni straszne, czy osłabnie ucisk tłoczących ludzkość niedoli? A jednak, gdyby w rodzinach przy łamaniu opłatka był zwyczaj wyrażania swych pragnień politycznych, to może większość w Europie zapomniała by o grozie przelewu krwi, o ofiarach i wyraziła pragnienie wojny. Czy to słusznie? Zapewne nie, ale czy można na palu być logicznym i trzeźwym.

W roku zeszłym, przebiegając kolejno kraje od oceanu aż do Warty, musieliśmy boléć nad dolą każdego; tu bezprawie, tam zamęt. Widocznie wszystkie te zmory posiadają jeszcze siłę młodości, przez rok urosły i zmężniały. Francya, wielka niegdyś Francya, opromieniona nadzieją przez wiarę narodów, tarza się dziś bezsilna w prochu małostek, niesnasek, zawiści, hańbę ściągając na drogie światu ideały. Dwanaście miesięcy temu można było jednemu chociaż narodowi powinszować ubiegłego roku—Bułgaryi; dzisiaj nikomu—trzeba czekać, gdzie przejdzie burza i jak się skończy.

Zwyczaj wymaga, abym Wam, czytelnicy, a przez Was społeczeństwu całemu złożył życzenia noworoczne. Wybieram, jedno: obyśmy czuli wyrzuty sumienia!

Kiermasz jako zabawa adwentowa na dobroczynność jest niejako świadectwem, że mija już epoka jarmarków, wyczekiwanych niegdyś z taką niecierpliwością przez młodzież hulaszczą i unieśmiertelnionych w utworach poetów. Odtwarzając je ku uciesze widzów i uczestników, obchodzimy się z niemi jak z wyszłemi z użycia zwyczajami. Rzeczywiście gdzieniegdzie znikły one już zupełnie, a tam gdzie zostały jeszcze, jak u nas, tracą nieustannie na blasku i znaczeniu. Miejsce ich zaś zajmują wystawy, powszechne, lub téż miejscowe i specyalne. Bez szynków, natręctwa i oszustw wystawa może najzupełniéj pod względem przemysłowym i handlowym zastąpić nietylko w zupełności, ale z korzyścią jarmarki. Kupująca publiczność może odrazu obejrzéć i porównać wyroby różnych wytwórców; wytwórcy poznają siły współzawodników zarówno jak i gusty i żądania publiczności. Jakaś siła wyższa, państwo, czy stowarzyszenie, w jednym jak i w drugim wypadku ma możność zbadania potrzeb przemysłu.

Mamy w téj chwili w Warszawie wiele wystaw, z których nie wszystkie są téj natury, aby je można było uważać za spadkobierców jarmarku, ale jest jedna, któréj się w zupełności takie miano należy, a mianowicie wystawa „sprzętów i odzieży“ w salach Muzeum Przemysłu i Rolnictwa. Są tam wyroby z metalów, z drzewa, z kości, rogu, ze skóry, koronki, tkaniny itd. Sprawozdawcy, a przynajmniéj wielu z nich, oceniając wyroby naszych rzemieślników i fabrykantów zwracają nieustannie uwagę na to, że takowe dadzą się porównać z zagranicznemi. Jestto bez kwestyi bardzo ważna strona sprawy, chociaż, znając naszą, a może nawet powszechną słabość do przeceniania siebie, niewiele możemy przykładać wagi do

pochlebnych sądów i entuzyastycznych nieraz wykrzykników. Natomiast nikt zdaje się dotąd nie zwrócił uwagi na stosunek wystawców. Większość nazwisk spotykanych w sprawozdaniach nie pozostawia najmniejszéj wątpliwości, że posiadacze ich należą do „rdzennie miejscowego żywiołu.“ Nie chodzi mi tu wcale o żaden wniosek porównawczy, różne przyczyny sprzyjały jednym, a zagradzały drogę innym (chociażby w rękodzielnictwie ograniczenia cechowe), rzecz by wymagała wzięcia pod uwagę wielu, wielu względów; ale biorąc rzecz absolutnie pocieszyć się trzeba, żeśmy postąpili i nauczyć się czegoś możemy.

Na „wystawie odzieży i sprzętów“ poraz pierwszy wystąpiły do popisu wyroby paru szkół i zakładów włościańskich, urządzonych za inicyatywą większych właścicieli ziemskich w różnych punktach kraju. Pan Stanisław Zawadzki, właściciel dóbr w kutnowskiém dwa lub trzy miesiące temu urządził w swoim majątku szkołę i fabrykę plecionek, słowianek, tkanin z drzewa, wyrobów galanteryjnych (neseserek, bonbonierek, opraw do albumów i notesów itd.). Jakkolwiek warsztat stanowi własność p. Z., to jednak, zważywszy na rodzaj przemysłu, widzimy, iż jestto tylko rozsadnik i dalszy ciąg szkoły; wkrótce chłopi będą wyrabiać drobiazgi sami i dla siebie, jak to się dzieje w wielu wioskach szwajcarskich; plecionki na wyrób kapeluszy słomkowych sprowadzane były pod nazwą *„ryżu“* z zagranicy, p. Z. wyrabia je na miejscu. Fabryką i szkołą kieruje pan Stanisław Złotowski. Pomimo krótkiego czasu trwania zakładu, wyroby prezentują się bardzo dobrze.

Na Kurpiach znowu za staraniem hr. Ludwika Krasińskiego, założone zostały dla chłopów tamtejszych szkółki i warsztaty wyrobów z rogu i masy perłowéj, jak guziki, spinki, szpilki i t. d. I to przedsięwzięcie ma zaledwie kilka miesięcy wieku, a rozwija się podobno świetnie.

Na wystawie znajdują się również wyroby z drzewa szkoły parobków hr. Stanisława Zamojskiego.

Bardzo zajmujące sprawozdania z wystawy znaleść można w „Gazecie Rzemieślniczéj,“ gdzie sądy wydają nie literaci fachowi, lecz fachowi majstrowie. Niektóre z tych sądów zakomunikuję czytelnikom „Ateneum“. P. Zieleziński zwraca uwagę w N. 49 na „piękny“ regulator ścienny, nakręcany raz na miesiąc, wykonany we wszystkich częściach mechanizmu u nas i wykonany z całą dokładnością, wymaganą w tego rodzaju pracach. Twórcą jest p. Woroniecki. Dotychczas takie wyroby sprowadzano wyłącznie z zagranicy. Toż samo da się powiedzieć o maszynach do szycia i do robienia pończoch p. W. J. Olszewskiego. Są to pierwsze próby samodzielności naszéj w téj sferze.

P. Józef Wenda, stolarz, robi w nrze 50-ym uwagę, że meble na wystawie nie są reprezentowane tak jak by sobie tego życzyć można było. Złożyły się na to dwie przyczyny: jednę stanowią nieuniknione trudności i ciężkie warunki, z jakiemi walczyć musi młody przemysł; brak tradycyi miejscowych, brak przewodników, modeli lub rysunków; drugą zaś obawa majstrów narażania się na koszt wystawy w czasach przesilenia, wobec niesprzedania swoich wyrobów na dawniejszych wystawach. Ostatnią tę okoliczność szanowny sprawozdawca w ten sposób tłómaczy. Majstrowie nie pojmują zadania i celów wystaw naszych, zarówno jak własnego interesu. Na wzór wystaw wszechświatowych paryskich wystawiają oni rzeczy przepyszne jedynie; tymczasem tam co innego, tam na drobniejsze i skromniejsze wyroby miejsca by nie stało i zniknęło by się wśród blasku innych przedmiotów. „Wystawowe zapędy" należy stosować do warunków, wymagań i potrzeb miejscowych. Na potężnych świata tego liczyć nie ma co, bo oni się meblują za granicą, nabywają tam rzeczy droższe i gorsze. Rzemieślnika u nas podtrzyma szary ogół jedynie, a ten nie kupi ani szafy za 500 rs., ani kredensu za 600, ani łóżka za 200. Tymczasem na wystawie ujrzéć można tylko takie ceny, a jednak mogły by się tam znaleść szafa za 60 lub 80 rs., a łóżko za 30.

Oryginalnym okazem na wystawie jest czarne biurko damskie z ukrytą wewnątrz małą maszyną do szycia. Obawiam się, iż wojownicze zwolenniczki emancypacyi uznają to za złośliwą aluzyą i zechcą przypuszczać, że pomysł urodził się w głowie jakiego konserwatywnego ich przeciwnika, a został tylko podszepnięty pp. Piętnikowi i Olszewskiemu. W „Świcie" z pewnością takiego skojarzenia nie pochwalą. Jak można łączyć warsztat, na którym kobieta zdobywa sobie w świecie ducha przynależne prawa, z symbolem jéj wiekowéj niewoli!

Ale *à propos* „Świtu". Można najdaléj zachodzić w żądaniach równouprawnienia kobiet,—to rzecz przekonań, można nawet zuchwale drwić z tego, co doświadczenie wieków nam przekazało—w walce różnie bywa, ale czyż potrzeba było zamieszczać jako wzór kobiety paryżankę, znaną głównie z uczestnictwa w krzykliwych zajściach klubowych i ulicznych. A taką właśnie jest pani, czy panna Hubertyna Auclert. Pani Szeliga, która w 2-ch numerach raczyła nasze siostry opowiadaniem o téj bohaterce, może, żyjąc w świecie i sferze walk, nie czuła w tém niewłaściwości, ale tutejsza redakcya powinnaby być oględniejszą. Wzorem do naśladowania podziwu, lub uznania (a na to się chyba pomieszcza w pismach życiorysy), może być pracowniczka, poważna, uczciwa, najbardziéj nawet gorliwa krzewicielka swych idei, ale nie jakaś przyjaciółka

i współtowarzyszka wybryków panny Ludwiki Michel. To nie obywatelka, to szkodliwa histeryczka. Na czele bandy anarchistów robiła awantury na zebraniach, a dziś ma świecić jako przykład dla kobiet polskich. List jej do rady municypalnéj, który p. Szeliga zamieściła w „Świcie“, jest jednym z przejawów umysłowego rozluźniania i tych pojęć o potrzebach życia społecznego, które dziś Francyę doprowadziły do bezrządu i bezsilności.

Wróćmy do wystaw. Oddawna już, a może nigdy nawet publiczność nasza nie miała takiéj biesiady artystycznéj, jak w téj chwili. W sali Towarzystwa Zachęty Sztuk pięknych oglądać można wielki obraz Matejki: „Wjazd Joanny d'Arc do Reims“, a w sali ratuszowéj—Siemiradzkiego „Chrystus w domu Maryi i Marty.“ Trudno wyobrazić sobie większe przeciwieństwo niż dwa te płótna dwu największych mistrzów naszych. Tu chwila najwyższego uniesienia narodu całego, chwila tryumfu a zarazem zapowiedź nowych bojów śmiertelnych o ziemię ojców, na każdéj niemal twarzy widać mieszaninę uczuć różnorodnych, przebytych bólów, wskrzeszonéj nadziei i zapału, — tam błogość, cisza, spokój; apostoł prawdy i dobra męczony pracą i walką szuka wytchnienia w zaciszu wolném od sporów, gwałtów i namiętności życia; z blasku oczu kochającéj kobiety, z czaru, jaki roztacza tkliwość miłującego serca niewieściego, dusza, stargana w służbie idei, co prowadzi na śmierć i męczeństwo, czerpie otuchę, spokój i siłę. Dla wytrawnych znawców nie może zapewne istnieć nawet pytanie, który z tych dwu obrazów lepszy; rzesze jednak profanów stawiają je sobie i rozstrzygają według upodobań, doktryny, a nawet kaprysu. Różność zdań tak wielka, że nic z nich wyciągnąć nie można. Kto potrzebuje chwili wypoczynku po troskach, pociechy w utrapieniu, niech patrzy godzinę lub więcéj na obraz Siemiradzkiego, z błogiego spokoju, jaki tam panuje, z pewnością spłynie mu ulga. Od płótna Matejki odchodzi się z podniesioném sercem i podniesioną głową. Łączność duchowa z całą ludzkością napawa nas dumą, ile razy napotykamy w dziejach wielkie serca, wielkie czyny — to stanowi jeden z głównych dorobków społecznych.

Obraz Matejki ma wielkie wady techniczne, fałszywe oświetlenie, brak perspektywy, zbytni natłok i t. d. — tak nas uczą znawcy. Jeżeli komu zdarzyło się zwiedzać większe galerye z malarzem, lub krytykiem artystycznym, ten nasłuchał się niemało opowieści o fałszywéj karnacyi, o złém traktowaniu drugorzędnych figur i t. d. w obrazach, przed któremi nieustannie stoją widzowie w skupieniu ducha, a których adepci sztuki studyować nie przestają. Zostawmy więc krytykom krytykę, a sami zachwycajmy się tém, co w nas zachwyt budzić zdolne.

Na kilku z ostatnich obrazów swoich Matejko poumieszczał, jak wiadomo, świętych i święte pańskie. Jeżeli jestto robione w zamiarze szerzenia ducha wiary w narodach, to cel chybiony i do sztuki najniepotrzebniéj wtrącone to, co do niéj nie należy. A jednak wobec trzech nadziemskich figur na obrazie Matejki doznałem wrażenia, które zgorszy może wszystkich realistów i wszystkich moich postępowych przyjaciół. Wiara w świętych nie drażni mnie, sami oni są mi zupełnie obojętni, dla tego na płótno Matejki patrzéć mogłem jako na dzieło sztuki jedynie... i czy nie najwięcéj podobała mi postać w białéj szacie, dająca Joannie lilię. Ile uczucia, ile tkliwości w téj twarzy i całéj postaci, niby matka, dbająca nie osławę i wielkość córki, lecz o jej cnotę i czystość dziewiczego serca. A obok moc nieprzeparta przeznaczeń, ciągnąca nieubłagalnie ludzi i narody na pole walk, klęsk i tryumfów — ś-ty Michał: jaka siła bije z ręki jego, dzierżącéj miecz ognisty. Zdaje mi się, że bez tych świętych obraz byłby dla mnie mniéj wymownym.

Jeszcze jedna uwaga z powodu wystawy obrazów, znowu czysto i wyłącznie moja osobista. Czy wyklęcia, rzucone na tematy historyczne w poezyi, padają również i na inne rodzaje sztuk pięknych na malarstwo i na rzeźbę? Pod względem roli społecznéj nie dzieli ich żadna miedza, jedne i drugie mają kształcić, podnosić, uszlachetniać uczucia; pod względem środków poznania i odtworzenia przeszłości sztuki piękne téż nie różnią się między sobą. Czy więc mamy pomysły Matejki i Siemiradzkiego, Munkaczego, Brożika, Roberta Fleury uważać za chybione na równi z szekspirowskim Juliuszem Cezarem. Ciekawym jak by się wydały w rzeźbie fraki i turniury?

A o kwestyach kierunku w literaturze będziemy mogli zapewne nasłuchać się i nagadać w roku przyszłym, gdyż nowo powstały tygodnik „*Życie*“ ma głównie poświęcać szpalty swoje pięknu. Z zapowiedzi wnosić można było, że redakcya hołduje zasadzie „sztuka dla sztuki“ i żadnemi więzami społecznych wymagań nie zechce krępować swéj oblubienicy. Widocznie jest jednak trudno zebrać u nas pod powyższym hasłem zastęp literatów dosyć liczny do prowadzenia pisma, gdyż już w pierwszym numerze odezwały się głosy niezupełnie zgodne z naczelną zasadą. Usłyszymy jeszcze raz sformułowane wyznanie szkoły realistycznéj, Taine'owskiéj i Brandesowskiéj. Jestto bardzo pomyślne, to może choć w części rozwieje chaos i nieporozumienia jakie w téj materyi istnieją. Powaga Brandesa wielu zbiła z tropu i dziś mało kto wie dokładnie, co nazwać ideą utworu piękna, a co tendencyą i t. d.

„Zamiary“ „*Życia*“ obleczone są jak dotąd w zbyt piękne, i zbyt ogólnikowe frazesy, to też niezupełnie można je dobrze wyrozumieć. Będzie to apostolstwo piękna, odświeżanie i wielostronne rozwijanie

smaku estetycznego. Redakcya zapowiada, że dla rozszerzenia widnokręgów literackich, dla wzmocnienia i wysubtylizowania poczucia piękna, szerzéj niż dotąd otworzy okno do Europy. Procz naczelnego — artystycznego — punktu w programie, jest i inny społeczny. Pod tym względem nowy tygodnik różni się od najbliższego sobie wiekiem braciszka nie mniéj niż obraz Siemiradzkiego od obrazu Matejki. Oto co czytamy w pierwszym numerze: „Dalecy jesteśmy od stawiania bezwzględnych, stronniczych programów, od przeprowadzania apriorycznie wytwarzanych doktryn i teoryi na niwie bytu społecznego"... „Dla nas wytrwała praca *zbiorowa* we wszystkich zakresach życia społecznego—to *suprema lex.* Wszelkie chęci wyodrębnienia się, krańcowego przeciwstawiania innym i w ogóle rozbijania społeczeństwa zapomocą bądź zastarzałych uprzedzeń, bądź apriorycznych doktryn na kasty, klasy i wrogie stronnictwa— surowych znajdą w nas sędziów. Nie pora dzielić się na garstki i odsuwać od siebie wzajemnie. Naszém stronnictwem — wszyscy, którzy uczciwie pracują, mając dobro i jedność ogółu na celu: duchowieństwo i intelligencya, lud i obywatelstwo, postępowcy i konserwatyści." Ponieważ niejednokrotnie podnosiliśmy i szerzyliśmy podobne myśli, więc téż teraz z całego serca przyklaskujemy zamiarom „Życia"; oby wytrwało na obraném stanowisku i doczekało plonów siejby.

Pomimo to nie możemy nie zwrócić uwagi na niejaką naiwność w poglądach na naukę. „Blaski i promienie nauki, które od obcych do nas przychodzą będziemy *sądzili odpowiednio do naszéj atmosfery* i zastosowywali o tyle, o ile takowe do siatkówek ogółu naszego przypadać będą, — zasilne bowiem wzrok mogą popsuć, zasłabe (?) są nam niepotrzebne." Taka hodowla nauki na domowy użytek jest po prostu herezyą. Jakież to prawdy *naukowe* są za słabe do naszych oczu? W tém oświadczeniu widać steroryzowanie opinii przez głosicieli „*najnowszych wyników wiedzy.*" Naukę przedstawiają ludzie jak zimnego operatora, który najdroższe i najpotrzebniejsze nam organy chce wycinać lancetem, do najboleśniejszych ran przykłada bez litości kamień piekielny. Tak wcale nie jest, uczeni socyologowie uwzględniają nieraz więcéj drobnych i drugorzędnych potrzeb i szczegółów aniżeli uczucia nasze. To tylko ich wyznawcy z dalszych szeregów są tacy gorliwi i zawzięci, że niczemu przepuścić nie chcą. Nie trzeba się przez to dawać sprowadzać z gościńca.

Zewnętrzna szata „Życia" sprawia bardzo miłe wrażenie: i druk i papier i układ. W piśmie, które ma nam nieść rozkosze estetyczne, to wzgląd nie małéj wagi. *Ludwik Straszewicz.*

TOWARZYSTWO HISTORYCZNE
WE LWOWIE.

W dniu 14 października r. z. zorganizowało się już od dłuższego czasu zapowiadane Towarzystwo, które najżywsze zajęcie obudzić musi w kołach nauczycieli i osób, interesujących się rozwojem historyi i literatury polskiéj. Odtąd pracujący na tém polu, a w Galicyi zamieszkali, mają skupić się koło towarzystwa, którego jedynym celem jest popieranie tego, co na poparcie zasługuje a do dziejów naszych się odnosi. Ożywcze jego promienie mają pielęgnować roślinę, choć jeszcze niedostatecznie rozwiniętą, ale już bujny rozrost zwiastującą; pewne jego wskazówki mają prowadzić do celu i na każdym kroku zdawać sprawę, gdzie jesteśmy, czego nam jeszcze potrzeba i czy dobrą wybraliśmy drogę.

Pośredni impuls do zawiązania towarzystwa dał uczony, którego imię nierozerwalnie złączone z rozwojem dziejopisarstwa naszego, którego zadaniem jest prowadzić daléj to, co d-r H. Zeissberg tak świetnie rozpoczął. Oczywiście uczonym tym nie jest nikt inny jak zasłużony wydawca aktów grodzkich, profesor uniwersytetu lwowskiego, d-r Liske.

Jeszcze przed kilku laty akademicy, należący do tutejszego seminaryum historycznego, chcąc uczcić zasługi swego duchowego kierownika zebrali sumę pieniężną, mającą im posłużyć do urządzenia stosownéj uroczystości. Zamiar nie powiódł się jednak, bo złożony wówczas niemocą d-r Liske nie mógł się wychylać po za obręb domu mieszkalnego i narażać na wzruszenia, mogące szkodliwie oddziałać na zachwiane i tak jego zdrowie. Mimoto, w nadziei, że przecież kiedyś plan swój urzeczywistnią, nie wycofali wkładek, lecz złożyli je w miejscu bezpieczném, aby procentowały i w przyszłości do tegoż celu posłużyły. Kiedy zaś dzisiaj te wkładki wzrosły do sumy około 200 złr., kilku byłych uczniów d-ra Liskego powzięło zamiar uczcić zasługi kochanego profesora w sposób trwalszy i pożyteczniejszy dla społeczeństwa. Oto postanowili na wzór podobnych instytucyi zagranicznych zawiązać „Towarzystwo historyczne we Lwowie“, którego dożywotnim prezesem ma być d-r Liske. Według zatwierdzonego przez namiestnictwo statutu ma być stałą siedzibą towarzystwa Lwów, a celem popieranie rozwoju nauk historycznych, z szczególném uwzględnieniem dziejów Rusi Czerwonéj. Do urzeczywistnienia tego celu służą przedewszystkiém odczyty, wydawnictwa naukowe i pismo peryodyczne, mające wychodzić cztéry razy

do roku. Członkowie są albo honorowi, mianowani przez walne zgromadzenie, albo zwyczajni opłacający 1 złr. w. a. wstępnego i 4 złr. jako doroczną wkładkę. Schodzą oni się przynajmniéj raz na miesiąc celem wysłuchania odczytów i wykładów połączonych z dyskusyą, lub zakomunikowania sobie nowych zdobyczy naukowych w luźnéj pogadance. Corocznie w październiku ma się odbywać walne zgromadzenie celem wyboru wydziału i komitetu redakcyjnego. Pierwsze takie zgromadzenie odbyło się właśnie 14 października r. z.

W sali wykładowéj uniwersytetu zebrało się 49 członków z pomiędzy profesorów uniwersytetu i gimnazyalnych, oraz ludzi oddających się z zamiłowania uprawianiu nauki historyi w najobszerniejszém tego słowa znaczeniu. Prawie wszyscy mieszkający we Lwowie a pracujący na polu dziejów ojczystych i niektórzy uprawiający dosyć zaniedbane dotychczas pole historyi literatury, języka i prawa polskiego zgromadzili się tutaj, aby wziąć udział w zebraniu mającém utrwalić byt przyszłego towarzystwa. To też poważném było to zgromadzenie ludzi nauki i pracy, między którymi znajdowali się tacy, jak d-r Wojciechowski, ks. Walery Kalinka i d-r Kętrzyński.

Podniosłym też był nastrój całego zgromadzenia ale podnioślejszym jeszcze jego przebieg. D-r Aleksander Semkowicz, jeden z najstarszych byłych uczniów d-ra Liskego, pamiętający jeszcze czasy, kiedy tenże obejmował dopiero katedrę po d-rze Zeissbergu, powitawszy zgromadzenie imieniem komitetu organizacyjnego, złożył przedewszystkiém wyrazy hołdu i czci dla swego światłego i zacnego nauczyciela. Onto, sam nie poszlakowanego charakteru i niezmordowanéj pracy, kieruje wzorowo lwowskiém seminaryum historyczném; on to rozbudza i zaszczepia w młodzieży zamiłowanie do studyów nad dziejami ojczystemi; jego to działalności wynikiem, że dzisiaj we Lwowie istnieje już dosyć znaczne kółko historyków, z zamiłowaniem przedmiotowi się oddających. Jemu więc przedewszystkiém należą się wyrazy czci i wdzięczności za to.

Na podobne zaznaczenie i podniesienie zasług p. Liskego musi się też rzeczywiście zgodzić każdy, kto tylko, tak jak d-r Semkowicz, miał sposobność do bliższéj styczności z wydawcą aktów grodzkich. Jakkolwiek bowiem rozbudzenie większego ruchu historycznego we Lwowie nie jest wyłączną zasługą d-ra Liskego, ale przedewszystkiem wynikiem przyniesionego z Niemiec kierunku historycznego, zainaugurowanego tu przez Szajnochę, Bielowskiego i Zeissberga (1),

(1) Zastrzegam się, jakobym kierunek Szajnochy identyfikował z kierunkiem Zeissberga. Mam tu tylko na myśli rozbudzenie w ogóle nauk historycznych we Lwowie, a do tego wymienieni pisarze w równéj mierze się przyczynili.

a następującego po rozwoju literatury pięknéj, a przed rozwinięciem się nauk ścisłych i przyrodniczych, jakkolwiek więc poszczególna jednostka nie mogłaby być tu rozstrzygającym czynnikiem, to jednak nie da się także zaprzeczyć, że gdyby katedra historyczna w tutejszym uniwersytecie była się dostała w inne, mniéj powołane do tego ręce, rozwój nauk historycznych byłby we Lwowie mniéj ożywiony i powolniejszy. Następnie przeszedł p. Semkowicz do właściwego tematu i wskazawszy na przykład Niemców, posiadających aż 111 przeróżnych towarzystw historycznych, zauważył, że i u nas zawiązanie podobnego towarzystwa stało się konieczną potrzebą, którą wszyscy interesowani głęboko odczuwają. Wreszcie oświadczył p. Semkowicz, że zdaje mu się, iż będzie to wyrazem zapatrywań całego zgromadzenia, jeżeli ks. Kalinkę do przewodniczenia zaprosi. Wśród grzmiących oklasków zajął tedy ks. Kalinka krzesło przewodniczącego i wygłosił mowę, która każdegoby natchnęła zapałem do pracowania na niwie dziejów ojczystych.

Zasług p. Liskego, — są słowa mówcy — nikt obniżać się nie ośmieli. Ich wyrazem jest grono młodych adeptów historyi. Kogoż nie poruszy ten mąż, który nawet „na łożu boleści“, śledzi z najżywszém zajęciem rozwój nauk historycznych w Polsce i kieruje młodzieżą, ceniącą wysoko jego zdanie o swych pracach naukowych? We Lwowie, ciągnął daléj mówca, uderza przedewszystkiém brak tradycyi, wprzeciwieństwie do Krakowa, który żyje i oddycha przeszłością. Autor „Sejmu czteroletniego“ był kilkakrotnie świadkiem rozczulenia, jakie w rodakach z za kordonu wywołał widok kopca Kościuszki i starożytnych grobów na Wawelu. W nowożytnym Lwowie nie ma téj nici łączącéj nas z przeszłością. Wytworzyć ją staje się konieczną potrzebą, pilniejszą nawet od pielęgnowania nauk przyrodniczych i matematycznych. Zawsze bowiem będzie nam wolno zbierać rośliny i minerały, zawsze będzie dozwoloném rozwiązywać formułki matematyczne, ale czy zawsze ze zmianą istniejącego rządu będzie wolno zajmować się bezstronnie przeszłością i wysnuwać z niéj prawidła do przyszłego postępowania? Oto pytanie, na które z trudnością twierdząco moglibyśmy odpowiedzieć. Dziękujmy przeto Bogu, że pozwolił nam dostać się pod panowanie tak łaskawego monarchy i miejmy nadzieję, że przy pomocy bożéj nowo zawiązane towarzystwo wyda obfity plon, który nie padnie na ziemię jałową i niewydatną,

Kto zna choćby pobieżnie zapatrywania świeżo zgasłego mówcy, ten z uznaniem musi podnieść tę okoliczność, iż dosyć troskliwie omijał on szczegóły, mogące obrazić uczucia inaczéj myślących. Przemówienie jego nosiło na sobie wprawdzie znamię konserwaty-

wne, ale mimoto zawarte było w granicach umiarkowania i konsekwencyi, licującéj w zupełności z poprzedniemi jego wystąpieniami. Na jedno tylko zgodzić się nie można, t. j. na rzekome pierwszeństwo, jakie mamy oddać naukom historycznym w porównaniu do umiejętności matematycznych i przyrodniczych. Rozumiem i pojmuję ja to dobrze, że mówca nie zaprzeczał pożyteczności nauk matematycznych i przyrodniczych, ale z tém wszystkiem nawet tak umiarkowanego zdania, jak je wypowiedział ks. Kalinka, wygłaszać nie wolno. Cóż bowiem, zapytam, jest pilniejszém, czy badanie przeszłości i wysnuwanie z niéj wskazówek do przyszłego postępowania, czy pielęgnowanie nauk przyrodniczych przygotowujących grunt jedynie racyonalny i jedynie nadający się do oparcia się na nim? Cóż, proszę, jest pilniejszego, czy zgłębianie naszych minionych prądów i dążności, czy zdobywanie sobie za pomocą szerszego rozpowszechnienia nauk przyrodniczych, większego przemysłu krajowego i tych warunków, których brakło nam w przeszłości a na których przyszłość jedynie tylko opierać się może? Ciemnota nasza umysłowa w wieku poniżenia polskiéj literatury przebija się dopiero dosadnie z bezprzykładnéj nieznajomości nauk przyrodniczych. Czyż więc nie bardzo pilną jest sprawa dogonienia i uzupełnienia tego, cośmy w przeszłości tak mocno zaniedbali? Zachowaj nas Panie od tych geniuszów historycznych, którzy nie mając najmniejszych wiadomości o elementarnych zasadach przyrodniczych, zabierają się do kreślenia dziejów ojczystych. Ich sąd nie może być trafnym, ich sąd musi być jednostronnym. Jeżeli zaś tak jest, to czyż nie jasną jest rzeczą, że przynajmniéj równie pilném musi być dla nas pielęgnowanie nauk realnych, jak zajmowanie się badaniem przeszłości.

Po skończeniu swéj przemowy powołał ks. Kalinka na sekretarzy d-rów Finkla i Balzera, z których pierwszy odczytał dosyć liczny, bo przeszło sto nazwisk zawierający poczet członków zwyczajnych, tak we Lwowie i w Krakowie jakotéż i na prowincyi zamieszkałych. Spotkać się tam można było i z nazwiskiem osób zażywających już znacznéj sławy na polu naukowém i z imionami ludzi nie oddających się produkcyi umysłowéj ale interesujących się żywo sprawami naukowemi. Z tego stosunkowo poważnego zastępu członków zwyczajnych przebija się najdosadniéj żywotność towarzystwa, chociaż bowiem prawie każde nowo zawiązane towarzystwo może na to liczyć, że z razu znajdzie stronników całą duszą mu oddanych, to jednakże nie zawsze uda się skupić koło wytkniętego celu tyle tak powołanych do tego osobistości. Z radością też zaznaczyć mi wypada, że liczba profesorów gimnazyalnych, zapisanych w poczet członków towarzystwa, jest stosunkowo bardzo znaczną.

Jeden dowód więcéj, iż sprawy naukowe obudzają w kołach nauczycieli szkół średnich coraz żywsze zajęcie.

Następnie na wniosek przewodniczącego oddano do dyspozycyi nowemu towarzystwu sumę 205 złr. złożoną przed kilku laty na rzecz nieurzeczywistnionego zamiaru wysłania jednego z młodych historyków na dłuższy pobyt za granicę, a wreszcie przystąpiono do wyboru wydziału i komitetu redakcyjnego. Najpierw jednogłośnie obrano zastępcą prezesa d-ra Wojciechowskiego a skarbnikiem d-ra Prochaskę. Następnie zaś znaczną większością głosów powołano do wydziału dd-rów O. Balzera, W. Kętrzyńskiego, Fr. Papée'go i R. Pilata, a do komitetu redakcyjnego dd-rów Finkla, Kętrzyńskiego, Pilata, Semkowicza, Wojciechowskiego i p. S. Kwiatkowskiego. Na têm też zakończono posiedzenie, mające położyć podwaliny do działalności nowego towarzystwa.

Jeżeli teraz rzucimy okiem na przebieg całego zgromadzenia, to przyznać najpierw należy, że przeprowadzenie wyborów było istną formalnością. Organizatorowie towarzystwa porozumieli się między sobą i następnie rozdali między uczestników zgromadzenia drukowane kartki, zawierające nazwiska osób, na których wybór się zgodzili, tak że nie było ani czasu ani sposobności do porozumienia się członków między sobą i do rozwinięcia bardziéj ożywionéj agitacyi. Nikt téż prawie nie chciał umieszczać kogo innego na spisie, bo nie wiedział, czy ten w istocie pozyska większe poparcie. Tak więc przeszła ogromną większością jedyna drukowana lista komitetu organizacyjnego, któremu jednakże z tego względu zarzutu robić nie można. Najpierw bowiem wszyscy wybrani nadają się rzeczywiście do piastowania powierzonych im godności, a powtóre dzieje się to tak prawie we wszystkich innych towarzystwach, zwłaszcza zaś w nowo zawiązujących się, gdzie nie ma jeszcze ani czasu, ani sposobów do bliższego zapoznania się z sobą. Zresztą, gdyby przyszłość wykazała, że nie wszyscy powołani odpowiadają swemu zadaniu, to możnaby już w następnym roku inaczéj wyborami pokierować. Jednéj tylko rzeczy trudnoby obronić, t. j. pominięcia zupełnego Rusinów w towarzystwie, które ma za zadanie uwzględniać szczególnie dzieje Rusi Czerwonéj. Pomoc i współdziałanie w komitecie redakcyjnym przynajmniéj jednego członka narodowości ruskiéj, byłaby nader pożądaną.

Obok tego zasługuje jeszcze na wytknięcie tak małe przy wyborach uwzględnienie nauczycieli szkól średnich, chociaż stosunkowo znaczna ich ilość pośpieszyła zaciągnąć się w szeregi towarzystwa. Jeden tylko z nich p. Kwiatkowski figuruje na liście. Wspomniał p. Semkowicz, iż w Niemczech istnieje aż 111 przeróżnych to-

warzystw historycznych. A na kim, zapytam, one się opierają? Oto przeważnie na nauczycielach szkół średnich. Ani trzeciéj części tych towarzystw by nie było, gdyby głównego kontyngensu członków nie dostarczali profesorowie gimnazyów i innych szkół średnich. U nas wprawdzie niestety odmienne panują pod tym względem stosunki, bo brak bibliotek prowincyonalnych, a nauczyciele, przeważnie w niekorzystnych warunkach materyalnych się znajdujący, muszą ubiegać się za pobocznemi zajęciami i są nadto przeciążeni pracą wskutek przepełnienia gimnazyów, co do ilości uczniów niejednokrotnie czterem niemieckim wyrównywujących. Mimo tego jednak są przecież i u nas tacy, co postępują z rozwojem nauki i biorą sami w nim udział. Obowiązkiem przeto towarzystwa, zgodnym z brzmieniem jego statutu, byłoby skupić tych ludzi i przygarnąć ich do siebie a tém samém oddziałać i na innych. Przecież to ludzie, co również pokończyli studya uniwersyteckie; przecież oni zdołają szczególniejszą przysługę oddać towarzystwu przez to, że właśnie mieszkają przeważnie na prowincyi i mogą dlatego i zajrzeć do przystępnych a nierzadko nader ciekawych archiwów i wpłynąć na szerzenie zamiłowania nauk historycznych między ludźmi innego zawodu.

Ale słyszałem zdanie, że przyjęcie tylko jednego nauczyciela gimnazyalnego w skład wydziału nie może żadną miarą wpłynąć na to, aby się ktoś nie zapisał do niego. Otóż pozwolę sobie być wręcz odmiennego zdania i utrzymywać, że większe uwzględnienie nauczycieli szkół średnich oddziałałoby nader korzystnie na ich ściślejsze z towarzystwem złączenie się. Jesteśmy zawsze ludźmi i jako ludzi a nie idealnie oceniać nas należy. Dlatego téż twierdzę stanowczo, że z pewnością niemile to dotknie profesorów szkół średnich, gdy będą się widzieli ignorowanymi i że wskutek tego przynajmniéj po części będą się czuli obcymi wobec towarzystwa, które na nich tak małą zwraca uwagę.

Na razie, oczywiście faktu spełnionego zmienić nie można, na przyszłość jednak w imię dobra towarzystwa, leżącego nam wszystkim na sercu, powinien wydział wziąć sam w tym względzie inicyatywę i w następnym już roku postarać się, czy to o odpowiednią zmianę statutu celem pomnożenia tak wydziału jak i komitetu redakcyjnego o jednego członka, czy téż o inne pokierowanie wyborami na przyszłém walnem zgromadzeniu.

Korneli Juliusz Heck.

NEKROLOGIA.

† **Waleryan Kalinka,** urodzony r. 1826 w Krakowie; tu pobierał gimnazyalne i uniwersyteckie wykształcenie. Chociaż studyował na wydziale prawnym, nie mógł naturalnie pomijać wykładów Michała Wiszniewskiego, który właśnie w epoce nauki uniwersyteckiéj Kalinki (r. 1840—1846) wydawał swoję „Historyą literatury polskiéj.“ Ślady wpływu tego profesora, jak niemniéj i ówczesnéj atmosfery wśród młodzieży odszukać można w pierwszych zaraz próbach literackich, jakie Kalinka w ówczesnych czasopismach, mianowicie w „Orędowniku naukowym“ poznańskim drukował. Należał on wtedy do postępowo-demokratycznego stronnictwa. Pierwsza jego osobno drukowana praca odnosiła się do dziejów naszego kraju i miała na celu rozpowszechnienie ich znajomości wśród ludu: „Jaką była dawniéj Polska, napisał Włościanin z nad Wisły ku nauce i przestrodze braci swoich“ (Kraków, 1848, str. 28). W gorączkowym ruchu, jaki zapanował w Galicyi pamiętnego roku 1848, brał i on udział, a świadectwem jego prócz artykułów w gazetach jest osobno przedrukowana „Korespondencya z Krakowa“ (1848, str. 26). Gdy się ruch ten smutnie zakończył, Kalinka pod pseudonimem Pencławskiego wydał głośne w swym czasie „Listy o Krakowie“ (Poznań, 1850, str. 86). Równocześnie ogłosił obszerną 8 rycinami opatrzoną „Historyą pożaru miasta Krakowa“ (Kraków, 1850, str. 404). Około r. 1851 wyjechał z miasta rodzinnego i udał się do Poznania, gdzie nakładem Żupańskiego wydrukował „Żywot Tadeusza Tyszkiewicza“ (1853). Następnie przeniósł się do Paryża i tu wydał dzieło treści politycznéj p. n. „Galicya i Kraków pod panowaniem austryackiém“ (1853, str, 401). To były jakoby przygotowania do wielkich prac historycznych, któremi zajmować się odtąd zaczął, zbliżywszy sie do ks. Czartoryskiego i korzystając z jego archiwum. Przez lat kilkanaście żadnej większéj rozprawy nie podał do druku osobno, prócz artykułów w „Przeglądzie poznańskim“ i „Czasie.“ Dopiero gdy został księdzem w zgromadzeniu zmartwychwstańców, wyszło w r. 1868 znakomite dzieło jego p. n. „Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta.“ Po niém nastąpiła broszura polityczna: „Przegrana Francyi i przyszłość Europy“ (Kraków, 1871); następnie „Polityka dworu austryackiego w sprawie konstytucyi 3 maja“ (Krak. 1873), dalej dwie rozprawy hagiograficzne: „Najświętsza Marya Panna w Gierczwałdzie“ (Krak., 1878), „Męczeństwo św. Stanisława i jego znaczenie w dziejach narodu“ (Kraków, 1879); w końcu rzecz najlepsza, w piśmie naszém oceniona już, „Sejm Czteroletni“ (2 tomy,

1880 — 86). Przy pracy nad dokończeniem tego dzieła zastała go śmierć i pozbawiła nas jednego z najbardziéj utalentowanych historyków. Umarł we Lwowie 15 na 16 grudnia 1886 r.

† **Wacław Szymanowski** urodził się w Warszawie roku 1821. Należał do tego u nas pokolenia, które pozbawione nauk uniwersyteckich na miejscu, musiało poprzestawać na gimnazyalnych i własną pracą uzupełniać jego braki. Bardzo wcześnie, bo w 20-tym roku życia wziął już za pióro, by nim kreślić wiersze treści romantycznéj w „Nadwiślaninie" (r. 1841) wydawanym przez grono takiéj jak on utalentowanéj młodzieży. Następnie jednak służbą rządową i własném wykształceniem zajęty, lubo pisał wiele, nie drukował prawie nic aż do r. 1851, gdy został fejletonistą nowo wtedy założonego „Dziennika Warszawskiego", którego redaktorem był znany Henryk hr. Rzewuski. Praca fejletonowa wszakże nie przeszkodziła mu tak wówczas jak i późniéj, gdy ją w „Tygodniku ilustrowanym" uprawiał, do pisania poematów, gawęd, dramatów, komedyi, szkiców powieściowych, oraz tłómaczeń głównie z francuskiego, w których celował. Z prac tych ogłaszanych od r. 1852, ułożył sam autor pod koniec pięć tomów „Wierszy i Dramatów." Oprócz tego zbioru wyszły osobno: „Szkice Warszawskie" (Warsz. 1855), „Gawędy i Satyry" (1873), „Obrazki z życia znakomitych ludzi" (1866, 1875). Od r. 1866 został redaktorem najpopularniejszego u nas pisma „Kuryer Warszawski" i na tém stanowisku wytrwał do końca. Umarł 21-go grudnia 1886 roku. Ubył z nim jeden z najzdolniejszych literatów starszego pokolenia.

† **Jan Nepomucen Leszczyński,** jeden z najstarszych dziś nauczycieli i przełożonych szkół, pamiętający jeszcze czas uniwersytetu warszawskiego, dał się poznać ogółowi w r. 1826 „Elegią na zgon Stanisława Staszyca" a następnie w r. 1830 i 1831 pieśniami i proklamacyami. W r. 1843 ogłosił „Rozprawę historyczną o Kolumbie". Od r. 1845 jako przełożony „instytutu wyższego naukowego prywatnego realnego" przypominał ten zakład „Programami na popis publiczny" według dawnego dobrego zwyczaju aż do r. 1863. Umarł w Warszawie 26 grudnia 1886 r.

OFIARA.

Dr. Miecz. Bohomolec nadesłał na ręce redakcyi „Ateneum" rsr. 5, jako składkę na Kasę imienia Mianowskiego na rok bieżący.

POLEMIKA.

Odpowiedź na recenzyą Pana Wład. Kozłowskiego (1).

W zeszycie wrześniowym „Ateneum“ zaszczycił p. Kozłowski moję pracę o „Logice“ Milla dość obszernym rozbiorem.

Na wstępie podobało się Szanownemu Recenzentowi ogłosić mnie „obrońcą eklektyzmu najnowszéj formacyi, znanego pod nazwą idealnego realizmu.“ W obec tak narzuconéj mi nazwy oświadczyć muszę, że uważałbym za wykroczenie przeciw duchowi filozofii wszelkie bezwzględne zaciągnięcie się pod jakikolwiek, chociażby najstarszy i najrozgłośniejszy sztandar filozoficzny, a cóż dopiero pod taki, którego sama nazwa jest nieustalona. Daléj każe mi być Sz. Recenzent „gorliwym szermierzem uznającym główne swe zadanie w zwalczaniu materyalizmu i pozytywizmu.“ Tak lekko, jak to czyni p. Kozłowski, nie zestawiłbym obok siebie materyalizmu z pozytywizmem, nawet w razie, gdybym chciał przeciw nim występować, zbyt zasadniczo bowiem różnią się od siebie dwa te kierunki filozoficzne. Nie miałem zresztą dotąd sposobności mówić o tém, co uważam za moje „główne zadanie“ w filozofii. Wydawszy bowiem dotąd dwie tylko książki, treści przeważnie krytycznéj, jako krytyk uważałem za mój obowiązek jak najmniéj występować z własnemi poglądami, tém dokładniéj zaś rozbierać zdania filozofów, o których pisałem. Na zaliczenie więc do jakiejś szkoły filozoficznéj, zasłużyłbym dopiero napisawszy coś bardziéj samoistnego. Tém mocniéj więc zastrzec się muszę przeciw takiemu przedwczesnemu zaklasowaniu mnie, jakie uznał za właściwe Sz. Recenzent. Nie chcę téż uchodzić za przeciwnika pozytywizmu, i to pomimo że w méj pracy występuję przeciw wielu poglądom pozytywisty Milla, czynię to bowiem dla tego właśnie, że często bardzo nie wydaje mi się Mill dostatecznie pozytywnym, tj. opierającym się wyłącznie na tém co stwierdzone, i budującym na tych podstawach to tylko, co ze ściśle logicznego rozumowania wynika.

Przejdźmy teraz do właściwych zarzutów Sz. Recenzenta. Najpierw wytyka mi niezgodność treści mojéj pracy z nadanym jéj tytułem, powiada bowiem: „Z tytułu możnaby wnosić, że zadaniem autora było *dokładne przedstawienie zasad Milla*, rozbiór ich dobrych i złych stron;“ (str. 545). Za odpowiedź stanie samo przypomnienie tytułu méj pracy: „Podstawy teoryi poznania w systemie logiki indukcyjnéj i dedukcyj-

(1) Pomieszczając odpowiedź niniejszą dra Kaciborskiego na recenzyą jego dzieła oraz wyjaśnienie recenzenta, p. Kozłowskiego, uważamy polemikę w tym przedmiocie za wyczerpaną i zamykamy ją. (*Przyp. red.*)

néj J. S. Milla." Nie podjąłem się zatém „przedstawiać dokładnie zasad Milla" a raczéj zasad jego filozofii, chciałem tylko przedstawić *podstawy teoryi poznania w jednéj z jego książek zawarte*; gdybym był pisał *o całości* jego zasad, byłbym niewątpliwie podniósł wiele stron dodatnich. Zarzut więc Sz. Recenzenta nie na miejscu.

Daléj mniema Sz. Recenzent (str. 546), że zarzucam Millowi wkraczanie w psychologią i metafizykę. Tak jednak nie jest, zarzut mój bowiem tyczy się *wyłącznie* wycieczek Milla w dziedzinę metafizyki, jak się o tém ze str. 31 i 32 méj pracy przekonać można. Powołanie się zaś Sz. Recenzenta na zdanie Brocharda (na str. 547) niczego nie dowodzi, Brochard bowiem chwali Millowi tylko odpowiedne uwzględnienie w logice psychologii, nie zaś metafizyki.

Sz. Recenzent mówiąc przy téj sposobności o potrzebie oparcia logiki na „psychologii i metafizyce" równie lekko zestawia w jednym rzędzie psychologią z metafizyką, jak poprzednio materyalizm z pozytywizmem. Nie wiem, czy i tym razem ironicznie powie Sz. Recenzent, że jestem „mistrzem w słownych odróżnieniach", przypomnieć jednak muszę z naciskiem że materyalizm to system, to szkoła, to stronnictwo prawie, pozytywizm zaś powinien być przedewszystkiém metodą, kierunkiem, stanowiskiem, jeśli zaś staje się systemem, szkołą, stronnictwem, przestaje być pozytywizmem. Psychologia to przedewszystkiém zbiór spostrzeżeń i faktów systematycznie zestawionych. metafizyka to już nie fakta i nie spostrzeżenia, to już sposoby tłómaczenia i pojmowanie ostatecznych przyczyn tych faktów; opierać logikę, jak tego widzi konieczność Sz. Recenzent, na psychologii, tj. na faktach, zupełnie co innego jak opierać ją na metafizyce tj. na hipotezach.

Oto własne słowa p. Kozłowskiego w téj mierze wypowiedziane: „Logika Milla... musiała z konieczności zapożyczać się u psychologii i metafizyki, gdyż potrzeba było *oprzeć* te zmiany na podstawach *pewnych* (czy to metafizyka ma ich dostarczyć?!) wyprowadzić je z zasad, prawd, które *tylko w psychologii i metafizyce znajdują swe udowodnienie*. Z tém wszystkiém nie ma w niéj zaciekań ani ontologicznych ani teleologicznych. Cała jéj metafizyka polega na *przygodném* poruszeniu zagadnień dotyczących natury myślenia, praw przyrody itp. Zagadnienia te *łączą się jak najściśléj* z rozbieranym przedmiotem i służą ku jego wyjaśnieniu" (str. 548). Otóż spytam p. Kozłowskiego, czy dla pozytywisty dostarczać może metafizyka podstaw dla logiki? czyż postępowanie takie nie będzie opieraniem domu na dachu zamiast na fundamentach? Pytam także Sz. Recenzenta, jakie to są te „zasady, prawdy, które tylko w psychologii i w *metafizyce* znajdują swe udowodnienie"? Dotąd sądziłem bowiem, że wszystkie zasady i prawdy opierać należy przedewszystkiém na *faktach*, że są fakta i doświadczenia w psychologii o tém wiem, ale gdzież są fakta i doświadczenia w metafizyce?.

Zdaniem Sz. Recenzenta nie ma w Logice Milla „zaciekań ontologicznych."— A podział substancyi na ciała i duchy, o którym przecież Mill tak wyraźnie mówi? Wszak to wspaniały traktat ontologiczny! Również nie rozumiem w jaki sposób Sz. Recenzent powiedziawszy, że logika Milla „*opiera się na podstawach pewnych*, tylko w psychologii i metafizyce znajdujących swe udowodnienie", o trzy wiersze daléj może mówić, że „cała metafizyka téj logiki polega na *przygodném* poruszeniu zagadnień, dotyczących natury myślenia, praw przyrody itd." Jeszcze dziwniejszém wydaje mi się zdanie o jeden wiersz daléj wypowiedziane: że te *przygodnie* poruszone zagadnienia „*łączą się jak najściśléj* z rozbieranym przedmiotem."

Bądź co bądź sądzę, że tak źle nie dzieje się w logice Milla, tego co podstawowe i zasadnicze, nie porusza Mill „przygodnie", zaś to co poruszone „przygodnie" nie „łączy się jak najściśléj z rozbieranym przedmiotem"—Mill jest logiczniejszy niżby wnosić można z powyższych słów p. Kozłowskiego.

Nie wszędzie jednak w tak niekorzystném świetle przedstawia p. Kozłowski Milla, umie być dla naszego filozofa sprawiedliwym chociaż surowym. Na tejże saméj stronicy powiada bowiem: „Istotą przeprowadzonéj przez Milla reformy stanowi zasada, że prawa myślenia nie są czém innném, jak prawami świata przedmiotowego... Zasada ta nie jest przeprowadzona ściśle w dziele Milla i *napotykają się w niém z tego powodu liczne sprzeczności.*“ Tym razem z przyjemnością oświadczyć muszę Sz. Recenzentowi, że nietylko najzupełniéj z nim się zgadzam, ale nawet większą część mego dzieła poświęcam udowodnieniu powyższego zdania. Żałować tylko wypada, że pan Kozłowski, który umie być czasem sprawiedliwym dla Milla, nie chce nim być nigdy dla mnie. I tak np. na str. 549, 550 i 551, gdzie stara się, wbrew rozlicznym ustępom z Milla, które wszystkie w méj pracy zestawiłem, wmówić w czytelników, że Mill nie dzieli Substancyi na duchy i ciała, czyni mi zarzut, że nie uwzględniłem drugiego rozdziału ks. I. Że rozdział ten uwzględniłem a nawet odpowiedni ustęp z niego zużytkowałem, dowodzą wyjęte zeń słowa: „O nazwach—powiada Mill— będziemy zawsze mówić w tém dziele, *jako o nazwach samychże rzeczy*“ (B. I. chap II. § 1. str. 24). Słowa te przypominają zarazem wszystkim tym, którzyby Milla w duchu Sz. Recenzenta pojmować chcieli, że jeśli dzieli Substancye na duchy i ciała, nazywa tak *rzeczy*, a nie nasze wyobrażenia o rzeczach. Ponieważ zaś tego rodzaju ustępów przytoczyłem w méj książce mnóstwo, niechaj że więc o istnienie duchów i ciał walczy Sz. Recenzent z Millem a nie ze mną.

Posłuchajmy teraz co mówi Sz. Recenzent o moim rozbiorze zapatrywań Milla na tworzenie się pojęć. „P. Raciborski utrzymuje, że jakkolwiek duch ludzki wytwarza sobie pojęcia na podstawie wyobrażeń i bez nich nie mogłyby one powstać, *z tém wszystkiém wyobrażenia nie przyczyniają się wcale do rozjaśnienia pojęć, przeciwnie zaciemniają je nawet.*“ (str. 551, 552). Zdanie to uważa Sz. Recenzent za niezrozumiałe, ponieważ jednak słów tych a mianowicie w takim związku nigdzie nie wypowiedziałem, nie podejmuję się ich tłómaczenia, tém mniéj obrony. Ażeby jednak właściwą myśl moję przedstawić, przytoczę jeden z ustępów mej pracy, który Sz. Recenzent przeoczył albo nie uwzględnił: „Pojęcie w logiczném tego słowa znaczeniu nie da się wyobrazić, nie jest ono wyobrażeniem, ale dopiero dalszém logiczném przerobieniem wielu wyobrażeń i polega na połączeniu cech, które w wyobrażeniu—w duchowym obrazie—często wprost się wykluczają; tak np. w pojęciu „człowiek“ mieści się zarówno starzec jak dziecko, mężczyzna i kobieta, indoeuropejczyk, mongoł i murzyn. Wyobrazić zaś sobie, a następnie wyrysować lub wyrzeźbić postać człowieka, któryby nie był ani dzieckiem, ani starcem, ani mężczyzną, ani kobietą, a mógł być tém wszystkiém, ani też poszczególnych cech wyróżniających pojedyncze rasy rzeczywiście nie posiadał, a mógł każdą z nich posiadać, jest rzeczą niemożliwą. Pojęcie, ten wyrób logiki, przekazany psychologii jako wymagalnik, możemy tylko określić, wyobrażenie zaś jako osobnik—w pewném tego słowa znaczeniu—nie da się określić, ale tylko opisać albo też zmysłowo przedstawić, np. odrysować, odmalować lub wyrzeźbić. Rozumowania nasze opierają się wprawdzie na pojęciach, w myśleniu jednak występują pojęcia te z domieszką, mniejszą lub większą, wyobrażeń z których powstały. Pojęcia są dla ducha ludzkiego, wykonywającego logiczne działania, wymagalnikami, w zupełnéj, doskonałéj czystości, przypuszczam, że może nigdy nie osiągnionymi.“ T. I, str. 131, 132.

Stosownie do rozwiniętych tu myśli mogłem potém powiedzieć że „w umyśle naszym obok pojęć będących podstawą i że tak rzekę materyałem każdego logicznego myślenia, jawią się także wyobrażenia *wpływające zazwyczaj w sposób zamącający czystość pojęć*, tak że stają się one tylko logicznym wymagalnikiem“ (str. 147). Wspomniałem tu zresztą o zjawisku bardzo znaném psychologom, tém bardziéj się też dziwię, że mogło się ono wydać Sz. Recenzentowi czémś tak trudném do zrozumienia.

Na str. 552 zdaje się Sz. Recenzent zarzucać mi, że nie odróżniam odrywania od rozbioru, czyli abstrakcyi od analizy, zarzut ten oparty jest wyłącznie na narzuceniu mi określenia abstrakcyi, które Taine podaje, którego jednak ja nie przyjmuję za swoje.

Na str. 553 próbuje Sz. Recenzent poddać rozbiorowi moje zapatrywania na stosunek wyobrażeń do pojęć. Dotyka tego przedmiotu zbyt pobieżnie, żeby go mógł rzeczywiście wyczerpać, dokładna zaś odpowiedź wymagałaby powtórzenia wszystkiego co już w mėj książce powiedziałem, poprzestanę więc tylko na zastrzeżeniu że zupełnie nie przyznaję się do zapatrywań Descartesa na stosunek duszy do ciała, chociaż przytoczyłem jego zapatrywania na stosunek wyobrażeń do pojęć.

Nie przyznaję się również do narzuconego mi zdania że: „umysł nasz jest niejako przepołowiony, jedna jego połowa, niższa, zajmuje się urabianiem wyobrażeń na podstawie wrażeń zmysłowych, druga wyższa tworzy pojęcia z pierwiastków nadzmysłowych, i z wyobrażeń" (str. 553). Nie tylko takich słów nigdzie nie użyłem ale nawet nie wyraziłem nigdzie żadnėj z myśli, które w nich są zawarte, uważam je bowiem wprost za niedorzeczne a narzucanie mi ich za złą wolę Szan. Recenzenta. Upraszam też o wskazanie ustępów z mėj pracy, na podstawie których możnaby mi powyższe myśli przypisać. Tu tylko z naciskiem przypomnieć muszę Sz. Recenzentowi, że teza któréj bronię jest następująca: Pojęcia tworzy umysł ludzki mocą właściwėj mu władzy odrywania, z wyobrażeń, które powstają z wrażeń wywołanych w nim działaniem świata zewnętrznego. Po obszerniejsze rozwinięcie i uzasadnienie tego twierdzenia muszę odesłać czytelników do mojéj pracy, wypowiedziałem je tu dla tego tylko, ażeby odeprzéć insynuacyą Sz. Recenzenta.

Również najfałszywiéj przedstawia Szan. Recenzent z Descartesa wzięty przykład, którym staram się wyjaśnić ów stosunek wyobrażeń do pojęć—Prostowanie jednak wszystkich prawdziwie potwornych insynuacyi, które spadają na mnie ze strony Sz. Recenzenta, byłoby dla czytelników zbyt nużące a o tyle zbyteczne, że kilka próbek wystarczy, a będą jeszcze dostatecznie jaskrawe.

Na stron. 554 narzuca mi znowu Sz. Recenzent zdanie, że „nauki matematyczne biorą swój początek nie z doświadczenia, ale z czystego rozumu, „podczas kiedy ja staram się wykazać, że właśnie *początek* ich odnosić należy do doświadczenia, uważam je bowiem tylko jako wynik pewnego sposobu zużytkowania materyału, *którego nam we wrażeniach doświadczenie dostarcza.*

Czasem przybiera Sz. Recenzent ton żartobliwy powiada bowiem, karykaturując jedno z moich zdań: „W przyrodzie nie masz ani punktów bez rozciągłości, ani linii bez szerokości, płaszczyzn bez głębokości, ani doskonałych trójkątów, kół itd.— a zatém wszystkie dane matematyczne nie są wyobrażeniami rzeczy, ale pojęciami, które pochodzą z rozumu. Tym samym sposobem możnaby dojść do wniosku, że botanika i zoologia zawdzięczają swój byt nie doświadczeniu, ale czystemu rozumowi, ponieważ dane ich, jakiemi są gatunki i rodzaje, nie są wyobrażeniami rzeczy, ale pojęciami, takich bowiem rzeczy, jak gatunki i rodzaje, nie ma w przyrodzie. Są w niéj tylko osobniki, mniéj lub więcéj do siebie podobne" (str. 554).

Na to odpowiedzieć tylko mogę, że „danemi" botaniki i zoologii nie są gatunki i rodzaje, ale rzeczywiście istniejące rośliny i zwierzęta, które botanika i zoologia układa w gatunki i rodzaje, „danemi" zaś matematyki są takie punkty, linie i płaszczyzny jakich w świecie nigdzie nie ma, i ta to właśnie ważna okoliczność jest zarazem podstawą zasadniczéj różnicy między matematyką a naukami przyrodniczemi, jak też niewłaściwości porównania Sz. Recenzenta.

Również nie wspominam nawet nigdzie o jakimś „poglądzie rozumowym," za pomocą którego każe mi Sz. Recenzent przekonywać się o prawdziwości zasad mate-

matyki, przyczém wyraża zdziwienie, że na pytanie: „czém jest ów pogląd rozumowy? nie znajduje w mém dziele dokładnéj odpowiedzi“ (str. 555). Używam wprawdzie wyrazów „pogląd“ (Anschauung), „pogląd przestrzenny“ (Raumanschauung), „czysty pogląd“ (reine Anschauung) pisząc o zapatrywaniach Kanta, Whewella, Helmholtza, Hartmanna i Wundta na zasady matematyki i pojęcie przestrzeni. Wykazanie o ile samo zrozumienie powyższych pisarzy wyklucza tak dowolne utworzenie wyrazu „pogląd rozumowy“ obciążyłoby zanadto moję odpowiedź. Wystarczy mi tylko podnieść raz jeszcze z naciskiem, że tak niewłaściwego zestawienia słów jak „pogląd rozumowy“ *ani razu* nie użyłem!!!

Oburzony „poglądem rozumowym“ bierze mi Sz. Recenzent za złe, że w rozbiorze moim: „nie pominięto żadnego opuszczenia, żadnéj dwuznaczności; każdy wyraz zbyteczny lub niedomówiony skrzętnie zapisany, najmniejszy przeskok we wnioskowaniu wykazany“ (str. 555), co wszystko nie przeszkadza mu utrzymywać, że nie podaję dowodów na zarzuty, które czynię Millowi. Dopiero co wyliczone właściwości méj pracy byłbym chętnie wziął za pochwałę; ironiczny jednak nastrój Sz. Recenzenta każe mi je uważać za osobliwszy rodzaj nagany.

Prawdziwie zabawną próbką sumienności krytyki, na którą odpowiadam, będzie następujące zestawienie: „P. Raciborski dochodzi do wniosku—powiada Sz. Recenzent—że pojęcie przestrzeni jest natury *apriorycznéj*, że *zgadza się ono z rzeczywistością w ogólnych tylko i główniejszych zarysach*“ (str. 555). Ja zaś, streszczając moje wyniki, mówię: „*Aposterioryczne* jest też, na podstawie tych wyobrażeń przez zestawianie, porównywanie, usuwanie sprzeczności i odrywanie, wytworzone pojęcie przestrzeni, z jej cechami i właściwościami będącemi przedmiotem geometryi; *jest ono ściśle i bezwarunkowo zgodne z rzeczywistymi stosunkami przestrzennymi*“ (T. II str. 97 wiersz 7 i 8 od dołu, str. 98 wiersz 1—6 od góry).

A więc: „*aposterioryczne*“ a nie „*aprioryczne*“! „z rzeczywistymi stosunkami *ściśle zgodne*“ a nie „*w ogólnych tylko i główniejszych zarysach*“!! jak mi narzuca Szanowny Pan Recenzent, który może dopiero czytając tę moję odpowiedź, jasno uświadomi sobie do jakiego stopnia posunął, już nie przekręcanie ale zupełne odwracanie myśli, których podać ocenę było jego zadaniem.

Na następnéj stronicy pyta mnie ironicznie Sz. Recenzent: „czy nasze *wyobrażenia* o kolorach, dźwiękach, smakach itp. również uważam za *pojęcia* rozumowe, aprioryczne?“ Tu znowu wystąpić muszę z moją nudną ścisłością, w któréj mi chodzi o słowa, i przypomnieć, że pytanie czy „*wyobrażenia*... uważam za *pojęcia*“ równa się pytaniu czy cegły uważam za domy, wrażenia są bowiem materyałem, z którego urabiamy pojęcia. Wchodząc jednak głębiéj w ducha tego zapytania, odpowiem w myśl zasad wypowiedzianych w rozprawie, którą Sz. Recenzent krytykuje, że *nie uznaję żadnych apriorycznych wyobrażeń ani też pojęć*! Wszystkie uważam za *aposteryoryczne*—to jest, na podstawie doświadczeń urobione; apriorycznėm bowiem nazywam tylko to co w naszym umyśle poprzedza i poprzedzać musi wszelkie doświadczenie—taką zaś cechę aprioryczności przyznać mogę tylko owym właściwościom, owym pewnym przymiotom naszego umysłu, z któremi on rozpoczyna swe doświadczenia. O ile zgadzam się pod tym względem z Kantem, oddając jednak pierwszeństwo terminologii Wundta, przedstawiłem obszernie w méj pracy. (T. II, str. 75—79). Nareszcie zarzuca mi Sz. Recenzent (556, 557) że Milla wcale nie rozumiem, ponieważ utrzymuję, że podzielił on substancye na duchy i ciała. Zdanie to udowodniłem tyloma ustępami, przytoczonemi „Logiki“, że mam niejakie prawo prosić Sz. Recenzenta, aby zaprzeczenie swoje poparł jednėm przynajmniéj przytoczeniem własnych słów Milla.

Sz. Recenzent, który tak systematycznie przeprowadza wypaczanie moich myśli, nie waha się utrzymywać, że „przekręcam“ zapatrywania Milla. Pierwszym na

to przykładem ma być zdanie moje, że stosownie do poglądów naszego filozofa „pierwotne przyczyny są *bezładnie* i niezależnie od wszelkich prawideł rozrzucone w przestworach" (t. II, str. 218).

Osądźmy, czy sprzeciwią mi się własne słowa Milla: „Nie możemy odkryć żadnéj prawidłowości w ich rozmieszczeniu, nie możemy w niém odkryć żadnéj równomierności, żadnego prawa... Współistnienie pierwotnych przyczyn występuje dla nas w rzędzie tylko przypadkowych zdarzeń... Nie ma żadnéj jednostajności, żadnego prawidła, zasady, ani przepisu, któryby dostrzec można w rozdzieleniu pierwotnych przyrodniczych czynników po wszechświecie. Romaite ciała składające ziemię *nie zachowują stałego stosunku* jedne do drugich... *Największy nieporządek* jest widoczny w połączeniu przyczyn..." (Tom II, str. 216, 217, 218).

I w obec takich słów zapytuje p. Kozłowski: „Czy Mill utrzymuje, że pierwotne przyczyny są *bezładnie* rozrzucone?" następnie zaś dodaje uwagę od siebie, że „gdzie panuje jakiś stosunek, tam o bezładności mowy być nie może!" (str. 557).

Sz. Recenzent nie waha się utrzymywać „że znam Milla z tych tylko ustępów, „Logiki" które przytoczyłem," otóż ja mógłbym teraz twierdzić, opierając się na nieco pewniejszych podstawach, że Sz. Recenzent i tych nawet nie czytał dokładnie; nie dziw więc, że z całą swobodą przemawia daléj jak następuje: „Nie jestto, jak powiadam, ani pierwsza, ani ostatnia próbka przekręcania myśli Milla. Następująca jest bardzo charakterystyczna. Mill powiada: „Każdy sąd, dostarczający rzeczywistego pouczenia, orzeka coś o jakiémś zdarzeniu, zależném od praw przyrody, nie zaś od naszéj klasyfikacyi. Orzeka on, że pewien przedmiot posiada pewien przymiot lub nie posiada go... ponieważ taka jest treść wszystkich sądów przeto teorya sylogizmu, która nie uznaje takiéj treści sądów, nie może być prawdziwą." Na to odpowiada p. Raciborski: „Stosownie do tego, co Mill tu powiedział, rzeczywistego pouczenia nie zawierałby sąd następujący: „Wszystkim zapadłym wekslom przysługuje przymusowe ściągnięcie sum, które są na nich wyrażone, bez poprzedniego dochodzenia, czy sumy te słusznie się należą żądającemu wypłaty." Sąd ten bowiem nie tyczy się zdarzenia, zależnego od praw przyrody. A więc podług p. Raciborskiego zależy on od praw nadprzyrodzonych? Czy p. Raciborskiemu nie wiadomo, że prawa przyrodzone używają się w przeciwstawieniu do tego co jest nadprzyrodzoném, niedostępném poznaniu ludzkiemu?" (str. 557—558).

W odpowiedzi na takie niezręczne wypaczanie méj myśli zapytać muszę, czy podług p. Kozłowskiego, ściągnięcie sumy wekslowéj zależy od praw przyrody? Czy p. Kozłowskiemu nie wiadomo, że przeciwieństwem praw przyrodniczych są prawa inne jak przyrodnicze a więc nieprzyrodnicze, np. prawo wekslowe, prawo cywilne, prawo karne itp. nie koniecznie zaś jak w swéj nieudałéj ironii utrzymuje „prawo nadprzyrodzone, niedostępne poznaniu ludzkiemu"—bodaj to gardzić logiką formalną! ułatwia to bardzo zestawianie kalamburów.

A może chciałby p. Kozłowski zaliczyć do praw przyrody także prawo wekslowe, pojmując tak szeroko przyrodę, jéj prawa i piękności jak Łatka w „Dożywociu," który powiada do Leona:

„Patrzaj jaki świat wesoły—
Patrz na chmury, na te góry
Na ulice, na kościoły
Na te fiakry, na te budki,
Te piękności dzieł natury..."

Mógłbym tu jeszcze chyba, nie czując się być autorem tylu przypisywanych mi niedorzeczności, dołączyć dwa dalsze wiersze:

„Za cóż bierzesz na tortury
Mnie biednego nieboraka?!“

Kończąc tę odpowiedź, ośmielę się wyrazić zbyt daleko nie sięgające życzenie, ażeby nasi szan. panowie Krytycy w pisaniu swoich recenzyi przestrzegali więcéj zasad pozytywizmu, które wymagają przedewszystkiém opierania się na faktach. Temi zaś faktami są dla piszących recenzye, zdania, które autor *rzeczywiście wypowiedział*. Ściśle ich trzymanie się nie narażałoby recenzentów na arcy niepozytywną, iście donkiszotowską walkę z wiatrakami, budzącą słuszne podejrzenie, że krytykowanéj książki albo nie przeczytali albo téż nie zrozumieli.

Lwów d. 18-go Października, r. 1886.

Dr. Aleksander Raciborski.

Wyjaśnienie pana Wład. Kozłowskiego.

Na replikę dr. Raciborskiego odpowiadam jak najkrócéj:

1. Zaliczyłem dr. Raciborskiego do wyznawców idealnego realizmu, ponieważ on tak samo, jak przedstawiciele owego kierunku, usiłuje pogodzić założenia szkoły intuicyjnéj z założeniami doświadczalnéj. Nie upieram się jednakże przy swojém. Pragnie dr. Raciborski zachować stanowisko niezależne wobec panujących w filozofii kierunków—tem ci lepiéj!

2. Z zarzutu mego, że dr. Raciborski upatruje główne swe zadanie w zwalczaniu materyalizmu i pozytywizmu, wyprowadza on wniosek, że zbyt lekko zestawiam obok siebie dwa tak zasadniczo różne kierunki filozoficzne. Czy z owego zarzutu rzeczywiście daje się wyprowadzić taki wniosek? Dr. Raciborski utrzymuje, że ja gardzę logiką formalną. Czy powyższe wnioskowanie dowodzi jéj poszanowania?

3. W mém twierdzeniu, że treść dzieła dr. Raciborskiego nie odpowiada jego tytułowi, nie zawiera się nic więcéj nad to, że kto nadał swéj pracy zagłówek: Podstawy teoryi poznania w systemie logiki Milla, ten powinien był naprzód wyłożyć systematycznie owe podstawy, a następnie wykazać ich dobre i złe strony. Żądać od autora czegoś więcéj, niż to zapowiedzianém jest w tytule jego dzieła, byłoby rzeczą nierozsądną.

4. Zarzut, że również lekko zestawiam psychologią z metafizyką, ma taką samę wartość logiczną, co i powyższy, dotyczący zestawienia materyalizmu z pozytywizmem. Nie tylko odróżniam psychologią od metafizyki, ale jeszcze w saméj metafizyce rozróżniam dwa kierunki: jeden, który dr. Raciborski zna, drugi, którego nie zna, ale może go poznać z dzieła Lewesa: „Problems of leife and meind.“ Że ten rodzaj metafizyki nie jest tak bardzo odległym od psychologii, pokazuje się z tego, że teorya poznania stanowi właśnie najgłówniejszą część jéj. Zagadnienia, dotyczące stosunku podmiotu do przedmiotu, źródeł naszéj wiedzy, są natury czysto metafizycznéj, a przecież należą do teoryi poznania i muszą się opierać na danych psychologii. Konieczność wkraczania w metafizykę w tych zagadnieniach, które ze swéj natury do niéj należą, była dla Milla nieuniknioną i za złe mu tego brać nikt nie może, tém mniéj dr. Raciborski, który w inném miejscu swego dzieła, przytoczywszy zdanie Milla, że umiejętność badania prawdy za pomocą oczywistości jest szczęściem niezawisła od sporów o ostatecznym ustroju ducha ludzkiego, i nie potrzebuje posuwać rozbioru zjawisk duchowych do téj ostatecznéj granicy, *co* jedynie może *zaspokoić metafizyka*, woła patetycznie: „Jestto jeden z najpotworniejszych ustępów Logiki! A więc nauka o badaniu prawdy nie potrzebuje rozpoznawać właściwości ducha ludz-

kiego! Wzdrygnie się na to każdy filozof, począwszy od Arystotelesa itd.“ Czy się duch Arystotelesa wzdrygnął na powyższe zdanie Milla, tego nie wiem, ale zdaje mi się, że mógłby się wzdrygnąć na niekonsekwencyą dr. Raciborskiego, który w jedném miejscu gani Milla, że do swéj logiki wprowadza metafizykę, a w innem znów oburza się na niego za to, że nie zajmuje się w niéj zagadnieniem czysto metafizyczném.

5. W uwadze méj, że Mill *przygodnie* tylko zajmuje się w logice metafizyką i że poruszone przez niego *przygodnie* kwestye metafizyczne łączą się jaknajściślej z rozbieranym przedmiotem, upatruje dr. Raciborski tak potworną nielogiczność, że aż bierze wspaniałomyślnie w obronę Milla, pokrzywdzonego, jak mu się zdaje, tą uwagą. „Tak źle nie dzieje się w logice Mila... woła on... Mill jest logiczniejszy, niżby wnosić można z powyższych słów p. Kozłowskiego!“

Otóż ze słów dr. Raciborskiego wnosić można, że nie wie on, iż wyraz *przygodny* niekoniecznie ma oznaczać przypadkowy. Kazania przygodne, wiersze przygodne... nie znaczą kazania przypadkowe itd. Mówić o czemś przygodnie, znaczy mówić z okoliczności czegoś, znaczy nie wyczerpywać rzeczy, ale mówić o tyle, o ile tego dana okoliczność wymaga; to zatém, o czém mówi się przygodnie, nie tylko może, ale musi zostawać w najściślejszym związku z głównym przedmiotem Dla tego téż ironia dr. Raciborskiego powinnaby w tym wypadku zwrócić swe ostrze nie przeciwko mnie, ale chyba przeciwko temu, co uczył dr. Raciborskiego języka polskiego.

6. Dr. Raciborski zawsze trwa przy swojém, że Mill zajmuje się ontologicznemi zagadnieniami w logice i że materyą i ducha uważa za dwie substancye. Odpierając gołosłownie me zarzuty przeciwko temu twierdzeniu, każe mi rozprawić się z samym Millem, nie z nim. Ja z Millem nie potrzebuję się rozprawiać, ale Mill musi tu rozprawić się z dr. Raciborskim.

Dr. Raciborski opiera się w swém twierdzeniu na téj jedynéj podstawie, że Mill powiada w swéj logice: „O nazwach będziemy zawsze mówić w tém dziele, jako o nazwach *rzeczy*.“ Wziąwszy tę zasadę Milla za główną premisę, dr. Raciborski rozumuje: materya i duch są nazwami, a zatém materya i duch oznaczają *substancyą*. Że taki przeskok od rzeczy do substancyi jest błędem logicznym, wnet się przekonamy. Na str. 54. T. I. Mill, zastanawiając się nad tém, jaki jest wyraz najodpowiedniejszy do oznaczenia wszystkiego, co istnieje, powiada wyraźnie, że wyraz ten powinien obejmować nie tylko substancye, ale także atrybuty i czucia, czyli stany świadomości. Do oznaczenia tego wszystkiego uznaje on za najodpowiedniejszy wyraz: *rzecz*. Jakoż na téj saméj stronnicy powiada: czucia, najprostsza klasa *rzeczy*, dających się nazwać (Feelings, the simplest class of nameable *things*). Daléj zaś na str. 69 powiada: „O naturze materyi i ducha absolutnie nic nie wiemy oprócz tego, że pierwsza obudza czucia, a drugi je doświadcza, a gdybyśmy nawet coś wiedzieli o nich, to logika nie może się zajmować ani tą wiadomością, ani sposobem jéj nabycia.“ W przypisku zaś do str. 67, mówiąc o dwóch przeciwnych opiniach, z których jedna przyjmuje rzeczywistość Numenu, Rzeczy w sobie, druga zaś zaprzecza powiada: „Ja, jako metafizyk, nie mam nic do powiedzenia przeciwko opinii, która zaprzecza rzeczywistość Numenu“ (With the first of these opinions, that which denies Noumena, I have, as a metaphysician, no quarret). Kończy zaś uwagę: „Czy jest ona prawdziwą czy fałszywą, logika tém się zajmować nie może. Po bliższe zaś wyjaśnienia w tym przedmiocie odsyła Mill do swego dzieła: „An Examination of Sir William Hamilton's Phylosophy.“ Do tego dzieła i ja téż odsyłam dr. Raciborskiego, jeżeli go powyższe przytoczenia nie przekonały, że Mill nie zajmuje się

w swéj logice zagadnieniami ontologicznemi i nie uważa materyi i ducha za substancye.

7. Sprostowania dr. Raciborskiego odnoszące się do twierdzenia, że wyobrażenia zaciemniają pojęcia, które z nich powstały, dotyczy głównie formy. Sam on powiada, że słów tych w takim mianowicie związku nigdzie nie wypowiedział. Niezawodnie, że myśl autora w téj formie, jaką ja jéj nadałem, nabiera znaczenia ogólniejszego, niż jakie ma ona u autora;—z tém wszystkiém pozostaje ona zawsze dla mnie zagadką, pomimo, że autor powołuje się na fakt powszechnie znany psychologom. Wiem tylko, że wyobrażenia są jedynym probierzem, za pomocą którego możemy poznać, czy nasze pojęcia mają wartość rzeczywistą, czy są pustemi wyrazami bez treści.

8. Zastrzega się dr. Raciborski, by go nie posądzano o podzielanie błędnego zapatrywania Taine'a na abstrakcyą. Jeżeli dr. Raciborskiemu wiadome było, że zapatrywanie Taine'a jest mylne, że to, co on uważa za abstrakcyą, jest poprostu analizą, to pytam się, jakiém prawem mógł go powoływać na świadka przeciwko Millowi, którego właśnie oskarża nie o pomijanie analizy, ale abstrakcyi? I jaką może miéć teraz wartość zaskarżenie dr. Raciborskiego, kiedy poparte jest jedném tylko zeznaniem i to fałszywém?

9. Mniéj więcéj tak samo ma się rzecz i z Kartezyuszem. Kiedym z przytoczonych z niego cytat wyprowadził logiczne konsekwencye, woła dr. Raciborski: „Nie przyznaję się do zapatrywań Kartezyusza!“ i zarazem oskarża mię o złą wolę o wpieranie w niego zdań niedorzecznych, których on nigdzie nie wygłosił. Że zdania te są niedorzeczne, na to zgoda, że ich dr. Raciborski nie wygłosił, również zgoda, ale że są one logicznemi konsekwencyami tych opinii, które przytacza na obronę swéj własnéj, tego zaprzeczyć nie może. Kto się zaś ciągle odwołuje do wszystkich bogów, jakie tylko były i są, o tym trudno wiedziéć, jakiéj jest wiary—tém trudniéj, że jak sam na początku swéj repliki powiada: „jako krytyk uważałem za mój obowiązek jak najmniéj występować z własnymi poglądami.“

10. Rozumowanie moje, kończące się twierdzeniem, że jeżeli matematykę uznajemy za naukę czysto rozumową, to musimy z tejże saméj racyi uznać za takie i nauki przyrodnicze, nazywa dr. Raciborski żartobliwém, mającém na celu skarykaturowanie jego zapatrywań.“ Nie myli się pod tym względem. Argumentacya zaś jego, usiłująca przekonać mnie o niestosowności mych wywodów, bynajmniéj mnie o tém nie przekonywa. Jeżeli dane matematyczne pochodzą z doświadczenia, to są one takiemi samemi abstrakcyami umysłu, jakiemi są gatunki i rodzaje przyrodnicze.

11. Gorszy się dr. Raciborski, że użyłem wyrażenia: pogląd rozumowy. W zapytaniu mém nie chodziło mi o terminologią, ale o psychologią, o to, na czém mianowicie polega ów pogląd, za pomocą którego poznajemy prawdziwość konstrukcyi geometrycznych. Że ten pogląd jest aktem rozumu, nie zaś sprawą zmysłowego spostrzegania, widzi się z tego, że Kant swoje *reine Anschauung* używa w przeciwstawieniu do *empirische Anschauung*, które po polsku znaczy: pogląd zmysłowy, intuicya zmysłowa. *Intellektuellen Anschauung*, które tak ważną gra rolę u Fichtego, Schellinga i Hegla, jest taką samą herezyą filozoficzną, jak i mój rozumowy pogląd.

12. W miarę, jak dr. Raciborski zbliża się ku końcowi swéj repliki, wpada w coraz większe rozdraźnienie i oskarża mię już po prostu o niesumienność. Za dowód jéj służy mu fakt następujący: przytaczając wyrazy dr. Raciborskiego, za pomocą których określa on nasze pojmowanie przestrzeni, przytoczyłem tylko pierwszą część jego określenia, a przeoczyłem drugą, która znajduje się na odwrotnéj stronie. Wina tu moja niezawodnie ważna—i szczerze żałuję, żem się jéj dopuścił

tém bardziéj, że tą mimowolną niesumiennością pozbawiłem siebie bardzo wdzięcznego tematu do pouczającéj dyskusyi.

Dr. Raciborski odróżnia wyobrażenia przestrzenne od pojęcia przestrzeni. O pierwszych to właśnie utrzymuje, że z rzeczywistością w ogólnych tylko i główniejszych zarysach są zgodne; drugie zaś jest ściśle i bezwarunkowo zgodne z rzeczywistemi stosunkami przestrzennemi. Pozwalam sobie zapytać się go, skąd on wie o tém wszystkiém? Jakim cudem pojęcie przestrzeni, które powstaje z wyobrażeń przestrzennych drogą abstrakcyi, staje się bezwarunkowo zgodném z rzeczywistością, kiedy wyobrażenia przestrzenne są z nią tylko w ogólnych zarysach zgodne? Wszak abstrakcya nic od siebie nie dodaje do wyobrażeń, przeciwnie odejmuje od nich?

13. Tryumfuje dr. Raciborski, że udało mu się złapać mię na błędném wyrażeniu, jakkolwiek nie tyle jest one błędném, ażeby nie można było wyrozumiéć, o co mi chodzi. W zapytaniu mém: czy nasze wyobrażenia o kolorach, dźwiękach itd. również są pojęciami rozumowemi, apriorycznemi—dwa są błędy: pierwszy jest prostym *lapsus calami*; mówiąc uprzednio o wrażeniach, nie mogłem w zapytaniu, do nich odnoszącém się, przeskoczyć do wyobrażeń. Co się tyczy drugiego, to użyłem pojęcia rozumowe zamiast kategoryi, mając na myśli Langego, który przyjmując kategorye czasu i przestrzeni, ustanawia także kategorye dla oddzielnych wrażeń zmysłowych. Że użycie w tym razie rozumowego pojęcia jest błędem, temu nie przeczę, zdaje mi się jednakże, że mniejszym ono jest błędem od tego, jakiego się dopuszcza dr. Raciborski w swéj ciętéj odpowiedzi. Powiada on: pytanie, czy wyobrażenia uważam za pojęcia, równa się pytaniu, czy cegły uważam za domy. Więc między wyobrażeniami a pojęciem zachodzi taki stosunek, jak między cegłami a domem?

14. Dr. Raciborski, odpierając mój zarzut, że przekręca zapatrywania Milla, wmawiając, że podług niego pierwotne przyczyny są bezładnie i niezależnie od wszelkich prawideł rozrzucone w przestworach,—przytacza własne słowa Milla: „*Nie możemy* odkryć żadnéj prawidłowości w ich rozmieszczeniu, *nie możemy* w niém odkryć żadnéj równomierności, żadnego prawa... Współistnienie pierwotnych przyczyn występuje *dla nas* w rzędzie tylko przypadkowych zdarzeń.“ Pomijam dalszy ciąg przytoczeń, które czytelnik znajdzie w replice dr. Raciborskiego. Z przytoczenia tego łatwo się przekonać, że Mill bynajmniéj nie twierdzi, że pierwotne przyczyny są bezładnie rozrzucone, tylko że przedstawiają się nam, jakoby były rozrzucone bezładnie, że my nie możemy w nich odkryć żadnego prawa, ponieważ nie znamy ich początku. W przyrodzie podług niego panują dwie jednostajności: następstwa i współbytności. Pierwsza podlega prawu przyczynowości, druga, o ile dotyczy pierwotnych przyczyn, nie daje się sprowadzić do *prawa przyczynowości*. Nie znaczy to wszakże, żeby w rozmieszczeniu pierwotnych przyczyn panował bezład. Powiada on wyraźnie, że między temi przyczynami zachodzi *pewien stosunek*. (If the causes coexisted in different proportions, or with any difference in these of their relations, by which the effects are influenced. T. 11. str. 41). Jeżeli zaś wyjątkowo Mill odzywa się kiedy o nieporządku przyczyn pierwotnych w sposób bezwględny, nie można tego brać za coś więcéj, jak za formę retoryczną.

15. Na mą uwagę, że prawo przyrodzone używa się w przeciwstawieniu do tego, co jest nadprzyrodzoném, dr. Raciborski pisze: „W odpowiedzi na takie niezręczne wypacznie méj myśli zapytać muszę, czy podług p. Kozłowskiego ściągniecie sumy wekslowéj zależy od prawa przyrody? Czy p. Kozłowskiemu nie wiadomo, że przeciwieństwem praw *przyrodniczych* są prawa inne, jak przyrodnicze itd.“

Że oprócz praw *przyrodniczych* są inne jeszcze prawa, o tém wiem; ale nie wiem, żeby były jeszcze inne jakieś prawa oprócz praw *przyrodzonych*. Prawo przyrodzone, a przyrodnicze to nie wszystko jedno. Powszechném prawem przyrody jest prawo przyczynowości, rządzące zjawiskami świata fizycznego i moralnego. Prawa pochodne i empiryczne są tylko szczegółowemi jego objawami. Jak mówi się o prawach przyrodzonych umysłu ludzkiego, tak również mówi się o prawach przyrodzonych życia społecznego. Prawa ustanowione takie, jak prawa wekslowe, również muszą opierać się na prawach przyrodzonych. Takie jest zapatrywanie Milla na prawo przyrodzone, o czém może się dr. Raciborski dowiedziéć z jego Logiki ks. III. Roz. IV.

Wolno dr. Raciborskiemu brać za jedno prawo przyrodnicze i przyrodzone, ale nie wolno zręcznie podstawiać w mém zdaniu jedno zamiast drugiego.

Z zacytowanych przez dr. Raciborskiego wierszy z komedyi Al. Fredry, tudzież z jego wycieczek złośliwych przeciwko mnie, pozostawiam mu całą korzyść.

Co się tyczy końcowéj rady, z jaką dr. Raciborski zwraca się do recenzentów, jest ona bardzo słuszna i żałować potrzeba, że sam on o niéj nie pamiętał, kiedy się zabierał do pisania swéj książki o Millu.

Władysław Kozłowski.



Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Października—Grudnia 1886 r.

---

1. **Nie wypada**. Podręcznik prostujący najczęściej popełniane błędy w życiu towarzyskiém i języku. Wolny przekład z angielskiego „Dont“. Warsz. u T. Paprockiego i S-ki, 1887, in 16-o, str. VII i 118.
2. **Rad jugoslavenske akademije** znanosti i umjetnosti. Knjiga LXXVIII. Matematičko-prirodoslovni razred (str. 117—230). Knjiga LXXX. U proslavu petdesetgodišnjice prieporoda hrvatske knjige (str. 313).—Knjiga LXXXI. Razredi filologičko-historički i filosofičko-juridiki (str. 240). Zagrzeb, 1886, 8-o.
3. **Pamiętnik Akademii Umiejętności w Krakowie**. Wydział matem.-przyrodn. tom XII (z 2 tabl. druk., z 4 fotodruk. i 3 litograf.). Kraków, 1886. 4-o, str. 115 i 95.
4. **Rozprawy i sprawozdania** z posiedzeń wydziału matemat.-przyr. Akademii Umiejętności. Krak., 1886 8-o. Tom XIII, str. VII, 320 i LX (5 tabl. litogr. i druk.). — Tom XIV, str. V, 357 i XX (z 12 tabl. litogr.).
5. **Zbiór wiadomości do antropologii krajowej**, wydawany staraniem komisyi antropologicz. Akademii umiejętności w Krakowie. tom X. Krak., 1886. 4-to, str. IV, 37+34+336 (z 2 tabl. i liczn. drzew.).
6. **Starodawne prawa polskiego pomniki**. Tom VIII, część II: Antiquissimi libri indiciales terrae Cracoviensis, 1394—1400. Editionem curavit *Boleslaus Ulanowski*. Krak., 1886, 4-o, od str. 365 do 982,+40+3 nlb. (z 6 tabl.).
7. **Kodeks dyplomatyczny Małopolski**. Tom II (1153—1333 r.). Wydał *D-r Franciszek Piekosiński*. Kraków, 1886, 4-o, str. LVI i 374 (z tablicą litogr.).
8. **Sprawozdania komisyi do badania historyi sztuki w Polsce**. Tom III, zesz. II: *Ks. Ignacy Polkowski*: Grób i trumna ś. Stanisława. *Władysł. Łuszczkiewicz*: Kościół i reszty klasztoru cysterskiego w Koprzywnicy. *Ign. Zakrzewski*: Umowa o budowę zamku Kórnika w r. 1426 (z 7-u tabl. litogr.). Zeszyt III: *Wład. Łuszczkiewicz*: Ruina bohojawleńskiej cerkwi w zamku Ostrogskim. *Maryan Sokołowski*: Kościoły romańskie w Gieczu. Krobi, Lubieniu i Kotłowie (13 drzewor. i 3 tabl. litogra.). Kraków, 1885 i 1886, 4-o, (od str. 25 do 105).
9. Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce; tom IV: **Liber diligentiarum** facultatis artist. univers. Cracov. (1487—1563) ed. cur. *D-r Wladislaus Wisłocki*. Kraków, 1886, 8-o, str. XV i 544. Tom V: Pamiętnik zjazdu histor.-literackiego imienia Jana Kochanowskiego, str. 275.
10. **Rozprawy i sprawozdania** z posiedzeń wydziału filologicznego Akademii umiejętności. T. XI. Krak., 1886, 8-o, str. 481.
11. **Archiwum komisyi historycznej**. T. III. Krak., 1886, 4-o, str. 499.
12. *St. J. Czarnowski*. **Postępy literatury perjodycznej**. Studjum z dziejów prasy, z mapą i ośmią tabelami statystycznemi. Warsz. 1886, 8-o, str. 66.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi w roku 1887 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w której bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie (tylko w Warszawie) **Rs. 3.**

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Włodzimierska, 16.

Дозволено Цензурою, Варшава 24 Декабря 1886 г.